









J. I. KRASZEWSKI

# HRABINA COSEL

TOM PIERWSZY



WARSZAWA, E. WENDE i S-KA  
Poznań, Fiszer i Majewski. Łódź, Katowice,  
Ludwik Fiszer. Toruń i Siedlce, Tow. Wyd. „Ignis”

*Ookładkę wykonał Kamil Mackiewicz  
Odbito w Zakł. Graficznych  
„Drukarnia Bankowa”  
Warszawa, Mo-  
niuszki 11  
1925*

## I

Na królewskim zamku w stolicy saskiej jakby wszystko wymarło, cicho było, ponuro i smutno. Noc była jesienna, ale w końcu sierpnia zaledwie gdzie niegdzie liść żółknie na drzewach i rzadko wieją wiatry chłodne, dni bywają weselsze jeszcze, a noce jasne i ciepłe...

Tego wieczora jednak dęło z północy i chmury czarne, poszarpane, długie wlokły się jedna za drugą, a na ołowianem tle jeśli mignęła gdzie gwiazdka na chwilę, zgasła wnet w gęstych obłokach. U Georgenthor, w bramach zamkowych, na dziedzińcach przechadzały się straże milczące. Zwykle jasne okna królewskich mieszkań, z których światła i muzyka buchały ochoczo, stały czarne i zamknięte. A była to rzecz niezwykła za panowania Augusta zwanego Mocnym, bo pan to był mocen do wszystkiego: łamał podkowy i ludzi, smutek i złą fortunę, a jego nic złamać nie mogło. W całych Niemczech, ba, w całej Europie słynął świetny dwór królewski, przy którym gasły wszystkie inne; nikt go wspaniałością, smakiem wytwornym i rozrzutnością pańską nie przeszedł, nikt mu nie dorównał.

W tym roku wszakże August doznał klęski. Szwed mu wydał elekcyjną polską koronę; król, zrzucony niemal z tronu, wygnany z królestwa, wrócił na kurfirstowskie gniazdo, opłakiwać swe straty... wysypane próżno miljony i srogą niewdzięczność Polaków... Sasi nie mogli pojąć, by tak szla-

chetnego i mięgo pana można było nie uwielbiać i nie dać się zań zabijać.

August mniej to jeszcze od nich rozumiał. Wyraz niewdzięczność nieodstępnie towarzyszył każdemu Polski wspomnieniu; wreszcie unikano już nawet mowy o niej, o królu Szwecji i o tych wypadkach, które August Mocny poprawić kiedyś obiecywał sobie.

Drezno po powrocie Augusta już się nawet bać zaczynało, ażeby swego pana rozweselić; tylko tego wieczora tak dziwna cisza zapanowała w zamku; dlaczego? nikt nie wiedział. Król przecież do zadanego ze swych zamków nie odjechał, w Lipsku jeszcze się jarmark nie rozpoczął; mówiono nawet w mieście i na dworze, że naprzekór Szwedowi, August nakaże bale, karuzele i maskarady, aby mu dowieść, że swej chwilowej przegranej nie brał tak bardzo do serca.

Rzadcy przechodnie, przesuwający się okolo zamku ulicami, spoglądali na okna i dziwili się, iż tak wcześnie cisza i ciemność zapanowały u króla. Ktoby był wszakże, minawszy bramę wielką i pierwsze podwórze, mógł się wcisnąć na drugie, przeconały się, iż zamek spał tylko jednym bokiem, a we wnętrzu jego wrzało jeszcze życie...

Straże tu nie wpuszczali nikogo...

Na pierwszym piętrze, mimo wichru, okna były szeroko pođmykane, z za obslon, którymi napoł tylko były okryte, rzęsiste światło jarzące migalo, odbite mnóstwem zwierciadeł, a chwilami dobywał się śmiech homeryczny z wnętrza sali, leciał w dziedziniec, przestraszając chodzącą wartę, która słuchać go stawała, i obiwszy się o szare mury... powoli słabem obumierał echem...

Śmiechom tym towarzyszyły gwary to słabsze to silniejsze, rosnące, przechodzące w mruczenie i milczenie... Nagle, jakby po przebrzmialej mo-

wie, zrywały się znowu oklaski i znowu huczał śmiech homeryczny, królewski, rozłożysty, purpurowy, śmiech istoty, która się nie lęka, by ją ktoś posłyszał i drugim szyderczym odpowiedział śmiechem... Za każdym wybuchem straż, która z halabardą chodziła, pod oknami stawała, żołnierz podniósł oczy do góry, wzduchał i spuszczał je na ziemię...

Strasznego coś było w tej uczcie nocnej, wśród zamku śpiącego, wśród burzliwego wichru i milczącej stolicy...

Tam król się weselił.

Od powrotu z Polski takie uczty wieczorne, nie tłumne, w gronie kilku poufałych ludzi — nazwijmy ich przyjaciółmi — bywały częstsze niż dawniej; August Mocny, zwyciężony przez dziwacznego, półgłówkiem zwanego Karola XII, wstydzili się oczu pokazywać w licznych zebraniach: zabawy i roztargnienia potrzebował, zbierał więc około siebie ulubieńców kilku... Naówczas przynoszono węgrzyna złocistego, po którego umyślnie siano na Węgry co roku, ustawiano puhary i pili tak aż do dnia, aż do snu, aż do chwili, gdy wszyscy z krzeseł pospadali, a króla, Hoffman pod rękę, śmiejącego się, do łóża odprowadzał.

Do tego grona wybranych kapłanów Bachusa madjarskiego, niewiele osób było przypuszczonych: poufali tylko i zaufani a ulubieni Augustowi, gdyż król po kilku puharach, dla tych, których niecierpiał, mówiono, był niebezpiecznym. Siłę miał Herkulesową... gniew olimpijski a władzę nieograniczoną... W dnie powszednie, zrana, gdy się pogniejszał, oblicze mu tylko zaszło jakby krwawą luną na chwilę, i oczy błysły, i wargi zadrzalały, odwracał się, nie patrząc na tego, co go tak rozpromienił; ale po kielichu... niejeden wyleciał oknem i na kamieniach dziedzińca padł, by nie wstać.

Tak ludzie mówili. Gniew jego był rzadki, ale jak piorun straszny. W zwykłym życiu nie było łagodniejszego pana, ani słodszego, ani łaskawszego dla wszystkich. Uważano nawet, że im kogo mniej znosił, tem dlań uśmiech miał milszy, a w przeddniu zaprowadzenia na Königstein, gdzie często dziesiątkami lat faworyci siadywali, August ściskał ich jeszcze jak najlepszych przyjaciół. Tak szlachetna to była natura, pragnąca ludziom los ich osłodzić.

A bawić się, toć przecie panu potrzeba było koniecznie... cóż dziwnego, że czasem do zabaw sprowadzano dwa głodne niedźwiedzie, żeby się jadły, lub podpajano dwóch zawziętych nieprzyjaciół, żeby się z sobą gryzli... Ten rodzaj rozrywki najmilszym był panu... a gdy się dwóch Vitzthumów, Friesenów lub Hoymów zawzięło jeść z sobą po kielichach, śmiał się do rozpuku... Niewinne to było roztargnienie.

Królowi poróżnić ich z sobą przychodziło bardzo łatwo, bo wiedział wszystko: kto się w kim kochał, kto kogo nienawidził, ile mu z kasy wzięto niedozwolonym sposobem; nawet co zamyślał który z dworaków, jeśli nie wiedział, to odgadł... Kto mu to szeptał, donosił, kto zdradzał, próżno sobie łamano głowy; kończyło się na tem, że nikt tu już nikomu nie wierzył, że się brat obawiał brata, że mąż się krył przed żoną, że ojciec lękał się syna... a król August Mocny śmiał się z tego motłochu!

Patrzał zgóry na komedię życia, nie gardząc w niej olimpijską rolą Jowisza, Herkulesa i Apolina... wieczorami zaś Bachusa.

Tego wieczora właśnie król się czuł tak smutnym i znudzonym, iż wszystkich ministrów, ulubieńców i dworzan postanowił poić i spowiadać, aby się choć trochę rozchmurzyć.

W pośrodku oświeconej sali, której jedną ścianę zajmował srebrem i puhami jaśniejący bufet, z królującą srebrną o złotych obręczach baryłą; długi stół obsiedli towarzysze wybrani królewskich zabaw: przybyli właśnie z Rzymu hrabia Taparel Lagnasco, z Wiednia Wackerbarth, wreszcie domowi Watzdorf, którego zwano chłopem z Mansfeldu, Fürstemberg, Imhoff, Friesen, Vitzthum i Hoym, i niezrównany w żartach niewyczerpanego dowcipu, zawsze surowy i poważny a umiejący rozmieszczyć choćby się na płacz zbierało, Fryderyk Wilhelm baron Kyan..

Król siedział z rozpiętą na piersiach suknią i kamizelką, podparty na łokciu i smutny. Piękną jego twarz, zwykle jasną, obiekała jakby mgła nadchodzącego smutku. Wypróżniony kielich stał przed nim... Kilka flasz próżnych świadczyły, że biesiadować nie teraz dopiero poczęto, przecież na twarzy króla nie widać było skutku boskiego napoju... Bursztynowy płyn nie rozrzucił mu ponurych myśli.

Dworzanie baraszkowali między sobą, harcując słowy, aby pana rozbawić: nic to nie pomagało; August siedział zamyślony, jakby nie słuchał. A był to stan rzadki u niego... bo chciał roztargnienia i szukał rozrywki. Zukosa spoglądali nań niespokojni towarzysze.

W drugim końcu stołu siedział niepozorny, posępny Kyan i jakby króla prześladować chciał, także się na łokciu sparł, nogi wyciągnął i w sufit patrząc, wzduchał.

Był tak smutny, że się wydawał śmieszny...

— Słuchaj — szepnął Fürstemberg, trącając łokciem Wackerbartha (oba już byli dobrze podchmieleni), — widzisz ty najjaśniejszego pana? Źle jest, nie może go dziś nic rozweselić... jedenasta godzi-

na... do tej pory powinienby już być w różowym humorze... Nasza wina...

— Ja-m tu gość — odparł Wackerbarth, ruszając ramionami — to nie moja rzecz: wyście, znając go lepiej, środki skuteczniejsze obmyśleć powinni.

— Znudził się Lubomirską... oczywista rzecz... — dodał z boku Taparel.

— Nie, bo, przyznam ci się, że i tych Szwedów strawić trudno — szepnął pocichuteńku Wackerbarth. — Ja mu się nie dziwię.

— E! e! Szwedów! zapomnieliśmy tymczasem; po bież ich tam za nas kto inny, mamy pewność, my przyjdziemy tylko zbierać owoce... — począł, trącając w kielich Fürstemberg — nie Szwedy go gryzą... ale już Lubomirskaiej ma dosyć... trzeba mu inną znaleźć.

— Czyż o to trudno? — szepnął, ramionami ruszając, Wackerbarth...

— A! no, trzeba wam było znowu w Wiedniu drugą Esterlę wyszukać... — rozśmiał się Lagnasco.

I poczęli szeptać tak cicho, że ich już słyszać nie było, bo król zdawał się przebudzać, jakby ze snu, i wodził oczyma po swych towarzyszach, aż wzrok jego padł na tragicznie rozpartego barona Kyan i król parsknął homerycznym śmiechem.

Nie potrzeba było więcej, ażeby cała sala za nim powtórzyła śmiech echem, choć połowa ze współbiesiadników wcale nie wiedziała, z czego najjaśniejszy pan roześmiać się raczył.

Jeden Kyan się nie ruszył, nie drgnął.

— Kyan! — krzyknął król — co ci jest? czy cię kochanka zdradziła? czyś goły, czy ci nieprzyjaciel wpił się do boku? Wyglądasz jak Prometeusz, któremu niewidzialny sęp szarpie wątrobę!

Kyan odwrócił się jak drewniana lalka i westchnął straszliwie. Stojący koło niego kandelabr

o sześciu świecach do połowy zgasił od tego westerchnienia i dym świec rozszedł się po sali.

— Kyan! co ci jest? — zapytał król.

— Najjaśniejszy panie — odparł baron, — oso-  
biście nie jest mi nic. Nie jestem ani głodny, ani  
zakochany, ani dłużny, ani zazdrośny, ale rozpacz  
mnie morduje.

— Cóż się stało? — mówił — począł król.

— Nad nieszczęśliwym losem najukochańszeego  
naszego monarchy boleję! — odparł poważnie Kyan  
— tak jest! Urodzony do szczęścia, z bożem obli-  
czem, z herkulesową siłą, z sercem wspaniałem,  
z męstwem niezłomnym, stworzony, aby świat ci  
u stóp leżąc służył... nie masz nic.

— Tak, to prawda — rzekł August, chmurząc brew.

— Piętnastu nas tu siedzi i rozbawić cię nie  
umiemy; kochanki cię zdradzają i starzeją się, wino  
kwaśnieje, pieniądzce ci kradną, a gdy wieczorem  
radbyś odetchnąć w wesołem kółku, przynoszą ci  
wierni poddani twarze grobowe. Nie powinnaż mnie,  
co cię kocham, rozpacz porywać!

August się uśmiechnął, ręką drżąca pochwycił  
puhar i stuknął nim o stół. Z za kredensu wybieg-  
ły dwa karły... jak jeden i stanęły przed królem.

— Słuchaj, Tramm — zwołał August, — każ po-  
dać gąsior ambrozji! Kyana robię podczaszym. Wi-  
no, któreśmy pili, podprawione było wodą.

Ambrozją zwał się węgrzyn królewski, który  
Zichy sam dla Augusta z najlepszych winogron nie  
wyciskanych robić kazał; było to wino nad winą,  
niby syrop ciągnące się, zdradziecko słodkie i łagodne,  
a mogące powalić olbrzyma.

Tramm z towarzyszem znikli, a po chwili uka-  
zał się czarny murzyn we wschodniej odzieży, na  
srebrnej tacy niosący gąsior ogromny. Wszyscy  
wstali i witali go poklonem, król spoglądał.

— Kyan, gospodaruj — zawałał.

Kyan wstał... karły niosły na drugiej tacy kieliszki, ale te się nie podobały podczaszemu; szepnął im coś i małemi kroczkami za bufet pobiegli, a po chwilce zjawili się z nowem szkłem różnego kalibru.

Z powagą urzędnika, która zna ważność zleconych sobie obowiązków, Kyan jał ustawiać kielichy.

W środku stał piękny, smukły, przyzwoitej objętości, królewski: dokoła wieńcem otaczały go nieco mniejsze ministerjalne kielichy, poza niemi drobniejszych rozmiarów jak na żart, niby naparstki, w znacznej liczbie cisnęły się kieliszczki... śmieszne. Wszyscy patrzeli ciekawie.

Kyan powoli ujął gąsior ogromny, aby w nim nie poruszyć osadów i ostrożnie nalewać zaczął. Napełnił najprzód wszystkie drobne. Niewiele one napozór brały, ale ich był lik tak znaczny, że nim wszystkie ponalewał, gąsior się bardzo opróżnił. Kolej szła na ministerjalne. Wśród powszechnego milczenia podczaszy sumiennie i te wszystkie nalał spełna. W gąsiorze ubywało, ubywało i gdy przyszło nalać kielich królewski, wina zabrakło. Kilka kropel z mietami wlał Kyan do niego, stanął i spojrzał na Augusta.

— A! dobry z wańpana podczaszy! — roześmiał się król — dla ciebie ja jestem ostatni. Cóż to ma znaczyć?

Śmieli się otaczający.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się, stawiając opróżniony gąsior na stole Kyan, który wcale nie stracił przytomności i humoru, — jest to przecież nie nowina, ale rzecz powszednia: com ja tu zrobił z winem, twoi ministrowie robią codzień z dochodami państwa. Najprzód sobie każdy mały urzędniczek swoją kieszeń nalewa, potem starszyzna o sobie pamięta, a gdy przyjdzie królewski puhar, tylko męty pozostały.

Król uderzył w dlonie, patrząc szydersko po przytomnych.

— Kyan! twoje zdrowie! Przypowieść Ezopa godna. Ale niechże dla mnie drugi gąsior podadzą.

Murzyn niósł już na tacy ambrozję. Śmieli się wszyscy, bo król się śmiał, ale jakoś kwaśno; zukosa spoglądało na Kyana, który najmniejszy kieliszeczek wziął i zdrowie Herkulesa saskiego okrzyknął.

Padli wszyscy podchmieleni na kolana... hałas powstał ogromny, kielichy podniosły się do góry.

Król swój kielich ku baronowi wypił i postawił.

— Mówmy o czem innem — zawołał.

Fürstemberg wstał.

— Najjaśniejszy panie — rzekł, — godzina nadchodzi, w której o niczem mówić się nie godzi, tylko o tem, co dniowi i nocy króluje... o kobietach.

— Doskonale — poparł król, — każdy niech swoja kochankę opisze... Fürstemberg zaczyna.

Szydersko uśmiechając się, wymówił król te słowa; po twarzy Fürstemberga przebiegły grymas dziwny.

— Dane mi pierwszeństwo — odezwał się młody towarzysz króla i ulubieniec — dowodzi tylko, że przed okiem argusowem naszego najmiłościwszego pana nic się ukryć nie zdoła. Zna mnie, kłamać mu nie potrafię i wystawia na upokorzenie. Najjaśniejszy panie! — dodał, ręce składając, Fürstemberg — proszę o uwolnienie mnie od wizerunku kochanki.

— Niel! niel! — poczętookoła. — Portret być może bez podpisu... jeśli osoba ukryta być musi, ale rozkaz pana święty i nieodwołalny. Maluj, Fürstemberg!

Wszyscy potrosze wiedzieli, dlaczego tak nieochoczo brał się do opisu młodzieniec. Była to chwila krytyczna w jego życiu, udawał bowiem wielką miłość dla przeszło czterdziestoletniej wdowy po

jednym z Friesenów, która słynęła z tego, że z pod różu i bielidła twarzy jej widać nie było. Wdowa była bogata, Fürstemberg właśnie grosza potrzebny, wszyscy wiedzieli, że się z nią nie ożeni, a jednak na balach dworskich, na maskaradach, w przejaźdzkach ciągnęła go za swym wozem.

Gdy się Fürstemberg ociągał, naglić tak i tu pać poczęto, iż król nakazać musiał milczenie i, wskazując na Fürstemberga, powtórzył:

— Niema litości, maluj tę malowaną kochankę, której palisz ofiary.

Dla nabrania odwagi młody roztrzepaniec wychylił swój kielich do dna.

— Kochanka moja jest najpiękniejszą w świecie — zawałał — może mi kto zaprzeczyć, znaż kto, co się ukrywa pod tą maską, którą dla śmiertelników oczu nakłada? Moja kochanka należy do bóstwa... bo jej jednej nie zagraża to, co wszystkim innym... piękność jej dojrzała, jaka jest, pozostanie na zawsze. Ząb czasu skruszy się o marmurowe jej kształty...

Smiech mu przerwał.

Obok niego siedział Adolf Hoym. Mężczyzna był pięknie zbudowany, ale twarzy niemiłego wyrazu. Małe jego oczki świdrujące, gdy się w człowieka wpatrywał, cechowała przenikliwość jakąś trwożna. Zbladły i wyzółkły... w tej chwili dopiero po ambrozji nieco rumieńca nabierał. Hoym słynął z donżuaństwa, ale jego miłostki od lat kilku były tak tajemnicze i skryte, że już myślano, iż się ustatkował. Chodziły wieści, że się ożenił, ale żona jego nie pokazywała się nigdzie, nie widział jej nikt... siedziała podobno na wsi.

Hoym, który miał słabszą od innych głowę, a był już zmęczony, przez dni kilka dotrzymując królowi w nocnych jego biesiadach, widocznie był mocno napiły. Poznać to było łatwo po mimowolnych

głowy jego ruchach, po wysileniach, z jakiem dźwi-  
gał ręce ociężałe, po uśmiechu ust krzywym, po  
przymykających się powiekach i całej postawie  
zdradzającej, że sobą władać przestał.

Była to najmilsza gratka dla króla i jego towa-  
rzyszów, ministra od akcyzy schwytąć w takim  
stanie ubłogosławionym, gdy rozum języka po-  
wstrzymać nie może.

— Kolej na Hoyma! — rzekł król. — Hoym — do-  
dał — znasz mnie, niema wymówki. Wiemy wszyscy,  
żeś wielkim znawcą i wielbicielem wdzięków nie-  
wieścich, że bez miłości żyć nie możesz; poza te-  
sciany nie wychodzi nic. Spowiadaj się!

Hoym głową na wszystkie strony wykręcał, a  
ręka próżnym bawiła się kielichem.

— He! he! — zaśmiała się.

Zcicha nalał mu wina Kyan.

Minister machinalnie podniósł kielich do ust  
wypił z tą bezrozumną chciwością właściwą już  
napitym, których szatańskie pali pragnienie.

Lice mu zaszło purpurą.

— He! he! — począł, bełkocąc — chcecie wiedzieć,  
jak wygląda moja kochanka... ale ja, mili panowie,  
nie mam i nie potrzebuję mieć kochanki, bo mam  
taką żonę bogini!

Roześmieśli się wszyscy chórem, król tylko cie-  
kawie, poważnie wpatrując się w niego, słuchał.

— Smiejcie się — mówił Hoym, — kto jej nie wi-  
dział, ten nie widział Wenery, a myślę, że i We-  
nus obok niej wydalaby się praczką z przedmieścia.  
Mogę ja ją opisać? W jednym jej oku czarnem  
jest tyle potęgi i wdzięku, iż żaden śmiertelny  
przeć mu się nie potrafi. Postać jej, Praksytelesa  
lub lótoby zawstydziła... na jej uśmiech niema wyrazu,  
ale to bóstwo surowe i straszne i ten uśmiech nie  
ozkwita codzień.

Kiwali głowami przytomni niedowierzające.  
Hoym chciał przerwać, król uderzył o stół.

— Opisz-że ją lepiej: to są westchnienia, nie  
obrazy.

— Któż opisze doskonałość — dodał Hovm z pod-  
niesionemi w sufit oczyma... — Wszystkie pięk-  
ności ma, a żadnej wady.

— Gotówem uwierzyć, że piękna — zawała Lag-  
nasco, — jeśli niestały Hoym od trzech lat się w niej  
kocha i po cudzych kniejach nie poluje.

— Przesadza! pijany jest! — przerwał Fürstem-  
berg. — Jakto? piękniejsza od księżnej Teschen?

Hoym ruszył ramionami, trwożliwem okiem mie-  
rząc króla; ale król rzekł spokojnie:

— Tu niema innych względów nad prawdę...  
piękniejsza od Lubomirskiej?

— Najjaśniejszy Panie! — krzyknął, unosząc się,  
Hoym — księżna jest kobietą piękną, a moja żona  
jest bogini. Na całym dworze, w całem mieście,  
w całej Saksonji, w Europie drugiej takiej niema.

Śmiechem ogromnym, olbrzymim, szalonym za-  
brzmiała sala.

— Jaki zabawny Hoym pijany!

— Jaka pocieszna akcyza pijana!

— Co za nieoszacowany człowiek!..

Król się nie śmiał, Hoym widocznie był pod  
wpływem ambrozji, zapomniał się, gdzie był i przed  
kim to mówił.

— Śmiejcie się — zawała — znacie mnie przecie  
wszyscy; sami mnie Don-Żuanem nazywacie: od-  
dajecie mi sprawiedliwość, że na piękności nie-  
wieściej nikt się lepiej nie zna nade mnie. Dlacz-  
gózbym miał kłamać... To bóstwo nie kobieca  
dość jednego jej oka, aby w najzimniejszem łonie  
pożar zapaliło; jej uśmiech...

To mówiąc, spojrzał mimowoli na króla. Wyra-

warzy Augusta, chciwe słuchającego wykrzykników i śledzącego każde jego słowo, przeraził go jednak, że niemal się z trwogi wytrzeźwił. Radby był ię cofnął... lecz nie mógł sobie zadać kłamki i, jak tężały, zamilkł, pobladłszy...

Próżno śmiechami i wywoływaniami starano się go zmusić, by szedł dalej. Hoym ze strachu oprzymniał, ręka jego machinalnie obejmowała kielich, ale oczy trzymał wlepione w ziemię i zamyslił się dziwnie.

Na znak króla Kyan nalał mu ambrozji, stuknięto w kielichy.

— Piliśmy boskiego naszego Herkulesa zdrowie! — zawała Fürstemberg, — teraz zdrowie Najjaśniejszego Apolina naszego...

Niektórzy pili na klęczkach, inni stojąc; Hoym wstał, chwiejąc się, i musiał oprzeć się o stół. Skutek wina, który na chwilę trwoga zawiesiła, powrócił. W głowie mu się kręciło: wypił duszkiem.

Poza krzesłem królewskiem stał Fürstemberg, którego król Fürstchen przez pieszcztę nazywał w swych miłosnych wycieczkach zwykle za towarzysza miewał. Apolo odwrócił się ku niemu:

— Fürstchen — rzekł cicho, — akcyza nie kłamie, d lat kilku zamyka i tai się ze swym skarbem: trzeba go zmusić, aby nam ją pokazał... Użyj takich środków, jakich chcesz, niech kosztuje najrożej, ale ją trzeba widzieć.

Fürstchen się uśmiechnął, szło to bardzo i jemu innym na rękę. Panująca dotąd królewska ko-hanka *en titre*, księżna Teschen \*), miała przeciwko sobie wszystkich przyjaciół obalonego przez nią wielkiego kanclerza Beichlinga, po którego upadku alać na Pirnajskiej ulicy odziedziczyła... a Für-

\*) Cieszyńska.

• ſtemberg, choć w swoim czasie służył Lubomirskiej przeciwko innym paniom dobijającym się serca króla; gotów był Augustowi służyć przeciw wszystkim w świecie. Pięknoſt Lubomirskej niezbyt świetna, nieco przekwitająca, jej pańskie obejście się i ton zaczynały nudzić króla, który wolał rezolutniejsze, śmielsze, żywſze charaktery w kochankach... Fürstemberg odgadł to wszystko z wejrzenia i mowy króla. W jednej chwili odskoczył od jego krzesła i znalazł się poufale sparty o poręcz Hoyma, nachylony do jego ucha... .

— Kochana akcyzo—zwołał głoſno,—wſtyd mi za ciebie, kłamałeś bezwſtydnie i to wobec króla jegomości; żartowałeś sobie z nas i z niego. Przypuszczam chętnie, że żona takiego łotra jak ty i kobieciarza, nie może być koczkodanem, ale do Wenery i bogini, a nawet do księżnej Teschen ja porównać, to były żarty!

— Com mówił—rzekł z gniewem—to była prawda! *Tausend donner wetter! Pötz und Blitz!*

Śmiano się z rubasznego wykrzyku, ale przy biesiadzie poufałej król wszystko przebaczał; po pijanemu prości śmiertelnicy chwytali go za szyję i całowali, nie lękając się, by ich Goliat zdusił w objęciach...

— Stawię tysiąc dukatów w zakład, o!—krzyknął Fürstemberg—że żona twoja od innych dam dworu piękniejszą być nie może...

Hoymowi dolewano wina... akcyza piła z rozpaczy...

— Trzymam zakład! — zgrzytnął zębami blady i pijany—trzymam...

— Sędzia... ja będę sędzią! A sądu zwlekać się nie godzi—wyciągając rękę, dodał August.—Hoym natychmiast sprowadzi tu żonę i na pierwszym balu u królowej ją przedstawi...

— Hoym! pisz! Kurjer królewski powiezie list do Laubegast...

— Pisz list... natychmiast! — zaczęto znowu wołać ze wszystkich stron...

W jednej chwili podsunięto mu papier, Fürstemberg gwałtem wcisnął pióro, król wzrokiem naglił do wykonania. Nieszczęśliwy Hoym, w którym chwilami odzywała się trwoga mężowska i pamięć zalotności królewskiej, sam nie wiedział, jak dyktowany mu rozkaz przybycia do Drezna żonie napisał, i w mgnieniu oka wyrwano mu go z rąk... ktos po wschodach zbiegł w dziedzinę, aby królewski posłaniec natychmiast z nim do Laubegast wyruszył.

— Fürstemberg — szepnął August — ja widzę po Hoymie, że jeśli się wytrzeźwi dziś, rozkaz odwoła: trzeba go spoić na śmierć, by nogą ani ręką nie ruszył...

— Jest już tak pijany, że się o życie jego lekam — dodał książę.

— A ja nie — spokojnie rzekł król,—czyżby już Hoyma nikt w świecie zastąpić nie był w stanie? A takibyśmy mu pyszny z mnóstwem palm i wieńców pogrzeb sprawili...

Uśmiech króla tak podziałał, iż koło Hoyma kóliko się skupiło z kielichami; wyzywano go, wymyślano toasty, dolewano ambrozję różnemi z flaszek podstawionych kryjomo dobywanemi płynami, i w pół godziny... Hoym blady jak trup, z głową zwieszoną, z ustą okropnie otwartemi, spał, leżąc na stole... Hajdучy królewscy na dany znak po nieśli go do łóżka. Dla ostrożności wszakże raczej niż z troskliwości o zdrowie, zamiast w lektyce odnieść go do domu na Pirnańską ulicę, położono go z jednym z gabinetów królewskich i dodano na wartę Cojanusa olbrzyma, który miał rozkaz nie

puszczać go do domu, gdyby się obudził. Hoym jednak wcale się nie przebudziwszy i stękając tylko przez sen ciężko, bezprzytomny przeleżał do rana. Na sali, po wyniesieniu tego trupa, rozpoczęła się dopiero bachanalja przy zamkniętych drzwiach, w ciaśniejszym kółku, której świadkami były tylko zwierciadła sali.

Król był w najpiękniejszym humorze, a promienistość tego oblicza odbijała się na twarzach dworzan jego. Już się miało dobrze na brzask, gdy dwaj hajdenci nareszcie ostatniego ze wszystkich i Augusta Mocnego jak dziecię do łóżka zanieśli.

Zarzucicie mi przesadę w obrazie! Niestety! wszystkie jego rysy, aż do najdrobniejszego, są prawdziwe...

Fürstemberg został sam na ruinach, prawie zupełnie trzeźwy, zdjął perukę tylko, aby ochłodzić głowę, i zamyślił się głęboko... mówiąc do siebie:

— Będziemy tedy mieli nowe panowanie... Lubomirska nadto się też wdawała w politykę... mogła opanować króla... Naco mu rozumna kochanka? niech go tylko bawi i kocha! to jej powołanie...

Zobaczmy Hoymową...

## II

Laubegast leży nad samym Elby brzegiem, o dobrych parę godzin od Drezna. Mała wioseczka już naówczas miała kilka domków, widocznie przez możliwejnych postawionych i panujących okolicy. Kryły się one w starych lipach i bukach, w czarnych sosen i jodeł gałęziach.

Pałacyk Hoyma, do którego on się czasami z domu swojego wykradał, aby tu spędzić wieczory i część dnia, a czasem nawet całe pod nieobecność króla tygodnie, wyglądał jak wszystkie

owego czasu, z wysokim dachem i poddaszami na sposób francuski, z wyginanymi ozdobami i floresami po murach. Sprowadzeni ze stolicy mularze okrąsili go jak najstaranniej i o ile znieść mogły skromne pałacyku rozmiary. Znać było wielką troskliwość pana o upiększenie miejsca tego. Mały dziedziczyk opasysywała kratę żelazną w słupach murówanych, na których stały piękne wazoniki kamienne, na wznióslejszych nieco, przy bramie, grupy aniołków trzymających latarnie. Wchód do domu z galerią kamienną, przybraną w wazoniki i figurki, okrywały piękne kwiaty. Dom wyglądał pańsko z za drzew, ale smutnie jak klasztor, jak pustkowie.

Nie było tu życia, ani licznych sług, ani ruchawego dworu. Dwóch starych kamerdynerów, kilkoro czeladzi pokazywało się czasem około pałacyku, a nad wieczorem niekiedy z książką w ręku wychodziła z niego postać, której cała ludność Laubegastu z za płotów i krzaków z trwogą i podziwem się przypatrywała. Było to w istocie dziwne w tym zapadłym kącie zjawisko, któremu właściwszym pobytom zdawała się sama stolica.

Nikt nie widział tu nic podobnego, ani mógł marzyć o takiej piękności. Młodziuchna kobieta, wysokiej i szlachetnej postawy, biała jak marmur, z czarnymi, jasnemi, bystremi oczyma, gdy szła ulicą w majestacie swej młodości, piękności i dumy... mimowolnie trwoga ogarniała patrzących na nią nawet ukradkiem, takiego coś w sobie miała królewskiego i rozkazującego. Chciało się na twarz padać przed nią.

A była smutna przy tej powadze, jak żałobny posąg zdjęty z grobowca. Nigdy się nie uśmiechnęło jej oko ni usta, nigdy nie spojrzała weselej w niebo... Spoglądała na ziemię czarną, na szare Elby wody, na kwiatki, których ani zrywała, ani

się poila ich wonią. Zdawała się nieszczęśliwą, może była tylko znudzoną. Wiedziano, że od lat kilku siedziała tu tak zamknięta, nie widując prawie nikogo, oprócz siostry Hoyma Vitzthumowej, której brat też rzadko przystępował do żony dozwalał. Wiedział zapewne, że i ona chwilowo miała szczęście być w łaskach u króla, a nadzieję pozostała w nich dłużej, która się nie ziściła. Strzegąc żony od wpływu dworu i intryg jego, własną nawet siostrę od niej usuwał. Vitzthumowa ruszała ramionami pogardliwie i wszystko było jej jedno.

Ale bratowa śmiertelnie się nudziła. Całą jej zabawą były kijażki pobożne marzycieli protestanckich, które czytała skwapliwie i ustronne perchadzki pod nadzorem starego kamerdynera.

Życie to było jednostajne i ciche jak grób, ale zato namiętności w niem nie wywoływały burzy. Hoym zrazu bardzo czuły, z natury balamut i balamutkiem dworu podżegany, znużył się żoną i zapomniał już o niej. Kochał ją jednak po swojemu, zazdrośnie, i chciał ten skarb mieć zatajony przed oczyma ludzkiem. Tylko, gdy króla i dworu nie było w Dreźnie, pani Hovm miała pozwolenie na krótko przybyć się rozerwać w stolicy, która naówczas śmiertelnie nudną była.

To kilkoletnie zamknięcie napoilo ją dumą, żółcią, goryczą, smutnemi myślami, pogardą dla świata i ascetyzmem dziwaczny. Wystawiała sobie życie swe jako skończone, zamknięte... jako wyczekiwane równie samotnego zgonu, a była jak anioł piękna i nie miała jeszcze skończonych lat dwudziestu czterech, i ci co ją zdala widzieli, nie daлиby jej z twarzy, diecinnej niemal, ani osmnastu, tak dziwnie wyglądała młodo.

Panią Vitzthum, która w gorętszem życiu postradała świeżość i część młodego wdzięku, ta

nieśmiertelna dziewczość bratowej gniewała. Gnie-wały ją inne jeszcze w niej przyniotoły: szlachetna duma cnoty, oburzenie na zepsucie, pogarda intrygi i kłamstwa, królewski majestat, z jakim z góry swej potęgi spoglądała na ruchliwą, śmiejącą się, pełną fałszu bratową. Gdyby nie była bratową, możeby jej nawet życzyła upadku i upokorzenia. Hoymowa nie lubiła jej wzajemnie, wstręt do niej czując instynktowny. Dla męża okazywała teraz niemal chłodną pogardę... przez samą panią Vitz-thum, pocichu szepcząca nieraz tajemne skanda-liki, wiedziała Anna Hoym, że mąż nie był jej wiernym. Mogła go łatwo jednem czułszem wejrze-niem u stóp swych położyć, znała swą potęgę, była jej pewną: nie chciała. Wydał się jej już zbyt nik-czemną istotą, aby się o niego starać było warto. Przymowała go zimno, odprawiała obojętnie; Hoym się burzył, ale z żoną gdy przyszło do otwartej kłótni, czuł się tak słabym, że zwycięstwa szukał w ucieczce.

Tak płynęły smutne a długie dni w Laubegast... Nieraz Annie przychodziły myśli słomianą wdową powrócić nazad do Holsztynu, do Brockdorf, do rodzinny. Lecz rodzina nie była jej bardzo przy-chylna, ojca i matki nie miała oddawna, a księżna Brunwicka z domu Holstein Plön, czyby ja była znowu przyjęta? Głośne tam było i pamiętne zna-żenie się szesnastoleiniej jeszcze Anny, którą książę Ludwik Rudolf w zapale uwielbienia dla jej piękności cudnej, chciał pocałować i — dostał pub-licznie prawie policzek...

Nie miała się więc gdzie podziąć biedna a pięk-na Anna.

Pomimo zepsucia dworu i sąsiedztwa Drezna, w którym trudno było ukryć przed oczyma ludzi taką gwiazdę pierwszej piękności, kilka lat prze-

chadzając się ponad brzegami Elby, nad którymi nieustannie krzyżowały się dworskie powozy, kawalerowie konni, wojskowi i cała próżniaczka czereda otaczająca panującego, Anna tak się umiała przysłonić w tem swem ustroniu, że ją żadne niemal nie spostrzegło oko.

### Oprócz jednego...

Tym jednym był młody Polak, który raczej wiąsał niż trzymał się na dworze Augusta, a dostał się nań prawie mimowoli i mimowoli tu dość nudne wiódł życie.

Gdy August Mocny po raz pierwszy jechał do Polski i przy biesiadzie w oczach zdumionych panów, co na jego wyruszyli spotkanie, srebrne gniotły w ręku puhary, łamał talary i kruszył podkowy; przy obiedzie w Piekarach po odbytej ceremonji przed cudownym obrazem, na widok tych popisów siły pańskiej, źle jakoś wróżyć się zdającej przyszłości Rzeczypospolitej, ozwał się zniechęcenia ponoszący ksiądz biskup kujawski, iż jednego młodego chłopaka znal, który niemał tak samo mógł dokazywać. Piękno to króla jegomości, zarumienił się, acz tego po sobie nie dał znać, zwłaszcza że to były dopiero poczatki jego w Polsce — rzekł tylko, iż ciekawy był widzieć współzawodnika w sile, bo go jako żywo nigdy w życiu nie spotkał. Obiecał ksiądz kujawski ubogiego onego szlachetkę, pochodzącego bodaj z wielkiej a niegdyś bardzo zamożnej rodziny Zaklików, królowi, gdy przybędą do Krakowa, po koronacji przedstawić. Ale rzecz, przy tulu innych ważniejszych poszła w zapomnienie i biskup-by jej nie wznał, postrzegłszy się, iż niezręcznie z tą paralełą wystąpił, gdyby sam król nie naparł się i nie przypomniał, a nie wymagał natarczywie, aby mu owego pana Rajmunda Zaklikę koniecznie na oczy pokazano.

Chłopak tylko co był szkoły jako tako u jezuitów dokończył, wałęsał się, sam nie wiedząc, co począć z sobą. Do wojskaby był rad szedł, ale pocztu sobie za co kupić nie miał, a inaczej staremu szlachcicowi nie wypadało. Po długich więc poszukiwaniach w mieście udało się Zaklikę odkopać gdzieś poniewoli pasującego się z piorem przy kancelarii. Gdy przyszło go stawić przed królem jegomością, nie było ani przyodziewku dostatecznego, ani szabelki, ani pasika. Biskup go marszałkowi dworu rad nierad musiał kazać oporządzić od stóp do głowy i dopiero sam obejrzał, że mu wstydu nie zrobi, trzymał w pogotowiu. Król najczęściej z ta siłą przy ucztowaniu występował, gdy był dobrej myśli. Znowu tedy dnia jednego dzbany miętosił i podkowy sobie przynosić kazał, które dworscy zawsze na ten eksperyment w pogotowiu trzymali. Siedział biskup cicho, aż król do niego znowu: „a gdzież wasz siłacz, mój ojcze?” Począł nalegać: sprowadzono Zaklikę.

Chłopak był wyrosły jak dębczak, smukły, rumiany, hozy, skromny jak dziewczyna i nie wydawał się wcale takim Herkulesem. August, spojrzałszy nań, począł się uśmiechać. Że był szlachcic, przypuszczono go do ucałowania ręki pańskiej. Rozmówić się z nim inaczej jak po łacinie było trudno, bo po niemiecku ani po francusku słowa jeszcze wówczas nie rozumiał. Szczęściem tu słów nie było potrzeba. Stały dwa puhary srebrne jednakowiusieńkie przed królem; wziął August jeden w szeroką dłoń, palcami objął, pocisnął i jak liść zgiął i zdusił. Było na dnie wino: trysnęło wierzchem.

Szydersko się uśmiechając, podsunął sam drugi Zaklice i rzekł: — Probuj, jeśli puhar zgnieciesz, twój będzie.

Nieśmiało zbliżył się chłopak do pańskiego stołu, garść nastawił i objął blachę twardą; chwilkę się niby ważyło, co będzie, krew mu uderzyła do głowy... i puhar poszedł w kawałki. Na twarzy królewskiej odmalowało się niezmiernie zdumienie, ale żywstsze jeszcze nieukontentowanie, które i we wzroku na biskupa rzuconym znać było. Panowie przytomni jeśli dowodzić, że puhar z cieńszej był blachy, albo nadkruszonny...

Wziął król podkowy łamać jak obwarzanki, kazano Zaklice i kruszył je leciuchno, nie wysilając się. Dobył August talara bitego, zmocował we dwóch rękach i złamał tuż. Dano Zaklice bodaj grubszego hiszpańskiego, trochę się chłopak namyślał; ale już się tcz i rozpalił, a to mu sił do dało: przepołowil i talara.

Chmura popłynęła któlowi po czole i markotny się stał dwór pański, że do takich nieprzyzwoitych zapasów przyszło. Kazał król Zaklikę nagrodzić, oba puhary mu darowały; a potem namyśliwszy się, powiedział, żeby go do dworu wzięto. Dano mu jakiś urzędzik przy dworze, ale nazajutrz na ucho szepnął ochmistrz, by się nigdy nie ważył z siłą popisywać, ni chwalić, aby z nim nie było źle, bo to rzecz zakazana.

Uwiśł tak przy drodze ów niebożątko Zaklika; dano mu kilkaset talarów pensji, barwę co się zowie wspaniałą, żadnej roboty, wiele swobody, ale za królem, gdzie się on ruszył, jeździć musiał. A że to było, jak mówi przysłowie, pokorne ciełę, dobrze mu było. Król wprawdzie słowa doń nie przemówił, ale o nim pamiętał, pytał i nakazywał, by mu na niczem nie zbywało. Swobody miał chłopiec dosyć, a że wśród tego szwargotu niemieckiego wciąż musiał siedzieć lub francuszczyzny słuchać, jał się obojga języków uczyć быстро i we

dwa lata już niemi dobrze w gębie obracał. Ano z tego próżnowania i że żyć z szołdrami lubił, bo tak ich zwał, *salva reverentia* dla któla jegomości, gdy pora była potemu, około Drezna pieszo schodził wszystkie wioski i laski. Natura była ciekawa, drapał się i po górzach na drugim brzegu Elby tak urwistych, że z nich spojrzał... *abyssus vocat*. Nigdy jednak szwanku nie poniósł.

W jednejto z tych przechadzek trafił Rajmuś Zaklika do Laubegastu i znalazłszy pod bezpańską lipą chłodek, rozłożył się tam obozem na swoje nieszczęście... właśnie o tej godzinie wyszła Anna hrabina Hoym na swą samotną przechadzkę. Gdy ją chłopak ujrzał, od razu zamarł z admiracji; tchumu w piersi zabrakło. Oczy tarł, myśląc, że mu się śni i że taka istota chyba istnieć nie może. Siedział w miejscu biedaczysko do nocy, patrząc, a patrząc... i napatrzyć się nie mogąc. Zdawało mu się, że się oczyma napasie dosyta, a im dłużej patrzył, tem więcej widzieć pragnął. Zrodziła się w duszy tęsknota... czy ształ, dosyć, że do Laubegastu jak opętany latać zaczął, w głowie mu się wszystko przewróciło.

A że się nikomu nie zwierzał, nie było mu też komu poradzić, iż na taką chorobę jedno jest tylko lekarstwo; w ogień samemu nie iść, ale z ognia uciekać.

Tak się chłopczysko rozmiłowało, że wychudło i zgłębiało. Kobiety, służące u dworu u pani Hoymowej, które wyszpiegowały go a domyśliły się pewno, co mu jest, jęły w śmiechy z niego, powiedziały o tem i pani. Śmiała się i ona i zobaczyła go niewidziana, a może się jej go i żal zrobilo, ale kazała do siebie przywołać i surowo go zgromiła, że się niepotrzebnie włóczył, a zakazała, aby więcej nogą około dworu nie postał.

Ze przy tej rozmowie nikogo nie było, a chłopca głupota jego znać ośmiała, odpowiedział na to, że przecież patrząc, nie grzeszy i że oprócz widzenia pani nic nie żąda, a dodał, iż choćby go tam i ukamienować miano, musi przyjść, gdyż mu srodze teskno.

Nagniewała się, tupiąc nóżką, pani Hoymowa, grożąc, iż go mężowi przeskarży, a nic go to nie nastraszyło. Potem się kilka tygodni z tej strony, z której ją widzieć mógł, nie pokazywała. Chodziła od Elby, póki raz nie postrzegła, że Zaklika poszyję w wodę się schowawszy, mimo zimnej rzeki, stał tak ukryty, aby tylko ją zobaczył. Rozgniewała się tedy strasznie i poczęła wołać na ludzi, aż Rajmuś nurka dał i zniknął. O mało naówczas nie utonął, bo go kurcze porwały i odzież mu namokła ciężyła, ale się wyratował. I jakoś go nie było widać,ano nieprawda, bo sobie inną obrawszy kryjówkę, oczy trucizną tej piękności pasł i pasł. Już czy jejmość o tem wiedziała czy nie, nie było słychu, a nie mówiono więcej o Zaklicie. Że zaś we dworze mało się o niego troszczono i król byłby może nawet rad, żeby gdzie karku nadkręcił, nikt o chłopcu nie słyszał. Robił i chodził, jak chciał.

Raz tylko zzewzano go do dworu, bo król dużemu koniowi z wielkiego gniewu, w jaki wpadł, głowę jednym cięciem odrąbał. Chciał tedy okazać August Mocny, iż tego nawet ów sławny Zaklika nie dokąże. Przyprowadzono szkapę starą z pod dragona, twardokośistą. Dawano pocichu do zrozumienia Zaklicę zawczasu, aby, jeśli mu łaska pańska miła, koniowi dał pokój, lub nie tak bardzo się zamachiwał. Temu było już wszystko jedno, a gdy raz na siłę szło i pot poczuł — jak to mówiono — nikt go nie pohamował. Wobec tedy króla,

prów i wielkiej ciżby osób, poprobowawszy tylko żelaza i dobrawszy klingi, koniowi łeb zwalił jak brzytwą... Mówli, że go potem tydzień ręka bolała w ramieniu — ale nic — król słowa nie rzekłszy, ramionami ruszył tylko i zapito konfuzję. Na Zaklikę nikt i nie spojrzał już, a dworscy służby, których miał przyjaźniejszych, szeptali mu, że mógłby się wynosić gdzie cichaczem, bo go przy lada małem czem spotka ciupa na Koenigsteinie.

Rajmuś ramionami ruszył a wcale się tego nie zlał... Królewskiego tyle było zwycięstwa, że koniecznie chciał go jeszcze próbować, wiele wina strzyna; ten zaś czystą wodę tylko pijał, czasem szklankę piwa, wina kieliszeczek — dalej nie mogąc. Więc próżne było przykazywanie królewskie, pij a pij. Gwałtem prawie wleli mu puhar węgrzyna, od którego jak padł, tydzień odchorował, i o mało go z tego świata nie wzięła gorączka. Ano potem do siebie przyszedł i bodaj do ogromniejszej jeszcze siły, na którą się z nim nikt próbować już nie śmiał.

I znowu chodził na wyglądanie owo dziecinne pod ogród w Laubegaście. A miłość ta uczyniła go innym człowiekiem: spoważniał bardzo, uczyć się począł i powierzchownie nawet odmienił... Anna, hrabina Hoymowa, która o wszystkim mówiła mężowi i jego siostrze, o nim nigdy nie wspominała, zdając się go już nie widzieć, ani wiedzieć o nim...

W Laubegaście kończył się dzień zawczasu, z mrokiem zamykano bramy i drzwi na klucze dragi, jak było we zwyczaju naówczas; psy spuszczano na podwórza z łańcuchów, służby szli z kurami spać, a pani choćby dłużej przy świetle czas nudny spędziła nad książką, nikt o tem nie wiedział...

Tej nocy właśnie gdy rozpustowano na zamku, a w odkrytych polach jesienny wiatr buiął, w Laubegast tak go słychać było, łamiącego drzew gałęzie i miotającego lipami, iż o śnie ani było myśleć.

Piękna Anna rozebrawszy się, czytała bibliję, bo to było jej czytanie najulubieńsze, zwłaszcza Apokalipsa i listy świętego Pawła... Toż myślała a rozmyślała nad niemi, często płacząc nawet.

Było już późno w noc i druga świeca jarząca dopalała się w jej pokoju, gdy tężent dał się słyszeć za domem, a potem jakby ktoś bramą żelazną targał, i psy ujadać zaczęły tak straszliwie, iż nie-uleknionego ducha pani poczuła się strwożona. Rzadkie były już wówczas napaści na dwory, zwłaszcza pod stolicą, ale się przecie trafiali. Rozpuszczone żołdactwo, połapani gwałtem żołnierze, którzy później zbiegali i po górach się kryli, tuając, dopuszczali się czasem gwałtów, choć je szyja później płacić im przyszło, gdy na nich obawy zwołano.

Poczęła więc dzwonić Anna i cały dwór się pobudził, ale mimo to, brama nie przestała dźwięczeć ani psy ujadać... Poszli tedy ludzie z bronią w dziedziniec i dopiero zobaczyli, że tam się ze dworu królewskiego posłaniec miotał a krzyczał i tuż za nim sześciokonny powóz stał z lokajami i służką. Psy wzięto na łańcuchy, wrota otwarto, posłaniec list oddał...

Gdy go jej przyniesiono wśród nocy, sądziła zrazu, iż coś złego stać się musiało: pobladła nieco... poznawszy jednak rękę męża, choć zmienioną, na liście uspokoilią się. Przyszedł jej tylko na myśl los kanclerza Beichlinga, który nagle ze szczytu łaaski poszedł jednej nocy do Koenigsteina i zabrano mu wszystko, co miał. Sam Hoym nieraz pocichu spowiadał się jej z tego, iż królowi nie wierzy i nie

będzie się nigdy czuł bezpiecznym, dopóki majątku i głowy za granicę nie wyniesie.

Dowiedzioną to było rzeczą, iż król, gdy najczulszym się okazywał, najwięcej się go obawiać było potrzeba, uśpić bowiem pragnął, nim ofiarę swą stracił ze szczytu i lubował się, patrząc na tragiczną fortuny zmianę. Myślała więc Anna, azali los kanclerza nie spotkał jej męża, którego kraj cały nienawidził za wprowadzenie akcyzy, i nieprzyjaciele nań szczuli ze wszech stron.

Zdziwiła się niezmiernie, postrzeglszy na bilecie męża, ręką acz widocznie zmienioną i pośpieszną kreślonym, rozkaz, aby natychmiast przybyła... posłanym po nią powozem. Ani się było podobna opierać dla oczu ludzkich... a i ciekawość też wiodła... Kazała więc sługom czynić natychmiast przygotowania do podróży... i nie upłynęła godzina, gdy już w powozie siedziała i wrota cichego dworu w Laubegast nazawsze się za nią zamknęły...

Myśli dziwne w drodze ją opanowały... Czuła się przejętą jakimś strachem i smutną tak, że się jej na łzy zbierało. Nie wiedziała, co jej groziło i czy jej co zagrażało, trwożyła się wszakże. O powrocie króla i dworu, po kilkoletniej niebytności, wiedziano wszędzie. Z niemi razem powracały do Drezna intrypy, podstępy, wyścigi o łaski i znaczenie, w których się różnemi środkami posługiwano. Działy się tam rzeczy napozór lekkie i wesołe a w istocie tragiczne...

W chwili gdy ofiary z jękiem padały w lochy i ciemne przepaści, balowa muzyka przygrywała weselu tych, co zwyciężyli... Nieraz zdala patrzała Anna na siną górę Koenigsteinu, pełną tajemnic i ofiar...

Noc była ciemna bardzo, lecz powóz poprzedzały pochodnie dworskie i konie pędziły... ani opa-

trzono się, jak stanęła kareta na bruku i domu przy Piernajskiej ulicy. To też choć ministra oczekiwano, ludzie się pospali i nierychło się ich było można dobudzić. W domu tym, w którym Hoym zajmował pierwsze piętro, pokójów nawet swoich Anna nie miała. Były tylko dla przyjęcia klientów naznaczone i sypialnia pańska, która wstręt wzbudzała w Annie... Zresztą kancelarie i całe izby papierów... Gabinet ministra przytykał do ogromnej sali, ozdobnej wprawdzie, ale ciemnej, ponurej i smutnej. Nie zastawszy męża w domu, tem więcej się zdziwiła hrabina Anna; ale słudzy ją pewnieli, iż to była noc królewska, i że przy tej zabawie zwykle przeciagał się pobyt zamku do dnia białego i dłużej, niekiedy dni i nocy parę. Zmuszona szukać przytulku i odpoczynku, hrabina musiała dziś po raz pierwszy w tym domu męża, w którym nigdy prawie nie bywała, znaleźć sobie jakiś kątek. Obrała gabinet z drugiej strony kancelarji ministra położony, oddzielony od innych pokojów i tu sobie prawdziwie łóżeczko obozowe ukłać kazawszy, zaryglowawszy się ze slugą, próbowała usnąć nieco. Ale sen nie spłynął na powieki znużone, drzemała tylko chorobliwie, budząc się i zrywając za najmniejszym szelestem...

Dzień już był biały, gdy usnawszy głęboko na chwilę, przebudziła się, słysząc w gabinecie otwierające się drzwi i stąpanie. Sądziła zrazu, iż to był chód męża i w cichociści co najpędzej poczęła się z pomocą slugi ubierać...

Ubiór to był poranny, zaniedbany, który jej wdzięku dodawał. Znużenie podróżą, niepokój, gorączka, podniósły królewski wdzięk i blask urody zachwycającej. Z niecierpliwością odryglowała drzwi, które ją dzieliły od gabinetu, otwarła je, i stanęła w progu.

Naprzeciw niej, zamiast męża, stał człowiek zupełnie jej nieznajomy, którego postawa i twarz wielkie na niej uczyniły wrażenie.

Był to mężczyzna w czarnej, długiej sukni protestanckiego duchownego, niemłody, z głową wy pełzłą i błyszczącą, około której nieco siwych włosów rozwianych jakby aureolę wiązało. Zżółkła skóra przylegała do kości jego czoła, tak, iż żyły rysowały się wszędzie wypukło... Siwe oczy głęboko wpadłe, usta uśmiechnięte goryczą, spokojna pogarda świata, pogoda i powaga przytem, nadawały tej twarzy ani pięknej zresztą, ani znaczącej, coś tak wybitnego i zajmującego oczy zdumione, iż mimowoli oderwać ich od niej nie było można.

Patrzyła na niego Anna, ale i on jakby zjawiskiem tej kobiety przerażony, stał nieruchomo z wlepionem w nią oczyma, w których mimowolne malowało się uwielbienie dla cudownego boskiego tworu, podobnego aniołom...

Stał i usta mu drżały i ręce się podniosły napół zdumieniem, napół jakimś ruchem niezrozumiałym, który i odpychać mógł i błogosławić...

Dwie te istoty, zupełnie sobie nieznane, badały się tak chwilę oczyma... Duchowny cofał się zwolna... Anna oglądała się, szukając oczyma męża... Już miała nazad wstąpić za próg gabinetu, gdy duchowny, spojrzawszy na nią wzrokiem litości pełnym, zapytał:

— Kto ty jesteś?

### III

— Jabym to przedzej was mogła spytać, kto wy jesteście i co tu w domu moim robicie?

— W domu waszym? — powtórzył zdumiony duchowny — jakto? więc żoną jesteście pana ministra?

Anna głową dumnie dała znak potwierdzający Duchowny spojrzał na nią wzrokiem pełnym najwyrazistszej litości, patrzył długo i dwie łzy zakręciły mu się pod zmarszczonemi powieki: złożył ręce jakby z rozpacz i zwątpienia.

Anna poglądała nań z ciekawością. Niepozorna ta postać zszarzana, zmęczona, życiem złamana, zdawała się ożywiać, wyszlachetniać, uczuciem jakiemś wielkiem wyrastać, stała się poważną i majestatyczną. Dumna pani czuła się przy niej oniesmieloną, małą, zdziecinniałą, niemal pokorną. Milczący starzec promieniał jakiemś natchnieniem wewnętrznem. Nagle oprzytomniał, obejrzał się strwożony i krok postąpił naprzód...

— Dlaczego ty, która Wszechmogący stworzył dla chwały swej, jako pięknej cnoty naczynie, ty pełna blasku istoto, podobna aniołom, nie otrząśniesz pyłu z nóg twoich skalanych dotknięciem nieczystego Babilonu i nie uciekniesz, rozdarłszy szaty białe, z tego ogniska zepsucia i rozpusty? — zawała jakby nagle rozogniony miłosierdziem. — Dlaczego ty tu w tym ogniu trwasz? kto cię weń wrzucił? kto był tym niegodziwym, co tak piękne dziecię boże cisnął w ten świat plugawy?! Czemu nie uciekasz? dlaczego stoisz niesatrwożona a może niewiedząca o niebezpieczeństwie? dawno tu jesteś?

Anna zrazu osłupiała, słuchając, lecz głos starego takie na niej czynił wrażenie, iż uczuła się może pierwszy raz w życiu podbitą i oniesmieloną. Oburzał ją ten ton duchownego, a nie mogła się zań pogniewać. Nim otworzyła usta, on mówił dalej:

-- A wiesz-że ty, gdzie jesteś? a wiesz, że ta ziemia, na której stoisz, chwieje się pod stopami twemi? że te ściany się otwierają na rozkazy, ludzie nikną, gdy są zawadą, że tu życie człowieka nie waży nic... dla kropli rozkoszy?

— Cóż za przestraszające obrazy kreślisz, mój ojciec — odezwała się wreszcie Hoymowa — i dla czego mnie niemi chcesz zatrwożyć?

— Bo z czystego czoła i oczy twoich, dziecko moje — rzekł duchowny — widzę, żeś bezpieczna, niewinna i nieświadoma tego, co cię otacza: tyś chyba tu niedawno?

— Od kilku godzin — uśmiechając się, odpowiadła Hoymowa...

— I nie tu przeżyłaś dzieciństwo i młodość twoją, bojęs tak nie wyglądała — uśmiechnął się bolesnie stary — nieprawdaż?

— Dzieciństwo spędziłam w Holsztynie... od lat kilku jestem żoną Hoyma, ale mnie trzymał odosobnioną na wsi... ledwie zdala widziała Drezno...

— A nic chyba nie słyszała o niem... — dodał stary i wstrząsnął się. — Wszystko, co mi mówisz, przeczytałem na czole twem, w wejrzeniu — rzekł szeptem. — Bóg mi czasem daje za'rzyć głęboko w duszę ludzką... Niezmierną litością zostałem zdobyty, widząc cię, piękną pani; zdało mi się, że po 'rzę na litę białą, rozkwitła w ustroniu, którą stado rozhukanego bydła ma podeptać. Było ci kwiuniąć, gdzieś wzrosła, i wonieć pustyni a Bogu...

Zamyślił się głęboko. Anna postąpiła, przejęta, kilka kroków ku niemu... w jej oczach i postawie widać było wzruszenie.

— Ojciec mój — rzekła — ty który jesteś?

Stary zdawał się nie słyszeć, tak się zadumał głęboko. Powtórzyła pytanie.

— Kto ja jestem? — rzekł — kto ja jestem? nędzna istota grzeszna i wzgardzona, na którą nikt nie patrzy, lub się z niej wszyscy śmieją. Jam głos wołajęcego na puszczy... jam ten, który przepowiadam upadek, zniszczenie, dni pokuty i niedoli... Kto ja jestem? — naczynie w ręku bożym, przez

które czasem przechodzi głos z góry potężny, aby go ludzie nie słyszeli lub ośmiali. Jam ten, za którego czarną suknią biegają ulicznicy, rzucając na nią blot m., ten którego poroctw nikt nie słucha... nędzdarz wśród bogaczów... ale praw i czysty przed Panem... ale spokojny wśród szalów, z modlitwą na ustach wśród rozpusty.

I zamilkł, ostatnie słowa wymówiwszy głosem gasnącym... Spuścił głowę.

— Dziwne urządzenie — odezwała się Anna, nie odstępując od niego — po kilku latach spokoju na wsi, w ciągu których mnie szmer ledwie od stolicy dochodził, przybywam nagle powołana przez męża i w progu spotykam was jakby przestrogi i oznajmienie... Nie jestże to palec boży?

Wstrząsnęła się i dreszcz przebiegł ją całą.

— Zaprawdę dziwne! — powtórzyła.

— Opatrzne... — rzekł stary — a biada tym, co litościwej bożej nie słuchają przestrogi... Chcesz wiedzieć, kto ja jestem? nikt! ubogi od kościoła kaznodzieja, który coś zgrzeszył na kazalnicy i którego pomsta panów ziemskich ściga... Zowię się Schramm... Hrabia Hoym znał mnie niegdyś w dzieciństwie, przybyłem go prosić o przemówienie za mną. Grożą mi. I oto jak się tu dziś znalazłem... Ale kto was tu sprowadził? kto wam tu przybyć dozwoili?

— Własny mąż! — rzekła Anna...

— Proś go, niech cię uwolni — szepnął, oglądając się trwoźliwie duchowny. — Widziałem piękności tego dworu, bo je tu ludowi na ulicach pokazują jak lalki... tyś nad nie wszystkie pękniesza stokroć... Więc biada ci, jeśli tu pozostaniesz... okolą cię siecią intryg, osnują jadowitemi pajęczynami, uśpią, upoją... zawróczą głowę melodyą piesni, ukołyszą serce bajaniem... zludzą oczy bezwsty-

dem... oswoją ze sromotą, aż jednego dnia, spójona, znużona, osłabła... polecisz w przepaść...

— Nie — zawała — nie jestem tak słaba, jak sądzicie, ani tak spragnioną życia... Nie, świat ten mi się nie uśmiecha, patrzę nań zgóry... niżej on ode mnie...

— Aleś go oczyma duszy tylko i przeczuć wiadziała — odparł Schramm — nie wierz sobie, uciekaj z tego piekła... Królewskie w nim posęgi popadły się na węgiel i obrukały sadzami... Idź stąd... idź, idź; szkoda ciebie i białej niewinnej duszy twojej...

To mówiąc, ręce wyciągał, jakby ją chciał wygnac i przyśpieszyć odejście; ale Anna stała niezatrwożona, szyderski razem i litości pełen uśmiech błakał się po jej ustach.

— A gdzież ucieknę? — zawała. — Los mój połączony jest z losem tezo człowieka... oderwać go odeń nie w mocy mojej... Ja wierzę w przeznaczenie, stanie się, co mi wyznaczono... tylko nie śpiącą i nie pijaną owładną mną, nie osłabłą i zwyciężoną, ale chyba im panować będę...

Schramm strwożony spojrzał, stała pełna dumy i siły, uśmiechnięta szydersko i królująca...

W tej chwili otwarły się drzwi i hrabia Adolf Magnus Hoym wszedł zmieszany, powoli, w progu wahając się jeszcze, do własnego gabinetu.

Za stołem wśród świetnego towarzystwa wczo-rajszego niekorzystnie się już wydawał; dziś po dniu, po nocnej gorączce i zmęczeniu wyglądał gorzej jeszcze... Mężczyzna był ogromnego wzrostu, barczysty, silny a niezgrabny. Nic szlachetnego nie zadawało mu wdzięku, twarz pospolita podznaczała się tylko błyskawicznymi zmianami konwulsyjnie po niej przebiegających wyrazów z sobą najsprzeczniejszych. Oczy szare to ginęły w powiekach, to wyskakiwały, ogniem tryskające, usta

śmiały się i krzywiły, czoło marszczyło i wypogadzało, jakby potajemna władza targająca we wnętrzu sznurami, które całą postać zmieniły... I w tej chwili, ujrzał żonę, zdawał się być pod wrażeniem najsprzecniejszych jakichś uczuć. Usmiechnął się jej i w chwilę, jakby gniewem chciał buchnąć, naszołył się... ale się zwyciężył i zawahał, wsunął żywo do gabinetu.

Na widok Schramma ściągnęły mu się brwi gwałtownie i złość wystąpiła na twarz...

Szaleńcze, fanałyku, komedjancie przebrzydły — zawałał nie witając się nawet z żoną — znowuś nabrzi, znowu do mnie przychodzisz, abym cię wyciągnął z topieli? Ha? nieprawda? Wiem wszyskiego, pójdziesz precz od kościoła... na wieś, tam, na pustynie, do prostaczków... w góry...

Wskazał ręką.

— Ja ani chcę, ani myślę cię bronić! — dodał, zapalając się — podziękuj Bogu, jeśli cię dwóch dragonów odprowadzi gd. ie do kąta, bo tuby cię dalej co gorszego spodkać jeszcze mogło... Ha! myślicie! — ciągnął dalej, zapalając się minister, który przystąpił do Schramma tuż, jakby go już sam miał porwać za kolnierz — myślicie, że tu, na dworze wolno wszyskiego, i że to, co wy nazywacie słowem bożein, nieocukrowane, możecie podawać ustom do śiodyczy nawykłym? że wy tu możecie grać rolę natchnionych apostołów nawracających pogán?... Schramm... mówiłem ci sto razy, ja ciebie nie ocalę... gubisz się sam...

Duchowny niezachwiany bynajmniej, spokojny, stał, patrząc ministrowi w oczy.

— Ale ja jestem kapłanem bożym — rzekł — jam poprzysiędął dawać świadectwo prawdzie, a każą mi być męczennikiem dla niej... niech się stanie...

— Męczennikiem! — rozśmiała się Hoym — tuby

było zawiele szczęścia; dadzą ci pięścią w plecy i, oplwawszy, wyświeca.

— Więc pójdę—odezwał się Schramm—ale dopóki tu jest, ust nie zamknę...

— I kazać będziesz głuchym!.. — szydersko dodał minister, ruszając ramiona. — No, dosyć tego, rób, co chcesz... ratować cię nie mogę i nie myśl; tu dobrze, gdy każdy ocali siebie... Jam ci to przepowiadał, Schramm... milczeć trzeba umieć, umieć pochlebiać lub ginać podeptanym... Cóż chcesz, przyszły takie czasy: Sodoma i Gomora... Bywaj mi zdrów, bo czasu nie mam.

W milczeniu poklonił się Schramm, popatrzał na żonę Hoyma z politowaniem, na niego z milczącym zdziwieniem i skierował się ku drzwiom. Hoym od żony, na którą także był spojrzał, oderwał wzrok ku niemu...

— Żał mi cię—burknął krótko—idź, zrobię, co mogę, ale zatop się w biblii i trzymaj język za zębami; ostatni raz ci to radzę...

Schramm prawie nie słuchając wyszedł... małżonkowie zostali z sobą sam na sam...

Hoym nawet nie przywitał się z Anną, oddawała źle z sobą byli; widocznie nie wiedział, od czego począć rozmowę... zakłopotany stał i zły... Chwycił rękoma dwa końce peruki swej i targnął...

— Pocóżesz, hrabio, kazał mi tu przybyć tak nagle?—zapytała Anna z wymówką i dumą.

— Poco?—podnosząc oczy zwołał Hoym, poczynając wzduż i wszerz biegać po gabinecie jak opętany—poco? bom był szalony! bo mnie ci niegodziwcy spoli, bo nie wiedziałem, com robili bom głupi, bom warjal! Tak! warjal!—powtórzył.

— Więc mogę powrócić?... — spytała Anna.

— Z piekła się nie powraca! — zaśmiał się Hoym— a waćpani z łaski mojej w piekle jesteś: to istne piekło!

Rozerwał na piersiach kamizelkę, jakby go dusiła, i padł na krzesło...

— Al tak! istotnie oszaleć przyjdzie — mruknął — lecz z królem niema wojny...

— Jakto? król?

— Króll Fürstemberg! wszyscy! wszyscy! nawet Vitzthum, kto wie, własna może siostra... spiknięci na mnie. Dowiedzieli się, żeś ty piękna, żem ja głupi, i kazali mi panią pokazać!

— Któz im o mnie powiedział? — zapytała ciągle spokojna Hoymowa.

Minister nie mógł się przyznać przed nia, iż sam popełnił tę winę, za którą przychodziła pokuta; zgrzytnął zębami, tupnął nogami i zerwał się z krzeselka... Złość jego ustąpiła nagle wcale odmiennemu sposobieniu, pobladł, stał się zimnym i szyderskim.

— Dosyć tego — rzekł cicho, zniżając głos — mówmy rozsądnie. Co się stało, tego naprawić nie potrafię... Wezwalem panią, bom musiał ją tu ściągnąć; król chciał, a Jowisz piorunuje tych, co mu się śmiają sprzeciwiać... Dla jego zabawki musi służyć wszystko... królewskimi stopy depcze skarby cudze i rzuca je w śmieci... Na to niema ratunku, jak na śmierć...

Zniżył głos i umilkł, jakby słuchał, czy się ktoś odezvie.

I poczaj znowu zwolna chodzić po pokoju.

— Założylem się z księciem Fürstembergiem, że pani jesteś najpiękniejszą kobietą ze wszystkich tych, które tu z profesji pięknych role grają. Nieprawdaż, żem był głupi? Pozwalam byś mi to pani powiedziała... Najjaśniejszy nasz pan ma być zakładu naszego sędzią... i wygram tysiąc dukatów...

Anna zmarszczyła brew, odskoczyła z najwyższą wzgardą, odwracając się od niego.

— Nikczemny waépan jesteś, paniie hrabio —

krzyknęła w gniewie.—Jakto? wy! wy, coście mnie jak niewolnicę trzymali zamkniętą, skąpiąc mi powietrza i światła, wyprowadzacie innie teraz jak komendjantkę na scenę, abym wam wygrywała zakłady blaskiem oczu i uśmiechami? To najwyższa podłość!

— Nie szczędź pani wyrazów, mów, co chcesz— rzekł Hoym z bolescią — wart jestem, zasłużyłem... Wszystkiego za mało na potępienie mniel Mialen najpiękniejszą istotę w świecie, która kwitła i uśmiechała się dla mnie samego tylko, byłem dumny i szczęśliwy... szatan mi kazał w kielichu wina rozum utopić...

Załamał ręce: Anna zamilkła i patrzyła.

— Ja jadę do domu — rzekła — ja tu nie pozostań, wstydziłabym się sama siebie... Konil powóz.

Rzuciła się ku drzwiom: Hoym stał uśmiechając się gorzko...

— Konil powozu! — powtórzył — ale waćpani nie wiesz chyba, gdzie jesteś i co cię ołacza? Jesłeś niewolnicą, nie możesz stąpić kroku; nie ręczę, żeby straż nie stała u drzwi domu. Gdybyś ośmieniła się wymknąć, dragoni pójdą złapnąć cię i odprowadzić... nikt nie odważy się wieźć... nikt nie uzuchwali ratować... Waćpani nie wiesz, gdzie jesteś?

Hrabina załamała ręce z rozpaczą, Hoym patrzał na nią z jakimś uczuciem niewysłowionej zazdrości, żalu, bólu, szyderstwa i niepokoju.

— Nie — rzekł, dotykając zlekka jej ręki — posłuchaj mnie pani; nie jest jeszcze może tak źle, jak ja mówią, jak przeczuwam; mówmy z flegmą i rozsądnie... Giną tu ci, co chcą być zgubieni... Pani możesz nie być piękną, gdy zapragniesz, możesz się stać odstręczającą, surową, straszną... możesz dla ocalenia mnie i siebie... przybrać postawę odrzucającą...

Tu zniżył głos...

— Znasz pan! historię naszego najmiłościwszego pana a króla Augusta? — zapytał się z dziwnym uśmiechem. — Pan to wspaniały, hojny... sypiący złotem, które moja akcyza ze spiesniającego chleba ubogich wyciska... Niema drugiego tak wspaniałomyśnego monarchę... niema, któryby potrzebował bawić się drożej, nieustannie i dziwaczniej. Łamie podkowy i kobiety, i rzuca je na ziemię; kanclerzy, których ściskał wzoraj, zamyska na Koenigsteinie... Dobry i łaskawy pan, uśmiecha ci się do ostatniej godziny, aby rusztowanie osłodził... Serce ma najbliższe, tylko mu się sprzeciwiać nie trzeba...

Mówił coraz ciszej, a trwożliwemi oczyma biegałokoła...

— Znasz pan! historię jego! ah! ciekawa bardzo — szeptał dalej — lubi kobiety coraz świeże... coraz świeże, jak smok ów w baſce, żyje dziewczynami, które mu przerażeni mieszkańców do jego jaskini wiodą... a on je pozera... Ktoż jego ofiary policzy? Waćpani może słyszała ich imiona... ale obok znajomych, trzykroć tyle zapomnianych... Król ma dziwne smaki i upodobania: kocha się dwa dni w ałasach, a gdy mu się one znudzą, gołów na łachmany polować... Ludzie wiedzą o trzech królowych z lewej ręki, jakbym ich naliczył dwadzieścia... Königsmarck jest jeszcze piękna, Spiegel nie jest wcale stara, księżna Teschen w łaskach... ale już wszystkie go znudziły. Szuka, kogody pożar! Dobry pan! łaskawy pan! — dodał śmiejąc się — wszakże zabawić się musi, wszak dla tego na świat przyszedł, aby mu służyło wszystko; piękny jak Apollo, silny jak Herkules, lubieżny jak Sator... a straszny jak Jupiter...

— Dlaczegoż mi to waćpan rozpowiadasz? — wybuchnęła oburzona Anna — maszże mnie za tak nisko upadłą, bym na skinienie pańskie dała się

sprowadzić z drogi honoru! Waćpan mnie nie znał! to obiegał.

Hoym patrzał z politowaniem na nią.

— Znam moją Annę — rzekł z uśmiechem — lecz znam dwór, pana, ludzi, co nas otaczają, i urok, jaki ich otacza. Gdybyś pani kochała mnie, byłbym spokojnym...

— Alem przysięgała wam, to dosyć — odezwała się z dumą kobieta — nie pozyskałeś serca, ale masz słowo. Słowo jest czemś więcej niż serce, bo serca ja nie jestem panią, a słówu memu jam królową. Takie kobiety, jak ja, nie lamią przysięgi.

— Łamały i takie dla blasku korony — rzekł Hoym — księżna Tereschen jest wielką i dumną panią.

Anna ruszyła ramionami z pogardą.

— Mogę być żoną, nie chcę być kochanką — zawała — sromu na czole nosić nie umiem.

— Srom! — rzekł Hoym — al to piecze tylko chwilę, goi się rana i nie boli, choć piętno zostaje na wieki...

— Waćpan jesteś obrzydliwy — przerwała kobieta z gniewem. — Sprawdzasz mnie tutaj sam... i karnisz takieni groźbam...

Wzruszenie nie dozwoliło jej mówić dłużej. Hoym się zatrzymał z pokorą:

— Daruj mi — odezwał się — głowę stracielem, nie wiem, co czynię i co mówię... to dzikie domyśli i strachy... Jutro jest bal na dworze... Król pan rozkazał ci być na nim, zostaniesz przedstawioną królowej. Mnie się zdaje — zcicha począł spuszczając oczy — waćpani możesz, co zechcesz, nawet nie być piękna... Ja chętnie załączam przegram... Będzie ci łatwo stać się śmieszną... niezgrabną. U króla wiele waży elegancja, dowcip, żywość... cóż łatwiejszego jak okazać się zaniechaną, niezręczną, milczącą, roztargnioną i tępą? Rysy twarzy to nic

jeszcze... Drezno pełne jest pięknych kucharek... August jest wytwornym znawcą, wymaga wiele... Pani mnie rozumiesz?

Anna odwróciła się od niego w milczeniu wzgardliwem, postępując ku oknu.

— Każesz mi więc grać komedję dla ocalenia swojego honoru, postawiwszy go na kartę, o tysiąc dukatów! — zawała z uśmiechem ironicznym — ale ja niecierpię fałszu. Waćpana honorowi nic nie grozi... Anna Konstancja Brockdorf nie jest jedną z tych kobiet, co się na laskę pańską biorą i dają spodlić dla garści brylantów. Nie masz się czego obawiać... bądź spokojnym... Litość mnie bierze nad wami! Ja na tym balu nie będę...

Hoym zamknął i pobiadł.

— Pani na balu tym być myślisz — rzekł głosem stłumionym — tu nie idzie już o żadne dziecięce niebezpieczeństwo, ale o głowę i fortunę, o przyszłość moją... Król kazał...

— A ja nie chcę! — odparła Anna.

— Sprzeciwisz się jemu? — spytał Hoym.

— Dlaczegoż nie? panem jest wszystkiego oprócz domu i rodziny, które do Boga należą... Coż mi uczyni?

— Al wam nic — rzekł niespokojnie minister — nadto dla pięknych pań jest grzeczny; ale ja pójdę na Koenigstein, majątki nasze zabierze fiskus, rozdrapią faworyci... nędza, śmierć.

Zakrył sobie oczy rękoma.

— Wy go nie znacie — szeptał cicho — on się uśmiecha i jaśnieje jak Apollo, ale jak bóg piorunów straszny... Nie przebaczył nigdy nikomu, kto śmiał zwątpić, że jest wszechmocnym. Pani będziesz na tym balu, lub ja zginę...

— A sądzisz pan, hrabio Hoyin — odparła Anna — iż ta groźba waszej zguby jest dla mnie tak straszną?

Ruszyła ramionami i poszła znowu do okna...  
Hoym posunął się za nią, blady.

— Na miłość bożą, o sprzeciwieniu się woli króla mowy być nie może... zaklinam was.

Kończył te słowa, gdy do drzwi zapukano żywio i służący wpadł zatrzymując się w progu. Minister brwi ściągnął i nasrożył się.

— Hrabina Reuss i Vitzthum!

Ściągnawszy usta z gniewu, Hoym pośpieszył do progu; chciał służącego wysłać z odpowiedzią odmowną, gdy poza nim spostrzegł piękną, wypogodzoną, arystokratycznych rysów twarz hrabiny, a poza nią żywio szpiegującego oczy siostry.

Zdawało mu się, że o wczorajszym wypadku i o przybyciu żony jego nikt jeszcze w mieście nie wiedział; odwiedziny dwóch tych pań przekonywały go na nieszczęście, iż popełniony po pijanemu błąd, którego sobie darować nie mógł, już się musiał stać pośmiewiskiem powszechnem. Hrabina Reuss nie byłaby się pewnie inaczej ruszyła, by wdowi dom ministra odwiedzić.

Zmieszany nadwyraz, dał znak służce, który odstąpił, a cała postać majestatyczna hrabiny, która się była wstrzymała w progu, pokazała się w czarnych sukniach koronkami okrytych. Hrabina Reuss biała, świeża, rumiana, form nieco pełnych, ale bardzo wdzięcznych, z uśmiechem łagodnym na różowych usteczkach, nie miała w sobie nic przerażającego; przecież na widok jej blada już twarz Hoyma, zdawała się blednąć jeszcze: zmieszał się, jakby w niej groźbę zobaczył...

Siostra jego, pani Vitzthum, towarzysząca hrabinie Reuss, mogła to łatwo dostrzec w oczach brata. Na obu jednak kobieczych twarzach wykwitły tylko wzamian dwa uprzejme uśmiechy.

— Hoym! doprawdy, mogłabym się gniewać na

ciebie — ozwala się słodkim, wdzięcznym, melodyjnym głosem hrabina Reuss — jakże to być może! Żona Twoja przybywa nam tu do stolicy, a ja nic nie wiedzę... a ja przypadkiem od Hülchen dopiero dowiaduję się o tem.

— Jakto? — krzyknął minister, nie posiadając się ze zniecierpliwienia — i Hülchen już wie o tem?

— Al — zawołała wchodzącą pani Reuss — i ona i cały świat i wszyscy o tem tylko mówią, że nareszcie masz rozum i biednej kobiecie za kratami więdnąć nie dasz.

To mówiąc, posunęła się ku Annie, badając ją oczyma, rozpatrując się w niej, jak znawca pięknych koni patrzałoy na zwierzę na targ wyprowadzone.

— Jak się masz, droga hrabino? — rzekła, wyciągając ku niej obie ręce. — Jakżem rada, że cię tu powitać mogę, gdzie jest właściwe miejsce twoje. Pierwszą się tu zjawiam, ale wierz mi, że nie ciekawość mnie tu sprowadza, tylko chęć usłużenia ci. Jesteś jutro na balu u królowej... pustelnico moja śliczna... przybywasz dzisiaj, nie znasz Drezna... każde mi z tobą pomóc. Ja i Vitzthum niepokoityśmy się zawsze o ciebie... Biedna ty nasza strwożona ptaszynko...

W czasie tego przemówienia, ta, którą hrabina Reuss nazwała spłoszoną ptaszką, stała tak dumna i jasne, aca silą, wcale niezatrwozona, jakby tu panowała oddawna.

— Dziękuję wam pięknie — odezwała się spokojnie — właśnie mąż mi powiedział, że mam być na balu. Lecz jestże to koniecznością, czy nie mam prawa zachorować choćby ze strachu, że mnie tak nadzwyczajne szczęście spotyka!

— Nie życzyłabyś ci tego pretekstu używać — odpowiedziała hrabina Reuss, którą Hoym ze swojego gabinetu, podawszy jej rękę, przeprowadzał

właśnie do ponurej sali audiencyjonalnej — nikt nie uwierzy w chorobę, popatrzywszy na ciebie, co wyglądasz jak Juno pełna blasku, zdrowia i siły; nikt nie da wiary przestrachowi, boś nieulęknoniona.

Vitzthumowa wzięła pod rękę Annę i, korzystając z tego, że ją brat wyprzedzał nieco, szepnęła ucho:

— Kochana Anno! nie masz się zaprawdę ani czego trwożyć, ani wymawiać: raz przecie wyjdzieś z tej niewoli, którą dla ciebie opłakiwałam. Zobaczysz dwór, króla... świetność naszą, której równej niema w Europie. Ja ci pierwsza winszuję. Jestem przekonaną, że los najszczęśliwszy cię czeka...

— Jam tak do mojego więzienia i ciszy nawykła — cicho rzekła Anna — iż mi już nad nie nic więcej nie było potrzeba.

— Hoym mój — dodała Vitzthumowa — spali się zazdrość!

I śmiać się poczęła do rozpuku.

Trzy panie, którym towarzyszył pomieszany minister, stały wśród sali jeszcze, gdy służący odwołał Hoyma, za którym się drzwi gabinetu zamknęły. Hrabina Reuss pierwsza usiadła, pochylając się ku pięknej gospodynii.

— Droga moja — szepnęła — bardzom rada, że pierwsza cię witam rozpoczynając życie nowe. Wierz mi, mogę ci się przydać na co... Hoym niechętny podstawił ci pod nogi podnóżek, po którym wyjść możesz wysoko... Jak anioł jesteś piękna!

Anna zmilczała chwilkę.

— Sądząc, żem ambitną, mylisz się, kochana rabino — odezwała się zimno — płoche lata przebyłam, wielem myśleć musiała nad sobą i światem, siedząc w samotni mojej. Wzdycham tylko, aby do siej i do mej biblii powrócić.

Reuss się rozśmiała.

— Wszystko to się zmieni — rzekła, wdzięczając się do gospodyni. — Na teraz myśmy o ju rze szem ubraniu. Vitzthum patrz i złożyny walną radę, jak ją ubrać mamy, bo sama gotowa sę zaniedbać. Tobie powinno iść przecie o honor domu brata.

— Jakkolwiek się ubierze — odezwała się Vitzthumowa — zawsze będzie najpiękniejszą. Teschen z nią walczyć nawet nie może, jest zwiedla. Na całym dworze niema żadnej, coby nie zgasiła przy Annie. Minie się zdaje, że jak najskromniejszy ubiór będzie jej jak najlepiej do twarzy... niech inne się sadzą na róż, bielidlo i fiołki... jej dość, choćby dziewczęcej sukienki...

Rozmowa o galgankach stała się żywą, przerywaną, gorącą, polemiczną. Hrabina zrazu nie mieściła się do niej, słuchając tylko dwóch przyjaciółek, zbyt czułych, by ich zajęcie się nią nie budziło podziwienia i pewnej obawy. Powoli jednak i ona uległa magnetycznemu pociągowi, jaki strój ma dla niewiadom, wrzuciła słowo i śmiechem przerywany spór toczył się już coraz weselszy...

Hrabina Reuss z niezmierną baczością przysłuchiwała się każdemu słowu pani Hoym, tajemnie przypatrywała się jej z jakimś niepokojem dziwnym; zdawała wrzucać pytania, chcąc w odpowiedziach coś więcej usiyszczać nad to, co one zawierały. Anna przeszła wkrótce z rozdrażnienia rannego w stan jej wickowi właściwy, zaczęła dowcipkować i śmiać się, rzucając z wieką łatwością słowkami iskrzącemi tysiącem ostrych brylantów. Z odwagą, ze szczerością niezwykłą opowiadała o sobie, swych uczuciach i przeczuciach. Pani Reuss przykłaskiwała. Po kilkakroć chciała ją uścisnąć, tak się ucieszyła żwawością młodzieńczą tego umysłu, który w spokoju i ciszy całą dziewczęszą zachował poięgę.

— Cudowna Anna nasza! zachwycająca! nie-

zrównaną — wołała. — Jutro wieczorem cały dwór u kolan jej leżeć będzie Hoym wcześnie powinien sobie przygotować pistolety. Teschen zachoruje i omdleje znów, ona co tak jest skłonną do mdłości odkrywających jej wdzieki!

Vitzthumowa śmiała się... Reuss opowiadała z tego powodu młodej pani, jak księżna Lubomirska zdobyła serce króla omdleniem na widok jego upadku z konia. Omdleli naówczas oboje, bo i król także, ranny mocno w nogę, stracił przytomność. Przebudzenie było roskoszne... bo August klęczał u nóg jej, gdy po raz pierwszy otwarła oczy...

— Niestety! — dodała Reuss — dziś, gdyby nawet napadły ją mdłości, królby się może raczej przestraszył, niż uradował niemi. Przeszły pierwsze zaangażowania. Na jarmarku lipskim najjaśniejszy pan puścił sobie cugę i dokazywał z francuskiem aktorkami. Co gorzej, mówią, że się szalenie zakochał w księżnej Anhalt-Dessau... od której tylko doznał nieskończnej oziębłości... Fürstemberg słyszał od niego niedawno, że serce ma wolne i górowby jakiej węknosci uczynić z niego ofiarę.

— Spodziewam się — rzekła obrażona nieco Anna — iż mnie, kochana hrabina, nie posadzisz o to, bym stanęła w rzędzie z francuskiem aktorkami, choćby po drugiej stronie księżny się znalazły... Serce królewskie wcale niewesołym jest darmem, a moje coś więcej warte niż resztki po księżnej Teschen...

Reuss zarumieniła się mocno.

— Cicho! cicho! dziecko ja sieś — odezwała się, oglądając — który ci mówi o tem. Papilemy o wszystkim... dobrze, byś na wszystkie wypadki była przygotowaną. Vitzthum i ja przyślemy ci kupców na sztych i szwaczki... Jeśli swoich brylantów nie wzięła z domu, albo ci ich brałnie, Meyer pozy-

czy w największym sekrecie, jakich tyko zaprag niesz, niewidzianych tu na dworze. Usłużny jest i grzeczny...

To mówiąc, wstały obie i poczęły ściskać Annę, która je, milcząc, do drzwi salonu przeprowadziła... Hoym już się nie pokazał, w gabinecie pełno było urzędników od akcyzy.

U schodów na dole stała kareta hrabiny Reuss, do której wsiadły osie. Jakiś czas milczały zamysłone. Vitzthum pierwsza przerwała to zadumanie.

— Co ty wrózysz? — spytała.

— To nieuchronne — szepnęła hrabina — to konieczne: Hoym od dziś dnia za wdowca się uważać może. Anna dumną jest... będzie się szczęściu opierać długo, ale nic króla więcej nie drażni nad taki opór, z którym walczyć musi. Jest jak anioł piękną, śmiałą, dowcipną, dziwaczną; wszystko to przyimoty, które nietylko ciągną ale i wiążą. Droga moja, będziemy z nią teraz jak najlepiej, nim pochwyci w ręce wodze; potem byłoby zapóźno... Ja ciebie, ty mnie wspomagaj: daj ny sobie ręce. Przez nią króla mieć będziemy, ministrów, wszystko. Teschen zgubiona, co mnie niewymownie cieszy; u tej nudnej, sentymentalnej księżnej nigdy nic zyskać nie mogła. Ma też dosyć: syn uznany, księstwo nadane, bogactwa ogromne; królowała nam zadługo. Schodzi z pola, król się nudził, a jeśli kiedy, to teraz, gdy jest tak nieszczęśliwym, pociechy potrzebuje i rozrywki. Fürstemberg, ja i ty trafiśmy w to nareszcie, że ją obajim. Dość mamy wszyscy tej cudzoziemki. Trzeba tyko całą intrugę prowadzić rozumnie, ostrożnie, może powoli, bo Anna szturmem się wziąć nie da: nadto jest dumną.

— Biedny Hoym — zaśmiała się Vitzthumowa, — jeśli będzie miał rozum...

— Zyszcze na tem: nie kochał jej oddawna rozpuстnik — przerwała hr. Reuss — choć jesteś jego siostrą, mogę przed tobą mówić otwarcie. Sam zresztą zgotował sobie ten dramat, którego padnie ofiarą.

— Posądzam Fürstemberga!

Hrabyna Reuss zmierzyła ją bystrem, przelotnym wejrzeniem i w oczach lej błysnęło na chwilę coś, jakby iskierka szyderstwa: ruszyła ramionami.

— A, są osoby predestynowane — rzekła z ironią. Nagle, po kociecemu jakoś, zaśmiała się głośno.

— Wiesz — dokończyła — powinna włożyć suknię pomarańczową i korale. Włos ma kruczy, cerę dziecięcej świeżości, będzie jej cudnie do twarzy. Uważałaś, jaki to ogień w tych oczach!

— I jaka duma! niestety! — dodała Vitzhumowa.

— Niech-no króla zobaczy! — zakończyła pierwsza — niech August zapragnie się jej podobać, ręczę ci: i głowę i dumę straci.

#### IV

Przy Pirnajskiej ulicy, naówczas jednej z najparadniejszych, małego, murami obwiedzonego i ścisniętego Drezna, stał pałac Beichlinga, niegdyś kanclerza a dziś wieźnia stanu na Koenigsteinie. Księżna Lubomirska, z domu Bokunówna, stolnikówna litewska, rozwiedziona z mężem, ukochana przez króla Augusta II, uczyniona księżną Teschen po urodzeniu słynnego kawalera de Saxe; w nagrodę zapewne, iż się przyczyniła do upadku kanclerza, po którym ogromny spadek rozchwytali dworacy pańscy, dostała pałac Beichlinga darem i w nim wspaniałą swą umieściła rezydencję. Jeżeli nie odpoczywała w darowanych jej także dobrach Hoy-

erswerda i innych majątkach na Łużycach, siedziała naówczas w pałacyku na Pirnańskiej ulicy lub bawiła się zakładaniem ogrodów na Frydrychstadzie. Owe pierwsze lata gorącej miłości i rycerskiej załotności, gdv piękny król nie mógł dnia przeżyć bez drogiej Urszulki, gdy śliczna księżna konno wylatywała na spotkanie królewskiego kochanka, strojna w saskie kolory i jaśniejąca blaskiem swych lat dwudziestu; owe lata szczęśliwe przebyte w Warszawie, przewędrowane w wycieczkach po Niemczech, przespiewane na wspaniałych balach drezdeńskich i lipskich, zdawały się bezpowrotnie minione.

Od tego balu karnawałowego w Lipsku, gdy niemiłosierna królowa pruska, Zofia-Karolina, karając załotność Augusta II, który do znajdującej się w jej orszaku księżnej Anhalt-Dessau zwrócił swe zapaly, sprowadza razem pod oczy bałamutnego Don-Żuana trzy jego dymisjonowane kochanki: Aurorę Königsmarck, hr. Esterle i panią Haugwitz... aby króla razem i księżnę Teschen Lubomirską wprawić w kłopot i zawstydzić; od tego balu, co się najczulszemi później ukończył zapewnieniami stałego przywiązania, księżna Teschen, jakby po strasznem *memento mori*, nieustannie miała na myśli jedno: że może, ze musi być jak inne zdradzoną przez niestającego a znudzonego Augustynka... (Augustynkiem poufale zwano króla jegomości i „*mein lieber Augustin*” piosenka popularna, do niego się stosowała...). Król wprawdzie, mimo pokątnych balamuctw bez liku, zawsze okazywał księźnie Teschen wielką miłość w słowach i poszanowaniu. Urszulka miała nad nim władzę i umiała władać ze zręcznością wielką, wodząc go na złotych paskach, białą rączką kierowanych; ale czuła w duszy, że król lada chwila miał się od niej oderwać nazawsze...

Zwierciadło pokazały jej jeszcze rysy twarzy wdzięczne i resztki świeżości, które starannie pielegnowała, ale piękność ta i blaski nie miały już uroku nowości dla króla, który łatwo się nudził i coraz czegoś świeżego dla rozbawienia potrzebował. Bawiła go rozmowa pięknej księżnej, jej zręczność w zabiegach dworskich, jej polityka pokryta gązą piochości kobiecej, jej perfumowana przewrotność i gra poplątanych intryg, które prowadzić na swą korzyść umiała. August przyjeżdżał do niej jeszcze na parę godzin, ale dzisiaj, gdyby ją jak niegdyś zapytała królowa, kiedy odjeżdża z Drezna, nie śmiałaby odpowiedzieć zuchwale, że przybyła z królem i z królem tylko napowrót wyjedzie. Mgłą smutku powlekły się jej śliczne łączawoczy niebieskie, pełne melancholji i łudzące charakterem łagodnym, gdy w istocie księżna żelazna miała wytrwałość w postanowieniach i zabiegach... Z każdym dniem większa opanowywała ją trwoga, azali nie przyjdzie rozkaz opuszczenia Drezna i wieku tego z królem rodziału.

Nic się rapozór nie zmieniało, nic jej nie brakło; szanowano ją jeszcze jako panią na dworze, a w oczach dworaków czytała bliski swój upadek: łapała szyderskie ich półsmiechy i ukradkowe złosliwe spojrzenia.

Urszula, był czas, że kochała Augusta, kochała go bardzo gorąco; ale naówczas sądziła, że dla niej ustatkuje się płochy, że kiedyś może być królową: złudzenia te dzisiaj się rozwiały i uszły. Los wszystkich ulubieńców pana miał i musiał ją spotkać. Rozczarowana, ostygła, odzyskiwała jeszcze dawną wesołość i zalotność, gdy królowi podobać się chciała; później zamknięta w domu, płakała pociechu kryjomo i zemstą zawczasu już pierś się jej podnosiła... Coraz częstsze bywały teraz listy

do prymasa Radziejowskiego... Ale król znał niebezpieczeństwo narażenia sobie siostrzenicy pierwszego dostoójnika Rzeczypospolitej i wysłał się na przekonanie jej o swem stałem przywiązańiu. Tymczasem szpiegowano księżnę pilnie... Król nim zasłużył na pomstę, już się jej lękał...

Miłość ze strony Augusta II zmieniła się w czczą galanterię: czuć ją było lodem i chłodem... Księżna Teschen zajmowała pierwsze miejsce po królowej w dworze, ale w sercu, narówni z królową, była mu już obojętna.

Marzenia o Koloandrowych miłościach preciągnęły jak wiosenne obłoki, duma tylko po nich obrażona została.

Gdy stolnikowna litewska rzucała rodzinną ziemię, marzyła o tronie: tron rozsypał się w próchna... pozostawał wstęp chybionej rachuby i sromotne położenie kobiety bez męża i domu... Zapłacinej za chwilę szalu bogatem podarki tytułów, ziemi i złota... chwila triumfu była krótką i znikomą, wstyd został wiekuisty.

Księżna Lubomirska nie mogła tak powrócić do Polski.

Biedna kobieta, lękając się co godzina opuszczenia i wyroku, co ją miał stracić z wyżyny, na której się chwiała, myślała o sobie... Nudziła się też... a chłopię, które jej kilka razy na dzień przyprowadzano, przyznane dziecię królewskie, przychodziło w uścisku pić gorące łyzy, z którymi się matka tała... Księżna Teschen nie miała prawa nazwać się nieszczęśliwą, ale już się nią czuła... Dziecię jej miało zapewnioną przyszłość, ona żadnej.

Pałac przy Pirnańskiej ulicy jeszcze dawnym obyczajem zgromadzał codziennie tłumy dworaków, pięknych pań i zalotnych kawalerów. Zwłaszcza ostatnim król zdawał się nietylko nie wzbraniać,

ale ułatwiać przystęp. Możeby był rad, aby który z nich pozyskał sobie serce, już mu ciążące przywiązaniem zbyt łączawem...

Nieciepliwiło to Augusta Mocnego, który w życiu nigdy nie płakał, iż księżnę widział zawsze w dzach i tam, gdzie szukał roztargnienia, znajdował nieskończone wyrzuty.

Księżna, jeszcze pozornie w łaskach, miała szczerzych czy nie, przyjaciół i donosicieli; wiedziała codziennie o każdym króla kroku, usmiechu i słowie... szpiegowała go zazdrośnie. Z owej uczty nocnej, gdy wyciągnięto z Hoyma przyznanie się do pięknej żony, gdy go na zakład wyzwano, gdy posłano do Laubegast po piękną Annę, księżna Teschen miała sprawozdanie dosiowne... Niespokojna, w gorączce chodziła, myśląc, czy ma się na balu u królowej zadować, stanać do pojedynku tego, lub pożardliwie, rzuconą rękawicę niepodnieśioną zostawić.

Rano około jedenastej doniesiono o przybyciu pani Hoymowej. Nikt jej nie znał jednakże, nikt nie widział, nikt opisać nie umiał. Wszyscy zgadzali się na to, że była piękną; wiedziano, że urodzona w roku 1680 była rówieśnicą Lubomirskiej, ale rodzaju i niebezpieczeństwa tej piękności nikt opisać nie umiał.

Po stolicy biegały najrozmaitsze wieści. Kyanielitościwy miał się odezwać:

— Nie pytajcie, czy piękna, byle do ostatniej nie była podobną...

Księżna czuła to także: nie szło o piękność, tylko o wrażenie nowe...

Tego dnia ranny zastęp gości u księżnej był mniejszy niż kiedykolwiek, wszyscy biegali po nieście, nowiny roznosząc i polując na nie.

Mówiono, że król, jak zwykle gdy mu szło

o świetność zabawy, sam jak najstaranniejszej balowej program oznaczył... i niecierpliwiał się już o zakład Fürstemberga i Hoyma. Mówiono, że panna Hülchen i hrabina Reuss już troskliwie intrygowały, aby Hoymową w swe sieci uwiklać i łaski jej sobie zapewnić.

Vitzthumowa zapewniała głośno, iż jej bratowa zagasi wszystkie urodę...

Księżna siedziała w miasto, odbierała raporty swych wiernych, rozpaczala i piakała. Trzy razy potrafiła króla, chcącągo zerwać, zatrzymać; teraz zdawała się godzina stanowcza... Łamała ręce: nagle myśl dziwaczna jej przyszła... spojrzała na zegur... Dom Hoyma niebardzo był daleko od jej pałacu... Szepnęła coś służącej... zarzuciła głęstą czarną zaslonę na oczy od lez czerwone, i cicho zbiegła po schodach do sieni. Tu stały dwie lektyki i gotowi dwaj drążnicy... rzuciła się w jedną z nich... Ludzie, którym szepnęła słówko służąca, zamiast iść ulicą poszli tyłem ogrodami. Zielonych jeszcze drzew gałęzie osłaniały ścieżkę wąską i pustą, na którą wychodziła także furtka z ogrodu Hoyma. Niewidzialny ogrodowy otworzył ją dla wyskakującego z lektyki księżnej, która obejrzawszy się, wbiegła wprost na góre do Hoyma pałacu... W sieniach czekał już na nią młody człowiek, który jej schody wskazał...

Przez ciemny korytarz zakwefiona i nie mogącą dać się poznać, choćby ją ktoś napońskał, Lubomirska dobiegła do drzwi wskazanych i zapukała...

Nierychło je otwarto. Zdaje się, że służąca, która ostrożnie uchyliła drzwi, chciała tylko zobaczyć, kto przyszedł i nie byłaby wpuściła nadbiegającą, ale księżna Teschen jedną rączką wpuściła w jedno kciuk dukatów, drugą popchnęła zlekka, obejrzała się, w które drzwi iść dalej, i pobiegła.

Anna Hoym przechadzała się samotna po pokoju, który dla niej urządzac miano, gdy nieznana postać zakwefiona ukazała się na progu... Zdumiona temi niespodziewanemi odwiedzinami, cofnęła się, marszcząc i gniewna.

Lubomirska odrzuciła czarny kweł, stanęła i oczy wlepila ciekawie, słowa nie mówiąc z Hoymową, zdyszana, przejęta, patrzała... wargi jej ścinaly się drżały, bladość okrywała lica... Obejrzała się lekko wie dokoła i szukając podpory, na bliską kanapkę zemdloną upadła...

Anna pobiegła ku niej, przybyła i służąca... obie podniosły omdrałą...

Osłabienie jej trwało tylko chwilę, porwała się jak obiąkana, oczy znów wlepila w rywalkę i, milcząc, wskazała na slugę, aby odeszła...

Zostały sam na sam.

Cała ta scena, po kilku rannych scenach następującą, niepokojem napełniła przybyłą i tak już stwożoną kobietę. Po długim spokoju na wsi rozpoczynało się dla niej gorączkowe jakieś życie, wśród którego opamiętać się było trudno.

Lubomirska wyciągnęła ku niej bladą, zimną rączkę drżącą.

— Daruj mi — rzekła głosem słabym — chciałam cię zobaczyć, chciałam przestrzec. Pędził mnie tu głos obowiązku... sumienia...

Anna milczała, ciekawie się w nią wpatrując.

— Patrz na mnie dodała — rozpoczynasz dziś o życie, które ja kończę. Byłam jak ty niewinną, zczęśliwą, spokojną, szanowaną, w zgodzie z sumieniem i Bogiem... Miałam tytuł książęcy, męża lepiej niż to, imię niepokalane ojca i rodziny... Przyszedł ukoronowany człowiek, który mi to odebrał wszystko jednym uśmiechem. Berło i koronę leżał u nog moich, oddawał serce... Poszłam za

nim... spójrza na mnie... Ja dziś nie mam nic; imię pożyczane, złamane serce, stracone szczęście, wstyd na czole, niepokój w duszy, przyszłość groźna i troska o los dziecięcia. Na świecie nema dla mnie nikogo... krewni się nie przyznają do mnie, co się czołgali u nóg mych, jutro znać nie będą. On! on!... odepchnie jak obca...

Anna, słuchając, zaumieniła się.

— Panil — zawołała głosem przerywanym — dla czegoż widzisz dla mnie niebezpieczeństwo, którego ja sama dojrzeć nie mogę? Ja cię nie rozumiem... Kto pani jesteś?

— Wczoraj królowa, dziś nie wiem kto — odparła Teschen.

— Ale ja nigdy żadnej korony nie miałam pragnienia, każda skroni pali — zawołała Anna — dla czegoż spotykać mnie mają te groźby?

— Przestąogi — przerwała Lubomirska — darując mi, twojej skroni przystała korona, ludzie za wcześnie ci ją dają; jam chciała odsłonić złoty jej wieniec i wewnątrz pokazać cierniowy...

— Mylisz się pani — rzekła spokojnie Hoymowa — nie sięgnę nigdy po żadną koronę, nadto jestem dumna. Musiałabym ją zanieść z sobą do trumny, albo jej nie dotknę nigdy... Uspokój się pani...

Teschen padła na kanapę, spuściła głowę i zaczęła płakać rzewnie. Łkanie jej obudziło litość w Annie, zblizała się z ciekawością i współczuciem...

— Wszystko, co mnie tu od rana spotyka, jest niezrozumiałem — odezwała się zcicha — chciałabym się wyrwać stąd jak najrychlej. Któz pani jesteś?

— Teschen — odpala przybyła cicho, podnosząc oczy — słyszałaś o mnie, domyśl się, dlaczego cię tu ściągnięto.. Świeżej twarzy potrzeba znudzonemu panu...

Anna krzyknęła z oburzeniem:

— Podlit frymarczą więc nam jak niewolnicami...  
a my...

— Ofiarami ich jesteśmy...

— Nie! ja nie będę, ja nie chcę być ofiarą —  
przerażała Hoymowa — uspokoj się pani; jam tak  
dumną, że nędzę raczej zniosę niż upokorzenie...

Teschen spójrzała na nią, popatrzała długą  
i westchnęła.

— Nie będziesz ty, będzie druga: godzina moja  
wybiła... lecz choć ty, choć jedna, jeśli masz siłę,  
pomścij nas wszystkie, odepchnij, rzuć im wzgardą  
w oczy. To woła o pomstę do Boga...

Zarzuciła kwef na oczy, podała rękę w milczeniu.

— Jesteś ostrzeżona, broń się...

Biegła ku drzwiom z pośpiechem, a Hoymowa  
stała jeszcze, słowa wyrzec nie mogąc... Zjawisko  
znikło.

Na schodach czekał na nią ten, co ją wprowadził.  
Szybko posunęła się ku lektyce, gdy zapuszczając  
zasłone, w oknie jej ujrzała bladą twarz młodego  
wojskowego, który drżący i niespokojny w nią się  
wpatrywał.

Twarz młodego oficera była piękną i arystokra-  
tyczną, pełną wyrazu, męstwa i energii; lecz w tej  
chwili zgroza i ból ją zmieniały. Zdawał się oczom  
swoim nie wierzyć. Mimo dwóch tragarzów, którzy  
uż lektykę podnosić mieli od ziemi, zbliżył się do  
okna.

— Księżna Urszula — zawała wzruszony — mam-  
że oczom mym wierzyć, jestże to podobna? Was-  
ze to widzę ukradkiem wyrywającą się na jakąś  
schadzkę zapewne... Mówcie, zaklinam; całą prawdę  
mi powiedzcie, abym natychmiast siadł na koni i wię-  
cej nie wrócił. Księźno! pani! ja szaleje z miłości  
alla was... a wy... — zakrył oczy...

— Wy szalejecie, to prawda! — popędziwie przer-

wala — szalejcie tak, żeście ślepi, bo mogliście wiǳieć, że wychodzę od Hoymana, w którym się przecie zakochać nie mogam.

Pochwyciła go za rękę...

— Chodź przy mnie, chodź ze mną, nie puszczać cię, aż się wytłumaczę: nie chcę, abyś i książę mnie w tej chwili opuścił i obwiniał... tegobym już przeżyć nie mogła.

Piękne, zażawione oczy księżnej, zwrócone ku młodzieńcowi, którego rękę pochwyciła, mówiły tyle, iż smutek znikł z jego twarzy, która rozpromieniała.

Pobiegł więc posłuszny za lektyką aż do pałacu. U schodów podał rękę księżnie i razem weszli na pokoje. Znużona i złamana, chwytając się za głowę, księżna padła na kanapkę, rozkazując towarzyszom cemu jej, aby usiadły przy niej.

— Widzisz mnie księżę w gniewie i oburzeniu! wracam od tej... od tej, którą tu sprowadzili szkaradni nieprzyjaciele moi, aby mnie wygnać, aby mój wpływ obalić. Słyszałeś już o Hoymowej?

— Nie słyszałem — odparł młody książę (którym był Ludwik Wirtemberski) — nie słyszałem nic nad śmiechy z biednego Hoyma, którego spojono na to, aby go zmusić do pokazania żony...

Tak, umiano obudzić ciekawość w Auguście, osnuto intrygę — poczęła księżna, ożywiając się coraz bardziej. — Widziałam ją, jest piękną... jest niebezpieczną, może być dwa dni królową...

— A! tem lepiej! tem lepiej! — porywając się z siedzenia zwołał książę Ludwik — pani będziesz wolną...

Teschen rzuciła nań okiem badawczem, młody chłopak zarumienił się; nastąpiła chwila milczenia. Podała mu rękę, którą on pochwycił z zapaniem. Trzymał ją jeszcze przy ustach, gdy z drugiego pokoju ze śmiechem suchym, przykrym, złym... wpadła

klaszcząc w ręce, osobka mała, niepiękna, nieco do  
księżej podobna, chociaż o wiele od niej brzydsza...

Wiek trudno było z twarzy rozpoznać; mogła  
zarówno mieć lat dwadzieścia kilka i o dziesięć  
więcej. Znać z niej było, że nigdy świeżą nie była  
mogła się też dopóźna nie zestarzeć. Nosiła jedną  
z tych twarzy, co są staremi w dzieciństwie i niby  
mlodemi w starości. Szare jej oczki, złe, szpiegujące,  
ostre, kręciły się i biegały; usta miała pełne szy-  
derstwa, każdy rys zdradzał ruchliwą, gorączkową  
kwoczkę i nieznośną intrygankę. Strój, nadzwyczaj  
staranny i pstry, obmyślany był tak, aby jedyną  
piękność jej podnosił figurę zgrabną i w pasie  
przeciętą, nóżkę maleńką i kibić zręczną. Zwawo  
okrąciła się na trzewiczku ku księżnie, klaskając  
w dlonie, w chwili, gdy zawstydzony książę Wir-  
emberski usta od ręki odrywał.

— Bravi! bravissimil ale niechże ja nie przeszka-  
dzam — krzyknęła ostrym głosem baronowa Glase-  
napp — *nous sommes en famille*, niema się co mnie  
uwstydzić. Siostrunia bardzo słusznie rejteradę sobie  
abezpiecza wojskową osłoną... bo... bo podobno  
bliżamy się do chwili, w której przyjdzie rejtero-  
wać z serca króla i dworu! Dobry wódz zawsze  
obie zapewnia drogę do odwrotu...

— Mała ta, zwinna pani, niecierpiana od całego  
dworu, który roznoszonemi plotkami starała się kłó-  
ić i różnić, była stolnikowna litewska, panna Bo-  
sunówna, rodzona siostra Lubomirskiej, żona (na-  
enczas) barona Glasenappa, ale tylko z imienia,  
dyż w czułych była stosunkach ze sławnym Schu-  
emburgiem. Na dworze tym zawsze się trzeba było  
ytać nie o nazwisko męża, ale o imię ulubieńca.

— Z kochaną siostrunią bardzośmy się dawni-  
je widziały — rzekła, papląc pośpiesznie — ale  
chwili niebezpieczeństwa zjawiam się zawsze:

tak i teraz... Słyszałaś Teschen — dodała śmiejąc się złośliwie — sprawczili Hoymową... Ja ją widziałam raz... wprzód nim król nadjechał, gdy była w Dreźnie, przepowiedziałam naówczas, że jak Helena trojański komus będzie nieszczęściem przyczyną... Piękna jak anioł, brunetka, co dla blondynek jak Teschen, zawsze najniebezpieczniejsza... żywa, dowcipna, zła, dumna... a nosi się jak królowa! Wasze panowanie skończone...

Rozśmiała się głośno...

— Ale ty do książęcych tytułów masz okrutne szczęście — poczęła, nie dając nikomu przemówić słowa. — No! ja... ja ledwie mogłam z biedą złapać chudego pomorskiego barona, a ty miałaś Lubomirskiego, masz Teschen i już na zapas starasz się o Wirtemberskiego...

Miody chłopak stał zarumieniony i gniewny. Teschen spuściła oczy, ale cicho przez zęby szepnęła:

— Znalazłabym jeszcze czwartego, gdybym tylko chciała.

— Jeśli chcesz, ja ci jego imię na ucho powiem — przerwała zrywając się i biegnąc do siostry baronowa. Przyłożyła obie dłonie do ust i rzuciła jej w ucho: — Książę Aleksander Sobieski, nieprawdż? ale ten się nie ożenił a Ludwikczek gotów; staraj się go zatrzymać.

Ze wstrętem odwróciła się księżna Teschen od siostry, która przeglądając się w zwierciadłach, biegała już po pokoju... oczyma śledząc dwie stopy, którym rozmowę z taką złośliwością podsłuchana przerwała.

— Jeśli Teschen będzie miała rozum — rzekła — może jeszcze z tego przesilenia wyjść zwycięsko Hoymowa prostaczka, zrazi króla... s, odoba mu się z twarzy, ale dumą go odepchnie; po niej Teschen znowu wyda się miłą i dobrą... Cóż robić, fantazjom

króla trzeba umieć przebaczać. Ci ludzie mają froski nadiudzkie i nadludzkie przywileje... Przykro mi tylko — mówiła ciągle nie przestając — że cię tak wszyscy już wzięli na żęby, że hrabina Reuss i Hülchen już nowemu bóstwu składają ofiary; że Fürstemberg a nawet szwagierek Vitzthum akcyzie gotowi złote rogi przyprawić... Biedny Hoym! jeśli go żona porzuci, doprawdy, gdyby nie pewne obowiązki, poszłabyń za niego, aby mu osłodzić wdowieństwo... Ale rozpustnik stary, ani mnie, ani żadnej nie zechce...

W tem miejscu nieutamowanej gadaniny baronowej Glasenapp, księzę Ludwik pożegnał się, a uścisnął ręki, jakim go obdarzyła księżna Urszula, nie uszedł oczów baczych Glasenappowej, która mu dygnęła zdaleka.

Dwie siostry zostały sam na sam, milczenie trwało chwilę.

— Nie powinnaś tego brać tak tragicznie — poczęła Glasenappowa, ruszając ramionami — rzecz była doskonale przewidziana oddawna... Król się zaudził blondynką... ty masz księstwo, masz Hoyerswerdę, masz miliony, brylanty, pałac po Beichingu, wyposażenie dla syna... masz twą piękność, masz resztkę młodości... i księcia Ludwika, który się z tobą gotów ożenić... Przyznam ci się, że jeszczebym się na twój los pomieniała, oddając ci Schulemburga w dodatku.

— Ale ja go kochałam! — płacząc znów, przerwała Teschen.

— A! to już przeszło... wiem! — odparła baronowa Glasenapp — kochaliście się wzajemnie, ja sądzę na mniejszej pół roku, wśród którego on cię z dziesięć razy zdradził pocichu, a ty jego! wiele? ja nie wiem! ale żeś zdradzała! o! ręczę!

— Siostro! — zawała z oburzeniem Teschen,

— No, ani razu! A jednak, patrzże, wśród tej

miłości dla niego umiała sobie na zapas w odwodzie postawić Wirtembergę i dziś, gdy tak się przydał, masz gotowego! Przyznam ci się, mnie złą nazywają i przewrotną; jabym tego nie potrafiła... Ja, dopiero gdym się do podrapania skłuciła z Gläsenappem, wyszukalam sobie Schulemburga. Mnę bo się nic nie wiedzie... i wszyscy mnie niecierpią, co ja im oddaję z lichwą!

Poczęła się śmiać sucho.

— Słuchaj, Lubomirska — owała się po chwili — królowie przy rozstaniu miewają zwyczaj żądać zwrotu darowanych diamentów... ostrzeżam cię więc, byś swoje w bezpiecznym złożyła miejscu...

Sporzązała na siostrę, która się jej zdawała nie słuchać.

— Będziesz dziś na balu?... — dodała.

Wyraz bal wstrząsnął Lubomirską, która powstała nagie.

— Na balu!... tak! — poczęła zamysiona — potrzeba być na balu!... tak! pójdę, cała w czerni, w żałobie, bez klejnotów, w grubej sukni... toby było... uderzające... lecz, powiedz, Tereniu... będzie mi żałoba do twarzy?

Gläsenapp rozśmiała się.

— Niezawodnie... żałoba jest wszystkim do twarzy; lecz jeśli myślisz, że tem rozczulisz Augusta i dworaków poruszyesz, milisz się mocno... Śmiać się będą! Oni tragedji nie lubią... Pójdiesz w żałobie! — powiedzą, żeś dojrzała do trumny; pochowają z lekkiem sercem...

— Bądź-co bądź! pójdę w żałobie! — powtórzyła Teschen — ale pójdę... stanę przed nim jak widmo milczące...

— A że Hoymowa będzie rumianą, wesołą i świeżą, znikniesz jak widmo niepostrzeżona... Wierz mi... przeszłość powrócić niepodekna...

Spojrzała na zegar.

— A! jak późno! żegnam cię... do balu! Ja także będę na nim.. ale na drugim planie, jako widz, który aktorom przyklaśnie... Bądź zdrowa!

## V

Parami wchodziły damy, wiedzione przez mężów lub krewnych. Po nadzwyczajnej świetności strojów nie było się można domyśleć klęsk wojny, jaka kraj z Saksonią połączony dotykała, ani wyczerpania skarbu: król miał strój brylantami okryty, ogromne guzy diamentowe, szpadę z wysadzaną niemi rękojeścią, trzewiki nawet ze sprzączkami lśniącymi diamentów rosą... Majestatyczna jego postać jakby odmłodzona, promienieżająca, więcej przystała zwycięzcy, niż zmuszonemu do walki o koronę z nieprzyjacelem zawziętym...

Na sukniach pań błyszcząły także mnogie klejnoty... a wiele z tych piękności wcale ich nie potrzebowala. Królowa ukazała się nareszcie, ubrana dosyć skromnie; August z galanterią i poszanowaniem na spotkanie jej pośpieszył: muzyka zabrzmiała fanfarą... Głównych aktorek dotąd nie było...

Już pan zaczynał brew olimpijską marszczyć i oglądał się na Fürstemberga tym wzrokiem, którego wyraz był mu dobrze zrozumiałym, gdy u drzwi wchodowych, pomimo poszanowania dla osoby króla, dał się słyszeć szmer tłumiony... Ludzie rozstępując się zaczęli, oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę... Fürstenberg szepnął:

— Idą!

Jakoż po chwili ujrzano bladą, zżółkłą twarz hrabiego Hoyma, który wiódł pod rękę żonę...

Nigdy może na tym dworze, nawykłym do oglą-

dania piękności, bardziej olśmiewająca postać się nie ukazała.

Hrabina Hoym wśród tych wielkich pań szła z majestatem królowej na czole, nieuękniona, spokojna, poważna, piękna tak, iz z ust wszystkich jeden cichy okrzyk podziwienia wyrwała. Król trzymał w nią od wnijścia wepine oczy.. ale się z jej wzrokiem nie spotkał.. Maąc być przedstawiona królowej, dała się wieść ku niej, nie zdając wcale być przejętą blaskiem tego dworu, ani apolińską pięknością króla, który widocznie stanął tak, aby się z jak największym wdziękiem pani przybyłej przedstawił. Zniecierpliwienie drganiem odmalowało się na pańskiej twarzy...

Hoym, jak skazany na śmierć winowajca, wiodł żonę... Nieprzyjaciele jego i akcyzy napawali się męczarnią wcale nietajoną i dobitnie odgrywającą się w twarzy wypaczanej co chwila inaczej. Królowa podniosła oczy łagodne na Hoymową, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się jej wdzięcznie, ale z litością, jakby nad losem tej piękności. Westchnienie nawet wyrwało się z jej persi...

Zaledwie pierwsze te formalności dopełnione zostały, muzyka zabrzmiała polskiego i król z żoną tańce rozpoczął.

Księżnej Teschen nie było jeszcze... Z innych pań nie brakło żadnej i chora nawet panna Hülchen, owa Egerja Augusta przemogła ból, aby nasycić ciekawość.

Pierwszy taniec się kończył, gdy nowy szmer u drzwi coś niezwyklego zapowiadał: rozstąpiły się widzowie... król zwrócił oczy... w progu stała, jakby wahając się czy ma wejść, księżna Teschen.

Ubrana była cała w czerni żałobnej... August, ujrzawszy ją, zniecierpliwiony nieco pośpieszył na spotkanie.

— Kościół to księżna straciła? — zapytał szydersko — że się nam zjawiasz w tych szatach tak do zabawy niesłosownych?

— Ciebie, najaśniejszy panie — cicho odpowiedziała Urszula, — i to nie od dziś dnia.

Oczy ciekawych, zrazu zwrocone na księżnę, wprędce ku Hoymowej znowu się skierowały... Kobietę nawet przyznawały zgodnie, zaprzeczać temu niepodobna było, iż hrabina Anna wszystkie przechodziła blaskiem posągowej piękności swej... Czarne jej oczy ciskały wprawdzie pioruny i błyskawice i groźno przyświecały sali balowej; lecz obok nich ginęły wszystkie inne... jak gwiazdy przy słońcu.

August zdawał się napawać widokiem ślicznej niewiasty... W chwili gdy hrabina Vitzthum oderwała ją od brata, zblizył się król do Hoyma i uderzył go poufale po ramieniu, dając znak Fürstembergowi, aby podszedł ku nim.

— Kociany hrabio — rzekł — sprawa wasza z księciem rolsądzona... wygrałeś tysiąc dukatów, Fürstemberg jutro ci je zapłacić powinien... Winszuję więc wygranej i żony, jest ona niezaprzeczenie najpiękniejszą na naszym dworze... Vox populi mój wyrok potwierdzi pewnie... szczęśliwy Hoymie!

Patrząc jednak na Hoyma przyjmującego, z głową spuszczoną, w pokorze, to powinsnowanie, trudno się było domyśleć, by mógł być tak bardzo szczęśliwym. Przedstawiał on raczej obraz upokorzzonego, zgębionego, własną winą odpokutowującego człowieka, który z bólu ryknąć nie śmie i wstrzymuje go w sobie... Fürstemberg skłonił się w pokorze, szydersko spoglądając na króla...

— Widzę, najaśniejszy panie — szepnął niedo słyszanym głosem — że wyrok królewski i skrzypki za pana mego zapłacić muszę...

August zwrócił się doń, podając mu dłoń do pocałowania.

— Nie skarz się Fürstemberg, płac tysiąc, a weź ze skarbu dziesięć za to, żeś mi nastręcz i widzenie takiego arcydzieła natury... — rzekł król.

Księżna Teschen siedziała osamotniona, odbiegły ją już wszyscy; postrzegi to August i wedle zwyczaju, by osłodzić każdemu upadku, lub przez resztkę przywiązania do niej, skierował się ku księżnej. Wielkie było zdumienie nieobeznanych z obyczajami dworu, gdy ujrzaли najjaśniejszego pana idącego w tę stronę. Wprawniejsze oko hrabiny Reuss i panny Hütchen, dojrzały ten manewr, umiało z niego wniosek wyciągnąć.

— Teschen upadł! — rzekła hrabina cicho do towarzyszki — król poszedł ku niej...

Sarzy dworzanie króla, którzy widzieli go w przededniu niełaski Beichlinga ściskającego kanceliera, zrozumieli także, co ta czułość dla księżnej Teschen znaczyć miała. August okazywał jej więcej niż kiedykolwiek przywiązania i szacunku...

— Wiesz pani — rzekł przyglądając się jej czarnym sukniom i kwefom — jesteś dziś tak piękna mimo tego stroju, iż mi przypominasz ów turniej warszawski, gdym cię widział zemdloną z trwogą mnie...

— Ale Hoym! Hoym jest piękniejszą ode mnie, od turnieju, od wspomnienia i omdlenia: nieprawda? — ozwalała się księżna ironicznie.

— Hoymowa może być sobie piękną, jak chce i najpiękniejszą — odparł August — są rzeczy od piękności piękniejsze, to piersi, w których czule biąją serca... Kochana księżno... nie rób z siebie wiaduviska... wróć do domu, wióz seknię niebieską, w której ci tak do twarzy, i czekaj na mnie z wieczorzą...

Na tle bladego księcia Urszuli wystąpił ramionec żywego.

— Królu moj! panie mój! — zawała, zapominając się — miażdzy to być prawda? Aż ust moim by pozostał...

— Proszę cię... nie wątp o mnie — dodał poważniej król — na cożbym miał kłamać?

W istocie król nie kłamał tym razem, piękność pani Hoym zrobiła na nim wrażenie wielkie, lecz zarazem napełniała jakąś trwogą. Charakter energiczny tej kobiety malował się w każdym jej ruchu, wejrzeniu, skinieniu; czuł on, że przy niej część swej potęgi u nog Omfali złożycyby musiał. Twarz Anny mówiła: muszę królować; twarz Urszuli: kochałam cię panię i mrę z żałości... Hoymowa wydała mu się nazbyt poważną i smutną, a wielkich tonów i ról miał dosyć... Dlatego pośpieszył pocieszyć księżnę, bo w żadnym razie nie chciał jej tracić i poddać się przeczuwanemu jarzmowi kobiety, która wcale ochoty podbicia go nie okazywała.

Hrabina ubrana była z wielkim smakiem i wytwornością, nie miała wprawdzie klejnotów, lecz przyoranie głowy, krój sukni, dobór barw, podnosiły nadzwyczajną jej piękność. Współczesne portrety przedstawiają ją z owalem twarzy nader kształtnym, noskiem małym, drobnymi ustami, oczyma wielkimi, czarnymi i niezmiernie wyrazistymi, z ryssami delikatnymi, z bujnemi czarnemi warkoczami. Ręce, popiersie, kibić, odpowiadały twarzy, po której bladość i rumieńce żywe zmieniały się, wchodziąc i znikając w mgieniu oka...

Wystawiona na wejrzenia kilkuset osób, Anna Hoym wcale niemi nie była zmieszana; w pierwszej chwili milcząca i poważna, oswiała się wnet z dworem i tym blaskiem, który się jej wydał

rzeczą powszednią. Wprawdzie książęcy dwór, na którym młodość spędziła, nie dochodził świętością drezdeńskiego, lecz formy w obu znalazły też same...

Księżna Teschen usłuchała natychmiast rozkazu króla, triumfująca niemal znowu, i rzuciwszy okiem omdlałem ku niemu, wysunęła się z sali. Po malej chwili August stanął u krzesła hrabiny Hoym. Jakiś czas wpatrywał się w nią milczący. Anna, spostrzegłszy go, powstała. Żądał, aby usiadła... usunęła go, nie przesadzając w poszanowaniu.

Było obyczajem dworu, że gdy król okazał do rozmowy ochotę, wszyscy się nicco ustępowali, aby mu swoją ciekawością nie byli natrętni, i tym razem oderzli wszyscy, a hrabia Hoym także pociągnęły zlekka przez Vitzhuma, który właśnie tę chwilę dobrą, aby z nim o czemś ważnym się rozprawić, odejść musiał.

— Hrabino, jesteś pierwszy raz na moim dworze — ożwał się król grzecznie, pochyłając ku niej — lecz jej użycie się prawdziwym dla niej jest triumfem. Cieszę się tą nową gwiazdą na mojem niebie.

Anna podniosła głowę dumnie.

— Najjaśniejszy panie: wśród ciemnej nocy lada ognik czasem wyda się gwiazda, lecz po chwili zagasa. Umiem ocenić łaskę Waszej Królewskiej Mosci, lecz tyko łasce przyjęcie te wyrazy.

— Powtarzam tylko, co dokola słyszę! — odparł August.

— Al najjaśniejszy panie — śmiejąc się, dodała Anna — ludzie zwykle widząc po raz pierwszy, że widzą. Nowość bawi.. to tylko prawdziwie piękne, co po latach wielu jeszcze się tak, jak pierwszego dnia, wydaje.

Królowi zdało się, iż piękna pani przymawiała

mu, przypominając grzeczność okazaną księżnie Teschen: zamilkł chwilę.

— Pani jesteś nazbyt skromną — rzekł.

— O! nie, najjaśniejszy panie — żywo przerwała Anna — do piękności nie przywiązuje wagi.

— Ale piękność twarzy zwiastuje też piękną duszę — rzekł August.

Anna spuściła oczy. Król jej nie odstępował.

— Po długiej samotności, którą Hoym ten niegodziwy męczył panią, kryjąc swój skarb — mówił po chwili August — dwór się jej dziwnie wydawać musi.

— Bynajmniej — zawała Anna — młodość moją spędzałam na mniej zym wprawdzie, lecz dającym zmniejszony obraz tego, jaki każdy dwór przedstawia; wszystkie one, najjaśniejszy panie, są jednem.

— Czem? — spyta król.

— Doskonałe graną komedją — odpowiedziała Hoymowa.

— A ja jakaż w niej gram rolę?

Z uśmiechem ironicznym popatrzyła nań chwilę.

— Być może dyrektora trupy, którego wszyscy oszukują i odzierają.

August zdziwiony nieco, półuśmiechem odpowiedział:

— Znajdujesz, pani, że tu jest wszystko udaniem?

— Jakżeby mogło być inaczej? — westchnęła Anna — królowie prawdy nie słyszą...

— Być może — mówił August — i dlatego szukają często i serca i ust, coby im spragnionym choć kroplę tego nektaru dać mogły.

— A znajdują — dokończyła Anna — tylko może usta, co zręczniej nad inne umieją sączyć truciznę.

— To mi dowodzi — odezwał się król grzecznie — iż pani nie lubisz ani dworów wielkich, ani życia na nich.. i smuci mnie bardzo, boem sobie

wiele obiecywał, zatrzymując ją wśród nas, byś blaskiem swych oczów trochę posepne dni naszych niebo wyjaśniła.

— Najjaśniejszy panie — odparła żywo Anna — byłabym tu falszywą nutą; nie umiem tak śpiewać jak drudzy; głos mój zawsze jeden, a tu co chwila ton inny.

Dla przerwania tego toku rozmowy, król wesoło począł robić różne uwagi nad otaczającymi paniami i panami. Anna postrzegła z nich, iż August lepiej daleko znał charaktery, skłonności i tajemnice życia otaczających go ludzi, niż się spodziewać mogła.

— Widzisz, pani — dodał kończąc — że ta komedia dworska dla mnie nie ma ponad tajemnic i to mi ją czyni może tylko zabawną, iż się tym ludziom zdaje, że mnie oszuksują, że mną kierują, że mnie osłepić mogą.

— Tak bogowie patrzą na ziemię — zakończyła Hoymowa.

Król z bogów zdawał się zadowoliony. Pierwszy raz gdy to mówiła, wzrok jej spotkał się ze wzrokiem Augusta, wyrażającym bez ogródków uwielbienie i zapał. W oczach Anny malowała się tylko zimna ciekawość i obawa.

Po tej rozmowie król odszedł zwolna. Badanego zdaleka Fürstemberg pierwszy się znalazł na drodze:

— Najjaśniejszy panie, jeśli śniem spytać teraz, czy najpiękniejsza jest także...

— Najdowcipniejszą — dokonał króla. — Hoymowi powiedzieć trzeba, aby się nie ważył żony z Drezna zabierać. Nadzwyczaj miła... trochę jeszcze dzika, ale to przede mnie czasem.

Hoym spoglądał z daleka... Jemu najtrudniej było odgadnąć myśl Anny, o której teraz z pośpiechem

nadbiegły hrabina Reuss, pana Hülchen i Vitzthumowa, otaczając ją kołem.

Król spostrzegł to dworowanie i ruszył ramionami.

— Już się kłaniają wschodzącemu słońcu — szepnął do Fürstemoerga — lecz boję się bardzo, żeby się nie zawiodły intrygantki.

Fürstchen spojrzał zdziwiony.

— I ty się mylisz i one się mylą — rzekł August spokojnie, nachylając się mu do ucha. — Hoymowa śliczną jest, od stóp do głowy ją egzaminowałem: posąg grecki ożywiony... ale nadto energiczna i bystra i zbytby panować chciała. Kilka dni temu z nią stosunku to dosyć... nie dobijam się o nic więcej. Pięknośc mnie nęci, charakter przeraża.

Fürstemberg stanął mocno zdziwiony, król poszedł dalej.

W czasie tych scen nikt nie zwracał uwagi na głowę bladą młodego człowieka, która górowała we drzwiach ponad ścisniętym tłumem. Oczy jej niespokojne chodziły za każdym krokiem Anny, a gdy król zbliżał się do niej, zapalały się ogniem strasznym i drgały w powiekach. Hoymowa kilka razy wzrokiem potoczyła po sali i nie dostrzegła tego nieszczęśliwego w tłumie, co ją otaczał. Dopiero po odejściu króla, odetchnawszy nieco swobodniej, zadumana, przyglądając się ludziom co ją otaczali... przypadkiem dojrzała... Zaklikę. Poznała go.

Wzrok jej zatrzymał się na twarzy bladej dłużej, pobladła sama, zmieszana nieco. Niepewna, czy się nie myli, spojrzała znowu... znalazła oczy wlepione jeszcze w siebie... Nie było wątpliwości, milczący jej wielbiciel z Laubegast przywłókł się aż tu za nią. W razie jego twarzy zdawała się czyciąć politywanie, smutek, trwoga.

Ta głowa nieznanego nieznajomością ją... co chwila

biegła oczyma szukac jej, pragnąc, ażeby znikła, i znajdowała jak kamienną, jak do muru przyrośniętą, jakby trupią, zawieszoną u góry z tym wyrazem litości i strachu. Dlaczego biedne to oblicze jakiegoś włóczęgi więcej ją zajęło niż jaśniejące królewskie, niż nadskakujące jej dworce, na to sobie sama odpowiedzieć nie umiała. Czuła, że jakiś tajemniczy węzeł przeznaczeń dziwnych łączył ją nicią niewidoczną z tą istotą innego świata...

Był-li to oczekujący godziny wyroku kat, czy chwili skazania czekająca ofiara, Anna nie wieǳała; lecz mówił jej głos jakiś wewnętrzny, niepozbyty, dręczący, że między tym nieznanym a nią, snuje się przeznaczeń jakichś przyszłych przepowiednia. Jak groźba, jak widmo tkwiło nad nią ta blada głowa, w której oczy łyskały i gały; stawała się coraz straszniejszą, coraz bardziej przerażającą, ilekroć wzrok jej ułkwiniony w siebie spotkała, dreszcz po niej przebiegał.

Śmiała się z siebie, a echo duszy odpowiadało jej jękiem.

W takim usposobieniu został ją kwaśny i zżółkły Hoym, który rękę podawał do wyjścia. Lecz chciał, by się właśnie skierowali ku tym drzwiom i dumanowi, ponad którym widziała owo widmo dokuczliwe... Ludzie się rozstępowali przed nimi. W chwili gdy przechodzili próg, spojrzała z trwogą i obok siebie postrzegła przylgniętego do ściany... nieznajomego z Laubegastu. Otarła się prawie o niego z obawą i, poglądając na niego, chłopak, spotkawszy jej oczy, przypadł jakby nieumyślnie na jedno kolano; czuła, jak chwycił kraj sukni jej i do ust przycisnął. Gdy się zwróciła w tę stronę, już go nie było.

Przed nią stała hrabina Reuss i prosiła Hoymów na wieczerzę do siebie, tak uprzejmie, że minister nie umiał odmówić.

Fürstemberg stał za nią. Pojechali więc z balu wprost do hrabiny, gdzie w małem kółku zwykle najdostojniejsi panowie godzinę jakąś spędzali. Tu królowała owa słynna Egerja Hülchen, dojrzałych lat panna, której król słuchać lubił i rad jej zasięgał; tu się gromadzili ci, co pragnęli władzy lub chcieli się przy niej utrzymać. Król August śmiała się z tej kliki, ale niewidzianymi sprężynami władała ona nim i dworem.

Hrabina Reuss z domu Friesen należała do głównych postaci, działających u dworu Augusta II. W jej domu odbywały się najważniejsze narady, tyczące się obalenia jednych a podniesienia drugich faworytów pana: tu przepowiadano nieochybnie łaski, jakie miały spotkać piękne panie i przeczuwano najtrafniej chwilę, gdy niestały król afekta swe w inną stronę miał obrócić.

Hoym świadomym był dobrze tego, iż hrabina Reuss, przeczuwając nową faworytę, zawsze zbiegała naprzód, by jej względy i zaufanie pozyścić; razilo go więc nadiskakiwanie hrabiny widoczne, każące się domyślać, iż w Annie widziała następczynię księży Teschen: okazać jednak gniewu i to, że grę zrozumiał, ani mógł, ani chciał. Pani Reuss przez pannę Hülchen i swe stosunki miała wpływ ogromny na dworze, narazić ją sobie było to zyskać nieprzyjaciela niebezpiecznego. Udało więc Hoym, iż nic nie widzi, nie domyśla się nikogo i poszedł na wieczór do Reussowej.

Tu towarzystwo w saloniku było ożywione, ale w przyległym gabinecie dopiero, do którego wsuwały się i wysuwały pani domu, jej przyjaciółka, Fürstemberg i inne zaufane osoby, cicho mówiono o interesach. Większe kółko rozprawiało o gałganach, strojach i plotkach, które dla nikogo nie były tajemnicą. Zdaniem powszechnem czułość króla dla

Teschen zwiastowała pewna ż nią rozstanie. Z wielu wzrodków jednak musiał August II ją oszczędzać. Wiadome były jej stosunki z Sobieskimi, pokrewieństwo z Radziejowskim i wpływy, jakie w Polsce miała, a tych właśnie król najmocniej pożrebował.

W gabinecie Reuss sypiąca przyjaciela Fürstemberga o rozmowę z królem, o wrażenie, jakie na nim uczyniła Hoymowa.

— Znam dobrze mego pana — odezwał się Fürstemberg — a szczególnie jego usposobienie dla kobiet. Hoymowa dumnie mu i ostro się zaprezentowała, trochę go to odstręczało chwilowo, ale piękność jej przemawia do jego zmysłów, a zmysły zawsze na nim biorą przedzej czy później przewagę; lęka się jej i tem goręcej pragnąć będzie... a czego chce, to mieć musi. Hoymowa nie zdaje się skłonną do odeigrania roli łatwej kochanki; wypotrzebuje swą siłę, gdy ją zdobędzie: niema wątpliwości, iż król się podda.

— Sądzisz więc, że jej panowanie nadchodzi?...

— O ile go znam, myślałbym, iż się ono zbliży; król w tej chwili pragnąłby fantazję zaspokoić, ale w związku trwałe nie wchodzić; od niej zależy, jaką będzie, jak swą sprawę poprowadzi.

— Domyślasz się księżę jej charakteru?

— Tylko przeczuwać go można — rzekł Fürstemberg — sądzę, że ani mąż, ani najbliżsi jej nie znają, a może nawet ona sama siebie taką, jaką będzie, gdy okoliczności ją wyniosą. Dziś jest to kobieta dumna, szlachetna, charakter energiczny... dowcip żywy... zdolności wielkie.

— Ale daż ona wpływać na siebie i kierować? — spytała Reuss.

Księżę się zamyślił.

— Wiem tylko — rzekł — że z rozumnemi wole mieć do czynienia, niż z temi, co nie wiedzą, co

czynią. Drogę jednych można przewidzieć, drudzy  
leżą bezrozumia i — szukać ich a gonić — trudno!

Stali jakiś czas milczący, Reuss dała mu znak,  
aby wyszedł; zadumana przeszła się kilka razy po  
gabinetie i wróciła do salonu. Tu manewrowała tak,  
iż się zbliżyła do Anny, że ją wyciągnęła z kółka,  
wprowadził a nareszcie do gabinetu i posadziła przy  
sobie.

— Kochana hrabino Annol — rzekła poważnie,  
kładąc jej rękę na kolanach — jeśli masz cierpliwość  
i pobłażanie dla starej przyjaciółki, posłuchaj mnie  
i pozwól mi mówić otwarcie. Nikt tu nas nie słyszy,  
Jesteśmy same, chcę ci być radą i pomocą. Dosyć znasz i dwór, i czasy, i siebie, ażebyś się domyśliła, że nie darmo chciano twego przybycia do Drezna. Król jest znudzony tą Teschen, a musi się w kimś kochać: to jest jego naturą... bądźmy pobłażający dla tak wielkiego i dobrego pana, któremu świat tę jego słabość wybacza; źle czy dobrze, ale tak jest i inaczej być nie może. Nam, co króla otaczamy, pozostało jedno: ze złego tego tyle, ile można dobra i korzyści dla wszystkich wyciągnąć. Możesz zająć na świętniejsze stanowisko przy królu, to nie ulega wątpliwości... ale trzeba się śpieszyć i wiezieć co czynić.

— Kochana hrabino — rzekła Anna — ambicji nie mam, w bogactwach się nie kocham: mam męża i pragnę zostać uczciwą kobietą.

— Niczym przeciwko temu do zarzucenia nie miała — uśmiechając się, mówiła Reuss — ale pozwól sobie powiedzieć, iż nie widzę przyczyny, dla którejbyś męczennicą zostać miala. Hoym jest niemiły, zużyty rozpustnik, który ci wiary nie dotrzymuje; kochać go niepodobieństwo; przedzej czy później odezwie się serce.

— Stłumię głos jego.

— Raz i drugi, ale przydałata lesknoty i zmienią... rzucisz się w objęcia czy jesteś zrozpaczy i nie będziesz szczęśliwą. Znam świat, to zwykła kolej nasza; król jest miły i piękny: życie z nim może być rajem.

— Ale król jest płochy i niestały, a takich związków, takiej miłości chwilowej, kaprysów nie pojmuje; brzydzę się nia, odpycham! To nie dla mnie.

— Słowo, kochana Hoym — rzekła Reussowa — związki te zawsze się obiecuja być trwałe, kobiety są sobie winne same, jeśli się one związają. Naprzónobędziesz go usiłowała związać choćby przysięgą, bo z niej go rozwiąże jego sumienie lub pierwszy lepszy książyna. Rękojmię trwania da ci twój własny rozum, takt i wdzięki. Mała i kochanka trzeba umieć utrzymać u nog i związać: to nasza rzecz.

Hoymowa ruszyła ramionami.

— Biedna to miłość, którą na paskach i wędzidłach trzymać trzeba — zawała — takiej nie chcę. Szczerość za szczerość, kochana hrabino — rzekła cichszym głosem — mnie nic nie potrafi ująć, tyko serce. Nie zaręczam za siebie, choć pragnę zostać Hoymowi wierną, ale tylko miłością pozyskaćby mnie można... W chwili gdy pokocham, porzucę Hoyma i jawnie stanę przy umilowanym; a ten, co mnie kochać będzie, musi być mężem moim.

— Ależ król! król!

— Choćby i królem był — zawała Hoymowa.

— Przecież wiesz, iż król jest żonaty, chociaż z żoną nie żyje.

— Musiałaby jej się wyprzysiąć, a mnie przysiągać — dokończyła Anna. — A! taką jak Esterle, Königsmarck, Teschen, ja nie zaspokoję się rołą.

Wstała, mówiąc to, i majestatycznym krokiem przeszła się po pokoju; Reussowa zamilkła; nie było już co mówić więcej.

— Uczynisz, jak ci się zda i zechcesz — rzekła — ja, jako dobra przyjaciółka, miałam za obowiązek cię przestrzec i dać dobrą radę; zostańmy więc dobremi przyjaciółkami i nie mówmy o tem: dodam tylko słowo. Stanowsko, którem wzgardzasz i o kimrem mówisz z taką obojętnością, nie jest tak nikczemnym i podrzędнем, jak sądzisz. Królowie kłaniać ci się będą, możesz rządzić krajem i wielu złemu zapobiec, ludzi ratować i czynić szczęśliwych... to przecież coś warto.

— Honor mi droższy nawet nad to wszystko — odróżwała się Hoynowa, — nie mówmy o tem.

Reussowa w milczeniu rękę jej uściśnęła i w istocie nie mówiąc już więcej, wyszły razem z gabinetu. Kobiety, znajdujące się w salce, spójrzały na nie, chcąc coś z twarzy odgadnąć. Anna była purpurowa, a Reussowa jak pergamin blada; obie jednak uśmiechały się łagodnie, jak gdyby burza przeszła i zostawiła po sobie pogodę żadną chmurką niezaćmioną.

Pod okaami migał blask pochodni towarzyszących wieczorami powozom króla, Fürstemberg się wychylił; król to w istocie jechał znudzony do Tešchen i wydawał się w blasku tych świąteł smutny, jakby był skazany na najcięższą karę. Zobaczywszy w oknie a raczej domyśliwszy się przyjaciela, August dał mu znak ręką rozpaczliwy i powozy znikły na zakręcie ulicy.

## VI

Adolf Magnus Hoym, zajmujący naowczas miejsce odpowiadające dzisiejszemu ministra skarbu, nie miał przyjaciół ani u dworu, ni w kraju. Nienawidzono go szczególnie za wprowadzenie, po tylu innych uciążliwych, najuciążliwszego podatku akcyzy. Sąsiadili się, o ile mogli i umieli, opierali się królowi,

a król, któremu nigdy nie stało się na nieobracowane jego wydań, ukrywał złe gnieź, jaki wzburzał w nim ten opór. Doradzano mu szlachtę, która się najtrudniejszą do pokonania okazywała, pozbawić reszty praw i otoczyć się obcymi, którzy by żadnych z nią stosunków i z krajem nie miały.

Rady tej w części już usłuchał August II i większa część jego ministrów i ulubieńców wzięta była z obcych krajów... Włosi, Francuzi, Niemcy z innych prowincji grali tu główne role. Hoym, człowiek zimny, niezblagany, zręczny w wyszukiwaniu coraz nowych dochodów dla króla, który to na Polskę, to na wojsko, to na uczyt i na ulubienice miljony tracił, z powodu zręczności tej w wyciskaniu grosza był w wielkich łaskach. Ale im nie dąwierzał, bo przynajmniej Beichlinga i kilka innych czynił go ostrożnym... wypatrywał tylko chwil, gdy będzie mógł, naładowawszy kieszenie, z głową i majątkiem uciec z pod panowania saskiego. Hoyma mało kto znał z bliska, wiedziano, że był gwałtowny, zwinny, chciwy, rozwiązały i pojętny, że nie przywiązywał się ani stale, ani gorąco do nikogo. Najlepiej ze wszystkich знаła go może siostra hrabina Vitzthum, która z wielką ostrożnością władała nim i kierowała, i dobierała z niego, co jej było potrzeba.

Oprócz Beichlinga, dziś zamkniętego na Koenigsteinie, przyjaciół nie miał Hoym, miewał tylko sprzymierzeńców. Nienawidził go marszałek Pilug, niecierpieli inni, Fürstemberg był z nim złe także.

Gdy po zakładzie kazano Hoymowi żonę przewieźć i pokazać ją na dworze, nie ulitował się nikt nad nim, nie pożałował go żaden: śmiało się raczej i przedrwiwano.

Nazajutrz, po balu, Hoym musiał być u króla ze sprawozdaniem. Akcyza wprowadzona znajdowała opór na prowincji. Szczególnie na Łużycach coś

nię tam szlachta głośno przeciwko niej opowiadała... Król żadnego oporu nie znosił. Po raporcie Hoyma... namarszczony August Mocny rzekł do ministra:

— Jedź mi dziś jeszcze, natychmiast. Każ kruąbrnych rozpedzić, dośledź tych, co stoją na czele i w mojem imieniu zrób porządek. Jedziesz natychmiast, bez żadnej wymówki.

Hoym, dla którego osobista jego bytność na Łużycach nie zdawała się ani potrzebną tak dajece, ani nawet pozyteczną, chciał zresztą króla przekonać, iż mógłby się kimś wyślubić i nie ruszać z Drezna, gdzie ważniejsze wstrzymywały go zajęcia.

— Niema ważniejszego nic nad złamanie obozu tych pyszałków, którym się zdało, że ja z nimi w układy wchodzić mogę... Jedź, wańpan, natychmiast, weź dragonów z sobą... Jeśli się poważną zgromadząc, rozpedzić sejmiki... Powiedz im, by się nie zapatrzywali na szlachtę polską, bo ja tego u moich poddanych nie ścierpię, a i w Polsce damy rady wkrótce szlacheckiej bucie...

Hoym jeszcze chciał się tłumaczyć, lecz August nie słuchał, powtórzył po kilkakroć:

— Jedź natychmiast! natychmiast! — Wreszcie, popatrzał na zegar: — za dwie godziny powinieneś, wańpan, być na drodze do Bydgoszczu... chcę tego tak będzie.

Z królem rozmawiać wolno tylko po pijanemu, naowczas kto się nie lękiał, aby go udusił, ścisnął go, całował, a inni i popychali; August śmiał się, na trzeźwo miał jednak wolę i jedno słowo tylko.

Hoymowi ta wyprawa na Łużyce, nazajutrz po obalu, nadzwyczaj była podejrzana; znając króla, twór i to, co się tu działo, był pewnym, że wygredzano go umyślnie, aby do jakiejś intygi nie zawadzał, by dać królowi swobodę w zbliżeniu się do jego żony. Cóż na to mógł poradzić? nic. Po-

wierzyć siostrze dezór, było to pijakowi dać klucz od piwnicy... przyjaciela nie miał, stał bezbronny... Czuł, że wszyscy spiknięci byli na niego. Przybywszy do pałacu, rzucił papiery o stół... rwał jakiś czas perukę na głowie i rękawy sukni; otworzył drzwi z trzaskiem i pobiegł jak opętany do nowego żony apartamentu.

Była samą. Ciekawem okiem zmierzył pokój, ja najdrobniejsze ołaczające przedmioty. Łoźcę malowała się na bladej jego twarzy... Anna patrzyła nanego spokojnie, będąc nawykłą do scen p. dobnych.

— Ciesz się, pani... — zawała — byłem tak głupi, żem ją tu sprowadził, teraz robią ze mną, co chcą.. Zawadzań im do intrig, król mnie odprawia precz; muszę jechać za godzinę. Zostaniesz, pani, samą...

— I coż to ma znaczyć? — pogardliwie odpowiedziała Hoymowa — czy straży wańpana pożebuję dla upilnowania mojego honoru?

— Myślę jednak, że mógłbym się przydać tu na coś, choćby dla powstrzymania zuchwałstwa ich i bezwstydu — krzyknął Hoym, stukając o stół pięścią. — Nie wyprawiliby mnie, gdybym im nie zawadzał. W tem wszystkiem czuję palce kochanego Fü stemberga, który mi dziś, śmiejąc się szydersko, tysiąc dukatów zapłacił, a wiem, że od króla dostał dziesięć za tę piękną myśl sprowadzenia tu mej jejmości.

— Hoym! — krzyknęła, podnosząc się, Anna, której oczy zaiskrzyły się — dosyć tych obelg, idź... jedź... rób, co chcesz... zostaw mnie w pokoju. Samą się obronić potrafię... Dość tego, powiadam ci: dosyć mi tego.

Hoym zamilkł, ponurym wyrazem osnuła się twarz jego, zegar przypomniał mu nadchodząca odjazdu godzinę.

— Nie potrzebuję panią ostrzegać — zawałał — wiesz, co ją tu czekać może, dodam tylko, że bezcześci nie zniosę... Wolno Vitzthumowi i innym poblażać, ja nie mam ich dobroduszności.

— Ani jam tak nisko upadła, panie Hoym — przerwała Anna — jak te panie... Zdradzać nie będę, bobym siebie poniżała: jeśli życie jeszcze mnie nieznosniejszym uczynisz, porzucę cię jawnie i głośno...

Hoym nie odezwał się więcej. Zdawał się u progu wałać jeszcze, chciał mówić, szarpał znowu perukę, ale tuż pukano do drzwi, królewski posłaniec przypominał mu godzinę odjazdu...

Z zamku śledzono chwilę, gdy Hoym będzie przez most przejeżdżał... postano za nim, aby po kryjomu nie ważył się wracać... Wedle ułożonego planu hrabina Reuss miała zaprosić do siebie Annę; król mógł tam przybyć niespodzianie, *incognito*... Vitzthumowa została zaraz wyprawioną potajemnie dla spełnienia tej misji, ale Anna odmówiła stawowczo. Naprzóźno zapewniało ja, że nikt w świecie o jej bytności wiedzieć nie będzie; domyślała się już ułożonego z królem spotkania i wręcz powiedziała to siostrze mężowskiej.

— Jesteś nadto domyślna i ostrożna — roześmiała się Vitzthum — ażebym kłamać chciała przed tobą; być mogło, iż król, ciekawy poznać cię bliżej, a wiedzący o każdym ruchu i kroku... zjawiliby się i Reussowej. A jeżeli dla nakarmienia tej ciekawości przyjedzie tu do ciebie, do pałacu, cóż zrobisz? Królowi drzwi nie zamkniesz, wszystkie się przed nim otworzą. Przyzwójże to będzie i piękniej, gdy sam-na-sam z tobą spędzi kilka godzin?.. Co na to ludzie powiedzą?

Anna pobladła.

— Ale król nie może być tutk... — zabrakło jej

wyrazu — tak... naturalnym, król będzie miał względ na sławę moją! To być nie może! toby było...

— Ja ci powiadam, że może być wszystko... że król jest znużony i ciekawy i że nie rozumie oporu i odmowy. Kobiety nauczyły go u'egością swą despotyzmu... Król tu przyjedzie, jeśli ty u Reussowej nie będziesz...

— Wiesz-że ty o tem? — spytała Anna — skąd?

— Ja nie wiem nic, ale znam mego pana — śmiejąc się dziwnie, szepnęła Vitzthum — pamiętam pewien wieczór... własnego życia...

To mówiąc, westchnęła.

Anna załamała ręce.

— A więc tu jak na gościńcu od rozbójników zbrojnym być trzeba?... Znajdę sztylet i pistolety... ani żelaza, ani prochu nie lękać się...

Rozdrażnioną wielce, Vitzthumowa starała się uspokoić i w śmiech wszystkie s'rachy obłocić.

— Powinnaś wiedzieć to — rzekła — że August nigdy w życiu żadną przemocą względem kobietę się nie splamił. To nie jest w jego charakterze... uprzejmy, grzeczny, naturalny, zoyt jest pięknym i miłym, by się do tukich środków miał uciekać...

Po drugiej rozmowie Vitzthumowa zdążyła ją nakoniec nałożyć, aby razem wieczorem do Reussowej jechały. Z tą triumfalną wiadomością pobiegła do domu i do przyjaciółki. Fürstemberg ją zaniósł do zamku.

Król zapowiedział, że na chwilę pojedzie do księstwa Teschen, a powracając ekwipażem do zamku odeśnie z pochodniami, sam zaś lektyką, którą Fürstemberg miał kazać nagotować, *incognito* zanieść się każe do brabiny Reuss.

Nim opiszemy dalszy przebieg tej wielce, w najważniejszych szczegółach nawet, prawdziwej historji, musimy skreślić czytelnikowi, równie wier-

ny wizerunek bohaterki naszej, Anny hrabiny Hoymowej.

Była sierotą samą na świecie, wyszła zamąż zmuszona a przyna, mniej niechętna... pożycie z mężem wprędce stało się nieznośnym, młodość w części już spłynęła męczeńsko. Każda inna w jej miej- scu radaby była skorzystać z nastręczającej się swobody, świetnego losu choćby nietrwałego, który potem zapewniał wdowieństwo w dostatkach, a może nawet małżeństwo inne i blaskiem pokrywające obłęd chwilowy; ale Anna wychowaną była w surowych niegdyś zasadach, oburzało ją lekkomyślne postępowanie tych kobiet, które godziły się na to, by znudzonemu panu za zabawkę służyły. Pojmowała i przypuszczała rozstanie się z nieznośnym Hoymem, bo do niego czuła tylko wstręt i nienawiść, ale nie rozumiała go inaczej, jak skutkiem miłości króla i dla króla i... wiekuistego z nim ślubu...

Ta myśl, gdyby ją była wypowiedziała komu, obudziłaby śmiech tylko... Chcieć zakuć w wiekuiste kajdany człowieka tak płocheego jak August, zdawało się czystem niepodobieństwem. Anna, wiedząc go rozdzielonym z żoną, rozumiała, że to jest możliwem.

Król był pięknym, starał się być miłym, po Hoymie mógł się jej podobać bardzo; blask korony i potęgi dodawał mu uroku, nie dziw też, że Anna miała dla niego sympatię, że jej serce uderzyło. Pomimo, iż czuła, że z nimby być mogła szczęśliwą, nie przypuściła na chwilę, aby to szczęście inaczej jak małżeństwem i przysięgą urzeczyć wiśnić się mogło...

W tych kilkunastu godzinach, jakie od balu upły- nęły, wśród wyraźnego zewsząd nacisku intryg, mających na celu zbliżenie jej do Augusta, Anna rozmyślała, zastanawiała się, ważyła i powiedziała sobie:

— Mogę być jego, lecz muszę być królową.

Opór jej Vitzthumowej był raczej już obrachowywanym niż istotnym. Chciała umyślnie drożyć się z sobą, aby się stać drogą, mając niezmiennie postanowienie raczej zerwać wszyskiego, niż stać się igraszką inttrygi. Czuła się silniejszą nad nią, zwierciadło pokazywało jej urodę i krasę młodości, w oczach króla czytala wrażenie, jakie na nim uczyniła, postanowiła korzystać z tego...

— Nie spodzę się nigdy! — wołała sama do siebie — raczej zostanę nieszczęśliwą Hoymową, niż Augusta kochanką; będę jego żoną lub mu obcą...

W tem wszystkiem było już poddanie się losowi, chodziło tylko o warunki... Nikt jednak naówczas ani mógł przypuszczać, że Hoymowa w duchu już przystała na zerwanie z mężem, rachowano na przyszłość tylko.

Młoda kobieta roiała... a marzenia są niebezpiecznymi towarzyszami w samotności.

Niekiedy rumieniąc się sama przed sobą, przyznawać musiała, że ten tak krótki pobyt na dworze już ją zmienił i wywarł na nią wpływ zgubny...

Duma i chęć panowania budziły się w niej zwolna i duszę, skłonną do poddania się im, opanowywały.

Gdy nadszedł wieczór i godzina, w której miała się ukazać na wieczorze u Reussowej, Anna ubrała się jak najstarszanniej, z niewymuszoną ale smakowną elegancją. Moda wieku dozwalała jej cudnych kształtów ręce, obnażone do ramion, i prześliczny tok karczku, i utoczone marmurowe odsłonić piersie... Cera nie polrzebiała bielidła ani różu, była świeżością wiosennej, a krew to ją oblewała purpurą, to śnieżną zostawiała po sobie białosć. Czarne krucze sploty włosów, utrefione wdzięcznie, podnosiły jeszcze blask płci przejrzystej i jak atlasy

delikatnej. Lecz wszystko to było miedem przy oczach, pełnych ognia i uroku czarodziejskiego... Oczy te, gdy się wpłyły w człowieka, mogły go doprowadzić do szalu, mówiły więcej niż ona sama kiedykolwiek usty wymówić mogły. Był w nich ten nieokreślony wdzięk tajemnicy, niebadany, nęiący, niepokojący, który ciągnie jak wejrzenie bieczonego bazylioska, co jednym zabijało blykiem.

Przejrzawszy się w zwierciedle Anna, znalazła się sama tak piękną, iż się swej postaci uśmiechnęła... Uorana była czarno, a powszechnych wstęp pęki odzywały strój fantastyczny i malowniczy. Vitzthumowa, która zajechała po nią, ujrzała ją z progu pokoju, krzyknęła z podziwu: znalazła ją tak piękną, tak piękną, iż nawet rzucenie pod stopy jej korony nie byłoby jej zdziwiło...

— I ty mówisz — zakrzyknęła, ręce lamiąc — że chcesz w zaciszu przemęczyć się z moim bratem... a stroisz się w takie wdzięki przeciw królowi?

— Jużciż — odparła zimno Anna — żadna kobieta dobrowolnie brzydką się nie czyni.

— Aleś ty mistrzyni wieka i rady do stroju nie potrzebujesz... No, jedźmy...

Ten sam okrzyk i ciche szepty radosne przywitały ją u pani Reuss. Piękność jej, która na balu była już zwycięską, tu wydawała się promieniującą. Wszystkie te panie, co się nie wyrzekły były pretensji do wdzięku, poczuły się teraz staremi i zwiędłymi. Anna, o której wiedzano, iż ma lat dwadzieścia cztery, wyglądała na osminaście. Była to Diana starożytna z całą swoją dumą dziewczęią i surowością leśnego bóstwa, co się zdala od oczów tłumu schowała...

Nikt się tak nie cieszył jak hrabina Reuss, bo jej widokom odpowiadało to najlepiej. Annę otoczono kołem, zawczasu czcząc ją jak królowę i sta-

rając się jej laski pozyskać. Fürstemberg, poprzedzający króla na chwilę, zobaczywszy Hoymową, celupiał.

— Znam króla — rzekł, — ta kobieta zrobi z nim, co zechce, jeśli się potrafi opierać.

Annę prowadził instynkt i wcale jej uczyć nie było potrzeba.

Po chwili drzwi się otworzyły dyskretnie od gabinetu, król wszedł. Od progu już szukał tej, którą chciał widzieć; ujrzawszy ją, zarumienił się, pobiadł, zmieszał i, zapomniawszy o gospodynii, przybiegł ją najprzód przywitać. Na czole jego nie pozostało śladu smutnych przygód ze Szwedami, niewdzięczności polskiej, miljonowych strań, zrad i zawodów.

Anna przywitala go zdala ceremonialnie i chłodno, ale strój już sam mówią wiele. Czciała się podobać, to było oczywistem i dawało dobrą nadzieję.

Pomimo doznanego wrażenia, król chciał zachować wszystkie formy grzeczności i wzgódów, należnych płci pięknej. Chociaż niecierpiął hrabiny Reuss, usiadł przy niej na chwilę, rozmawiając bardzo uprzejmie, ale oczów od Anny nie odrywał. Na osobności poszeptał coś z panną Hülchen... potem uśmiechnął się do Vitzthumowej, naokół obdarzył wejrzemami i galanterią wszystkie przytomne panie bez wyjątku. W czasie tego ceremonialnego obchodu pani Vitzthum miała czas ująć bratową pod ramię i zaprowadzić ją do gabinetu pod pozorem jakiejś pilnej, ciekawej rozmowy. Był to strategiczny manewr dla ułatwienia królowi słodkiego *tête à tête*, bo jak tylko August ukazał się w progu i zagaił kilku słów rozmowę z Hoymową, pani Vitzthum poczęła się wysuwać powoli ku salce i znikła.

Drzwi zostały wprawdzie otwarte i podniesiona

portiera dezwalała przechadzającym się po salonie paniom oglądać zdala oblicze Najjaśniejszego Pana, ale nikt nie mógł stąd posłyszeć, co mówili między sobą.

August już dziś wczorajszej obawy zapomniał, widocznie był rozplomieniony.

— Pani jesteś dziś jeszcze piękniejszą a zupełnie inną niż wczoraj! Pani jesteś czarodziejką... — zawałał, nie hamując się wcale.

Hoymowa się skloniła.

— Najjaśniejszy Pan tak znanym jesteś ze swojej pobłażliwości i grzeczności dla kobiet, iż najpotchlebniejszym jego wyrazom trudno uwierzyć — odezwała się Anna.

— Wymagasz pani przysięgi na wszystkie bóstwa Olimpu przysiąc jestem gotowy... Tak pięknej kobiety nie widziałem w życiu i zdumiewam się nielitości losu, który takiego anioła oddał w ręce mojej obrzydliwej akcyzy.

Anna mimowoli się roześmiała, pierwszy raz z pod warg różowych wyszedł rząd białych jak perły ząbków. Uśmiech ten nadał nowy wyraz całej jej fizjognomii, stała się jeszcze bardziej urocza... Dwa małe dolki, jakby wyciągane, ukazały się na rumianych policzkach i znikły... Twarz oblała chwilę karminem... biała zwolna i przechodziła w ton jakby blaskiem wewnętrznym ogrzany...

Król spojrzał na ręce, a namiętnie lubił piękne ręce całować, i ledwie się mógł powstrzymać od przyciśnięcia ich do ust. Były to arcydzieła snyderowskie... W głowie mu zwracać się poczynało...

— Gdybym był tyranem — zawałał — Hoymowiczym wrócić tu nie pozwolił, bom zazdrosny o tego Wulkana...

— Wulkan jest też zazdrosny — odparła Anna...

— A Wenus przecież go kochać nie może?

Milczenie było odpowiedzią. Długo król czekał.

— Jeśli nie miłość, są inne kajdany, co wiążą  
może silniej nad nią: łańcuchy obowiązku i przy-  
sięgi.

Król się uśmiechnął.

— Przysięgi? w miłości?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, w małżeństwie.

— Ale są małżeństwa świętokradzkie — rzekł  
August — a za takie uważam, gdy się piękność łączy  
z taką nieznośną szpetotą... Bogowie naówczas zła-  
manie przysiąg rozgrzeszą.

— Ale dama ich skruszać nie dopuszcza.

— Surową pani jesteś.

— Więcej niż się może zdaje Waszej Królew-  
skiej Mości.

— Przerażasz mnie, hrabiino!...

— Was, Najjaśniejszy Panie? — uśmiechając się  
poczęła Anna... — nie sądziłam, abyś Wasza Kró-  
lewska Mość miał się tem choć cokolwiek czuć  
dotkniętym... Cóż ta surowość może pana mego  
obchodzić?

— Więcej niż się pani zdaje — podchwycił król,  
własne jej powtarzając wyrazy.

— Tego zrozumieć nie mogę — szepnęła po-  
cichu Anna.

— Jako? więc pani nie chcesz widzieć tego,  
że ja od wezoraj pierwszym jej wejrzeniem zosta-  
łem podbity?

— Moja zdobyca — odpowiedziała Anna — za-  
pewne nie polita do jutrzynki... Wasza Królewska  
Mość dziesz tą sławę z bogami, że łatwo kochać  
i zapominać umiesz...

— Nie — zawołał król czule — potwarze to są...  
Cóżem winien, że nigdy nie trafiłem na serce, na  
umysł, na piękność, coby mnie stale przywiązać  
mogły. Nie ja niewiernym jestem... mnie zdradzają.

Codziennie spada z tych bogin jedna zasłona... co-dziennie gaśnie urok jeden... cud staje się powszednim zjawiskiem, anioł traci skrzydła... a w sercu zamiast miłości, znajduję założność i chłody... Cóżem winien?... Wierz mi, pani—dodał, unosząc się coraz, — ja szukam, do kogobym całe życie mógł należeć, komubym mógł zostać wiernym; gdybym znalazł to serce, tę kobietę... oddałbym się jej cały.

— Trudno temu uwierzyć — szepnęła Anna — a trudniej jeszcze przypuścić żywą taką doskonałość, coby Waszej Królewskiej Mości godną była.

— Wierz mi, pani — przerwał August, — że ja w tej chwili w was widzę...

— Po dniu białym, niestety, inaczejbym się wydała, a po kilku dniach białych... zgasły urok nowości... ani mi łaska Waszej Królewskiej Mości zwrócić może biedną głowę, bo się jej czuję niegodną.

— Pani jesteś zachwycająca — zawała August, siegając po jej rękę.

Anna chciała ją cofnąć, lecz etykieta na to nie pozwalała; król, pochwyciwszy białą rękę, pieścił ją i całował tak długo, że nareczie, z całym poszatowaniem dla Jego Królewskiej Mości, Anna, w płomieniach stojąc, by z salonu kto nie zobaczył tego zbliżenia ich do siebie, musiała zlekka ją wyrwać...

August wstał, cały wzruszony.

— Nie mogę się od pani oderwać — rzekł, — będę zapewne musiał w pomoc niedolążnym zapadom, które, jak widzę, żadnego na niej nie czynią wrażenia, wezwać moją władzę królewską. Niech mi się pani nie waży wyjeżdżać z miasta, aresztuję ją... Co się tyczy Hoyma, tylko wstawienie się jej może jego los osłodzić. Dziś miałbym ochotę...

Nie dokonał. Anna nie myślała się jakos wstawiać...

Rozmowa byłaby się przeciągnęła nie wiem jak długo, gdyż August był niezmiernie ożywiony, gdyby pani Reuss, niewiadomo z jakiego powodu przyspieszywszy wieczerzę cukrową, nie weszła na nią zaprosić króla, który rękę podał Hoymowej. Był to raczej podwieczorek tylko na sposób włoki, złożony ze słodyczy, owoców i wina... Król najpierwszy wychylił za zdrowie żony ministra... Fürstemberg baczną na Najjaśniejszego Pana zwracał uwagę...

— Teschen przepadła! — rzekł na ucho Vilzthumowej.

— I mój brat także! widzę to jasno — szepnęła piękna pani — byle bratowa rozmów miała...

— Byle go nie miała nadto... — dodał Fürstemberg... — Patrz pani, jak wygląda zimną i panią siebie; król z całą usilnością oczarowania nie potrafił jej pono głowy zwrócić, a sam mi się wydaje już nieprzytomnym...

Po tej *collazione*, od której wstawał każdy gdy chciał, panie się znowu powysuwały, a August zręcznie bardzo rozmową swą usiłował zatrzymać Hoymową... Została, nie wyrywając się, była wesołą, swobodną, lecz i Fürstemberg i król wiedzieli dobrze, iż była zupełnie panią siebie i że świętym triumfem, jaki odniosła, wcale jej upoił. Pierwszy raz w życiu trafiło się Augustowi spotkać z kobietą, która jego miłości nie uległa tak skoro jak inne, i wcale nie zdawała się chcieć z niej korzystać.

Ubodło go to mocno.

Przytomność i lodowaty chłód tej kobiety zaczynały go gniewać... ale zarazem reżarzały powiętą miłość.

W pierwszej chwili zamknął tylko z panią Hoymową zawiązać kilkodniowy galanteryjny stosunek, któryby pod zasłoną tajemnicę nawet klejonej Te-

schen nie wyręgował z serca; postrzegał teraz, że z tą piękną panią daleko trudniej przyjdzie... niż zrazu rachował...

Anna śmiała się, żartowała, była bardzo zabawną; widocznie starała się na wzelki sposób króla usidlić, lecz sa na stawila mu się prawie coraz zimniejszą, śmelszą i nieprzystępniejszą. Zamiaist postępować jak zwykle z Jowiszowem szczególniem przyśpieszonemi kroki do celu, król August widzial się coraz dalej od niego.

W końcu rozmowy, gdy się stał natarczywszym i nie osłaniając swego zapału, dopraszał się kącika w sercu... pięknej pani, zupełnie już z nim oswojona Anna odpowiedziała dobrze:

— Najjaśniejszy Panie, dań mi, lecz zmuszasz do niemilego wyznania. Jestem jedną z tych nieszczęśliwych, słabych istot, którym duma służy za całą ich siłę. Jeśli Wasza Królewska Mość sądzisz, iż olśniona urokiem, którego potęgę uznaję, zapomnę, com sobie winna, że mają chwilowy szal o władnie i dla uroków jego przyszłość zniknie z oczów, mylisz się, Najjaśniejszy Panie: Anna Hoym nie będzie nigdy niczyją, nawet królewską kochanką chwilową... Serce moje odda się całe, na zawsze, lub... nigdy...

To mówiąc, wstała od stołu szybko i przeszła do salonu.

Wkrótce potem król z Fürstembergiem wychnął się z mieszkania hrabiny Reuss, która, dostrzegłszy go, wybiegła za nim na schody. Na twarzy Augusta nie było wesołości i nadziei, pochmurny był i smutny. Hracina Reuss poznała z wrażu, jak się rozeszli z Hoymowa, udala niezmiernie uboewanie nad tem; lecz w rzeczy nie była wcale gniewną na Annę, stosunek jej z królem trudniej zawarty, stałszym był obyczaj. Mi-

łostki krótkie, któreby książny Teschen nie oba-  
liły wcale, nie odpowiadały jej myśli; przezeń Annę  
spodziewała się i ona pewnie, aby wpływu pozyskać.

— Kochana hrabino — szepnął król, ocznodząc  
— staraj się zmiękczyć ten posąg. Piękna jest jak  
Wenus, to prawda, lecz i serce ma z marmuru.

Nim pani Reuss odpowiedziała, król począł  
schodzić ze schodów. Rozmowa z poufnym przy-  
jacielem jak Fürstemberg w innym już była tonie.

— Kobieta jest zachwycająca — rzekł król — ale  
przerażająca razem: jak lód zimna...

— Najjaśniejszy Panie! trzeba czasu... Kobiety  
są różnych umysłów i temperamentów, cóż dziw-  
nego, że się bronii...

— Broni! ale ona wyraźne mówi, że wiekuistych  
chce ślubów...

— Każda miłość z początku myśli, że powinna  
być wiekuistą, i każdej się przyrzeka... że nią będzie.

— Z tą nie przyjdzie łatwo — dodał August. —  
Teschen była daleko powońniejszą.

— Najjaśniejszy Panie, ale między nimi po-  
równania niema...

— Nieśtet! to prawda... Teschen jej nie dorów-  
nywa... Poślijcie Hoymowi rozkaz, aby mi się wró-  
ać nie ważył...

— Ale cóż on tam robić będzie? — rozśmiała się  
książę.

— Niech robi, co chce, niech ze szlachtą sie  
kłóci, niech im bałamuci żony — przerwał król, —  
nadewszystko niech zbiera jak najwięcej pieniędzy,  
bo mam przeczucie, że moja nowa miłość wiele  
ich kosztować będzie. Taki brylant musi być ko-  
niecznie w złoto oprawny...

— Jakto? Najjaśniejszy Panie, już miłość?

— Wściekła! Fürstchen, rób, co chcesz... Anna  
być musi moją...

- A Urszula...
- Żeń się z nią.
- Dziękuję...
- Ożeń z nią, kogo chcesz... zrób, co się podoba... to rzecz skończona...
- Już, Najjaśniejszy Panie? — zapytał książę ze złej utajoną radością.
- Zrywam... zerwę... Hoyma ozłocę... ciebie... ja...
- Ale skąd tyle złota weźmiemy!
- Na to Hoyma rozum — odparł król, — piszcie miu, niech sam się o akcyzę rozprawia, niech śledzi, bada, jeździ, egzekwuje, byle nie wracał.
- Aż gdy już nie będzie miał poco! — szepnął książę, — to się rozumie.

Król westchnął... weszli do pałacu, August wprost udał się do sypialni, smutny i zamyślony. Ostatnia kampania nie tyle go zgryzła, co niepowodzenie tego wieczora.

## VII

W ten sposób rozpoczęło się na dworze Augusta II jedno z panowań kobiecych, które dłużej nad inne trwać miało.

Całe miasto i dwór śledzili z niespokojnem zajęciem przebieg sprawy, której koniec łatwym był do odgadnięcia.

Nie przyszedł im jednak tak rychło, jak ludzie sądzili, z innych wnosząc wypadków. Hoyma posyłanemi po niego kurjerami wstrzymywano coraz dłużej, nie dozwalając mu powracać.

Codziennie hrabina Reuss, pani Vitzthum, książę, wymyślali najrozmaitsze pozory dla zbliżenia króla do pięknej Anny; codziennie pani Hoym była z nim śmiały i poufalszą, ale August od owego wieczora w hrabiny Reuss nie postąpił ani na krok, nie usły-

szal nic innego nad to, co ma naowczas zapowiedziała. Piękna Anna nie ustępowała wcale, chłód jej, przytomność i panowanie nad sobą w końcu wszyskich niepokoń zaczynały. Obawiano się, aby się król nie zraził, nie odstąpił, aby nie skorzystano ze znużenia jego dla ułatwienia innego wyboru. Pani Hoym, ilekroć ją badano, odpowiadała chłodno, że może być żoną, lecz nie chce zostać kochanką. Wymagała, jeśli nie ożenienia, któremu stała na przeszkodzie królowa Krystyna Fetherdyna, to uroczystego zapewnienia, iż król ją poślubi, jeśli owdowieje.

Warunek był zaprawdę dziwny i niezwyczajny; w innym czasie, na innym dworze, wśród mniej płochłych ludzi, byłby się wydawał niemożliwym, przecież król August, gdy mu pierwszy raz o nim doniósł Fürstemberg, nie odpowiedział ani sioła.

— Przyznam ci się — rzekł do niego w kilka godzin potem — żem znadzony temi przedmiotami konkurencji raz przecie skończyć to potrzeba...

— Zerwać? — spytał książę.

— Zobaczmy — lakonicznie odezwał się król.

Więcej nawet zwykłego jego powiernik nie mógł się dowiedzieć.

Tegoż dnia król August kazał ze skarbu przywieźć do gabinetu sto tysięcy talarów w złocie. Wóz był ogromny, i dwóch go ludzi musiało dźwigać, choć silnych i barczystych. Gdy go złożono na ziemi, król rękę wyciągnął, chwycił za sznury i brzegi i podniósł bez trudności. Była to próba tylko... Fürstemberg nie śniał się dopytywać o przeznaczenie tego skarbu, bo król był chmurny i opryskiwy... W przeddzień August widział się z Hoymową w bażantarni, dokąd ją przyjaciółki na perchadzkę wywozły. Mówił z nia, chodząc, długo, był niezmiennie czuły, lecz puni oblewała go chla-

dom i gdy odjeżdżała, Vitzthumowa zapewniała, że na twarzy jego wprawdzie skrywanego, lecz straszniejszego gniewu nie widziała nigdy jeszcze.

Widoczne było dla wszystkich, iż się stanowcze wypadki zbliżały. Król był milczący. Jeździł niemal codziennie do księżnej Teschen, która tonęła we łzach, gdy jej donoszono o Hoymowej, i osuśała je zobaczywszy Augusta. W tej niepewności przeszło kilka tygodni, czas, który się dworskim wydał niezmiernie długim. Nie wiedzieli, komu się kłaniać i dokąd iść z hołdami i plotkami. Naostatek Hoymowi już nie pozwolono, ale nakazano wracać, bo w skarbie dawała się czuć niebytność jego: on go najskuteczniej zasiął.

Właśnie tego dnia, gdy się z powrotem spodziewano ministra, król z owem stu tysiącami talarów w karcie, kazał wieczorem jechać do pałacu Hoyma...

Była szara godzina i dzień jesienny a mglisty. Hrabina Hoym sama jedna w domu chodziła zamysiona po swoim saloniku, dość niewykwintnie przybranym. Nie przyjmowała u siebie innych odwiedzin nad kobiece, zdziwiona była mocno, usłyszawszy męskie głosy na schodach, a bardziej jeszcze, gdy bez żadnego oznajmienia otwarły się drzwi i wszedł król.

Drzwi natychmiast zamknęły się za nim. Przezrażona tem zjawiskiem, które nic dobrego nie zapowiadało, śmiała kobieta cofnęła się kroków kilka. Na stoliku leżał zawsze od pierwszych dni jej pobytu w Dreźnie pistolet nabity: był to jej nieodstępny towarzysz.

Smiano się z niej, bo go tam wszyscy u nej widzieli. Gdy król wszedł, Hoymowa chwyciła pistolet i wsunęła go pod chustkę, którą była okryta. Jakkolwiek ruch ten był żywy i zdawał się niepostrzeżony, eka królewskiego nie uszedł.

— Nie potrzebujesz, pani, żadnej obrony — za wołał — a ta, któraś sobie wybrała, nanicby przydatną nie była...

Anna wlepila w niego oczy, nie mogąc przemówić jeszcze.

— Słuchaj mnie, pani — kończył August, rzucając wor złota na ziemię z taką siłą, iż pękł i dukaty rozsypały się, brzęcząc po posadzce — mogę cię obsypać złotem, dostojeństwy i tytułami...

W tej chwili przyniesione z sobą wziął dwie podkowy i zgruchotał je w rękach, rzucając kawały ich na kupę złota.

— Ale mogę — dodał — to, co mi się opiera, złamać, jak kruszę to żelazo. Masz, pani, do wyboru: złoto lub żelazo, pokój i miłość, lub wońę.

Anna stała, obcześniej patrząc na kupę złota i połamane żelastwo.

— Najjaśniejszy Panie! — odezwała się po chwili — ja się nie lękam śmierci, ani pragnę złota. Możesz mnie zgnięć jak te podkowy: woli mojej nie złamiesz. Złoto jej nie roztopi. Dlaczegoż nie przynosisz mi jednej rzeczy, która mnie poruszyć i zwyciężyć może? — twego serca?

August podbiegł ku niej.

— Masz je oddawnal — krzyknął.

— Nie widzę tego i nie czuję — poczęła powoli Hoymowa, — serce się objawia czynem: serce, co kocha, nie może pragnąć zbezczescić to, co ukochato. Nie będę taci ci, królu, kocham cię! Nie moglam się oprzeć tej miłości, ale jej nie splamię...

Król żywo poskoczył ku niej i ukląkł; Anna uciekła w drugi koniec sali.

— Posłuchaj mnie, królu.

— Rozkazuj.

— Anna Hoym inaczej twoją nie będzie, jak gdy się godna twej miłości uezuje...

— Więc warunki? mówią jakie są warunki?

— Przyrzeczenie ożerienia na piśmie.

August, słysząc to, zamilkł, spuścił głowę, brwi zmarszczyły.

— Anno — rzekł — to dla ciebie samej niebezpieczny warunek: wierzaj mi.

— Nie odstąpię od niego; życie zań dam, nie odstąpię. Moja cześć tego wymaga. W myśli i nadzieję będę żoną twoją lub... nie dotkniesz mnie, bo strzałem sobie odbiorę życie.

Król cofnął się krok...

— Dobrze więc — rzekł — chcesz tego, mieć będziesz...

Anna krzyknęła radośnie.

— Reszta jest niczem przy tem — odezwała się głosem, w którym brzmiało szczęście. — Muszę mieć rozwód z Hoymem.

— Jutro każę go w konsystorzu podpisać — pośpiesznie dodał król. — Cóż więcej?

— Z mej strony więcej nie mam nic — przylekając przed królem, złamanym głosem odezwała się Anna — dla mnie tego dosyć...

— Ale niedoś dla króla, dla mnie — podchwycił August, porywając ją w objęcia, z których zsuwając się na ziemię, Anna się zwolniła.

— Najjaśniejszy Panie — krzyknęła, — wierzę twojemu słowu królewskiemu; lecz nim się dam dotknąć siebie, muszą pęknąć okowy, co mnie wiążą: rozwód musi być ogłoszony, przyrzeczenie twe podpisane. Jestem żoną Hoyma, przysięgam mu wierność i dochowam jej.

August, milcząc, w rękę ją pocałował.

— Czyń, co ci się podoba, co cię uspokoi... am twój niewolnik, tyś pani moja! Dzisiaj przyjeżdża Hoym... rozstań się z nim... jutro pałac dla siebie gotować każę; sto tysięcy talarów rocznie

i całe moje dwa królestwa u nog twoich, a z nimi, ja...

Anna, widząc go klęczącego, zlekka pocałowała go w czoło i odskoczyła.

— Do jutra!

— Mam wyjść? — spytał August.

— Do jutra!

Podała mu rękę.

Król posłuszny wstał, pocałował ją i skierował się ku drzwiom wzduchając. Na posadzce sali kupa złota rozrzuciona została.

Tejże nocy hrabia Hoym powrócił, pobiegł do drzwi żony i zastał je zamknięte; powiedziano mu, iż pani spała, była chora i budzić się zakazała.

W przedłużonej nad wolę swoją i potrzebę podróżą, hrabia coraz mocniej niecierpliwiał się i niepokoił o żonę. Miał wprawdzie swoich zauszników, którzy mu regularnie codziennie donosili o każdym jej widomym kroku i ruchu; lecz ze wzmianek o odwiedzinach i przejażdżkach, w których zawsze prawie i siostra jego pani Vitzthum udział brała, nic bardziej zdrożnego wnosić nie mógł. Czuł ponownie to, iż intriga związana rosła i płatała się coraz silniej, grożąc jego pozycji małżeńskiemu, ale do kogo miał się udać, aby się o to upomnieć? U góry stał król, a króla lękął się Hoym nad wyraz wszelki, bo go lepiej znał nad innych. Jego pozorna słodycz, dobroć, łagodność nie łudziły go wcale. Los swojego dobroczyńcy Beichlinga miał ciągle na oczach. Największą rąkojmią diań był charakter żony, jej dumą i miłość dobrej sławy.

Przybywając do Drezna, nie wiedział o niczym więcej nad to, co mu usłużni jego szpiegowie donosili; w samem mieście od ludzi dworu niewiele się spodziewał dowiedzieć.

Godzina spóźniona, a choć na zamku król bie-

siadował jeszcze, Hoym się już tam dostać nie kuśił; pojechał więc do domu i drzwi żony znalazły zamknięte, sam udał się na spoczynek po podróży.

Nazajutrz rano obiegli go urzędnicy od akcyzy; król przysiął, aby się stawił do zamku, tak, że nie widząc się z Anną, wyruszyć musiał.

Nadzwyczaj słodko i uprzejmie przyjął go król, uścisnąłwszy (był to znak najgorszy). Wymawiał mu nawet, że się tak długo w podróży zabawił, chociaż sam starał się o to, aby była przedłużona: udał, że wcale o tem nie wiedział.

Hoym z zadziwieniem spojrzał królowi w oczy.  
Nie mówiły nic.

— Masz nieprzyjaciół na dworze, to rzecz oczywista — szepnął August uderzając go po ramieniu — chciano cię od mojego boku oddalić; ale nie lękaj się, masz też we mnie silniejszego nad nich przyjaciela, a ten krzywdy ci nigdy uczynić nie da.

Hoym podziękował za łaskę pańską. W rozmowie o akcyzie i skarbie król stęknął na niedostatek pieniędzy.

— Hoym kochany, na wszelki sposób musisz się mi ich starać, potrzebuję ogromnie wiele.

Było około południa, gdy z tej audiencji, która mu wiele dała do myślenia, do domu powrócił. Załedwie się za nim drzwi gabinetu zamknęły, gdy drugie od sali się otwarły i Anna, ubrana czarno, jaśniejącą pięknością, spokojna i poważna, weszła, drzwi te zamykając na klucz za sobą.

Hoym podbiegł ku niej żywo: przyjęła go chłodno i z daleka trzymając.

— Czekałem was, panie hrabio — rzekła głosem swobodnym, — przychodzę mu podziękować za wszystko dobre, jakiegom od niego doświadczała, i zapewnić, że wspomnienie o tem zachowam na zawsze; ale zarazem muszę mu wyznać, iż małżeństwo

nasze, na wzajemnej sympatji nie o parte, nie dając ani dla was, ani dla mnie rękojmi szczęścia, zmierza do rozłączenia się: kilka lat ciężkiej próby nie dozwalały lepiej wróżyć na przyszłość. Trzeba się rozstać, panie hrabio. Znasz mnie pan, iż jestem otwartą i lubię postępować jawnie. Jego królewska mość uczynił mi ten zaszczyt, iż oświadczył się z przyjaźnią dla mnie: godzien jest, bym jej nie odtrąciła. Kocham go i postanowiłam być posłuszną. Zdradzać jednak waszmość pana nie mogę i nie chcę; przychodzę żądać rozwodu, który honor waszego imienia ocali. Nie możemy postępować inaczej. Jeśli rozwód z dobrej woli pan przyjmiesz, może z być pewien mojej przychylności dla siebie i będę się starała być mu pomocną we wszystkiem; jeśli zechcesz mi przeszkadzać i sprzeciwiać się, nie zmieni to mojego postanowienia, a zmusi zapomnieć o mojej wdzięczności dla niego, pamiętać tylko, że szczęściu memu stajesz na przeszkodzie.

Hoym, który od pierwszych wyrazów urzędnego i chłodnego przemówienia żony swej wszystkiego się domyślił, cofnął się jak piorunem rażony. Obawiał się on wszystkiego, ale nie przypuszczał, ażeby rzeczy już w tej chwili zaszły tak daleko.

Blada jego twarz okryła się siną niemal czerwonością; krew go dusiła, chciał kilka razy mowę przerwać i wybuchnąć: Anna trzymała go ostrym wzrokiem na miejscu, dopóki nie dokonała. Hoyma oburzała i treść jej słów, a nadewszystko chłód, obojętność, z jaką je wymawiała.

Bawiła się sznurami swej sukni, koronką rękawa, chusteczką, którą miała w białych palcach.

Hrabina przestała już mówić, gdy Hoym, w którym gniew się burzył niewysłowiony, jeszcze wyiąknąć słowa nie umiał.

— Mościa pani — krzyknął z namiętnością, podnosząc pięść do góry — wywdzięczasz mi się łaskawie za to, żem cię z zapleśnieiałego kąta wyciągnął... Odegrzałem żmiję... Rzucasz, waćpani, męża i dom uczczciwy, aby pójść na łaskę i niełaskę najlekkomyślniejszego z ludzi.

Anna nie dała mu mówić dalej.

— Dosyć, panie hrabio, wiem od razu, co mówić będziesz, ale wiem też, co czynię. Staranie o mój los mnie zostawcie. Mojego postanowienia nic nie zachwieje. Proszę go o jedno tylko, o wybór: chcesz-li z dobrej woli przystać na rozwód czy nie? mamy zostać przyjaciółmi czy wrogami? tak czy nie?

Hoym był najbałamutniejszym, najrozpustniejszym z ludzi tego dworu, na którym rozwiązałość zwała się galanterią; stosunek jego z żoną był jak najgorszy, miłość dla niej ostygła; w tej chwili jednak gdy pomyślał, że ją ma postradać, żal, zazdrość, gniew, opanowały go aż do odjęcia mu przytomności.

Wedle zwyczaju swojego, gdy był w złości, począł szarpać odzież i perukę, latać po gabinecie, rozbijając krzesła i bijąc o stoły. Łamał ręce, stawał w oknie patrząc bezmyślnie w ulicę; to znowu przypadał groźny do hrabiny, która nań nieulek-niona czekała z uśmiechem prawie pogardliwym; zaczynał mówić i przerywał, biegając znowu. Miał zupełnie pozór oszalałego człowieka, który już nie wie, co czyni.

Stosy papierów rzucił pod nogi i deptał niemi, stół obalił. Cała ta pasja, którą może chciał przebrazić żonę, najmniejszego na niej nie wywarła wrażenia. Anna, niemal szyderczo patrząc nań, cofała się milcząca i czekała. Nie mogąc wreszcie doczeKać się odpowiedzi, głosem spokojnym odezwała się:

— Widzę, że pan nie możesz się tak prędko zdecydować, co sobie obierasz, pokój czy wojnę; daję więc czas do namysłu. Przypominam tylko wam, że wojna ze mną i królem może być cokolwiek niebezpieczna; masz do wyboru albo wzrost lub upadek.

I wyszła, nie czekając już odpowiedzi.

Hoym latał ciągle, rwał na siebie odzież, siadał, wstawał, rozpaczal i byłby tak przetrwał nie wiem jak długo, gdyby go nadchodzący Vitzthum nie rozbudził z tych szalów.

— Co ci jest, Hoym? — zawołał — co ci się stało?

— Co się stało? al! wy to lepiej z pewnością wiecie ode mnie, kochani przyjaciele, coście mi tę miłą zgotowali niespodziankę. Anna mnie rzucił królowi jeszcze i tej potrzeba było. Pocóż szła za mnie? dlaczego mi dała tych kilka lat szczęścia, ażeby niegodnie zdradzić, zesromocić w oczach ludzi i wystawić na sztywnieństwo...

Vitzthum dał mu się wyburzyć.

— Słuchaj, Hoymie — rzekł — bardzo pojmuję, że ci pięknej Anny żał być może, ale nigdy nie miałeś jej serca, a bałamuściłeś się tak, iż wątpię, żebyś i ty ją tak bardzo ubóstwił. Jest to sprawa miłości własnej. O honor nie idzie, bo żona cię porzuca. Mówmy rozsądnie, ja przychodzę tu z połeceniem od króla.

Hoym namarszczył się, odskoczył i zamilkł.

— Cóż najjaśniejszy pan każe? — mruknął ironicznie.

— Żąda, abyś doznił na rozwód z żoną, za co ci łaskę i wdzięczność swą przyczeka — dodał Vitzthum. — W przeciwnym razie, moj Kochany Hoym, bardzo mi cię żał, ale muszę ci oznajmić, iż się narażasz na najgroźniejsze następstwa. Masz wybór, z królem do walki stanąć nie możesz. Naj-

mniejsza przykrość, wyrządzona hrabinie, uważaną będzie za obraz majestatu.

— Ale pocóż chcecie mojego zezwolenia? — wybuchnął Hoym — wszakże król i bez niego uczyć może, co mu się podoba. Konsystorz jemu, nie mnie będzie posłusznym. Ja tu nic nie znaczę... Zabiera mi, com miał najdroższego, niech bierze, ale niech nie żąda, abym jeszcze za to mu dziękował.

Vitzthum się uśmiechnął.

— Jest to dowód łaski króla, że chce na to przyzwolenia twego, co i bez niego mieć może. Widzieć w tem powinieneś chęć zatrzymania cię na stanowisku.

— Bom mu potrzebny! — mruknął Hoym.

Vitzthum usiadł na kanapie.

— Kochany hrabio, namyśl się — rzekł — gdy wyjdę stąd, będzie po czasie.

Hoym znowu biegał i co spotkał, wywracał, wkońcu śmiać się począł, ale bolesnym śmiechem, pełnym goryczy, i padł w krzesło...

— Hoym, król czeka na odpowiedź? — zapytał Vitzthum.

— Wszakże nie mogła być wątpliwą — odparł minister — szyderstwem jest pytać odartego z sukni o pozwolenie zatrzymania jej, grożąc mu pałką nad głową. A więc naturalnie, kochany szwagrze, zaniesiesz odpowiedź najjaśniejszemu panu, że jestem mu nadzwyczaj wdzięczny, iż raczył mię odciążarą tej kobiety uwolnić; że zgadzam się na wszystko, żem rad, szczęśliwy, wesoły i całuję pańską rękę jego. Przecież to honor niepospolity ofiarować najjaśniejszemu panu od ust nadgryziony owoc... cha! cha!

— Gdybyć wypił szklankę zimnej wody — szepnął Vitzthum biorąc za kapelusz — he?

Ze współczuciem podał rękę Hoymowi.

— Wierz mi — rzekł cicho, — ty jeszcze lepiej na tem z łaski żony wychodzisz niż inni. Powiem królowi, że się zgadzasz... ochloniesz i odbolejesz.

Vitzthum przypomnieć sobie zapewne musiał, mówiąc to, własną swą przygodę z siostrą Hoymą, która krótką chwilę szczyciła się łaską najjaśniejszego pana.

Na odpowiedź męża oczekiwali sam król w zamku, lecz zniecierpliwiony wkońcu, kazał się zanieść do pałacu Hoyma i wszedł do pokojów Anny... Vitzthum miał się udać na zamek, gdy mu oznajmiono, iż król o trzy kroki nań czeka. Z postawy i uśmiechu ulubieńca, August poznał zaraz, iż Hoym się upierać nie będzie. Piękna Anna niespokojnie biegła do posła.

— Byłeś, hrabia, szczęśliwszym niż ja?

— Szczęśliwszym nad panią nikt być nie może — odparł kłaniając się Vitzthum — ale byłem cierpliwszym. Dałem się wyburzyć Hoymowi i na wszystko się zgodził.

Radość błysnęła w czarnych oczach Anny, o mało nie rzuciła się na szyję Vitzthumowi.

— A! przyrosisz mi pan swobodę i szczęście — zawała — nie umiem ci odwdzięczyć.

Na stoliku złote stało pudełeczko, chwyciła je i podała Vitzthumowi.

Król pobiegł je zobaczyć i wyrwał mu z rąk gwałtownie.

W pudełku była minijatura Anny, przed kilku laty zrobiona.

— A! — zawała król — przepraszam, to zanadto dla ciebie, Vitzthum; prawem królewskiem konfiskuję, wzamian daję ci dwadzieścia tysięcy talarów: tego wizerunku nikt prócz mnie mieć nie może i nie będzie.

Anna rzuciła się królowi na szyję.  
Nazajutrz w konsystorzu oboje, hrabia Hoym i hrabina, podali się o rozwód, stając przed nim w osobach swych umocowanych; królewski rozkaz przyśpieszył ogłoszenie wyroku, który trzeciego dnia został przybity na wszystkich placach, po gmachach i publicznych miejscowościach, bo tak Anna żądała.

Tegoż dnia hrabina wyniosła się z pałacu męża do przygotowanego dla niej domu w bliskości zamku, który naprędce połączono w kilkanaście godzin przybudowaną galerią krytą.

Wieść o tym wypadku piorunem pierwszej chwili rozeszła się po mieście. Pani Hoym rzuciła zarazem nazwisko męża i od majątkości swej rodziny w Holsztynie, kazała się zwać panią Coseł. August poprzysiągł jej, że u cesarza Józefa wyrobil tytuł hrabiowski, a zamiast domu, który czasowo zajmowała, przyrzekł w kilka miesięcy wznieść pałac czarów i tysiąca nocy.

Nigdy oddawna żadna z ulubienic króla tak jego umysłu, serca i namiętności nie opanowała. Całe dnie prawie spędzał u niej, stał się niewizualnym... zapomniał o całym świecie.

W pierwszej chwili zaraz księżna Teschen, z którą król z wyszukaną czułością i zręcznością do ostatniej chwili się obchodził, dowiedziała się o wszystkiem. Rozwód Hoymowej, jej przeniesienie się pod zamek nie zostawały najmniejszej wątpliwości o tem, iż panowanie księżnej było skończone. Ze strony króla ustąpiły wprawdzie nadskakiwania i odwiedziny, lecz księżna Teschen pozostała swobodną, panią swej woli i niełaska nie dotknęła jej więcej w niczem, pozbawiła tylko widoku króla i nadziei przyszłości.

August musiał ją oszczędzać, choćby dla kar-

dynała Radziejowskiego, na którego wpływ miała przeważny, a ten sprawom króla bardzo być mógł szkodliwym... Pomimo szpiegów, jakich Vitzthum z rozkazu pana nasadziłokoła pałacu księżnej, o zamiarach jej nic się dowiedzieć nie było można. Próbowano przez Glasenappowa, nienawidzącą siostrę, dobyć z niej tajemnicę, którą w żalu zdradzić mogła, ale księżna Teschen milczała i płakała. Nikt nie wiedział, czy pozostańiew Dreznie, zamieszka w Hoyerswerda, lub zechce się udać do Polski. W domu najmniejszych przygotowań do podróży widać nie było, życie szło trybem zwykłym, dwór tylko dawniej świetny i liczny znacznie się zmniejszył. Ci, co pozostali wiernymi księżnie, posądzani byli o szpiegostwo; towarzystwo więc milczące ją otaczało i wieczory upływały smutnie.

Jeden księę Ludwik Wirtemberski teraz częściej i dłużej tam przebywał.

Intrygi dworskie, na chwilę skierowane na obalenie panowania księżnej Teschen i wzniesienie pani Cosel, po zwycięstwie jej inny wzięły kierunek.

Fürstemberg, którego król w poczatku tych stosunków używał do nich, ustąpić musiał miejsca Vitzthumowi, odgrywającemu rolę usłużnego pośrednika. Dwa stronictwa nieprzyjazne zaczęły się coraz jawniej zarysowywać wśród naprzeciwkonego dworu Augusta II-go. Staraniem było dobrego króla najtroszliwszem nie dopuścić, aby wokół niego w zgodzie żyli z sobą ludzie. Obawiał się tego i, o ile mógł, przykładał do porównienia ich z sobą. Jatrzył ich naprzemiany okazywanymi jednym łaskami szczególnymi, to dając się drugim dorozumiewać, iż mieli w tamtych nieprzyjaciół. Widok pokrzywionych i marszowo zukosa na się spoglądających twarzy cieszył go i ubezpieczał.

Jedni w ten sposób skarzyli na drugich, dowiadzywały się o nadużyciach ze wszech stron i cała strategia króla polegała na podsycaniu niechęci, na niemożebnianiu zgody.

Vitzthum, o którym wspomnieliśmy, zajmujący w sprawie pani Coseł miejsce powiernika, był, kąkemy mówili, szwagrem Hoyma. Rodzina ta, pochodząca z Turyngii, była już oddawna w służbie saskiej. Wielki sokolniczy, hrabia Fryderyk Vitzthum von Eckstädt, miał naówczas niespełna lat trzydzieści. Służył na dworze od pazia i od dzieciństwa przyjaźnił się z Augustem. Odbywał z nim podróże owe po Europie, w których tyle przygód niekawych doznali, a po upadku wielkiego kanclerza Beichlinga w roku 1703 dostał wielkie sokolniczostwo, dworski urząd, który brat kanclerza zajmował, nim go w Koenigsteinie posadzono.

Vitzthuma król lubił nad innych, może dlatego, że się go wcale nie obawiał; nie był to wcale głupi, nie był zabiegliwy bardzo człowiek, uprzejmy, grzeczny, łagodny, usłużny, zresztą doskonali dwuak i piękny bardzo mężczyzna. Szczególnie w rycerskich ćwiczeniach, ulubionych królowi, celował Vitzthum, jeździł doskonale konno, strzelał, gonił do pierścienia, a gracz był tak namiętny, iż gdyby mu wolno tylko było, grałby dzień i noc bez przerwy. Odznaczał się też nie złośliwym ale miłym uśmiechem i wesołością. Mówiliśmy już, jak szlachta saska ostrożnie, ale uparcie starała się królowi uszanowaniem opierać, gdzie szło o jej przywileje. Vitzthum był tej szlachty przy dworze potężnym i zręcznym obrońcą. Poufałość, jakiej król dozwalał, szczególnie przy ucztach i winie,awała mu zręczność powiedzenia czasem skutecznego słowa, które uchodziło za żart, a w istocie było bolesną i gorzką prawdą.

Wyjawszy tę straż interesów szlacheckich, Vitzthum do niczego się nie mieszał, od intryg stronił, ambicyj nie miał, a królowi służył jak przyjacielowi.

Obok i poza Vitzthumem stała siostra Hoyma, żona jego, jedna z najczynniejszych intrygantek na dworze, w którym kobiety tyle przynajmniej, jeśli nie więcej niż mężczyźni rządzili. Pani Vitzthum była naowczas jeszcze bardzo świeżą i ładną... słusznego wzrostu, jak większa część Saksonek arystokratycznych rodzin; oko miała szafirowe, płeć świeżą, nosek odrobinę zadartą i wesołość często zbyteczną, bo ją po śmiechu poznawano zdaleka. Śmiała się dzieciętym piskliwym śmieszkiem. Pani Vitzthum jak grą bawiła się dworem, szpiegowała przez miłość sztuki, podsłuchiwała, nosiła plotki, zastawała sidła, rzucala ludźmi, zapalała namiętności, wzbudzała kłótnie, wadziła, godziła, a mimo to wszystko prowadziła dom, męża, gospodarstwo i interesa wybornie, i bez niej częstoby zabrakło grosza. Miała do gry namiętność taką jak mąż, ale grała ostrożnie i szczęśliwie, nabylała dobra i popychała męża, za którego musiała mieć ambicję, bo jemu na niej zbywało.

Vitzthumowie nie należeli właściwie do najpotężniejszych ulubieńców króla, przez których ręce szły wszystkie sprawy państwa; stali oni na stronie i napozór niżej od Fleminga, Fürstemberga, Pfluga i innych, niemniej jednak wiedzieli najskrystsze tajemnice, wpływali na sąd króla o ludziach i groźni być mogli nieprzyjaciółom.

Vitzthum działał jako narzędzie żony posłuszne. W początkach panowania pani Coseł stanęli też z nią w stosunkach, które obiecywały, że będą podzielać jej wstrety i przyjaźni i natchniąc ją potrafią jednemi i drugimi.

W kilka dni po przeniesieniu się Cosel do domu pod zamkiem, dwór cały uczuł, że nowa królowa nie będzie tak powolną, łzawą i mdlejącą jak księżna Teschen: nowe życie wstąpiło we wszystkich. Dumna a piękna pani głosiła się drugą żoną królewską i występowała już jak królowa.

Sam August był tylko w początkach najposłużniejszym jej wielbicielem. W pięknej główce kobiety, którą traf zblżył do tronu, szczęście objawiło się upojeniem.

Zima obiecywała się być najświętniejszym z dawno pamiętnych karnawałów.

### VIII

Nie zbywało ówczesnemu dworowi Augusta II na zabawnych i oryginalnych figurach, których jedynem powołaniem było króla smutek rozpędzać i nudom nie dawać przystępu do najjaśniejszego pana.

Codzień zrana, z tak zwanego naowczas Starego Miasta, które się dziś właśnie Nowem nazywa, przejeżdżał na koniu w najpocieszniejszym ubraniu, znany od uliczników do ministrów, wszystkim mieszkańcom, kuglarz a trefniś pański Józef Fröhlich, który się tytuliował nadwornym jego królewskiej mości artystą figlarzem. August w dobrym humorze będąc kiedyś, kazał nawet wybić medal na cześć jego z napisem: *Semper Fröhlich nunquam Trauriq.* Fröhlich z obowiązku tak się nałożył do śmiechu, iż i drugich śmieścił i sam się śmiał od rana do wieczora.

Już sama jego postać, gdy w urzędowym stroju z własnego domu przy moście, zwanego Blazeńskim (Narrenhaus), udawał się na służbę, zdolna była najsmutniejszego rozweselić. Fröhlich był mały okrągły, rumiany, nosił się w rodzaju fraczka hanswur-

stowskiego, a takich fraków miał, z łaski króla, różnego koloru, dziewięćdziesiąt dziewięć. Na głowie ogromny śpiczasty z piórem kapelusz, z tyłu zaś kształt klucza szambelańskiego dźwigał ogromne srebrne naczynie, mające kształt kluczowi podobny, które w istocie za dobry puhar służyć mogło, bo ważyło sześćdziesiąt uncji. Był to podarek króla, a ile razy Fröhlich przyzwany do nocnej uczyty pił, musiał pić ze swego szambelańskiego klucza.

Jako trefniś byłby znużył może jednostajną wesołość swoją, gdyby z obrachowanym artyzmem nie miał umyślnie przeciwstawionego kon rastu w osobie niejakiego kammerkurjera barona Schmiedel, który grał rolę melancholiczną. Schmiedel i Fröhlich jako Heraklit i Demokryt nieskończone z sobą wiodąc spory, zabawiali Augusta i dwór jego. Gdy się obu wyczerpało koncepcji, min i siły, na podstawkę byli trefniście podrzędni, tak zwany Sauvagen i Leppert z Lipska. Dodajmy olbrzyma Cojanusa, dwanaście par karłów ze sławnym Hantena czele i Trammem, murzynów, albinosów... a dalecy będącymi od poznania nawet tej malutkiej części dworu, która ku poufalej pańskiej zabawie służyła.

Sławny Kyan dowcipniś nie inną też tu grał rolę, a widzieliśmy przy pierwszej uczycie, jak król go szacował. Fröhlich był przy swej wesołości człowiekiem roztropnym i wcale niezłym. Powoli sobie grosza ciułał, żył oszczędnie, śmiał się może pocichu z tych, co się z niego głośno śmieли i wśród tego ukropu dworskiego, w którym się wiele parzyło, wychodził jakoś cało.

Rano do dnia Fröhlich w swojej jace i kapeluszu udawał się do zamku, a często bardzo późno powracał do gospodyni, która domu jego pilnowała.

Do błażeńskiej kamienicy rzadko kiedy kto za-

pukał, bo i gospodarz w niej był gościem. Dziwnie się więc wydało pannie Locie, dojrzałej jejmościąces na usługach Fröhicha, gdy jednego dnia jesieni, o brzasku prawie, bo słońce jeszcze nie było weszło, ktoś począł dobijać się do drzwi.

Nadworny kuglarz nastawił ucha; nie był jeszcze ubrany, koń nie gotów, a sądził, że przez jakiś osobielszy kaprys król, do rana się zahulawszy, przysyłał po niego. Lota, wyjrzałszy przez szybę we drzwiach, nabrala tego samego przekonania, zobaczywszy barwę dworską: w progu stał młody, słusznego wzrostu mężczyzna.

Zmierzywszy go od stóp do głów oczyma, Lota spytała, czegobyc chciał.

— Chciałbym kilka słów pomówić z panem Fröhlichem — odparł przyoyły.

— Czy od króla?

Na to nie było odpowiedzi.

Że się różne posełstwa tajemnicze trafiały, Lota nie śmiała odmówić przystępu i wpuściła nieznajomego na góre, gdzie Fröhlich przed zwierciadłem już się w swój strój urzędowy przybierał.

Dla niego było to także dziwne zjawisko: gość czy posłaniec. Odwrócił się ku nieznajomemu i natychmiast wchodząc w swoją rolę, w wielkich krygach i przesadnych ukłonach powitał go jako ekscelencję. Nic mniej do ekscelencji nad tego biedaka podobnym być nie mogło: blady, zbiedzony młody człowiek stał w progu, dusząc kapelusz w rękach.

— Czem mogę służyć waszej ekscelencji? — zapытаł wpółgięty Fröhlich.

— A, panie Fröhlich — odezwał się cichym głosem przybyły — nie żarliście sobie z biedaka... dla mnie wy przedzej będącie ekscelencją niż ja dla was.

— Hę? hę? — spytał Fröhlich — ja dla was; czy król was przysyła? nie!

— Nie, przychodzę sam i proszę was o chwilę rozmowy sam-na-sam!

— O audjencję? Hę? — podchwycił, pusząc się, Fröhlich — *donnerwetter!* czy przez sen, sam o tem nie wiedząc, nie zostałem ministrem? Na naszym dworze (cyt!) wszystko być może. Ministrowie się tak gryżą, iż ich wkońcu nie stanie, a naowczas ja i waćpan możemy dostąpić tych dostojeństw. Ja sobie zawsze ministerium skarbu i akcyzę wymawiam.

Gdy gospodarz to mówi, na twarzy przybyłego, mimo wesołego wyzwania, ani promyki jaśniejszy nie błynął; stał clamurny i milczący.

— Chwia rozmowy sam-na-sam? ze mną?... akorduję... W całym domu niema nikogo oprócz Loty, która gotuje śniadanie, i hausknechta, który konia drapie.

Siadł w krześle, rozparł się i począł udawać dygitarza przyjmującego klienta.

Przybyły zbliżył się, nieroźmieszczyony wcale.

— Panie Fröhlich — rzekł — zdziwisz się mocno gdy się dowiesz, że ja do was przychodzę w sprawie bardzo poważnej.

— A toś się o drzwiomyli!!

— Nie — rzekł nieznajomy — wcale nie... widuję waćpana codzień na dworze, z twarzy jego wyczytałem, żeś dobry człowiek i serce masz ludzkie.

— Kochanie! pewnie chcesz pieniędzy pozyczyc — przerwał Fröhlich, trzepiąc rękoma — ale cię uprzedzam, że z tego nic nie będzie. Wszystkiem szafuję: radą, śmiechem, uklonem, grzbietem, czem chcesz; ale pieniędzmi! No, nie mam. Król goły, jakże chcesz, żebym ja pieniądze miały?

— Ani mi się śniło prosić was o to.

— Al — oddychając, rzekł Fröhlich — to czegoż u licha możesz ode mnie żądać? Żebym cię sztuki jakiej nauczył? Naprzykład jak się z jednego jajka sto pięćdziesiąt łokci wstążki wyciąga?...

- I to nie — odparł przybyły.  
— Szukasz mojej protekcji? — spytał Fröhlich.  
— Byćby to mogło — smutnie rzekł nieznajomy  
— gdy ktoś innej nie ma.  
— To się choć do błazna udaje! — roześmiał się  
stary. — Ale dalipan, Schmiedel, jako baron i ka-  
merkurjer lepiejby ci przystał; widzę z barwy, że  
należysz do dworu, ale akcent masz obcy. W tem  
niema nic dziwnego, bo tu wkrótce Sasa na saskim  
dworze z latarką szukać przyjdzie. Ktožeś ty?  
— Jestem Polak, nazywam się Rajmund Zaklika.  
— Polak, więc szlachcic, to się rozumie — rzekł  
Fröhlich — siadajże, szanuję szlacheckwo... a żem ja  
mieszczanin, będę stał.  
— Nie żartuj, panie Fröhlich.  
— Nie mogę, udławiłbym się własnym językiem,  
gdybym nie żartował. Ale czas krótki, czas drogi:  
mów, szanowny Polaku, co ci jest? choryś? ja-m  
nie doktor.  
Jakaś chwilę Zaklika na odpowiedź się zebrać  
nie mógł, tak humor Fröhlicha widocznie go nękał.  
— Pozwól mi pan o sobie kilka słów powiedzieć.  
— Kilka? dobrze.  
— Dostałem się na ten dwór wypadkiem... sły-  
szaleś pan o mnie pewnie. Trafiło mi się nieszczęście  
łamać podkowy, giąć puhary i ścinać koniom łyby  
na wzór najjaśniejszego pana... kazano mi za to  
wisieć przy dworze.  
— Już wiem, wiem; przypominam — roześmiał się  
Fröhlich — nie zazdroszczę ci, kochany panie; jakże?  
— Zaklika...  
— Kochany panie „Unglücku” — kończył Fröh-  
lich. — Ale który był tak... prostoduszny, by ci mógł  
radzić mierzyć się z królem... Trzeba być bardzo...  
domyśl się... by sobie tak smutną obrać rolę.  
— Od czasu jak wiszę u dworu... życie mi

obrzydło... ludzie mnie omijają, przyjaciela nie mam, opieki... nikogo...

— A wiesz, że za opiekuna i za przyjaciela mnie chcieć wybrać, to równie szczęśliwa myślisz, jak łamać podkowę! Człowiecze, gdybym mógł łamać kowadła... nie skruszyłbym stómy ze strachu, aby ni nie obduził zazdrości: pięknie się wykierowałeś...

— Stało się — szekł Zaklik — nie mam tu nikogo.

— I jesteś w dodatku Polakiem, gdy tu teraz imienia Polaka wymówić się nie godzi... Nie chciałbym być w twojej skórze...

— Właśnie, że mi w niej niewygodnie, myślałem że choć Fröhlich się nadę mną ulituje...

Stary trefniś wielkie wytrzeszczył oczy, twarz jego pomarszczona stała się nagle poważną i smutną, założył ręce na piersiach... potem przystąpił do Zakliki, wziął go za rękę i począł mu pułs macać... jakby był doktorem...

— Boję się, kochany Unglücku, czy ci się w głowie nie pomieszało... — rzekł cicho.

— Byćby to mogło! — uśmiechając się, odezwał Zaklik...

Fröhlichowi twarz się znowu wyjaśniła jakby z nałogu...

— O cóz ci idzie? — spytał.

— O to, aby mnie ze służby dworskiej najjaśniejszy pan uwolnić raczył...

— O to najłatwiej — rzekł Fröhlich pocichu, — zrób głupstwo jakie, postawią rusztowania na Nowym Rynku i będziesz dyndał. Jest to sposób krótki, łatwy i skuteczny.

— Na to jeszcze czas — odparł Zaklik.

— Cóż myślisz robić, gdy cię uwolnią? powleczesz się do swego kraju z niedźwiedziami borykać?

— Nie, zostanę tu.

- Czy ci jaka Drezdenka wpadła w oko?  
Zaklika mocno się zarumienił...
- Nie — rzekł — mogę dawać lekcje fechtów  
i konnej jazdy, mogę się gdzie do jakiego wojska  
zaciągnąć...
- Czy mrzesz głodem na dworze?
- Nie, mamy wszystkiego dosyta...
- Czy ci nie płacą?
- Owszem...
- Dlaczegoż ci źle?...
- Zaklika się zmieszał.
- Nie mam tu co robić, jestem niepotrzebny...
- Panie Unglücku, ja cię nie rozumiem, chcesz  
czegoś nienaturalnego: masz chleb i spokój a szu-  
kasz biedy...
- Może — odparł krótko Zaklika — ale się wszy-  
stko znudzi...
- Szczególniej, gdy komu dobrze i nie ma nic  
do roboty — dokonał Fröhlich. — Jednakże ja w tem  
wszystkiem nie widzę, jakbym ci mógł być po-  
mocnym?
- Najłatwiej... stoję często przy drzwiach po-  
między pańskim dworem; lada konceptem zwrócić  
możesz na mnie uwagę, a pod dobrą chwilę, król  
miewa różne fantazje.
- A jeśliby mu przyszła taka, żeby cię kazał  
powiesić? — spytał trefniś.
- Waćpanbyś mnie obronił...
- Fröhlich przeszedł się po pokoju, włożywszy śpi-  
czasty swój kapelusz z piórem na głowę, a ręce  
w kieszenie.
- *Donnerwetter!* — zawała — zaczynam się do-  
rozumiewać po raz pierwszy, że ja tu jestem potęga, —  
kiedy się ludzie zgłaszają moją protekcję. Wać-  
pan mi otworzyłeś oczy! Przez samą wdzięczność  
cośbym rad uczynić dla niego... Któz wie... mówią,

ze Kyan zostanie komendantem Koenigsteinu, ja mogę być przynajmniej kaznodzieją nadwornym lub radcą w konsystorzu! Zaczynam nabierać ambicji...

I upadłszy w krzesło, Fröhlich śmiać się począł... popatrzał z politowaniem na Zaklikę...

— Świat przewrócony! *donnerwetter!* szlachcic polski oddaje się w protekcję trefnisa... a Szwedzi, którzy żyją śledziami, biją Sasów, którzy się karmią świniną!

Plasnął w ręce... Na to hasło wpadła Łota, stając w progu z polewką winną na talerzu...

Fröhlich dał komicznie znak Zaklicie, aby zamilkł i skłonił mu się jak minister, który audiencję zamknięka... Wejrzeniem pożegnawszy go, Zaklika, smutny, spuścił się ze schodów.

Dziwaczną zaprawdę powziął był myśl udania się pod opiekę wyśmiewanego trefnisia, lecz konieczność i rozpacz zmusiły go do tego. Biedny chłopak śmiertelnie był znużony swą rolą komparsa na dworze... snuło mu się po głowie, że swobodny, mógłby może inną odegrać... Sprawa Hoymowej, która nagle zmieniła się w pania Cosel, ściągnęła go z przechadzek od Laubegastu do miasta... Snił, niezrażony niczym, że mógłby jako dworzanin zostać przyjęty do domu... tej, w której czarne oczy patrzeć było dlań największym szczęściem.

Tak dziwaczne miłości, jak ta, która Zaklikę opanowała, rzadko się na świecie trafiają. Rajmuś nie pragnął nic, tylko patrzeć na swe bóstwo. Nie śniło mu się nigdy nawet o żadnym większym szczęściu nad to... Chciał być jej stróżem, wartą, niewidzialnym obrońcą... domyślał się, że musiała mieć nieprzyjaciół... lękał się o nią, pragnął zyskać jej zaufanie i całego siebie, choćby życie, oddać na jej usługi i ofiarę. Chłopak był dziwnego temperamentu: powolny napozór, ale upariej i niezłomnej

woli. Śmiał się sam ze swej miłości dla tej, która się zwała królową, a uczucia tego zgasić w sobie nie mógł. Szczęśliwe czasy w Laubegast, gdy ukryty, mógł ją śledzić oczyma i odgadywać jej myśli; teraz mu rajem się wydawały. W Dreźnie twarz pięknej królowej rzadko miał szczęście dojrzeć na chwilę... Widział ją przejeżdżającą konno z królem, wsiadającą i wysiadającą z powozu, w teatrze, jeśli się potrafił między dworzan gdzie wcisnąć: tego wszystkiego było mu mało. Roił, że się tam kiedyś musi dostać do jej domu. To był dlań najwyższy szczyt szczęścia, jedyne ostatnie pragnienie... Dla dostąpienia go byłby nietylko trefnisiowi się poklonił, ale daleko większe zniósł upokorzenie...

Miłość biednego chłopca dla tej idealnej piękności nic zresztą nie ma w sobie tak dziwnego; daleko osobliwszem mógłby się to wydać, że Cosel, która go parę razy widziała z daleka, Cosel z całą swą dumą, że świeżą miłością dla pięknego Augusta, w szczęściu, które ją upajało, parę razy zadała sobie pytanie: Co też z tym dziwakiem z Laubegastu się stało? Parę razy oczyma go szukała w tłumie. Z jej strony była to tylko litość, ale i litość w tych istotach szczęśliwych, które się poją ambrozją życia, jest bardzo niezwyczajnym uczuciem.

Cosel nie była wcale czułą: była namiętną, energiczną, zuchwałą, ale serce jej niełatwo się litością poryszyć dawało. Przecież ten pokorny szaleniec, co po szyję zanurzał się w wodę, aby na nią popatrzeć, przypominał się jej mimowolnie. Pochiebiało to jej piękności. Uśmiechała się rada temu wspomnieniu, o którym nigdy nie powiedziała słowa nikomu.

Myliłby się, kto by sądził, że rozmiłowany August II dla pięknej Cosel wyrzekł się swych nocnych uczuć z przyjaciół. Z wielu rachub i względów by-

ły one dla potrzebą i nalogiem w dodatku. Wśród upojonych dworzan siano często królewskie słowo niezgody, która była panowania narzędziem; a rzeczywiście badanie dobywało z rozweselonych wyznania, na któreby się trzeźwi nie zdobyli. Jak z Hoyma udało się wycisnąć wizerunek jego żony, tak z innych niejeden skrywany grzeszek król wyciągnął. Dnia tego znowu wieczorem była hulanka na zamku. August był teraz w najlepszym humorze, myślał o tem, jak swe bóstwo otoczyć Olimpem wspaniałości, zbytka, rozkoszy, zabawy. Sprawy poważniejsze zabierały część dnia, wieczorem pijano.

Hoym, który został przy akcyzie, przy ministerstwie, przy pięćdziesięciu tysiącach talarów, któryremi dobry król otarł lzy jego po stracie żony, należał znowu do wszystkich biesiad nocnych. Hoym, był potrzebny, gdyż na wszystko i nadewszystko potrzebne były pieniądze, a on jeden dostarczać ich umiał.

Wyczerpały się środki wycisnięcia ich ze zubożonego kraju, umysł jego zdobywał się na wyszukiwanie nadzwyczajnych źródeł dochodów. Opodatkowywano, co nigdy dawniej nie płaciło, ściągano grosz cudownemi wyniszczyły, król nagradzał hojnie tych, co go md dostarczali.

Lecz najgenialniejszy nawet umysł wyczerpuje się przy nieustannie powtarzanych wymaganiach, uciekać się więc trzeba było do środków gwałtownych i hazardowych. Upadek wielkiego kanclerza, do którego i polityczne przyczyniły się wypadki, w znacznej części spowodowany był rozgłosem o niezmiernych zebranych przezeń bogactwach. Królowi zrobiono nadzieję miljonowego po nim spadku. Tymczasem skończyło się to na pałacu, darowanym księżnie Teschen, na kilku wioskach i na pół miliona talarów, które był królowi nie-

gdyś pożyczyl, a tych inu już oddawać nie było wcale potrzeby. Reszty półtoramilionowej fortuny kanclerza rozdzieliły między siebie jego nieprzyjaciele, Fürstemberg, Pflug, może Flemming. Król, co się wiele spodziewał, nic nie dostał.

Drugim środkiem dostarczenia królowi sum bąjecznych, jakich jego fantazje wymagały, było urojenie ówczesne, powszechną będącą chorobą: wiara w tajemnicę robienia złota. August, jak inni panujący, na alchemię chorował. Nie powątpiewano bynajmniej, że istniała cudowna tynktura, mająca siłę przerabiania wszystkich kruszów na złoto, a przerabiano złoto prawdziwe na dymy i popioły.

Kanclerz Beichling wierzył, jak wszyscy marzyście, w to, że się złota w retorcie dorobić można, i on i wielu innych karmili w Auguście II myśl tą, że znajdą człowieka, co mu będzie w garbuszku smażył miliony, tak nieodbitnie do szczęścia potrzebne.

Na dworze przychodzily chwile zapału do alchemii, w których nie mówiono o niczem, prócz o tynkturze i robieniu złota. Miał pracownię alchemiczną kanclerz, miał drugą Fürstemberg, do której król sam przychodził, mieli je i inni miłośnicy wielkiego dzieła.

Chodziły podania o różnych szczęśliwych mędrcach, którzy tynkturę permutującą kruszce posiadały.

Jest rzeczą pewną, iż Beichling nie byłby obalonym, bo królowi pieniędzy dostarczać umiał, gdyby Fürstemberg nie mówił Augustowi, że znajdzie człowieka, który mu złoto będzie *robił*, i zrobi go daleko więcej, niż kanclerz mógł z kraju wycisnąć.

Tym mędrcem, na którego Fürstemberg rachował, był prosty aptekarczyk z Berlinu, którego początkowa historja dość jest ciemną, ale późniejsza

najlepiej dowodzi, że złota wcale robić nie umiał, choć tracił je z przyjemnością wielką i gustom. Na lat kilka przed temi wypadkami Jan Fryderyk Böttiger, Sas rodem ze Schleiz, zabawiał się w aptece w Berlinie fabrykacją tynktury, czyli, jak inni chcą, miał on sobie daną gotową przez jakiegoś awanturnika, zowiązującego się Laskarysem i archimandrytą klasztoru greckiego w Mitylenie. Fryderyk I pruski rad był sobie tego szacownego złotoroba przyswoić i naturalnie do klatki zamknąć, żeby tajemnicę sam tylko mógł posiadać. Böttiger uszedł do Saksonii, Prusy domagały się wydania, ale i król August potrzebował pieciu: schwycono więc drogiego człowieka do Drezna.

Fürstemberg sam pracował z nim nad tynkturą i wielkiem dziełem, a król najmocniej wierzył, iż lada dzień złoto się z tygla posypie.

Głaskano, pojono, obsypywano Böttigera obietnicami i łaskami, ale trzymano go pod strażą. Upływały lata, wywrócono z pomocą tej nadziei tynktury Beichlina... tynktura nie mogła się jakoś usmażyć. Posyłano królowi do Warszawy merkuriusz i różne ingredencje gęsi zrobienia złota, do którego trzeba się było przygotowywać modlitwą, pobożnością i czystością ducha; król August spowiadał się, ślaďał nad tygiem i nic nie wysmażył. Szczęściem pies służył merkuriusz przesypany przez Böttigera do Warszawy, użyto innego i niepowodzenie roboty przypisać się dało psu, nie ludziom. Böttiger siedział ciągle straszliwie znękany, jak w więzieniu u Fürstemberga na zamku, potem w fortecy na Koenigsteinie, gdzie mało nie oszalał, i znowu potem na zamku... przy wszelkich wygodach... a no, złota nie robił. Cała ta historja nieszczęśliwego alchemisty należy do charakterystyki wieku. Ten więziony adept, tynktura, tygle, w których ma

się wytopić złoto na wojny i maskarady, król godzinami pracujący „po spowiedzi” z Fürstembergiem nad tynkturą... a potem odpoczywający u księżnej Teschen — są to nieoszacowane rysy obrazu wieku... Böttiger korespondował z królem, i król oświadczał się dla niego z miłością wielką. Böttiger w więzieniu dawał bale, obiady i przez trzy lata ostatnie kosztował króla czterdzieści tysięcy talarów!

Gdy Coseł na tron po księżnie Teschen wstąpiła, zastała sławnego alchemika znowu na zamku, w baszcie, na tarasie, otoczonej ogródkiem... zajętego ostatecznym wykończeniem formuły złotodajnej. Oczekiwanie było wielkie, nikt nie wątpił, że Böttiger wreszcie tajemnicę odkryje... Szczególna rzecz, zastrzegał on sobie, ażeby nie spożytkowano źle jego wynalazku: „aby pieniędzy nie obracano na zbytki, na grzeszne czyny, na niegodziwą rozrzutność, na niepotrzebne i niesłuszne wojny, i tego rodzaju dzieła nieprawości”... Powiadał, że posiadającemu *arcanum*, „nie godziło się służyć panu, który by był publicznym jawnogrzesznikiem i małżeńską łamał wiarę lub niepotrzebnie krew rozlewał”...

Zdaje się, że tym sposobem obwarowując robienie samo złota, aptekarczyk szukał sposobu, jakimby się z niepowodzenia uniewinnić...

W dniu tym, w którym Zaklika oddał się pod opiekę Fröhlicha, właśnie wieczorem przypuszczeniem był „nadworny kuglarz” do zabawiania towarzystwa... Leżało mu na sercu, by młodzieńcowi usłużyć, który w nim nadzieję pokładał... łamał nad tem głowę, ale nie był w swej roli. Umiał dla siebie coś wyzyskać, dla drugich nigdy o nic nie prosił. Czuł, że mu w tem zręczności brakło... Król przyjmował u pani Coseł Fürstemberga, Vitzthumia i kilku zwykłych towarzyszów wieczornych. Pani Reuss, Vitzthum i Hülchen składały dwór nowej pani.

Po wieczerzy Fröhlich musiał pokazywać sztuki... Śmiano się do rozpuku... Między innymi udawał alchemika, który miał robić złoto i przyniósł w tyglu trochę śmiecia. Z tego król August się nie roześmiał i owszem, pochmurną stała się twarz jego. Coseł już coś zasłyszała o Böttigerze, jęła więc rozpyływać pocichu. Nie rad się król przyznawał do tej tajemniczej słabości, chociaż naowczas podzielił ją z nim najuczeńsi ludzie wieku.

— Fröhlichowi — szepnął król — wolno się śmiać nawet ze mnie... a więc i z rzeczy tak poważnej, jak tajemnica robienia złota. Ten, który ją niezawodnie posiada, ale dotąd nam odkryć jej nie chce, o mało nie wyrwał się z rąk naszych... Udało mu się wymknąć na ziemie cesarskie i ledwieśmy go stamtąd wydobyć potrafili... Przekona się w końcu, że posłusznym być musi... trzymamy go pod silną strażą...

— Najjaśniejszy Panie — rzekł Fröhlich, — dopóki przy nim niema tak silnego człowieka, któryby każdego czasu mógł go pochwycić i któregooby się obawiać musiał, niema też pewności, że nie zbiegnie. Najjaśniejszy Pan sambyś był dnia najlepszym stróżem lub człowiek, aby miał równą siłę Herkulesową... ale takiego drugiego na świecie niema...

— Mylisz się Fröhlich — rzekł August — był lub jest na moim dworze człowiek prawie jak ja silny...

— Nigdy o nim nie słyszał!

W ten sposób August przypominał sobie Zaklikę, którego zupełnie z oczów był stracił. Nazajutrz kazano go szukać i znaleziono...

Biedny Rajmuś korzystał z tej zręczności, by króla prosić o uwolnienie od służby... August potrąsił głową.

— Nie uwolnię cię, bo mi jesteś potrzebny — zawołał — mam skarb, który chcę twej sile i poczciwo-

ści powierzyć; pojedziesz na dwór pani Cosel.. będziesz czuwał nad jej bezpieczeństwem.. jeździł za nią, chodził i strzegł, choćby życie przyszło ważyć, aby włos z głowy jej nie spadł.

○

Zaklika uszom nie wierzył.. zarumienił się, zamilkł i poklonił, nie pytając więcej. Los usłużył mu lepiej niż Fröhlich.

Pani Cosel zdumiała się i zaczerwieniła, zobaczywszy go w liczebie ludzi swojego dworu... Zrazu oburzyło ją to, ale dowiedziały się, że był przysłanym przez króla, zmilczała. Król tegoż wieczora wy tłumaczył, dlaczego przysłał jej Zaklikę... Na ustach prawie miała piękna pani swą przygodę w Laubegasie, ale nie powiedziała jej królowi... i Zaklika pozosiał na swem miejscu.

Fröhlich, zobaczywszy go w kilka dni potem, tłumaczył się przed nim, iż mu się nie udało dotąd uwolnić go ze służby...

— Na miłość Boga! panie Fröhlich — zawołał Zaklika, — ja już zostaję, gdzie jestem, i proszę się o mnie nie troszczyć.

## IX

Któzby się wpośród tych wszystkich plochych zabaw i sieci intryg domyślić mógł nawet odgrywającego dramatu, w którym August II tak nieszczęśliwą i smutną grał rolę? Były to właśnie lata najazdu szwedzkiego na Polskę, lata zwycięstw Karola XII, a miłostki króla pocieszały go po przegranych bitwach na chwiejącym się tronie. Wśród tych nieszczęść czarne oczy hrabiny (mianowana już była nią przez cesarza Józefa I) pocieszały Augusta... sypiącego krociami na budowanie pałacu dla ulubienicy, gdy wojsk nie było czem utrzymać.

Wśród szalów i hułanek walił się ów gmach

dwóch państw, których gruzy herkulesowych ramion króla ugiąć ani humoru jego zachmurzyć nie mogły... Saksonja wycierńczała się na utrzymanie Polski, której zrzeczenie się ostateczne z każdą chwilą było konieczniejszym...

Pomiędzy dwiema bitwami wydawano bale i maskarady, król wracał do Drezna i szukał w tych szatach zapomnienia swych strat i upokorzeń...

Przy muzyce balowej dawano instrukcje tajnym posłom, szpiegom i intrygantom, którzy na rzecz Augusta starali się naprzóźno sprzymierzeńców pozyskać. Nadzwyczajna siła owego saskiego Herkulesa nie objawiała się najgłówniej w kręconych sztabach i łamanych podkowach; największą siłę okazywał pewnie, mogać podobać nieszczęściom, które nań spadaly, intrygom, ucztom, płochym miłośnikom i zamętowi, jaki go otaczał... Z pola bitwy powracał do Coseł, od Coseł uciekał do gabinetu, gdzie się tajne krzyżowały depesze, balowano wieczorem, uczlowano nocą. Aby długie lata życiu takiemu bez chwili spoczynku starać duchem i ciałem, trzeba było niechybnie wyjątkowych sił, jakiemi August był obdarzony.

Z pogodną zawsze twarzą okazywał się zdziwionym tłumom, i największe niepowodzenie nie zarysowało jednej na czole jego zmarszczki.

Panowanie pięknej Coseł, które miało trwać krótko, zaniosło się na długie lata. Hrabina uważała się, otrzymawły od króla obietnicę ożenienia na piśmie, za drugą, za prawdziwą jego żonę. Postępowanie jej stosowało się do tego... Na jedną chwilę prawie nie odstępowała Augusta, była z nim zawsze i wszędzie, gotowa w podróż i na wojnę. Żadne niebezpieczeństwo jej nie odstraszało...

Wprzedee umiała poznać charakter Augusta i dojrzeć sieci snujących się intygu dokola; ze spo-

kojem umysłu i wesołością niezachwianą niczym bawiła go, rozrywała, rządziła nim i z każdym dniem większą uzyskiwała władzę.

Jawnem wkrótce było dla wszystkich, iż z Coseł wojować nikt nie mógł, ani pomyśleć przeciw niej działać. Jeśli piochy król na chwilę zapomnieć o niej potrafił i ostygł oddaleniem, Coseł umiała przyśpieszyć spotkanie i w kilka godzin władzę swą dawną odzyskać... Piękność jej szczęściem zdawała się spotęgowaną. Naprzóźno oczy zazdrośnych kobiet śledziły w niej zmiany, znużenia, przekwitu; jakby nieśmiertelną obdarzona młodością, kwitła coraz piękniejsza.

W następnym roku zaraz król obok zamku ka-zał wznieść pałac dla hrabiny. Było to cudo i arcydzieło... Zwano go pałacem czterech pór roku. Na każdą z nich osobne przeznaczono tu pokoje: chłodne na lato, ciepłe, wesołe i słoneczne na zimę... Pierwsze z nich ubrano w marmury, drugie wysłano kobiercami. Sprzęty i ściany świeciły od złota, chińskich lak, jedwabiów, koronek, co tylko najwykwintniejszego i najdroższego znano naówczas w Europie. Wojsko było niepłatne, lecz pałac cudowny...

Świetnym balem otwarły się jego podwoje, a Coseł, okryta brylantami, zwycięska, piękna jak bogini, białą rękę podała temu na znak wdzięczności, którego mężem pocichu zwała. Piochy August, choć sobie zawsze pewnych słabostek pozwalał, w Goseł był najmocniej zakochany... Czarem płonęły jej oczy, a cudzoziemcy, co ją na szczyt chwały i wielkości widzieli wówczas, z zachwytem mówili o niej.

Z niezmierną zręcznością Coseł rozpościerała swą władzę, jednała przyjaciół, zawiazywała stosunki; lecz nie mogła uniknąć obudzenia niechęci,

zazdrości, obawy w ludziach, którzy wszechmocy jej trwożyć się mieli prawo... Chwila działania przeciw tej, którą wprowadzono na tron, lękając się spokojnej i łagodnej księży Teschen, nie wybiła jeszcze...

Każdy dzień nowym był dla niej triumfem... Naprzóźno duchowieństwo, zgorszone tem jawnem króla przywiązaniem, poczęło z namowy niektórych dworaków, grzmieć z kazalnic przeciwko pięknej Betsabe... Gerber, sławny naówczas kaznodzieja, jednego dnia odmalował ją tak wiernie ludowi, iż szmer się wszczęł w kościele, w którym przebrzmiewało jej imię.

Przez cały dzień nie mówiono w mieście, tylko o Coseł Betsabe... Wieczorem doniesiono królewskiej ulubienicy o napaści kaznodziei. August, przychodzący do niej wesół, zaczął ją we łzach...

— Co ci jest, moje śliczne bóstwo? — zawała chwytając ją za ręce.

— Sprawiedliwości królu! — zaczęła, lękając i zanosząc się od pięcza — mówisz, że mnie kochasz... Gdybym miala twe serce, bronibyś nieszczęśliwej... Publicznie obelgami mnie obrzucają...

— Cóż się stało? począł król niespokojny.

— Żądam ukarania Gerbera! — trzeba przykładu przeciwko zuchwałstwu, które nic, nawet korony poszanować nie umie.

Rzuciła się na kolana przed panem.

— Gerber z kazalnicy opisał mnie, jako Betsabę...

Król się uśmiechnął.

— Ja nią nie jestem, ja nią być nie chcę! ja-m prawdziwą żoną twoją, panie mój! — wołała Anna, obejmując go — ukarz go, uczyń przykład...

Na ten raz August nie wziął do serca urazy pani Coseł.

— Kapłan ma jedną w tygodniu godzinę — rzekł, — w której mu wszysko, co chce, mówić wolno: ja przeciw niemu nic nie mogę. Gdyby zeszedłszy z ambony, szepnął jedno słowo, byłby ukarany niechybnie... Tam, miejsce go broni...

Gerber pozostał nieposkromionym, jednakże więcej historji o Betsabie nie powtarzał...

Wśród największych klęsk, jakiemi były odznacone te lata, rozwijała się owa miłość królewska... Dziki Karol XII z ostrzyżoną krótko głową, w ogromnych butach za kolana, żołnierz surowy i bezlitosny, niesprawiedliwością jakąś losu gnębił pięknego króla w koronkach, aksamitach, harcującego pod złocistą zbroją przeciw niemu. Opowiadano o nim bajeczne dzieje... August słuchał i milczał. Gwałtem pędzone do pulków gromady Sasów, dawały się bić i rozpierzchały... W Polsce, mimo Flemmingów, Przebendowskich i Dąbskich, słabły urok króla najwspanialszego w Europie, który z zaciętymi ustami myślał tylko, jakby kość swą całą z niebezpiecznej gry wycofać... Dawna kochanka pana, hrabina Königsmarck, wysłana w potajemnym poselstwie, nic dokazać nie mogła... Karol XII mówić z nią i z nikim nie chciał...

Szczęście z każdym dniem opuszczało Augusta II... Böttiger złota nie mógł zrobić, Hoym go dostarczyć, a Coseł milionów potrzebowała. Ludzie zbiegali w góry i do wojska się zaciągać nie chcieli... a Gerberowie z ambon krzyczeli przeciw rabunkowi ludzi i gwałtom...

Szlachta z największą w świecie pokorą nie chciała się ze skóry dać odzierać...

Często biedny król musiał być w bardzo złym humorze... Trwało to jednak krótko, Coseł się uśmiechała... wesołość wracała na pańskie oblicze... Wieczorem cztery części świata tańcowały ka-

dryle w pałacu czterech pór roku... August z Coseł Azję przedstawiali... Dawne przyjaciółki pięknej pani, które spodziewały się przed nią panować i rządzić, wszystkie przedko bardzo podejrzaniem się jej stały, potem nienawistnemi. Hrabina Reuss, Hülchen, nawet zręczna Vitzthum... dostały odprawę... Coseł nie chciała sprzymierzeńców, nie potrzebowała ich, czuła się silną i silniejszą nad wszystkich...

Strach ogarniał dwór cały...

Jeden tylko Vitzthum pozostał w łaskach u pana, w łaskach u pani; Vitzthum, który nie zajmował się polityką, nie dobijał się urzędów, a króla kochał jak brata.

Lata biegły niepostrzeżone, pełne mnogich przygód, niepowstrzymane w pędzie... Fortuna, której zmiany spodziewano się co chwila, która powinna się była znużyć prześladowaniem najwspanialszego z monarchów, nie dawała mu chwili pokoju... Szwed zwycięzał, gnał, pędził i groził już zrzuceniem z tronu... August bronił się, bolał, bawił i przeciwności losu zalewał wesołością i winem... Pocichu intrygowano.

Łowy, biesiady, maskarady, bale, teatr... wszystko nakoniec przerwała wieść... o zbliżających się do Saksonji Szwedach. Karol XII gnał nieprzyjaciela aż do jego gniazda. Popłoch stał się straszliwy.

Po przegranej pod Frauenstadt, zjawiały się luźne gromady rozpierzchłych zbiegów, które chwytano, wieszano i strzelano za niedopełnienie obowiązków... Nieład opanował wszystko... Dnia pierwszego września Szwedzi pokazali się w Saksonii... August nakazał mieszkańcom z dobytkiem chronić się w góry, na Śląsk, do Czech, ale już było za późno. Karol XII we dwadzieścia tysięcy ludzi wtargnął, zapowiadając bezpieczeństwo życia i mie-

a... Bronić się nie było podobna, musiano karć... Szwedzi rozleli się po całym kraju, garsiąka zostały wojsk Augusta ścigana, uchodziła aż d Vürzburg. Drezno, gdzie dowodził Sindendorf, ierdze Königstein i Sonnenstein starały się utrzymać i miały załogi saskie.

Z Karolem razem nowy król polski Stanisław Szczęski przybył do Saksonii... Z Drezna pochodziło, co żyło... królowa do rodzinny w Beyuth, matka jej z wnukiem do Magdeburga, a później do Danii. Lipsk ze strachu łupieży wypływał i stał się pustynią; wywieziono towary, a sam transport beczki złota kosztowały. Dopiero zatrzymanie Karola XII dozwoiliło jarmark Świętochalski otworzyć.

Karol zwołał sejmik saski do Lipska, aby z niekontrybucję wycisnąć. Szlachta, chcąc się od niej uwolnić, przedstawiła królowi szwedzkiemu, oprócz obowiązku stawienia się z koniem na wojny, innych ciężarów nie była obowiązaną ponosić.

— A gdzieście byli z waszemi rycerskimi nim, kiedy ja wchodziłem? — spytał Karol XII. — Byłyby szlachta swój obowiązek spełniła, mnieby nie było. Gdy na dworze ucztować trzeba i huśtać, nie brak ani jednego szlachcica, a gdy za kraj uciec, siedzą w domu... Tylko od was, panowie szlachta, żądam kontrybucji; możecie ją sobie wziąć, aż chcecie... ale inni będą wolni...

Po zrzeczeniu się zupełniem korony polskiej na rzecz Leszczyńskiego, podpisany został traktat altensztadzki 1706 roku, a tymczasem w Polsce się jeszcze bito... i August nie przyznawał się do tego, podpisał... Udawał, że wysłani dla zawarcia układów, Imhof i Pfingsten przekroczyli dane im gromadzoność i, ratując honor swój, zasadził ich więzienia...

August, który w istocie pokój ten, ocalając resztki, zawrzeć musiał, zapierał się go potem zupełnie, gdyż w świecie surowo go bardzo sądzono; upadek był straszny, a wydanie Patkula dobijało go w oczach wszystkich... August sam czuł, że dźwigną się będzie bardzo trudno, i głośny w sobie wspomnienie tego haniebnego ratunku...

Mimo obietnicy opuszczenia Saksonii po zawarciu pokoju, Szwedzi przez rok cały pozostały tutaj...

Triumfujący Karol XII przyjmował tu posłów wszystkich państw niemieckich i Anglii. August, który na placu boju zrazu był w Polsce, i po wygranej pod Kaliszem ożywiony nadzieję, że się poprawią sprawy, zwoływał znowu szlachtę, wkrótce jednak zmuszony był opuścić Warszawę, Kraków i wracać do Saksonji.

Pani Coseł, która zrazu towarzyszyła królowi w bitwach, obozie, wśród niewygód kampanii, poprzedziła go do Drezna. Taka była wola króla. Zaklinała go, aby jej dozwoolił przebrać się po męsku i walczyć przy swym boku. Na to August odparł grzecznie, iż z dwóch najdroższych mu rzeczy: korony i Coseł, chce choć jedną ocalić i widzieć bezpieczną.

Zaklicę, który na krok nie odstępował swej panii, powierzył król odprowadzenie jej do Drezna... Rajmuś nie spał, nie jadł i z zapalem zakochanego spełniał więcej własne swe natchnienia niż rozkazy. Coseł rzadko nań nawet okiem rzuciła. Chora i smutna wracała do stolicy. Lecz raz tu przybywszy chwyciła władze w białe rączki i, silna królewską miłością, rządzić się poczęła jak królowa, wbrew Fürstembergom, namiestnikom i wszyskim, którym król jakieś powierzył zwierzchnictwo... Pomożycie to liczbę jej nieprzyjaciół.

Wśród wojny i krwawych scen jej, August nie przestał być sobą; miłość zawsze w jego życiu zajmowała najważniejsze miejsce... Tracił królestwa, ale zdobywał serca...

Panowanie hrabiny Coseł urozmaicało się epidemiami, wśród szczęku broni odegrywanymi. Należność do niej żyła jeszcze w sercu króla, lecz ile razy się od niej oddalił, wracał do płochych swych obyczajów. Biedny, zwyciężony, teraz więc j i niż kiedykolwiek potrzebował się bawić, a dworacy, dla których Coseł była straszna, sprzyjali chętnie wszystkiemu, co go dla niej oziębiać mogło...

Odsunięty przez nią Fürstemberg, hrabina Reuss i cała klika nierządców, szukała już środków, jakby władzę Coseł podkopać i obalić ją mogli. Anna ufała nazbyt w swe wdzięki i przewagę, by się o to troszczyła zbytnio. Donoszącym jej o tem, odpowiadała niedowierzającym uśmiechem... Węzeł, który ją łączył z królem, wzmacniło przyjście na świat dwóch córek... Dumna pani mówiła sobie, iż drugiej jej podobnej August znaleźć nie może: ona jedna mogła podzielać wszystkie jego zabawy i nie wzdręgnąć się ani igrzysk, ani strzałów, ani szalonej jazdy, ani obozowań pod gólem niebem...

A jednak już w czasie pobytu w Warszawie serce jej mówiąło nienadaremnie, że została zdrafiona. Król, wykradając się przed nią, zawiązał był stosunek z córką francuskiej kupcowej, do której sklepiku na wino uczęszczali oficerowie... Anna groziła, dowiedziawszy się o tem, królowi, że mu z pistoletu w łeb wypali; król śmiał się, całował jej rączki i przebłagać potrafił. W istocie mimo tych zalotów kochał ją, ze wszystkich ulubienic tronu była mu najmilsza; ona jedna bawić go nieustannie umiała... z nią jedną był szczęśliwym!

Niespokojna o króla, wróciwszy do Drezna, Co-

sel pocieszała się tem jedynie, że otoczona własnym dworem wielbiceli, na których jej nigdy nie zbywało, choć się z nich wyśmiewała nielitościwie, dokuczała wymaganiami swemi namiestnikowi Fürstembergowi... Wojna, wydatki, zniszczenie kraju, stracona korona, nie zmieniły bynajmniej życia Coseł, nie zmniejszyły zbytków... Utrzymywano po królewski hrabinę, pieszczono Böttigera, który lada dzień miał zrobić złoto. Fürstemberg jeździł otoczony gwardią, śpiewacy i kapela włoska kosztowała tysiące, a tymczasem Karol XII zajmował Saksonię... i Patkula wydawano na śmierć męczeńską.

August wśród tych klęsk z wypogodzoną twarzą grał rolę półboga.

Wśród szczeku oręża, podpisawszy traktat, hańbę swą, August II... powrócił do stolicy; a zaledwie powozy stanęły w dziedzińcu zamkowym, wprost udał się go pałacu hrabiny Coseł.

U drzwi jej apartamentu zastał wiernego Zaklike, który, wsparty na poręczy krzesła, w głębokiej zadumie był zatopiony... Ujrzałszy króla, Rajmuś się porwał, wstrzymując Augusta.

— Najjaśniejszy panie! hrabina chora... lekarz co chwila spodziewa się... przyjścia na świat...

Zlekka odepchnąwszy go, król wszedł... W pokojach głęboka panowała cisza... U drzwi sypialni usłyszał August płacz dziecięcia.

Coseł, biała jak marmur, wysilona cierpieniem, nie mogąc przemówić słowa, wyciągnęła obie ręce, wskazując mu dziecię, które staruszka trzymała na ręku. Król wziął je i pocałował, zowiąc swoim... Potem przystąpił do łóża i usiadł, czoło kryjąc w rękach...

— Anno — rzekł, — świat mną wzgardzi i ty mnie kochać nie będziesz... Szczęście opuściło Augusta, jestem zwyciężony... pobity... wyzuty ze wszystkiego...

— Auguście — z płaczem odezwała się Anna. ręce łamiąc, — biednego i nieszczęśliwego, gdyby był kajdanami obciążony, mocniej jeszcze kochać będę...

— Al potrzebuję tej pociechy... — dodał król ponuro — nieprzyjaciel aż tu mnie ściga, sprzymierzeńcy są bezsilni... Zwycięzcy nikczemnie kładą się świat cały... on tu panuje, nie ja... Jestem najnieszczęśliwszym z monarchów...

Na takich żałach zbiegła godzina pierwsza pobytu w Dreźnie, chora potrzebowała spoczynku, królowi go dać nie mogli już zbiegający się ze wszędzie wojskowi dowódcy i urzędnicy... W korytarzu, wiodącym do pałacu czterech pór roku, zastał ich: Flemminga, namiestnika Fürstemberga, Pfluga, Hoyma i całą gromadę, przerażonych kleksami, które na Saksonię spadały... Otoczeno go kołem. Wszyscy szukali w twarzy jego oznak bólesci i znekania: król był tylko nieco zmęczony i znudzony. Ani postawa, ani wejrzenie nie zdraudzały nieszczęścia, jakiego doznawał... Egoizm w nim głuszył wszystko... dopóki sam czuł się całym, nie boloło go nic... nie rumienił się niczem...

Dnia 15 grudnia 1706 roku przybył August do Drezna... nazajutrz zniknął... Samotrzeć z Pflugiem i jednym sługą był już konno w Lipsku... trzeciego dnia jechał do Karola XII, pewien, że jasnością oblicza i wielkością swą na niezblagany Szwedzie wyrobi lepsze pokoju warunki.

Dowiedziawszy się, iż król saski jedzie doń, Karol XII chciał być grzecznym i wyjechał przeciwko niemu... Dwaj królowie rozminęli się w drodze... August przybywszy do Günthersdorf, gdzie stał hrabia Piper, dowiedział się, że w Alstrandstadt (o pół godziny drogi) króla szwedzkiego nie było. Dziwnie wydać się musiał dwór i obóz suro-

wego, postrzyżonego Karola XII ufrizzowanemu Augustowi...

Spotkali się dwaj monarchowie na schodach. Nigdy może dwa charaktere z sobą sprzeczne wyraziściej się w postaciach nie malowały. Karol XII wyglądał na purytanina; Sas na dworaka Ludwika XIV. Zajadli wrogowie przywitali się z wielką serdecznością. U drzwi pokoju wszczęły się ceremonie, kto ma wnijść przodem; kliniali się oba długo, Karol XII puścił pobitego przed sobą. Nastąpiły najczulsze pocałunki i ściskania rąk, a potem rozmowa w oknie, która trwała godzinę, której nikt nie slyszał, z której August II wyszedł blady i zmęczony...

Dzień ten spędzony z Karolem XII zaciężył na życiu króla; nie wspominał o nim nigdy... Nazajutrz milczący powrócił do Lipska, gdzie Karol XII etykietalnie krótką oddał mu wizytę... W traktacie jednak nic ponie się nie zmieniło...

Rok następny ciężko się rozpoczął dla króla dusiła go ta Szwedów przytomność na saskiej ziemi, chciał się ich pozbyć, choćby największą ofiarą. Pomiędzy Alstrandstadem, Moritzburgiem, Lipskiem starając się o ratyfikację traktatu, spędzał August dni upokorzenia.

Król saski w złocistej sukni à la française, w allonge-peruce utrelionej starannie, okryty klejnotami, obok Karola XII z ostrzyżoną krótko głową w sukiennym mundurze granatowym ze stalowymi guzami, w butach za kolana i łościowych spodniach, spotykali się, wywzajemniając grzecznościami, ale Karol XII nie dopuścił rozmowy do polityki i interesów... Te obrabił Piper i Cedernhiölm... Karol XII między innymi zapewniał króla saskiego, że o lat sześciu prawie długich swych butów nie zrzucał; nie miał czasu... August się uśmiechał.

Zaproszenia do stołu w Lipsku Karol XII nie czynał nigdy. August, choć mu spartańska polewka szweda nie smakowała, zasiadał z nim i męczył się, bo u stołu Szweda nigdy słowa nie mówiono. Jedli wszyscy w milczeniu... a obiad trwał godzinę...

Po podpisaniu traktatu, parę miesięcy królowie wcale nie widywali z sobą. Karol XII jednak chodzić z Saksonią nie myślał. Znudzony wkoło August II, mówią, że spotykając nawet Szweda Lipsku, udawał, iż go nie widzi.

Miał biedny król w istocie wicle na głowie, nie mniej tej nieprzyjacielskiej załogi... Musiał połowac kochać i płakać intrypy dworaków, aby o swej edzie zapomnieć...

Dwór był zawsze równie świetny... Karol XII eustannie odbywał musły swoich żołnierzy: august II wydawał baile... Tról mu tylko spokój rozkoszne sny nieznośny Fürstemberg, ówczesny przypadkowy namieśnik w Dreźnie...

O tym nieprzyjacielu teraźniejszym Anny Coseł, ilka słów dopowiedzieć musimy... Wśród dworu Augusta, złożonego z cudzoziemców i Niemców różnych krajów, dlatego, by wpływ saskiej szlachty unąć, Fürstemberg w istocie zrazu obco się wydał. Przybył tu z cesarstwa, był katoikiem i bardzo gorliwym, nie zalecał się wiele charakterem, ani nadzwyczajnymi zdolnościami; lecz miał śmiałość, wesołość, mowę głośną, dowcip żywą i dar mawiana królowi największych niedorzeczności. Fürstemberg grał tu rolę magnata i arystokraty, zajmował się najpilniej walką skrytą z nieprzyjacielmi i wiązaniem intryp coraz nowych. Wierny abia Reuss był narzędziem. Dom jego i towarzystwo służyło Fürstembergowi... Ani się spostrzegły zau przeznaczony na odpieranie szlachty saskiej iążę, jak sam się jej dał związać. Schwycili go

Friesenowie przez hrabiego Reuss i zaprzęgli do swojego wozu...

Cosel po swem wyniesieniu wprostce uwolniła się z wiezów Vitzthumowej, pani Reuss i jej kółka; zdawało jej się, że potrzebować ich nie może, a nie chciała nawet z pozoru za narządzanie im służyć... Oziębieńie i zerwanie stóp uratowały było hasiem do wypowiedzenia podziemnej wizji.

W czasie nie bynosieli króci sapiegiwano każdy krok Anny, powtarzano każde jej słowo, tłumaczyono każdą czynność, aby się tem później posłużyć przeciw niej u kręgu... Pora działania jeszcze nie była przeszła... Fürstenberg zemdlił i wstrzymywał innych... Powrót króla był triumfem Cosel...

W czasie, gdy jeszcze z łóżka nie wstawała, a chciała mieć cięcie Augusta przy sobie... jednego rona oznajmiono królowi, iż jutro daje mu przyszły z Warszawy (gdzie król zawsze miał jeszcze stronników). Chciał wyjechać, Cosel prosiła, aby ministra Bose wpuszczono z niemi do jej sypialni. Nic w tem nie było nadzwyczajnego: despotycznej woli jej, wyrażającej się gwałtownie, król ulegał.. Wpuścicono pana Bose.

Z trzech tego imienia na dworze Augusta znanych wysokich urzędników, wchodzący z ceremoniałnemi nader i niezmiernie niskimi ukłonami, Bose był najstarszym, a jak mówiono, najmadrzejszym...

Zaczął od uczczenia majestatu, zgławiały się tak, iż tylko perukę jego król mógł widzieć, a ta nie należała do najwykwintniejszych. Taką samą czcią powitał piękną chorą, która cała w puchach i kordonkach zagrzebana, wyglądała jak blada na śniegu różyczka...

Pod pachą niósł Bose papiery.  
Cichutko szepnął królowi:

— Pilne, z Warszawy...

Oba z nim ustąpili ku jedynemu oknu, które nieco roztwarte było, gdyż inne grube okrywały zapony. Coseł nie spuszczała ich z oka. Dosłyszała ten wyraz z Warszawy i badała zdala twarz króla, aby z niej wyczytać, co znalazły w tych papierach. Bose z uszanowaniem w dwu chudych, kościstych palcach, wyglądających z mankietów nakrochmalonych, podawał Najjaśniejszemu kopertę po kopercie... Zrazu szła jedna po drugiej, poważne, z wielkimi pieczęciami... Coseł nie ruszała się z łóżka i trzymała spokojnie głowę spartą na ręce.

Wtem Bose coś szepnął i wręczył królowi list mały, niegrabny, podejrzany. Król rozerwał kopertę, rzucił nań cikiem, uśmiechnął się i zarumienił: niemowlę wzrok jego pobięły na Coseł.

Anna usiadła niespokojna.

— Co to za list? — spytała.

— List, w sprawach kraju; cóż chcesz? — rzekł król.

— Proszę mi go pokazać — krzyknęła chorą.

— Nie potrzeba! — rzekł zimno król, czytając dalej.

Twarz Coseł zapłonęła; zapominając o przytomności szanownego staraszka, który się cofnął, jak piorunem rażony, zakrywając oczy, Anna w koszuli skoczyła i wyrwała papier z rąk Augusta... Król się zmieszał, spojrzał na radcę, ten stał w pokornej postawie człowieka, który nie wie co począć z sobą.

Coseł pożerała list oczyma, w największym gniewie rozrywając go w kawałki. Przeczucie nie omyliło jej: list był od Henrjety Duval, którą król, oszukując Coseł, poznał w Warszawie, a donosił Augustowi o narodzeniu córki, która później być miała sławnąową hrabiną Orzelską... Biedna matka kończyła, pytając króla, co każe uczynić z dziecięciem.

-- Niech je wrzuci do wody! niech je utopi! — krzyknęła Coseł — tak jakbym ja ją utopiła, gdybym mogła!

Król śmiał się, Anna zaczęła płakać. Bose z nowemi pokłony, widząc, że nie w porę przyszedł, cofał się ku drzwiom.

— Coseł, na Boga! uspokój się! — rzekł król, przystepując do łóżka...

— Jakto? ty, któremu ja poświęciłam wszystko, którego jestem żona, która ciebie jednego kocham.. śmiesz mnie zwodzić, zdradzać...

Nie pierwszy to był wybuch zazdrości Anny, która odgrażała się za każdym króla bałamuctwem i nie dawała spokoju Augustowi, aż u nóg jego o przebaczenie prosił i poprawę przyobiecał.

Przebłagać ją tym razem było trudno, August całował ją po rekach naprzóźno.

— Coż chcesz, żebym uczynił? — zawołał.

— Jeśli słowem jednym odpowiesz tej niegodzowej, jeśli dasz znak życia i zajęcia nią — krzyknęła Coseł ze wzrastającą popędliwością — biore pocztę jadę do Warszawy, zabiję małkę i córkę, przysięgam!

Król przyrzec musiał i dać słowo rycerskie, iż się nie odeswie, że zapomni, i w własnym losowaniu zostawi swych kaprysów ofiary...

Tak naosiątek skończyła się ta scena, o której Bose nikomu nie wspomniał, bo nikt nad niego nie lękiał się więcej narazić niepotrzebnie wszelkocnej pani. Jego polityka zależała na tem, by chodzić cicho i takimi drogami, na którychby go nikt do śledzić i dostrzec nie mógł. Ludzi wielu miało go za prostodusznego staruszka: mówił mało i udawał, że nic nie wie.

## X

O przygodzie tego poranku niktby pewnie nie wiedział, lecz wieczorem król bardzo zmęczony

ebrał w malej jadalni zwykłe kółko zaufanych, by się z nimi rozerwać... Zapijano pamięć Szweda. o drugim czy trzecim puharze, lbo tam kielichów ie używano, król się śmiać zaczął, patrząc na ürstemberga.

— Wielka szkoda — rzekł, — żeś ty w miejscu arego Bosego z papierami z Polski nie przyszedł: ylbyś się może z Coseł pogodził, zobaczywszy ja tym stroju, w jakim się przedstawiła staremu.

— Cóż to było? — zapytał książę — wszak hrana z łóżka nie wstaje?...

— To też w koszuli z niego się porwała, aby i z powodu listu tej biednej Henrjety zrobić naj-kropniejszą scenę... Zazdrosną jest jak żadna, nie dziwiłbym się wcale, gdyby kiedy w przystępie j pasji dotrzymała mi dawno danego słowa i strze-a... Pistolet jej nigdy nie opuszcza.

Fürstemberg się obejrzał ostrożnie, aby się prze-onać może, czy niema zdrajcy między nimi: byli alko swoi, o których wiedział dobrze, iż Coseł enawidzą.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się z uśmie- em dwuznaczny, — hrabina Coseł, będąc tak zdrosną o serce Waszej Królewskiej Mości, co kogo nie zadziwi, powinnaby przynajmniej sama wodu do podejrzen i zazdrości nie dawać...

Król podniósł powoli głowę, zmarszczył brwi, ydał usta i spytał zimno:

— Mój Fürstembergu, kto coś podobnego mówi, winienby dobrze rozważyć swe słowa i rozra- ować następstwa... Na tem, coś powiedział, za- ymać się nie można; powinieneś się wy tłumaczyć. Książę spojrzał po towarzyszach.

— Ponieważ słowo mi się wyrwało, naturalnie orawiedliwić je muszę. Przecież nie ja jeden, ale tu wszyscy patrzyliśmy na postępowanie hrabiny

w czasie niebytności Najjaśniejszego Pana... Proszę spytać, jak się hrabina bawiła tutaj, boć pałac był pełen zawsze... gości pełno, wielbicieli miasta, a starszy hrabia Lecherenne w nadzwyczajnych łaskach, prawie z pałacu nie wychodził. Niekiedy widywano go z bratem lub bez brata, wymykającego się około północy... Codzien na obiedzie, codzien na wieczerzy...

Ci dwaj Lecherenne, hrabiowie, z których starszy był bardzo pięknym, postaci pańskiej, wielce wykształconym i pełnym dowcipu mężczyzną, a młodszy mało mu ustępujący, kawaler maltański i do stanu duchownego przeznaczony, od kilkunastu miesięcy przybyli szczęścia szukając na dwór drezdeński. Widząc, skąd płyną łaski, przywiązały się szczególnie do hrabiny Cosel, a za jej protekcją król ich szambelanami mianował. Spodziewali się snać dalszych łask i pozostały w stolicy saksońskiej. Dwór widział już w nich niebezpiecznych współzawodników, gdyż król chętnie się cudzoziemcami otaczał... Dlatego Fürstenberg rzucił to podejrzenie, aby zarazem i Cosel zaszkodzić i pozbyć się starszego Lecherenne, którego zdolności mogły podnieść wysoko.

Król August wysłuchał Fürstenberga z pozorną obojętnością, lecz i on i wszyscy przytomni, co znali, jak umiał w sobie tłumić wrażenia, i z każdego drgnienia nauczyli się odgadywać, postrzegli, że strzała uwiczała.

— Co mi ty prawisz, Fürstenberg — odparł August. — Zazdrość mówi przez ciebie! Cosel cię nie lubi! Chciałeś, aby zamknięta wśród czterech ścian nudziła się? Potrzebowała rozrywki, Lecherenne jest dosyć zabawny...

— Najjaśniejszy Panie! — odparł namiestnik z udną prostotą — wszakże to, com powiedział, wymknęło

mi się prawie mimowolnie. Nie myślałem wcale do-  
nosić o tem Na jaśniejszemu Panu; mając łaskę Wa-  
szej Królewskiej Mości, fawory hrabiny mniej cenie.  
Lecz przykroby mi było, jako przywiązanemu słu-  
dze, miłość tak stałą, tak gorącą, tak wielką, wi-  
dzieć opłaconą niewdzięcznością...

Sposepniał August... Puhary stały nalane... roz-  
mowa się przerwała, król wstał.

Po wrażeniu, jakie to uczyniło na królu, Für-  
stemberg zmiarkował, że sprawę przegra. Ile razy  
August chciał się pozbyć której z ulubienic swych,  
rad był, gdy mu się nastręczała zręczność; nasytał  
nawet dworzan, aby mieć pozór do gniewu i roz-  
stania; gniew jego dowodził, iż Cosel nie była mu  
wcale obojętną.

Tego dnia hrabina wstała po raz pierwszy. Nie  
chcąc przedłużać wieczornej uczty, August skinie-  
niem pożegnał swych gości i wszedł do gabinetu.

Fürstemberg i dworacy pozostali zafrasowani,  
książę wszakże dodawał sobie odwagi, udawał, że się  
uśmiecha, i choć trwoga ogarnęła go o następstwa...  
nie chciał się do niej przyznać.

W chwili gdy się ta rozmowa toczyła u stołu,  
niewidzialny świadek mimowolnie ją podsłuchała.  
Zakliką, o którego wierności i przywiązaniu do  
siebie Anna najmocniej była przekonana, używany  
był przez nią zwykle do odnoszenia biletów do  
króla, gdy je do rąk jego własnych doręczać było  
potrzeba. Znużona samotnością, właśnie napisawszy  
do króla, wyprawiła go z listem, gdy zasiadano do  
puharów. Przerywać zabawy królowi nie wolno  
było. Służbie jednak raz na zawsze wydano roz-  
kazy, aby Zaklikę wpuszczano. Niewidziany, wszedł  
właśnie i stał za ogromnym kredensem, wyczeku-  
jąc chwili, gdy się do króla będzie mogli zbliżyć,  
w czasie kiedy Fürstemberg opowiadał o Lecherennie.

Niebezpieczeństwo grożące, jak mu się zdawało, Annie, dało mu odwagę wycofania się. Nie oddając biletu królowi, pobiegł Zakliku nazad do pałacu i zapukał do sypialni.

Cosel znała go dobrze, był to jedyny sługa, któremu ufała, płacąc mu niekiedy uśmiechem. Gdy wszedł, z bladej twarzy jego wyczytała, że coś złego stać się musiało.

— Mów! — zawała, podbiegając — król! nie stało się co królowi?

— Nie — odparł Zaklik — możem winien, że tu powracam; lecz oto czego byłem świadkiem, com słyszał i co donieść, zdaje mi się, powinienem był pani...

To mówiąc pośpiesznie drżącym głosem powtórzył oskarżenie Fürstemberga. Cosel wysłuchała go zarumieniona, zmieszana, obrażona; odebrała w milczeniu list z jego rąk, skinęła głową i dała mu znak, aby odszedł... Serce jej było gwałtownie... Sama nie wiedząc dlaczego, wysunęła się z sypialni... Za gabinetem, który go od sali przedzielał, usiadła w pustce ogromnej, którą tego wieczora, jak zawsze oświecono, choć nikt nie miał być przyjętym. Ściany sali okrywały portrety i obrazy z życia Augusta II: jeden z nich przedstawiał obchód królewskiej koronacji.

Łzawe ni oczyma machinalnie się wpatryła weń Cosel... gdy kroki słyszeć się dały, po których poznała Augusta... Szedł szybko, szukając jej wszędzie, blady był, zmieszany, gniewny...

Cosel powstała i jakby nie widząc go, zbliżyła się do obrazu.

— Al — odezwał się August, w którego głosie przebiała się gniew źle hamowany cóż to, raczysz pani wpatrywać się w mój wizerunek? To chyba myłka? Nie mogę przypuścić, abym na ten honor zasługiwał jeszcze...

— Najjaśniejszy Panie — odparła Coseł dosyć spokojnie, — byłoby śmiesznością, abyś Wasza Królewska Mość znając, co go wyższym czyni nad innych ludzi, przypuszczał, że ktoś inny moje oczy po nim zwrócić na siebie może!... Najzłochsza z kobiet nie popełniłaby nic podobnego. Jak możesz, Wasza Królewska Mość, mieć podobne podejrzenia?

— Tak — przerwał król głosem drżący, — do tąd pochlebiałem sobie... sądziłem... myślałem... ale pozory myią, a dziwactwa kobiet są najczęściej niezrozumiałe...

Mowa króla, tłumiony gniew, uradowała Annę: czuła zazdrość w nim, która dowodzi przywiązania, udała jednak obrażoną.

— Nie rozumiem was, Najjaśniejszy Panie — odezwała się, — co znaczą te tajemnice wyrazy? Nie sądę, bym do nich powód dać mogła. Raczej mówić jaśniejszy, niech przynajmniej wiem, z czego się mam usprawiedliwić i uniewinniać...

— Usprawiedliwić, uniewinnić — przerwał król gwałtownie, tak że Coseł się ulekła — ale są sprawy, z których się uniewinnić niepodobna! Myślałeś pani ukryć je przede mną... tymczasem, mam dowody...

— Dowody! przeciwko mnie! — Coseł załamała ręce. — Auguście! — zawała — to sen, to marzenie, to męczarnia! Mów, ja cię nie rozumiem... Jam niewinna...

Rzuciła się na szyję królowi, który zrazu odepchnąć ją chciał; pochwyciła go za suknię, z rozpaczą porwała rękę i zaczęła płakać.

— Zlituj się nadem mną! mów! Niech przynajmniej wiem, za co mam cierpieć... jaki niegodziwy oszczercza śmiał mnie zbójeczką potwarzą dotknąć!

Nierychło gniew króla, który po winie bywał wściekłym czasami, Coseł ukołyśać potrafiła; łzy go wreszcie zmiękczyły; posadziła go przy sobie.

— Królu mój, panie, wytłumacz mi, co twój gniew wzbudziło — poczęła błagającym głosem, — widzisz, co się dzieje ze mną... Ja szaleję z bólu! Powiedz mi, odkryj. Więc nie kochasz mnie chyba? Szukasz pozoru, byś się mnie pozbył... A! dawniej, dawniej miłość twoja była taka, że nawet błędby mi przebaczyła: dziś.. serce twe gdzie indziej.

August już był ochlonął.

— Dobrze — zwołał — chcesz wiedzieć, powiem wszystko: wychodzę z zamku, gdzieśmy z Fürstembergiem rozmawiali.

— A! z nim, nic mnie już nie dziwił to mój wróg — przerwała Coseł.

— Książę mi powiada, że całe miasto było zgorzezone postępowaniem twem z Lecherennem...

— Lechereinem! — śmiejąc się, powtórzyła, ruszając ramionami Coseł..

— Lecherenne — mówił król — nie zdawał sobie nawet pracy ukrywania swych uczuć dla was! przymówaliście zakochanego w mej nieoptymości, codziennie siadywał wieczory całe, widywano go.

Coseł przybrała minę poważną, chłodną, kobiety obrażonej.

— Tak jest — rzekła — wszystko to prawda: Lecherenne zakochany jest we mnie, ale ja śmiałam się z tego i śmieję. Bawił mnie czułościami swemi słuchała n ich, żartując sobie z niego! Nie sądzę bym zawiniła wielce! Nie kryłam się z tem, bom nic do ukrywania nie miała... Myślisz więc, królu, że dosyć jest kochać się we mnie, aby być kochanym?... A to okropne — dodała, ręce łamiąc. — Więc lada taki Fürstemberg słowem złośliwem przeważy ufałość twą dla mnie! wiarę w serce Coseł...

Padła na sofę, płacząc. Król już był złamany przykłyki przed nią i ręce jej zaczął całować...

— Coseł! przebacz mi — zwołał — nie byłbym

zazdrosnym gdybym cię nie kochał. Znam Fürstemberga... prawda, jest to najadowitsza żmija, jaką wyhodowaiem na dworze... Daruj mi! Nie chcę, aby moją Annę podejrzewać nawet śmiało, aby dała powód do potwarzy.

Anna płakała ciągle.

— Królu — mówiła łkając — jeśli potwarców dopuścisz do tronu, pamiętaj, nie skończą oni na nas, na mnie; język ich dotknie twojej świętej dla nas osoby, bo dla nich nie ma nic świętego...

— Bądź spokojna, bądź spokojna — odparł król — przyrzekam, daję słowo, nie dopuszczę, aby moi kłosy miały co rzec na ciebie.

Tak się ta scena skończyła czułościami, zapewnieniami najuroczystszej z obu stron. Cosel uważała dać słowo, iż Fürstembergowi nie okaże tego, iż imienia oskarżyciela się dowiedziała.

Dzięki więc przytomności Zakliki, Cosel odniosła zwycięstwo.

Uspokojony zupełnie król wrócił na zamek, a nazajutrz słowa nie przemówił do Fürstemberga, omijając go widocznie. Przez W. Mistra dworu kazał August Lecherenne'owi dać znać, by tego samego dnia służbę opuścił i z Drezna wyjechał.

Rozkaz ten padł tak niespodzianie na młodego hrabiego, iż zrazu nie wiedział, czy mu ma wierzyć. Komendant miasta kazał mu go powtórzyć, dając dwadzieścia cztery godziny czasu.

Lecherenne, strwożony, pobiegł, nie wiedząc, co zaszło, do pałacu hrabiny. Zaklika poszedł o nim oznać swojej pani. Zarumieniła się z troski i niepokoju.

— Powiedz mu, waćpan — rzekła cicho — iż nie mogę przyjmować tych, którym król zakazał się pokazywać przed sobą... Powiedz mu — zniżyła głos, — że mi żal szczerzy, iż odjeżdża...

— To mówiąc, zdejła pierścieni z palca, który król niedawno jej był darował.

— Daj mu ten pierścien od mnie — rzekła zniżonym głosem, odwracając się od swego powiernika.

### Zakliko zbladł.

— Pani hrabina — ośmielił się odezwać stłumionym i cichym także głosem — racz mi przebaczyć, to pierścien od króla.

Cosel, która niecierpiąca, by się jej ktoś śmiały sprzeciwiać, odwróciła się ku niemu z twarzą groźną i brwiami namarszczoneimi, tupnęła nogą:

— Nie o radę was proszę, ale wydaję rozkaz: masz go spełnić!

Zakliko, zmieszany, wyszedł, chwilę się zatrzymał za drzwiami. Przed kikucytały za dowód nadzwyczajnej siły otrzymał był od czeskiego hrabiego, który u dworu przebywał, kosztowny pierścien z podobnym kamieniem. Jakiś przeczucie kazało mu zamienić je: poszedł ze swoim do Lecherenna, a hrabiny dar ukrył przy sercu.

Czwartego dnia potem król, w czasie gdy Cosel ubierała się, wszedł do jej gabinetu. Anna zwykle pierścien ten nosiła na palcu, oko zazdrosnego kochanka dojrzało jego zniknienie.

— Gdzie jest mój pierścien ze szmaragdem? — zapytał.

Cosel z wielką przytomnością umysłu zaczęła go szukać niespokojnie na gotowalni, na posadzce, w całym pokoju. Twarz króla okrywała się coraz kraśniejszym rumieńcem.

— Gdzież się podział? — powtórzył.

Cosel zwróciła się do służącej.

— Ale ja go od dni czterech na ręku u pani nie widzę — szepnęła służka.

August policzył iż od wyjazdu Lecherenna,

którego bytności u drzwi Coseł wiedział dobrze, laśnie cztery dni upływało.

— Nie szukajcie go nadaremnie — odezwał się cyderczo, — mógłbym może powiedzieć, gdzie się odział.

Coseł minowolnie się zmieszała. Król wybuchnął gniewem. Nie chciał słuchać tłumaczeń nawet.

Służące wybiegły, aby nie być świadkami tej ceny, a głos pana rozlegał się po pałacu. Trwoga garnęła wszystkich.

Coseł miała zemdleć już i łzy dobywały się jej oczów, gdy do drzwi zapukano: nim miała czas się zwrócić ku nim Anna, spostrzegła bladą i smutną twarz Zakliki.

— Pani hrabina raczy mi darować, że wchodzę — rzekł — służące mi mówili, że szukały naprzędni pierścienia, ale ja przed godziną go około gotowalni znalazłem i czekałem tylko chwili, aby oddać.

Król rzucił okiem i zamilkł.

Coseł ani spojrzała na Zaklikę, ani odezwała się do Augusta; włożyła powoli pierścień na rękę rzuciwszy wejrzenie gniewu pełne na kochanka, wyszła do drugiego pokoju.

Nie potrzeba było więcej nad to, aby uspokoić króla i zmusić go do przeproszenia na klęczkach brażonej pani, która niełatwo przeblagać się dała.

Król cały dzień zabawił w pałacu, nie mogąc nawet kazać przywołać Zakliki, aby się przed nią wy tłumaczył. Chciał wynagrodzić swą popędliwość, podejrzenia i niewiarę, czuł się upokorzonym winnym. Coseł przyjmowała zimno tłumaczenia, dakała trochę i odpowiadała na czułość tylko zezignacją i pokorą, które nieszczęśliwego Augusta do rozpaczyszy przyprowadzały. Nad wieczór doero piękna pani jakoś się przeblagać dała i pokój pozostał przywrócony.

pierścien, przeznaczony dla Lechrenna; Rajmund obudził się jak ze snu, zobaczywszy go przed sobą w białej ręce drżącej.

— Pani — rzekł — ja przyając go nie mogę... nie! przypominałby mi tylko, żeś dla mnie była nad miarę okrutną.

W tej chwili pierścień znikł, ujęty drugą ręką, a biała dłoń zbliżyła się do ust Zakliki, który ja z zapalem, przykłęknawszy, ucałował; potem jak szalony wypadł z pokoju Coseł, która została sama, zadumana, ze łzą w oku.

— Tak kochają biedni ludzie — rzekła w duszy, — królowie inaczej...

Wśród tych scen przedłużało się zajęcie Saksonji przez Szwedów. Karol XII w wymaganiach swych niczem się złamać nie dawał. Dla króla był bezlitosnym i szyderskim, dla szlachty ostrym, dla kraju ciężkim, bo lud żołnierze jego wyłapywali i gwałtem zaciągali do szeregów. Cóż było począć z człowiekiem, który proszony na łowy i biesiady, posyłał swój dwór, a sam jechał nowozaciężnych mustrować? Na żadnym balu, koncercie, maskardzie być nie chciał. Pokój był podpisany, Patkul wydany, a Karol XII siedział i siedział na saskiej ziemi.

Tyle upokorzeń, tyle ofiar wyczerpały cierpliwość aż do rozpaczys. Zuchwałstwo Szweda, który we dwadzieścia lub trzydziestu koni jeździł po za wojuowanym kraju, żadnemi się nie otaczając ostrożnościami... budziło oburzenie w umysłach śmielszych wojaków.

Jednego ranku hrabia Schulenburg zameldował się do króla, w chwili, gdy był na radzie z ministrami. Starego wojaka zaproszono na nią, ale mówić nic nie chciał, prosząc o osobne posłuchanie.

Flemming, Fürstemberg i inni ustąpili po chwili: zostali sami-na-sam.

— Cóż mi powiesz, generale? — zapytał August,  
— może szczęśliwą przynosisz nowinę, że Szwedzi  
wychodzą?

Uśmiechnął się boleśnie.

— Nie, Najjaśniejszy Panie — chwilę pomyślaw-  
szy, odezwał się Schulenburg — byłby może jednak  
środek pozbicia się ich.

— Przyznam ci się, że go nie widzę, chybaby  
Pan Bóg zesłał wojsko swoje z Michałem Archani-  
ołem na czele pod twoją komendę.

— Królu — przerwał Schulenburg, — zdaje mi  
się, że z trochę i ożpaczliwej odwagi obeszlibyśmy  
się bez archaniołów. Szwedów rozsianych po całej  
Saksonii jest dwadzieścia kilka tysięcy, garść to  
tylko, którą jeden śmiałek straszna czyni. Tego  
śmiałka pochwycić, a reszta nie będzie dla nas  
straszna.

— Co ty mówisz? pochwycić? wśród pokoju?  
nieobawiającego się, ufającego nam!

— To właśnie czyni słuszną naszą zemstę moż-  
liwą — odezwał się Schulenburg. — Z oficerami na-  
szej jazdy, schronionymi przy granicy Turyngii,  
rekognoskowałem jego kwaterę. Ślabo jest obwa-  
rowana. Mogę nocą napaść nań i porwać go. Za-  
wiozę go do Königsteinu... niech go obiegają: nie  
dam się tam. Zresztą głowa króla ręczyć mi bę-  
dzie za bezpieczeństwo i podpisze mi naowczas  
taki traktat, jak my zechcemy.

August słuchał z uwagą.

— A jeśli ci się nie powiedzie? — zapytał.

— Nie powiedzie się naowczas mnie, a nie  
wam, Najjaśniejszy Panie — rzekł generał. — Ja kraj  
chć ocalić i Europę od młodego drapieżcy, który  
ją gotów ogniem niszczyć i mieczem.

— Generale — mruknął król, — zdaje mi się, że  
ci się śni; w żadnym razie, ja rycerski obyczaj

Wypadek ten wzmacnił w Augustie wiarę w nią i zwiększył jej potęgę; nieprzyjaciele zamilknąć musieli.

Po połnocy już król udał się do swego gabinetu dla narady z oczekującymi nań ministrami. Karol XII ciążył nad niemi brzemieniem nieznośnym; lekceważenie jego dla Augusta, wstęp dla tego pięknego bohatera, dolegały wszyskim zarówno. Czuli się w nim dotknięci. Dzikim młodzik, bo Karol XII nie miał nad lat dwadzieścia kilka, wydawał im się rodzajem Atyli, świętokradzko burzącym wspaniałość tego żywota, blasków i świetności pełnego.

Zaledwie król odszedł, Cosel porwała się z siedzenia, na palcu jej jaśniejący szmaragd przypominał jej Zaklikę.

Zadzwoniła królowa. Karzeł, który wszedł, bo i ona, jak prawdziwa królowa, karłów miała na posługach, wysłany został po Zaklikę.

Obyczajem swym wierny Rajmuś siedział na straży w przedpokoju, czytając jakąś odartą księgi. Zobaczywszy karła, domyślił się, że przyszła sądu godzina. Ocalił on Cosel, ale samowolnie; wiedział, że mu to za grzech będzie poczytane i zadrżał. Czuł się szczęśliwym, że ją uratował i czuł winnym. Drżący i onieśmielony, stanął w progu; Cosel w sukni rozpuszczonej, z rozwitemi na ramionach włosy czarnemi, piękna jak bóstwo, dumna jak wszechwładna pani, przechadzała się po sali. Na widok Zakliki zmarszczyła brew i stanęła przed nim groźna.

— Kto ci pozwolił zmieniać moje rozkazy? po pełniąc tajemnicie nieposłuszeństwo? mieć za mnie przebiegość, o którą cię nie proszą? Co to jest za zuchwałstwo?

Zaklka stał długą niemy ze spuszczonemi oczyma, zwolna podniósł je na hrabinę.

— Przyznaje się do winy — odezwał się głosem spokojnym — tak, zgrzeszyłem... Przypomnisz sobie pani Laubegast i pobożność z jaką zdaleka wpatrywałem się w twoje oblicze. Niech mnie to uczucie szalone i niedorzecze, dochowane do dziś dnia, tłumaczy. Chciałem cię ocalić, pani!

— Ja nie potrzebuję pomocy niczyjej, aby być ocaloną — zawołała surowo Coseł; — w siedzibie żądam posłuszeństwa i nic więcej: rozumu nie chcę... a uczuciem służalców gardzę. To obraza dla mnie.

Zaklika spuścił głowę.

— Gdybym słowo powiedziała królowi, jutro byłbyś zamknięty w Königsteine, lub powieszony na rynku. Któz ci powiedział, że mnie nie więcej boli to, iż Lecherenne pierścienia nie otrzymał, niż to, żeś mnie z chwilowego zakłopotania, jak ci się zdaje, wybawił?

— Lecherenne pierścień otrzymał — rzekł Zaklika, po którym te bezlitosne wyrzuty oślepnęły się jak wody po skale.

— Jaki pierścień? — spytała Coseł.

— Zupełnie do tego podobny; nialem go danym za okaz siły przez czeskiego magnata Sternberga w przeszłym roku: przeczuwając, iż król o pierścień swój zapytać może, oddałem własny.

Coseł stanieła zdumiona i popatrzyła na Rajmunda, który głowę miał na piersi spuszczoną.

— A! należy ci się nagroda! — szepnęła zmieszana.

— Nie, tylko przebaczenie — odparł Zaklika, — nagrody żadnej nie przyjmę.

I cofnął się pod same drzwi, opierając o nie. Długo i dziwnie spoglądała nań Coseł. Jakaż zmiana zaszła w jej uczuciach! Zrodziła się litość, ale zduma ją w pierś nazad wtłoczyła.

W milczeniu postąpiła do Zaklikiego, podając mu

szanując najwyżej, na nieprzyjaciela w ten sposób zdradziecki, podstępny, napaścibym nie dozwolił: nie mogę — dodał, zapalając się. — Nienawidzę go, zadławiliśmy go, gdyby mi się dostał w ręce, ale go chwylać wśród nocy, ale go napadać, gdy mi ufa: nie! Generale, to nie Augusta Mocnego rzecz.

Schulenburg ponuro nań spojrzał.

— Zawszeż się z tobą, królu, po rycersku obchodzono? — zapytał.

— Wolno jest gburom, jak ten młodzik, czynić, co chce, to są ricokrzesani barbarzyńcy; ale August, którego lud zowie Mocnym, a monarchowi Współzaintym, nie dopuści się tak niskiego czynu.

Stary wojak wąsa pokrocił, klaniąc się.

— A gdyby się go niepruszny żołdak dopuścił? — zapytał.

— Musiałbym pierzryjaciela bronić i sam go uwolnić — zawołał August — to nie ulega wątpliwości.

— Jest to nadzwyczaj rycersko i pięknie — rzekł Schulenburg niemal ironicznie — ale...

Nie skończył i skłonił się nisko.

Odchodząc do króla ujął za rękę.

— Kochany generale, proszę cię, rzuć ię myśl i nie mów o niej nikomu. Nie, nie chcę tym koszem zwycięstwa.

Schulenburg podniósł zbladłe oczy, jak gdyby pytał niemi, czy wydanie Patkula, czy uwięzienie Linhoffa i Pfingstena, szlachetniejszemi były czynami nad krok, którego się August wzdrugał.

Król zrozumiał moze ten wyrzuł niemy; domyślił się, co znaczyło milczenie, bo po twarzy krew mu falą purpurową przebiegła.

Schulenburg stał smutny.

— Czem rozpaczniew ratować się musimy — mruknął pod wąsem — pospolitemi środkami za

óźno. Kość trzeba rzucić o życie lub śmierć. Nie mamy do stracenia nic... Stracona korona jedna, która kosztowała miljony; złamana druga, a po niej zcząki tylko: cóż dalej będzie?

August z uśmiechem na ustach przeszedł się po gabinecie.

— Wiesz co będzie dalej? — spytał — oto uzuchwały młodzik pojedzie dalej. Kilka zwycięstw dały mu szaloną, zuchwałą, nieopatrną odwagę... rozbije się z nią o jakiś zuchwały zamiar, bo siłą rachować nie będzie. Dlaczegoż mamy się plamić, by przypieszyć tylko to, co niszczybne? co nieodzowne? Czemu nie znieść cierpliwie przeciwności, aby później korzystać tylko z tego, co ktoś inny dokona? Karol XII wzbiły jest w pychę; kłamia mu się Europa przełekła... trzeba ją w nim karnić i dać jej się rozbudzać, aż się sama o mury roztrzaska.

— A tymczasem Saksonja... Najjaśniejszy Panie!

— Al! lud ucierpił zapewne — zawołał August, — ale, generale, lud jest jak trawa, którą, gdy bydło trątuje, na przeszły rok zieloną jeszcze odrasta.

— Toć ludzie! — rzekł Schulenburg.

— Gmin — odparł król, — w jakiż rachunek ktoś pierze masy i tłumy?

Zmilkli tedy, a generał króla pożegnał. Już w progu wstrzymał go jednak.

— Mówiąłeś z kimś o tem? — zapytał.

— Oficerowie moi pierwsi mi to myśl poddali — szepnął Schulenburg, — wień, że ją podziela gołąco Flemming, jak ja utrzymując, że przeciw zdreßieckiemu najeźdźcy wszystkie środki są dozwolone.

— Wiedzą więc wszyscy? — niespokojnie powtórzył król.

— Ode mnie nikt — poważnie rzekł general, — o drugich może.

— Każcie milczeć! na bogów niech mi nikt z temi nie wychodzi.

General sklonił się znowu... król siadł w krześle zadumanym.

Po wydaniu Patkula to rycerskie uczucie było przynajmniej rzeczą szczególną...

## XI

Zuchwale kręcenie się Karola XII po Saksonji nie w jednym Schulenburgu obudziło myśl pochwycenia go i pomszczania się klęsk kraju. Oprócz Flemminga, hrabina Cosel rieułkniona, śmiała, mściwa, myśl tę karmila w cichociemni i spiskowała potajemnie. Cały jej dwór, związany przysięgą, pracował nad tem. Ona to pierwsza przez oficerów, którzy tajemnie oglądali kwatery Karola XII i przypatrzyli się jego wycieczkom w kilka koni, poddała myśl tę Schulenburgowi... Nie wspominała o tem królowi, wiedząc zgory, iż on śmiały tego planu nie przyjmie. Szła pełna zemsty kobieta dalej niż inni spiskowi, żądając, ażeby Karola XII pochwyconego natychmiast zabito. Myśl ta rozgorączkowywała ją, roznamiętniała, nie dawała jej spoczynku.

Lecz ilekroć zdala nawet i jakby przypadkiem starała się króla wybadać, August mówić o tem nie dawał. Trzeba więc bylo po za nim prowadzić sprawę. Nieprzyjaznego Cosel ale śmiałygo Flemminga zyskano dla tej myśli; gorąco popierał ją Schulenburg i ofiarował jazdę swą do wykonania.

Cosel utrzymywała, że gdy rzecz będzie dokonaną, August oburzy się może, ale skorzysta, a nikt w Europie nie ujmie się za awanturnikiem.

Skrycie bardzo umawiano się, snuto, zabiegano, wrzeszcie Schulenburgowi polecono wybadać króla.

Po wyjściu jego z gabinetu, choćby nikomu się nie zwierzał, z twarzy jego poznąć było łatwo, że projekt został odrzucony. Wieść się o tem rozeszła wkrótce.

Cosel jednak wcale się tem nie zraziła; czuła w sobie siły stanąć nawet przeciwko królowi i walczyć z nim o to.

August tajemnic dla niej nie miał; tegoż wieczora wydał jej rozmowę z Schulenburgiem. Hrabina porwała się z siedzenia.

— Jakto! nie przyjałeś, królu?... nie chcesz spróbować przynajmniej odebrać swych strat na tym zbójcy?

— Znajdzie się, kto mnie pomści — rzekł król, — mam to najmocniejsze przekonanie; nie mówmy o tem.

Ze zmarszczonego czola zmiarkowała Cosel, iż nie pora była się sprzeczać, zaczęła więc zabawiać inną rozmową. Dworskie plotki wystąpiły na scenę.

Oddawna domagała się od króla, aby ją kiedy do pracowni alchemika zaprowadził. Böttigera trzymano naówczas w baszcie narożnej w zamku, z której był widok na Elbę i dalekie, lasem okryte jej brzegi. Kilkanaście lat już więziony biedak, wśród tej niewoli utrzymywany był ze wszelkimi względami, należnymi temu, od kogo się wiele złota spodziewała.

Fürstemberg co chwila łudził króla, że cel jest prawie dopięty. Sam on pracował z więźniem, to we własnej pałacowej swej chemicznej kuchni, to na tarasie. Böttiger miał tam mieszkanie wygodne, prawie wspaniałe, ogród pełen kwiatów i drzew zamskich, stół na srebrze, u którego многих gości przyjmował, a dla rozrywki pozwolenie przechadzki po całych czarnych gankach długiej galerii, która zamek i twierdzę otaczała i służyła królowi także

do tajnych jego wycieczek. Oсwoiwszy się ze swym losem, widząc, że z pod straży wydobyć się nie potrafi, Böttiger, bawił się już raczej i łodził Fürstemberga, niż na serio myślał o złocie. Wyczerpał wszelkie formuły, przeczytał wszyskie książki, wypróbował wszelkie recepty: naprzóźno!

Widząc, jak Cosei jest wszechmocną, więzieniem, skarbiąc jej łaski zdsieku, codzień jej z najpiękniejszych swych kwiatów bukiet posyłał.

Hrabina pragnęła go raz widzieć; król zwłoczył i odmawiał. Tego dnia była tak natarczywa, tak czuła zarazem, tak piękną, iż August wstał, podał jej rękę i rzekł:

— Chodźmy do Böttigera!

Nie było nikogo pod ręką, aby mu oznajmił te odwiedziny. Król przez okno zobaczył Fröhlicha w śpiczastym kapeluszu opędzającego się dworakom, którzy go napastowali: śmiech się rozlegał dokoła.

August skinął na trefnisia.

— W sam raz poseł do oznajmienia o takich odwiedzinach — zwołał, — wyśle go przodem, ażeby mój alchemista miał czas przywózć suknię, lub żebyśmy go w zbyt nieprzyzwoitem nie zastali towarzystwie.

Böttiger, o którego debry humor dbano, przyjmował nawet i półec piękna.

W progu ukazał się Fröhlich.

— Na dziś, ale tylko do wieczora mianuję cię szambelanem — roześmiał się król, — ażebyś nie powiedział, że darmo dźwigasz klucz tak ciężki. Idź i oznajmij Böttigerowi, że bogini Diana odwiedzi go wraz ze mną.

— Z Marsem, Apolinem i Herkulesem... — dodała Cosei, uadowana.

— Cały więc Olympus — rzekł Fröhlich z uśmiechem, — a gdzież się on tam pomieścił?

Fröhlich z wielką powagą wyszedł, laską torując sobie drogę, czarnym gankiem ku baszcie narożnej.

Dnia tego właśnie wesołe towarzystwo zabawiało się u stołu alchemisty. Kieliszki i dowcipy krążyły.

Książę Fürstemberg, wielki przyjaciel Böttigera, sławny amator alchemii Tschirnhausen, sekretarz i nadzorca Nehmitz, znajdowali się wśród gości. Grubemi mury otoczony pokój krągły w baszcie, który całe jej piętro zajmował, a służył więźniowi do przyjęcia gości, urządzony był ze smakiem i wytwornością prawie pańską. Ściany okrywała jedwabna materja perska w kwiaty, złotemi laseczkami ujęta, ożywiały je zwierciadła, zapelniły sprzęty lakierowane i złocone. Stoły i szafki zdobiły bronzy w smaku epoki. Małeńkie schodki w grubym murze, do których utajone wiodły drzwiczki, łączyły bawialnię tę z pracownią na dole, a drugie z sypialnią w wyższem piętrze.

Wśród swych gości Böttiger wyróżniał się piękną postawą, wesołą twarzą, z której tryskały szybkie pojęcie i dowciw swobodny i wesoły. Ubrany starannie, wydawał się raz zej majątnym szlachcicem w odwiedzinach, niż owym sławnym więzionym człowiekiem wielkich tajemnic, wychudłym nad tyglami. Nie znać na nim było tego, co przebył, ani wytężenia sił na odslonienie wielkiego arkanu. Przy kielichu był najjowjalniejszym z biesiadników, w towarzystwie najwymowniejszym żartownikiem. Właśnie gromadka gości wychylała kielich za jego powodzenie, a aptekarczyk miał jej odpowiedzieć, gdy poseł królewski w śpiczastym kapeluszu i ponosewym tego dnia fraku zjawił się w progu.

— A! Fröhlich! Fröhlich! — zawołali biesiadnicy — cóż, ty tu?

— Przepraszam, nie jestem dziś prostym Fröhlichem, jak się panom zdawać może. Podobało się

jego królewskiej mości kreować mnie na godzinę dwadzieścia cztery szambelanem i w spełnieniu tej funkcji wysłać z oznajmieniem, że bogini Diana wraz z Herkulesem zaszczyci Böttigera zjawieniem się swojem. *Dixi.*

Stuknął laską o podłogę; wszyscy zerwali się od stołu. Böttiger z Nehmitzem i zwołanym chłopakiem poczęli co najpędzej stół oczyszczać. Otwartą okna, gospodarz posłał po bukiety. Tschirnhausem, który znał dobrze gospodę, otworzył drzwiczki i spuścił się do laboratorium, aby ukryć się przed królem. Inni rozperzchli się bocznemi gankami, wiedząc, że czarnym garnkiem król iść będzie: pozostały tylko Böttiger, Nehmitz i książę.

Z niezmiernym pośpiechem ustawiono sprzęt w porządku, posypano posadzkę kwiatami, bukieciki z pomarańczowych kwitnących gałązek wziął Böttiger w ręce i stanął w progu.

Zjawienie się hrabiny Coseł w całym blasku piękności rozświeciło komnatę, u której wnijście więzień przykłknął.

— Bóstwa się na klęczkach przyjmuje — rzekł — a ofiarą im tylko kadziela i kwiaty!

Mrok wieczorny natychmiast rozbiło wniesione światło.

Z uśmiechem przyjawszy z rąk gospodarza bukiet, Coseł podziękowała mu uprzejmie, rozglądając się ciekawie i dziwiąc, że tu nie było najmniejszego śladu „wielkiego dzieła”.

Król, który wszedł za hrabiną, wy tłumaczył ją to pocichu.

— Ale ja właśniebym tam być chciała, gdzie się w pocie czoła, z modlitwą na ustach, dokonywając wielka tajemnica.

— Pani — odezwał się Böttiger — jest to jaskinia tak straszna, wyziewy jej tak są niezdrowe

pozór tak smutny, iż bóstwu zstąpić do tych piekieł się nie godzi.

— Ale ciekawość kobieca! — westchnęła Cosel i spojrzała na Augusta.

Król oddał to wejrzenie Fürstembergowi: księzę ruszył ramionami.

— Pani hrabina nie nawykła chodzić po tak ciemnych i ciasnych schodkach — dodał.

Nie zważając na opór i wahanie się, Cosel odezwała się do Böttigera:

— Bóstwa rozkazują, prowadź nas i poprzedzaj.

To mówiąc, zwróciła się do drzwi, gdy gospodarz w przeciwej ścianie pocisnąłwszy brązowy guz w niej utkwiony, otworzył skryte wnijście i z kandelabrem w ręku stanął w niem.

Nie sprzeciwiał się August, milczący. Szli więc wszyscy po ciasnych i niewygodnych schodkach, zamkniętych żelaznymi drzwiami od pracowni. Gdy je Böttiger otworzył, ukazała się ciężkimi sklepioniami, szczerniącymi od dymu, okryta izba obszerna, jakby ze starego zapożyczona obrazu. Przy grubych słupach jej było kilka pieców, na których stały ostygłe retorty i tygle; rozmaity sprzęt dziwacznych kształtów, mnóstwo flasz i słoje okrywały mury; na kilku stołach nagromadzone były stare księgi o mosiężnych klamrach, pergaminowe swoje, zapisane arkusze i najróżniejszych kształtów narzędzi.

Wszystko to razem wyglądało tajemniczo, pośpieśnie, dziwnie i obudzało jakiś strach w hrabini, która się na ramieniu króla zwiesiła.

Böttiger, podniósłszy do góry światło, stał milczący. August z pewnym poszanowaniem rozglądał się w tej pracowni wielkich nadziei, która wszystkim jego marzeniom dostarczyć miała siły, by się w ciało obróciły.

Gdy tak mocno wstrzymał po izbie król posunął się kroków kilka ku stolowi, skoło jego zatrzymał się z uwagą na przedmiocie, który wśród papeców się znajdował.

Były to kilka jasnoszarej barwy filiżaneczek, które wielkiemu znawcy i miłośnikowi porcelany, najjaśniejszemu panu, co zamieniał ludzi za wazony japońskie, wydały się wschodnim wyrobem.

— Böttiger! — zawołał — co to jest porcelana japońska, a kształty nie jej: skądźże ty to wziąłeś? To przecież osobliwość rzadka!

— Najjaśniejszy Panie — kłaniając się nisko, odparł gospodarz — to zabawka moja... Próbowałem sobie z przywiezionej mi glinki zrobić coś na kształt porcelany.

Król pochwycił żywo podane mu naczynko pięknego koloru i w milczeniu oglądał je, ważył, przeciw światłu w nie patrząc począł niedowieżająco.

— Jakto? utrzymujesz, żeś ty to zrobił? ty?

Böttiger uświlił się i z ziemi podniósł rozbitych kilka slitorupek podobnych, potem z za papierów dobył kilka m'seczek i podał je Coseł i królowi.

— Ale to najsłodsza w świecie porcelana! — zawołał król zachwycony.

Böttiger milczał.

— Tyś wynalazca, tyś odgadnął ich tajemnicę! — kończył August; — nim zrobisz złoto... na Boga, rób mi porcelanę! Za jeden serwis w Chinach z meimi herbami zapłaciłem pięćdziesiąt tysięcy talarów!... Prusak mnie zdarł i wziął mi kompanię najpiękniejszych ludzi za wazy o'brzymie... a ty możesz robić porcelanę i milczysz!

— Najjaśniejszy Panie, to była próbka

— Która ci się najszelestliwiej udała... Dla Diany pierwszy serwis zrobi Böttiger i złoży u jej stóp.

Widząc, jak król zachwycał się wyrobem Bötti-

gora, wszyscy się zbliżyli dla oglądania go; lecz oprócz Coseł i Augusta nie unosił się nikt. Fürstemberg myślał w duchu, że, robiąc porcelanowe łupinki, Böttiger zaniedba tynkturę.

Król, który się bawił gorąco wszystkiem, ucieczył się bardzo swą porcelaną. Niewiadomo, czyby go więcej uradowała wieść o wyjściu z Saksonii Szwedów. Zabrał s sobą pierwszy kubek, dając go Coseł do schowania i, wyraziwszy całe swe zadowolenie Böttigerowi, zabierał się do wyjścia. Ażeby uwolnić najjaśniejszego pana i Coseł od niewygodnych schecków, gospodarz otworzył drzwi, które wprost wiodły do jego ogródka i król, poprzedzony przez służbę, która tu już czekała, udał się znów ku czarnym glinkom do zamku wiodącym. Dzień to był pamiętny w historii Saksonii, która w istocie kopalnię złota zyskała w wynalezku przypadkowym Böttigera, dli go pod karą śmierci zachowywanym w jak największej tajemnicy.

W kilka dni potem daleko dramatyczniejsza scena poruszyła Dreźno całe. Chociaż Schulenburg wyrzekł się zupełnie myśli pochwycenia Karola XII wskutek pierwszej swej z królem rozmowy, śmielsza daleko Coseł i ze swojej strony Fleming wcale jej nie rzucali. Nieopatrność Karola XII codziennie prawie nastręczała zręczność wykonania śmiającej tej myśli: brakło ludzi i przygotowań.

Tymczasem zuchwały i ufny swemu szczęściu i odwadze Karol XII, jak gdyby wiedział o tych pokuszeniach, jak gdyby z nich się uragał, najswoobodniej wędrował po kraju nieprzyjacielskim.

Nikomu nawet na myśl przyjść nie mogło, ażeby śmiał sam rzucić się w paszczę nieprzyjacielowi i zjawić w samem Dreźnie. Krok taki mógł w zbalalnym narodzie wywołać rozpacz, gdyby natód tego nie był zbytkiem i rozwiązałością przemalys i zepsuty.

Dnia pierwszego września, w ten sam dzień, gdy ratyfikację traktatu z cesarzem o swobodę dla protestantów śląskich podpisał, Karol XII wyjechał z Altrandsiadt. Szedł on wśród wojsk swoich, które już od piętnastego sierpnia poczęły być pod dowództwem Rhenskyöld'a, na Śląsk ciągnąc, ku Polsce i dalej ku północy. Znaczniejsza część sił jego już była nareszcie opuściła Saksonię, kiedykażdychów tylko pod Lipskiem zostało. Około Meissen w Oberau Karol dnia szóstego września stał główną kwatertą. Pięknego dnia jesieni konno wyruszył na przejażdżkę: jadący z nim ze wzgórza ukazali się w mgie wieże kościołów Drezna.

Karol XII stał długo zamysłyony, patrzył, milczał, na ostatku odezwał się do szczuplej garstki, która mu towarzyszyła:

— A no, tak blisko już jesteśmy; trzebabym dojechać.

Było z południa między trzecią a czwartą, gdy u biego Drezna stanął ten gość niespodziewany. Wiodąca twierdzy zamknięte były, Karol XII oznajmił się oficerowi, jako posłany od króla szwedzkiego trabant. Zaprowadzono go z towarzyszami na główny odwach; przechodzący właśnie Flemming poznal go przerażony.

Mysł, którą oddawna nosił w sobie, zdawała się dociekać samego spełnienia. Karol XII był bezbronny, niku ludzi mu tylko towarzyszyło, wpadł sam w ręce nieprzyjaciela. Flemming w pierwszej chwili prawie głowę postradał, umiał się jednak poskronić, i na zapytanie o króla, ofiarował się towarzyszyć do niego.

W tej godzinie August II zwykł się być często zabawiać w zbrojowni, dokazując rozmaite sztuki i ćwiczenia siły. Tym razem był tu także z hrabią Cösel, która go na krok nie odstępowała,

i trzaskał żelastwo w silnych rękach, które siły tej tylko na zabawkę użyć umiały.

Śniech wesoły rozlegał się pod sklepieniami gmachu, gdy zapukano do drzwi.

Król zwołał:

— Wnijś!

Spojrzał ku drzwiom, oczy hrabiny zwróciły się ku nim także, i osłupiał, ujrzawszy Karola XII. Flemming, który szedł za nim, królowi i Cosei rozpaczliwe dawał znaki, do zrozumienia łatwe; żądał tylko skinienia, aby zwołać ludzi i nieopatrzne- go gościa pochwycić.

August stał jeszcze jak nieprzytomny, gdy Karol XII pośpieszył go uściąkać, z wesołem:

— Dobry dzień, bracie!

Cosei wytrzymać nie mogła, twarz jej zapłonę- la cała; chwyciła króla za suknię.

— Królu, to przeznaczeń godzina! Jeśli stąd wyjdzie cało... tyś winien.

Karol XII, zdaje się, że słowa te dosłyszał, twarz jego przybrała wyraz surowy i pytający. August zwrócił się z zimną krwią do hrabiny:

— Proszę, rozkazuję, zostaw nas samych.

Hrabina z niecierpliwością, właściwą swemu charakterowi już miała otworzyć usta, gdy król powtórzył stanowczo, marszcząc brew:

— Odejdź!

Cosei ustąpiła, gniewne rzucając wejrzenie na Karola XII, który stał bardzo spokojny, rozpatrując się po zbrojowni. W rozpacz, przechodząc, chwyciła Flemminga, któremu też pałyły oczy. Flemming wzruszył ramionami. Augusta wzrok nakazywał obojęgu milcze- nia. Z wielką spokojnością król przyjął goscia tego.

— Wieleśmy słyszeli o sile waszej — odezwał się szydersko nieco Karol XII, — radbym widzieć jeden z tych cudów, które tak łatwo wyznacie.

Na ziemi leżał preł żelazny, August go podniósł.

— Dajcie mi rękę waszą — rzekł z uśmiechem,  
— nie lękając się, bym ją obrązili.

Karol szeroką dłoń namuloną podał w milczeniu: August poczekał skręcając przy tym opasali nim rękę króla. Spojrzał na siebie w oczy. Żelazo jak posiuszny sznurek owinęło się okolo ręki. W chwili gdy na węzeł je ujął August, z uśmiechem zerwał to pętlę i rzucił ją na ziemię. W milczeniu przypatrywszy się tej sztuce zięczności i siły, Karol pożał za swym przewodnikiem po zbrojowni. Broni było poddostatkiem.

— Macie żelaza dość — rzekł lakonicznie Szwed,  
— co za szkoda, że ludzi was do niego brakuje.

Ze zbrojowni, która leżała w obrębie twierdzy nicopodobnej od bastionu Böttgera, poszli królowie oba do zamku razem. Karol XII chciał powróconą Dreznem rodzinę z tego niedrzczęciela odwieźć; okazywał on dla niej i wprzódły tem większy szacunek, im wybitniej odmawiał wszelkich względów Augustowi II.

Tymczasem z odwachu po mieście rozeszła się wieść o przyjściu Karola XII do Drezna, w towarzystwie zaledwie kilku jezdnych.

Imię jego zdudziale nadzwyczajne zajęcie... protestantycznej, słysząc, co uczynił dla ich współwyznanie na Śląsku, cisnęli się, aby go zebaczyć. Ten młodzik dwudziestokilkuletni był naówczas pożarem Europy... Dwór, Flemming, co otaczało i przywiązało było do losów Augusta II, wzburzone było zadowalstwem bohatera, który urągał zwyciężonemu, z urokiem triumfatora wciążąc się bezbronny do jego gniazda... Flemming rozplotomiony, Co el rozgorączkowana... odgrążał się... Pierwszy z nich potajemnie kazał zwolać ludzi załogi, aby, chociażby mimo woli Augusta, nie-

przyjaciela pochwycić; Anna porwała pistolet i odgrążała się, że wybiegnie w ulicę, aby mu w łeb wypalić...

Poruszenie było ogromne, powszechnie... widoczne już po drodze do zamku, którą August z Karolem przybywał. Jeden król zachował swą niewzruszoną twarz jasną i pogodną, którą zdawał się nakazywać wszym spokój... Zdala spostrzegł on przygotowania, które i oka Karola XII ujśc nie mogły. Szwed jednak ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu i odwagi...

Nie usiłował wcale skrócić swoich odwiedzin, nie spieszył się z powrotem, a że August rad był zatrzymać go także, może dla wypróbowania jego odwagi i cierpliwości, odwiedziny te przeciągały się bardzo długo. Karol poszedł poldorów się królowej, prosił, aby mu pozwolono uścisnąć młodego kurfırsta... podwieczorku jednak odmówił chłodno. Pół godziny siedzieli na zamku, w czasie której Flemming miał czas zebrać ludzi, porozstawać ich i na wypadek, gdyby król w Dreźnie zatrzymać nie dozwolił nieprzyjaciela, wysiąść na własną odpowiedzialność oddział jazdy, który na drodze do Meissen miał go opasać i pochwycić.

Gdy Karol XII był jeszcze u królowej, Flemming potrafił króla wywołać.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł gwałtownie, — jest to jedyna chwila, w której wszystkich swych krzywd pomścić możesz... Karol XII w twoich rękach...

— Uiny w mój honor — odrzucił August — i dla tego włos mu z głowy nie spadnie.

— Najjaśniejszy Panie — dozucił Flemming, — toby była śmieszność unieść się wspaniałomyślnością względem człowieka, który takie zadał ci kleśńi... Ja mimo twojej woli go pochwycę, choćbym miał za to stracić głowę.

— O głowę twoją mi nie idzie — rzekł spokojnie August — ale o coś większego nad nią: o mój honor królewski. Ani mi się waż nic przedsiębrać!

— Na własną rękę? — pochwycił Flemming.

— Nie masz własnej ręki, gdzie jest moja — rzekł August, marszcząc się.

— Nie pozostało mi tylko skruszyć szpadę, którą służyc wam nie mogę.

To mówiąc generał chciał dobyć ją z pochwy, gdy August go powstrzymał.

— Flemming, nie zapominaj, że ja tu jestem, że o moją sprawę idzie, i że nikt tu rozkazywać nie ma prawa... oprócz mnie.

Odwrócił się groźny, generał zamknięt, spojrzał na siebie, Flemming kipiał.

— Najjaśniejszy Panie — rzekł, — stracisz i drugą koronę, tak postępując...

To mówiąc, wymknął się, a król powrócił spokojny do żony, przy której zostawił gościa. Karol XII ani spojrzał na wracającego, chociaż mógł się domyślać, iż za drzwiami radzono o nim...

W czasie, gdy się to działo na zamku, Coseł chciała koniecznie wybiec w ulicę, i znaleźć miejsce, aby strzelić do Karola XII. Zaklka, który ją widział poruszoną do nieprzytomności, wszelkimi sposobami starał się ją powstrzymać, szczególnie tą uwagą, że lud widział w Karolu możnego opiekuna protestantów i mógł się zburzyć w jego obronie. Takie było usposobienie większej części pospolitej, które wylało się na ulicę, a pojmując je, August II musiał się też powstrzymać od wszelkiego gwałtu, lękając wzburzenia ciżby.

August II kazał sobie podać konia, aby towarzyszyć nieprzyjacielowi. Ulice napelnione ludem, okna pełne głów ciekawych... nadawały miastu niezwykły rozór. Głuchie, drwne milczenie towa-

rzyszyło przejeżdżającym; zdaje się, że tłumy oddech przytrzymywali, aby usłyszeć choć słowo z rozmowy... ale rozmowy nie było... Wszystkie oczy wlepione były w Karola, który jechał spokojny, nie okazując po sobie najmniejszej oznaki jakiegokolwiek uczucia; obok niego August posępny i zadumany, ale majestatyczny. Wprost ulicami, przez które ledwie przecisnąć się było można... zwróciły się do bramy ku Meissen wiodącej. Król posłał, rozkazując, aby na cześć Szweda trzykrotnie z dział na wałach uderzono... Na pierwszy dział odgłos, gdy Karol XII zwrócił się dziękując, August przyłożył obojętnie rękę do kapelusza, z uśmiechem. U wrót i w chwili wyjazdu powtórzyły działa salwę... Karol XII chciał tu pożegnać gospodarza, lecz August znał nadto dobrze Fiemminga i swoich, by się nie domyślił, iż na drodze postawią zasadzkę. Jedynym sposobem ocalenia Szweda od napaści a razem honoru własnego, było przeprowadzić go tam, gdzie już niebezpieczeństwo żadne grozić mu nie mogło...

Przeprowadził więc król gościa w milczeniu, obok niego jadąc, pół mili aż do Neudorf. Tu rozstali się, podając sobie ręce. Karol XII puścił się szybkim kłusem w dalszą drogę, August pozostał chwilę zamysłony, spoglądając przed siebie i wącząc: źle czy dobrze postąpił, idąc za głosem honoru.

Stał jeszcze na gościńcu wśród zarośli, które za wsią po wytrzebionych lasach zostały, gdy Flemming nadbiegły konno gniewny, z zapalonemi oczyma.

— Najjaśniejszy Panie — zawałał, — jeżeli sądzisz, że Europa podziwiać będzie wspaniałomyślność twoją, i myślisz, że zapłacisz jej wypuszczeniem Karola za uwięzienie Patkula, myślisz się... Rozsmieją się ludzie z tego bohaterstwa... Tego

arwi chciwego młodzika. Uczesa było we własne skąpać posoce...

— Milczeć, Flemming! — zawała król groźnie, i sam jeden podążył do miasta.

U wrót pałacu czterech pór roku zsiadły z koła... tu go czeała Cesel, gniewniejsza od Flemminga, zasana łzami, zrozpaczona.

— Nie przystępuj do mnie... — zawała — pełnłeś błędu, i czuciłeś moje rady; nie chcę cię widzieć. Dwadzieścia kilka milionów ze skarbu, kiedyśże istota tycząca ludzi... śmierć tych oficerów, wstyd swój, wszystko mogłeś pomieścić i nie chciałeś, nie umiałeś; lekcewaś... Stała kobieta byłaby zła chętnie; pomsty się chwytała za twem miejscu...

Król podał na kanałkę i dał się brabinię wygnieść, nie odpowiadając słowa; dopiero gdy zrużona pedia, płacząc, za siedzenie, rzekł zimno:

— Paląc rąk zemstą nie chciałem pomścić się za mnie kto inny.

Nazajutrz jednak sam on widząc, jak wszyscy tam wyczuli jego zbytnią powołność, kazal zwołać radę wojskową. Rada z Flemmingiem razem obawiała zdanie, iż człowieka, co tycieństwo wymagałami swemi pogwałcił prawo narodów, godziło się, mienia w ręku, uwięzić i wymusić na nim inne pokryju warunki, tak jak on je na znękanym Auguste wyniósł bezdrożnie.

Król zmilczał.

Mówią, że o tej radzie później posłyszawszy w Wiedniu poseł szwedzki, rzekł z pogardą: „Jestem pewny, że uradzili tam nazajutrz, co wczoraj zrobić należało...”

## XII.

Jeszcze król szwedzki nie opuścił ziemi seskiej, gdy August, pocieszając się po wypadkach, które

tak snutne na długą ślady zostawiły po sobie, z największą wspaniałością rozpoczęły zabawy, na które wprawdzie czasu było dosyć, ale pieniądze wszelkimi sposoby musiano zdobywać.

Cosel była naówczas na szczycie swej wziętości i panowała despotycznie królowi i królestwu. Wszystkie zachcianki uwolnienia się od jej rządów rozbijały się o namiętność Augusta dla niej. Cosel towarzyszyła mu ciągle; ona poddawała coraz nowe zabaw pomysły, a znając króla, spocząć mu nie dawała na chwilę, aby nuda i znużenie nie miały czasu go opanować. Ona królowała wszędzie w blasku odmłodzonej piękności, uwielbiania przez cudzoziemców, uznana przez wszystkich, co ją widzieli w tej epoce, niezrównaną i czarującą.

Wkrótce po odjeździe Karola XII, po balach i karuzelach, zgromadziwszy na swym dworze mnóstwo cudzoziemców, posłów, błędnych rycerzy z całego świata, August wyprawił wspaniałą uroczystość strzelania do ptaka. Obok Augusta w złotej zbroi, wszędzie na białym koniu swym ukazywała się amazonka w najwykwintniejszych strojach, zdumiewająca zręcznością we władaniu rumakiem, w obejściu się z bronią, w bieganiu do pierścieni. W tych ćwiczeniach, w których króla zachwycała, nauczyła się celować. Przytomny król Peterborough nie umiał wyrazów znaleźć dla odmalowania swojego zachwytu. Ukażanie się jej na placu witały strzały z moździerzy. Król wydawał się jej pierwszym dworzaninem, najświętniejszy krąg panów, magnatów, dostoyników ją otaczał. Ona była królową zabaw, ona kierowała niemi; jakże nie miała upewnić się, że władza jej nigdy ustać nie mogła.

Gdy poczciwy i szczerze jej przyjazny Haxthausen, gdy rzadko odzywający się Zaklik, którymu mówić nie było wolno, wspomniali czasem,

zalecając bacznosć na przyszlosć i przypominając płochość króla, Cosel marszczyła się i zzymała.

— Jestem jego żoną — odpowiadała, — mógł po-rzucić kochankę, ale nie będzie śmiał małżonki. Zresztą wie, co go w takim razie czeka: strzelę do niego i sama się zabiję.

Królem kurkowym został na strzelaniu tem po- seł angielski M. Robinson, który z rąk pięknej Cosel otrzymał nagrodę. Obchodzono wielką uczta to zwycięstwo.

Tak skończył się ten rok nieszczęśliwy zaba-wami bezustanku, następującemi po sobie. Cosel je wymyślała, król wykonywał. Nieprzyjaciele hra-biny nie śmieli już ust otworzyć, choć skarb był wycieńczony i kraj jęczał pod ciężarem wymysłów Hoyma.

Na wielkanocny jarmark do Lipska towarzyszyła królowi Cosel. Jarmarki te nad wszystko lubił Au-gust II, zrzucił naówczas królewską pychę z siebie, mieszał się z tłumem, ocierał o lud, szukał rozry-wek najgminniejszych i z fajką w ustach po całych dniach widywano go w ulicach miasta, często w to-warzystwie, które wcale dostojości królewskiej nie przystało. Dwór naówczas stawał u Apfel'a czyli, jak wówczas mówiono, w gospodzie pod jabłkiem, bo dom kupca miał za godlo jabłko złote. Szalano tam dnie i noce, zwabiając obcych i aktorki, przy-byłe z wędrującymi teatrami.

Cosel mogła tylko pilnować swego pana, aby zbyt daleko się nie posunął w tej hulance zapamiętalej, ale powstrzymać go od niej nie mogła. Nawet gdy Karol XII był jeszcze w Saksonii, a jar-mark, opłaciwszy się stu tysiącami talarów, zebrał się pod jego opieką, August się musiał zjawić na nim. Z całego świata awanturnicy i awanturnice zbierali się na ten mięsopust szalony... Król roz-

rywki nawykł był szukać wszędzie, gdzie tylko mógł ją znaleźć.

Dnia dwunastego maja w Dreźnie obchodzono dzień imienin króla, na który przybyli książę Eberhard Ludwik Wirtemberski i Hohenzolern; pito więc śmiertelnie i nazabój, strzelano, jeżdżono, polowano, a Cosel niezmordowana towarzyszyła zawsze i wszędzie królowi.

Na starych słowiańskich sadybach lużyckich w Niżycy leży odwieczna osada u stóp góry, którą „stołpami” niegdyś zwano. Dziwną natury igraszką, wyparte z łona ziemi siłą jakąś potężną, sterczą tu bazaltowe słupy czarne, ściśnięte jakby ręką duchów, obrobione w foremne olbrzymie kryształy. Na tych skałach, które żelazo z trudnością pozyć może, przed wieki wzniósł się gród panujący i broniący u stóp jego rozłożoną osadę. Z wierzchołka góry, z której wnętrzności wychodzą czarne słupy, wzrok sięga w dalekie kraje dokola; na południe widać wyniosłości lasami okryte górn saskich i czeskich, ku zachodowi sterczy grzebień miedzianych gór Saksonii; bliżej, jak olbrzymie ucięte piramidy widać zamkowe skały, na których siedzą Sonnenstein, Dittersbach... Ohorn, na wschód lasy i góry Hochwaldu: w linji dalej mającej osady czeskie.

Stary zamek stolpeński, który biskupi mejszeniści posiadali i ozdabiali, starając się go ukrzepiać, stał jeszcze, wspaniale acz smutno, przedstawiając się oku ze swymi śpiczastymi wieżycami, często nawiedzanymi od piorunów, ogromnymi mury okolnemi, basztami i bazaltową podstawą, którą go natura opasała. Przy zamku znajdował się zwierzyńiec... w pobliskich lasach nie brakło zwierza. August II, gdy go jednostajność nudziła, przejeżdżał się chętnie po kraju.

Jednego lipcowego dnia pięknego, nim skwar

dopiekać zec i, jak konie do przyczółka stali gotowe pod zamkiem. Dniem wprzody jeden ze współbiednników opowiedział królowi o dziwnej górze, ze słupów jakby żelaznych zbitej, na której stał stołpeński zamek. Król go sobie nie przypominał chciał go widzieć.

Rosa jeszcze okrywała drzewa i trawy, a słońce zwolna podnosiło się nad opary ziemi, gdy konie rządy już u ganków, a służba liczna zwijała się, czyniąc przygotowania do drogi. August miał siedać na koni, gdy od Cosel posłany przybiegł Zakliku z zapytaniem, gdzie najjaśniejszy pan udać się miał zamiar.

— Powiedz swej pani, że jadę widzieć Stolpy — rzekł król — a jeśli chce, niech mnie dogoni, bo czekać dla skwera nie mogę i nie doczechałbym się, nimby ze strojem skończyła.

Cosel ledwie z łózka wstała, niecierpliwie wyglądała oknem, gniewając się już, iż jej znać nie dano o wyprawie. Gdy Zaklik przyniósł odpowiedź, a razem ujrzała króla siedzącego na koni, ubodło ją to mocno, iż czekać nie chciał. Kazała siodlać konie; zaproszono Haxthausena i kilku młodczyków: wszystko w pół godziny miało być gotowem. Cosel postanowiła pokazać królowi, iż się długą stroje nie potrzebuje, aby być piękna. Chciała go dopięzić, nim u Stołów stanie. W pół godziny zaproszeni towarzysze wyprawy stali z koñmi, biały arab Cosel z długą grzywą, z siodłem, ponsowym oksumitem obiciem i kuitem złotem, rzął z niecierpliwości. Piękna pani wybiegła i zdumiała swych wielbicieli. Strój jej był dziwnie do twarzy. Na głowie miała kapelusik niebieski z piórami białem i lazurowem, na sobie żużłokor tegoż koloru, cały szamerowany złotem; biały szeroka suknia z tyfikiem, bramowana złotem, dopiekała sroju. Sko-

czyła na konia, który przysiadł dla niej i wstał zaraz cały drżący, rwać się do biegu. Wdzięcznym uśmiechem piekna królowa powitała swych towarzyszów.

— Panowie! — zawołała, wznosząc do góry rączkę strojną w biczyk, którego rękojeść polyskiwała drogiem kamieniami. — Król jegomość wyzwał mnie do wyścigu. Jest pół godziny, jak ruszył; choćby konie popadały, a ja im miała szyję skreślić, lecim, co konie wyskoczą! Kto mi sprzyja, za mną!

To mówiąc, zuchwała amazonka zwróciła konia ku bramie, ściągnęła cugle, zmarszczyła brwi i pomknęła wprost na ulicę. Troskliwi o nią, Zaklik z jednej, koniuszy jej z drugiej strony, stanęli, aby w przypadku konia pochwycić i śmiałą rycerkę ratować mogli. Reszta towarzystwa cungią za nią. Biały arab pomknął odrzoż chyzo; zatętniał most pod kopytami koni, przelecieli sierpe miasto, w prawo droga wiodła na lasy do Stołów. Szczęściem gościniec był szeroki i piaszczysty, chwila poranna i orzeźwiająca... konie wypoczęte i silne. W miliu-  
czeniu sunął w tamtej pyle błyczący orszak hrabiny, jak gdyby wicher go pędził. Arab wyściągał inne konie, Coseł z czarnem okiem, w którym ogień jakiś patał, z zarumienioną twarzą, z usių półotwartymi, zdawała się napawać tą jazdą szaloną.

Przelatywali góry i lasy, łąki i ciche gęste pola, gdzie niegdzie nad drogą wydarłe; kraju w tej stronie mało zasiedlony naówczas, wendyjskie tylko wioski z ich chatami o drewnianych podcieniach i wysokich dachach migaly w sadach wiśniowych. Po drodze gdzieś niegdzie spotkały wieśniak zdejmował czapkę przed zjawiskiem cudownym... a nim na zapytanie o króla mógł odpowiedzieć, jeźdzcy mu w kurzu obłokach znikali.

Konie okryły się pianą, koniuszy po godzinie takiego biegu zaklinał, by się zatrzymać. Coseł słuchać nie chciała, w ostalku zwolniła nieco biegu i u wrót starej chaty sama zatrzymała białego. Stanęły wszyscy... konie dyszały i parskały. We wrotach od podwórka stała kobieta żółta, wynędzniała, okryta plachtą, podparta na kiju. Popatrywała na jeźdźców z jakąś obojętnością, jakby innego świata istota, i odwróciła oczy.

Raz tylko wzrok jej spotkał oczy Coseł, a piękna królowa wewnątrz zadrżała od niego.

Spytano kobiety o orszak królewski: potrąsła głową.

— Alboż wiem, co król i co królewskie? — zapylała. — My królów nie mamy... nasi pomarli.

Mówila to zwolna, obojętnie, mową łamana i akcentem obcym.

W chwili gdy ją rozpytywać zaczęto, z chaty wyszedł w granatowym przyodziewku z wielkimi guzami mężczyzna lat średnich, z włosami długimi, w krótkich spodniach i pończochach; zdjął kapelusz pokornie i gości pozdrowił czystą saską niemczynią.

Zawiadomił on, że król przed trzema kwadransami może w istocie przejeżdżał drogą, ale parł tak konia, iż go pewnie dogonić nie było podobna, chybaż gdzie spoczywał, a do Stołów nie poirzebował król wydychać.

Coseł straciła nadzieję wyścignienia go, spytała o krótszą drogę, choćby być miała najgorszą; ale żadnej nie było, gdyż w prawo doliny były przernięte trzęsawiskami i gęstemi zaroślami, którychby konie przebyć nie mogły.

Coseł skoczyła z siodła, dając chwilę spoczynku swym towarzyszom. Gorąco dopiekało, rzucili się wszyscy do wody: Niemiec ofiarował się z piwem...

Na ten raz i wiejski ów napój przykwaśniały wydał się wyśmienitym...

— Cóż to za kobieta? — spytała Cosel gospodarza, wskazując żebraczkę stojącą ciągle o kiju w bramie i wcale nawet nie okazującą ciekawości dla pięknej pani.

Niemiec wzruszył ramionami pogardliwie.

— To jest... Słowianka... Wendka! Nie mogę się jej stąd pozbyć... Mówi, że ten dwór niegdyś do jej ojca należał... Mieszka tu gdzieś nieopodal w ziemiance wykopanej, a raczej rękomą wydartej pod góra; nie wiem, czem żyje, a chodzi mi po polach całe dnie i mruczy: który wie, pewnie szatańskie jakieś zaklęcia! bo to niezawodnie czarownica... Chciałem jej zapłacić, by sobie poszła gdzie dalej, ale się ruszyć stąd nie chce, mówiąc, że to ojców jej ziemia i że na niej umrzeć i kości złożyć musi. Nieraz nocą, gdy burza ryczy, ona śpiewa, a nam deszcz chodzi po skórze, słysząc ten głos... I nie bardzo ją wypędzać można — dodał coraz ciszej — umie ona wiele, zaklęcia ma na szatanów, że jej służą, i czary straszne.

Po chwili z westchnieniem dodał:

— I prorokuje przez szatana... a doprawdy nie myli się nigdy...

Cosel, zaciekawiona, zwróciła ku niej oczy i pobiegła... Ona jedna była tak śmiała, bo reszta towarzystwa na wzmiankę o czarach rozsunęła się i rozpierzchła, ustawiając nieco opodal.

— Jak jej imię? — spytała Niemca.

Zawahał się gospodarz i tak cicho, że go ledwie usłyszeć było można, szepnął:

— Mława.

Choć Cosel z trudnością rozdzieliła głos jego słuchomiony, stara ruszyła się, jakby posłyszała swe imię; podniosła głowę wychudłą dumnie, strzepnęła

długiemi włosy, które ją wkoło obwieszały i zda-wała się obrażona szukać oczyma czarnemi wino-wajcy, co śmiało wynówić jej imię.

Cosel, nie zważając na podziw tych, co ją ota-czali, zwolna zbliżyła się do starej. Przez chwilę śmiało patrzyły sobie w oczy.

— Kto ty jesteś, stara? — spytała w końcu Cosel — żał mi twych siwych włosów, sponiewieranych w pyle i nędzy twej; powiedz, dlaczego jesteś tak biedna? jak?...

Mlawa potrzesła głową.

— Ja nie jestem biedna — odeszwała się dum-nym głosem — ja w sobie nożę jasnych lat pamięt-ke, ja tu jeszcze jestem, czem był mój ród daw-niej: królową...

— Ty? Królowa?... — roześmiała się Cosel.

— Tak! mogłam być n/z, bo krew królów tej ziemi starych płynie we mnie, tak jak ty... choć dzisiaj królowa jesteś, możesz być jutro nędzną... mnie podobną... Na świecie wszysko możliwe...

— Jakoich królów, jakiej ziemii? — poczęła za-dumana Cosel — ty?

Stara podniósła rękę i wskazała kraj dokola.

— Wszystko to było nasze... wszystko, półkiście wy nie przeszli i ziemii nie skuli, a nas nie wy-bili jak dzikiego zwierza. Bo myśmy byli dobrzy i silni z chlebem, soją i pieśnią, a wyście szli z żelazem, żagwią i śniegiem... I siedliście i roz-mnożyły się plemię Nienowę i wyparły nas z oj-cowizny... To ziemia moja! — powtórzyła zadumana — i choć tu żyć nie mogę, ja umrzeć tu muszę... Stąd ducza do swoich znajdzie drogę...

— Umiesz wróżyć? — spytała Cosel po chwili, jakby gorączkową ciekawością zdjętą.

— Jak komu... jak kiedy... — obojętnie rzekła Mlawa.

— A mnie?

Stara popatrzała na nią długim i z powitaniem.

— Poco ci wróżba? — spytała — kto doszedł tak wysoko, ten tylko spaść może... nie pytaj...

Cosel pobladła, ale uśmiechem chciała okazać męstwo, choć się jej wargi trzęsły a łzy nabiegały do oczów...

— Cóż mi powiesz? ja się niczego nie boję — rzekła. Umiem szczęścia patrzeć w oczy, jak w słońce, potrafię spojrzeć w ciemność...

— A gdyby noc była długą... długą?...

— Nie będzie wieczną — odparła Cosel.

— Któz wie? kto wie? — szepnęła Mława i wy ciągnęła dłoń. — Pokaż mi rękę.

Hrabina nieco się cofnęła, lękając, by jej dotknąć nie chciała: naówczas wierzoną w czary.

— Nie bój się, moja piękna — spokojnie odparła Mława, — nie zbruczę ci białych paluszków.., oczyma tylko jej dotknę...

Posłuszna Cosel zdjęła rękawiczkę, i śliczna, biała, jak z kości słoniowej utoczona dłoń błysnęła pierścieniami okryta przed oczyma zdumionej kobietą... Chciwie zmierzyła ją wzrokiem...

— Śliczna rączka! warta, by królowie ssali z niej słodycze; ale, dziecko moje... straszne na niej znaki... Ta dłoń niejeden raz dotknęła twarzy, która na nią zuchwale spojrzała? nieprawdaż?

Cosel zarumieniła się, Mława, głową wahając, zamysiona stała.

— Cóż mi powiesz? — szepnęła niespokojnie hrabina.

— Jedziesz do przeznaczeń twoich? Któz uniknął kiedy losu? kto kiedy przepaść zobaczył? Po długim szczęścia czeka cię dłuższa, ol dłuższa pokuta... czeka cię niewola... dni nieprzeżyte, nocy nieprzespane, łzy niepoliczone... będziesz z dzieci

bezdzieta, będziesz z mężem wdową, będziesz królową a niewolnicą, będziesz wolna i odracisz swobodę... będziesz... o! nie pytaj...

Cosel blada była jak marmur, ale się jeszcze uśmiechać chciała: usta się jej krzywiły.

— Com ci przewiniła—rzekła—że chcesz mnie przerazić?

— Ja się lituję nad tobą—odezwała się Mława.  
— Poco było chcieć wglądać w duszę moją... tam piolony tylko rosną, że słów gorycz płynie. Żal mi cię.

Spuściła głowę stara.

— Ty jedna! Co ty jedna, to tysiące na tej ziemi przebolało, przejęczęta i pomario bez mogły i proch ich wiatry rozwiały... Jak ty, jęczyły tysiące długą a długą niewolą: ojcowie moi, dzia-dowie moi, praszczury nasze, królowie; jam już ostatnia. Niemiec wypędził mnie z domu.

Nie mówiąc nic, Cosel dobyła złoty pieniądz i chciała go polozyć na ręce starej, ale ta się cofnęła.

— Nie wezmę—rzekła, — jałmużny nie chcę, a dług wasz zapłacicie kiedyś inaczej, liczą go tam!

Podniosła palec do góry i, zerwawszy się, otu-lona płachtą, powiokla się poza płoty na łąkę.

W czasie tej rozmowy towarzysze Cosei stali w oddaleniu, podziwiając jej odwagę; Niemiec gospodarz także wpatrywał się w tę scenę, od której tylko ciche dochodziło go mruczenie. Nikt nie śmiał spytać Cosel, dlaczego była tak blada, dla-czego zauryślona chwyciła konia za grzywę i siadłszy, rzuciła mu prawie cugle na szyję, dając iść jak zechce.

I jechali znowu, lecz nie cwałem, nie pogonia; konie parskaly. Zdała ukazały się śpiczaste, pię-trzące się wysokie wieże. Koniuszy cicho wymówił:

— Stolpen.

Po godzinnej prawie drodze zdążyli do stóp zamku. Naprzeciw palisady z bazaltów czarnych stała tu cała kalwakata króla, oczekując zdala już dojrzańe hrabiny.

August wyszedł naprzeciw niej, śmiejąc się.

— Godzinę najmniej czekałem! — rzekł.

— A jam z pół godziny zmarnowała z jakąś żebrawczką, której sobie wróżyć kazałam! — odpowiedziała Coseł.

Król, zdziwiony, spojrzał na nią.

— I wywrózyła? — zapytał.

Anna popatrzała nań i łzy jej z oczów pociekły. Było to tak dziwne zjawisko, że August się zmieszał i nastraszył. Uśmiechem i czułością starał się jej wesołość zwykłą przywrócić.

— Co za wspaniałe stare biskupów dawnych mejszeńskich zamczysko! — rzekł, wskazując na mury.

— Szkaradne! okropne! straszne! — odezwała się Coseł, wstrząsając. — Dziwi mnie, że król mógł tu jechać dla zabawy, gdzie groza i wspomnienia katostw i wojny królują.

— Bo, pani moja — przerwał August, — oczy twe śliczne i najposępniejszą dla mnie mogą rozjaśnić okolicę; z tobą mi wesoło wszędzie.

I podał jej rękę, na której Coseł, zamyślona, wskarła się i zwiesiła. Poszli tak razem wokół starego zamczyska. Hrabina była milcząca, król pogodnego oblicza; który wie? myślał może, gdy mu na Sonnen-i Königsteinie ciasno było z więźniami, tu niektórych umieścić i dlatego zamek okrążywszy dokola, zapragnął wnijść do środka. Coseł go zatrzymała.

Stanęła w progu, oglądając na czarne wieże i mury. Król poszedł dalej. Oglądał wieżę Donata, zajrzał do izb, gdzie nigdyś były katownie; przy-

patrzył się Janowej wieżycy, zbudowanej przez biskupa Jana VI i klucznik, idący przed nim, pokazał mu znowu katownie drugie, podziemie, zwane „Dół Mniszy” (Mönchsloch), w którym karano zakonników, więzienia „Richterghorsam” Janowe i loch „Burgverhess”, do którego skazanych po drabinie spuszczano. Wszystkie one były w dość dobrym stanie, lecz puste. August oglądał je z ciekawością zaostrzoną, jakby w nich szukał śladów ludzi i męczarni; naostatek rzuciwszy okiem na mury forteczne, wyszedł powoli.

Zastał Cosel tam, gdzie ją zostawił, w niezwyklem pograżoną zadumaniu i z przestrachem niekiedy rzucającą okiem na wieże zamkowe.

— Cel dzisiejszej przejażdżki wcale nie wesły — ozwała się głosem zmienionym, — nie można jej nazwać rozrywką. Chociaż nie widziałam zamku, robi na mnie wrażenie bolesne: zdaje się, że słyszę jęk ludzi, co tu cierpieli.

August się usmiechnął.

— Nie, stało się to niewinnie — rzekł opojętnie, — trudno mieć czułość dla wszystkich. Ale skądże ci, piękna hrabino, te czarne myśli przychodzą? Odwróćmy się plecami do zamku i idźmy do zwierzyńca. Kazalem tam pod namiotem rozstawić stoły... napędzą nam zwierza, ożywisz się i będziemy przyklaśkiwali, jak zwykłe, twej zięczności.

Jak król rozkazał, stało się: u wnioscia do zwierzyńca, pod wspaniałym namiotem tureckim, który pamiętał wiedeńską wyprawę, stoły były w gotowości. Cosel zajęła pierwsze miejsce. Słońce się było podniósło i dopiekalo silnie, powietrze ciężkiem się stało do oddychania i skwar czuć było nawet w usposobieniach wesołego zwykłego towarzystwa, które się rozbawić nie mogło. Kyan, który przybył z królem, smutny i zwieszony nad

kociechem, nie próbował błysnąć dowiecipem zawsze gotowym. August nie lubił w swoim otoczeniu takiego pogrzebowego milczenia; prędko więc obniżono jedzenie, pozdejmowano srebra i łowcowie przynieśli strzelby, z którymi wszyscy weszli w głąb zwierzyńca.

Cosel poszła także z królem, ale z namarszczonimi brwiami: przypisywano to przepowiedni obłakanej kobiety, na którą nastręczyła się sama niepotrzebnie. W uszach jej w istocie brzmiały wyrazy biełej Mlawy, prorokujące straszną przyszłość, a choć w tej chwili nic w świecie domyślać się jej nie dozwalało, Cosel posepną była i smutną. August za nią okazywał niezwyczajną wesołość i, jakby naprawkór, unosił się nad pięknością Stołów i mocą warowni, która u granic saskiego kraju mogła stać na jego straży.

Nad wieczór już, po zabiciu kitku sarn i dzików, król siadł na koń. Cosel jechała przy nim, ale gdy wyruszyli od stóp góry i mijali już miasteczko, z zachodu nadciągnęła chmura czarna, przed którą znów do zamku schronić się musiano. W mieście nie było innego gotowego na przyjęcie królewskich gości schronienia. Więc, choć od wieków zamek kurfirstów nie przyjmował, musiano zardzewiałe drzwi komnaty okrągłej w Janowej wieży otworzyć. Służba pomieściła się, chroniąc od ulewy i deszczu, pod bramą Donatową i w murach pustych twierdzy. August i Cosel schronili się do starej komnaty sklepionej.

Kiota stolków drewnianych, ławy i stół dębowy, składały cały sprzęt tego smutnego więziennego mieszkania. Cosel, wszedłszy doń, obejrzała się, wzdrygnęła i przytuliła do króla.

— Panie mój — rzekła, — jakże tu okropnie, jak smutno, jak trupem czuć te jasne!

Gdybym był przeszuł, że się tu schowam  
będziemy musieli, byłbym choć jedną izbę pryzbrac  
kazał. Cóż chcesz, nikt tu prócz mnichów i wieź-  
niów a ich dozorców, nie mieszkał. Nie jest to  
miejsce rozkoszy: mury, choć nieme, czuć prze-  
szością.

Jakby dla zwiększenia wrażenia tej chwili na  
umyśle kobiety, która może pierwszy raz w życiu  
strwożoną się czuła, nadeszła ulewa z gradem, tlu-  
kąc w okna oprawne ołowiem, sypiąc jakby ka-  
mieniami po dachach i błyskawice, następujące bez  
przystanku po sobie, zdawały się wciskać do izb  
wnętrza. Z ogromnym bukiem i przerząjącą jasno-  
ścią na wieżę Donatową uderzył piorun, objął ją  
płomieniem i zlał się ku ziemi. Cosel krzyknęła  
z trwogi, król stał nieporuszony... ognia wszakże nie  
wzniecił grom z góry i po nim puścił się tylko deszcz  
rzędziasty.

Pół godziny wrzał tak wicher z u'ewą ponad  
zamkiem, kilka jeszcze piorunów padło w bliskości,  
aż na zachodzie żółtym pasem oświecone pokazało  
się niebo i ciężar chmur czarnych na wschód się  
cały przewalił.

Deszcz skończył się jakby rosą cichą, słońce zno-  
wu z za poszarpanych chmur końców jasnemi pro-  
mieniami strzelilo.

Cosel odetchnęła.

— Al jedźmy, panie mój — zawała — jedźmy,  
jedźmy: ja tu nie mogę oddychać!

W chwilę już siedzieli wszyscy na koniach  
i, orzeźwieni powietrzem burzą ochłodłem, zdążali  
nazad ku miastu. Gdy przyszło przed chatą, u któ-  
rej stała Mława zrana, przejeżdżać, Cosel szukała  
jej oczyma, ale tam jej już nie było. Opodal nieco  
czatowała, zdaje się, aby króla zobaczyć. Milcząc,  
rzuciła okiem na Cosel i z politowaniem uśmiech-

nęła się do niej jak dawna znajoma: August konia spiął, odwracając się ze wstrem.

Tak codzień nową jakąś rozrywką starał się czas skrócić sobie, odepchnięty od korony, co go tyle kosztowała, król August II. Miał on nienawiść do Karola XII, narzekał na przeciwnie losy, lecz nic nie dorównywało jego niechęci ku niewdzięcznym Polakom. Im wszystkie przypisywał nieszczęścia swoje i ci, co tajemnie mu sprzyjając, przybywali się poklonić jeszcze, jakby przeczuwając przyszłość, doświadczali od niego gniewów, jakie miał w sercu dla całego kraju. Król siłacz, co o sławę bohatera wojskownika był zazdrośnie, który się malować kazał we zbroi i rycerskiej postawie, nie mógł zapomnieć, że go zwyciężył młodzik niepozorny i we własnym kraju mu się rzadził.

Potrzebował podnieść swą sławę nadwierzęzoną jakimś czynem i, wysugując się razem cesarzowi, wybrał się jako ochotnik z małą garstką ludzi przeciw Francuzom do Flandrii. Zachowując jak najściślejsze incognito, wmieszał się w dwór księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Tu chciał koniecznie błysnąć odwagą, zyskać oklaski i narażał się osobistie do tego stopnia, iż go księżę Eugeniusz i książę Marlborough musieli odwodzić, by próżno nie świętili tak drogiego życia.

— Na wojnie — rzekł król — trzeba być trochę kalwinistą i wierzyć w przeznaczenie.

Złośliwi ludzie szeptali z tego powodu, że król, mimo świeżo przyjętego katolicyzmu, podobno w nic nie wierzył. „Powiadają, że August wiare zmienił — pisze Loeu, — mógłbym to przypuścić, gdyby ją kiedy miał”. To pewna, że już po przyjęciu katolicyzmu, ogromnemu psu faworytowi, bodaj temu, co stłuknął szacowną flaszke z merkurjuszem Böttigera, różaniec kładł dla zabawy na szyję...

Niedługo wytrzymawszy na wojuje, która dnia była rozrywka, przewidując, że oblężenie Lisie za długo się pocągnąć może, załesknił król do Saksonji — i Coseł.

Jednakże w ścisłym incognito, pod imieniem hrabiego Torgau wstąpił do Brukselli, gdzie jak najpilniej mu było zaprosić sobie na wieczernę lancerkę Duparc, do sławnego naówczas restauratora Vernus, pod znakiem obfitości. Cztery panny z opery, król, Vitzthum, Bauditz i hrabia W... zabawiali się do rana; a August pannę Duparc do Drezna zaprosił.

Znać mu już hrabina była coraz obojętniejszą, a życie tak ciężkie do dźwigania.

### XIII

W czasie niebytności króla namiestnik Fürstemberg i hrabia Flemming zmówili się i podali sobie ręce, aby się starać z pod panowania Cesel wyzwolić. Rozkozywała im jak królowa, obchodziła się z nimi z dumą kobiety, ufnej w siły swoje, szafowała pieniędzmi jak dziecię, które nie zna ich wartości. Przewaga, jaką miała nad królem, przerażała wszystkich i obóz nieprzyjaciół z każdym dniem powiększał się. Żadna z ulubieńic królewskich nie miała takiej potęgi, wiary w siebie, i nie umiała tak dugo niestalego Augusta II utrzymać przy sobie. Można było znieść fantazję pańską, ale dać się ugrutować władzy, która wzmagała się codziennie, stawało się niebezpieczenstwem dla wszystkich. Gorączkowo prażnął dwór cały kinikolwiek zabiąć Cesel, a obalić ją koniecznie. Hrabina raczej domyślała się tego, niż wiedziała o knowaniach, ale gardziła niemi. Gdy jej donosił o nich wierny Zaklika, który się przysłuchiwał, co po dworze krążyło, Cesel śmiała się pogardliwie.

Pewoli gromadziły się, skupiały wszystkie siły nieprzyjaciół, chociaż nie śmieli jeszcze wypowiedzieć jawnie wojny. Czekano w królu pewnych symptomów, któreby oznajmily znużenie i wskazały, że wala da się rozpocząć z nadzieją zwycięstwa. Z jednej strony stały sprzymierzone siły ludzi nadzwyczaj zręcznych i przebiegłych, w intrydze dworskiej od młodości wyczwiczonych, przez zepsute i chytre kobiety posikowanych; z drugiej Cosel du ona, zarozumiała, szlachetna, ufną w swe siły i wdzięki, w swe urojone żony nazwisko, w węzeł, który stanowiły przyznane jej dzieci... kilka przyjaciół nie mających znaczenia i kilka osób dwubarwnych, co gościły w obu obozach, wyczekując przewagi jednego, aby się doń przyłączyć. Zanosiło się na wojnę długą, ale przeciwnicy Cosel mieli przy zawziętości cierpliwość i w charakterze króla pewność skutku pomyślnego.

Cosel musiała się wreszcie sprzykrzyć ze swoimi fantazjami, niejasną żądzą przepychu, królewską dumą i charakterem porywczym. Dotąd król znajdował w nim zabawę, lecz przebrana miara lada chwila mogła szalę na stronę drugą przeważyć.

Mogła powiedzieć, iż wszystko, co było na dworze znaczniejszego i więcej znaczącego, stało w obozie przeciwnym. Książę Fürstemberg, hrabia Flemming, hrabia Reuss, panna Hülchen, Vitzthumowa liczyły się teraz do zjadliwych przeciwniczek. Niezdrosna Glasenappowa wkręciła się do domu hrabiny poto tylko, aby ją szpiegować i plotki od niej wynosić.

Korzystając z niebytności króla w czasie jego pobytu we Flandrii, namiestnik ze swej strony, Flemming, oddzielnie zmówili się na to, aby króla nalesieniami o zbytkach i przepychu dworu hrabiny pswoli do niej zniechęcać.

Odmalowali wymagania jej w tak przesadnych barwach, że August, znudzony, polecił pewną położyć jej tamę. Chwycił się tego Fürstemberg, oparły się kilka razy rozkazom wszechwładnej pani, która, gdyby nie stan jej niedozwalający szukać z nim spotkania, odgrażała się opoliczkować go publicznie. Znający charakter pani Cosel mogli uwierzyć, iż spełnialiby to, co obiecywała. Nieostrożne słowo Flemminga ściągnęło nań także burzę i groźby.

Pochlebiały sobie jednak oba, wiedząc z listów Baudizza o zaproszeniu panny Duparc do Drezna, że panowanie faworyty mogło przeminać i że pora przyszła stanowczo przeciwko niej wystąpić.

Tymczasem król od obozu przybywszy do Drezna, nie spojrzałszy na Fürstemberga, poszedł wprost do pałacu czterech pór roku, gdzie zastał Cosel znowu ledwie wstępującą z łóżka po chorobie, pięknie sza iż kiedy, czując a splakana.

— Al panie — zwołała rzucając mu się na szyję — zawsze pragnę i pragnię powrotu twojego, choćby godzinę tylko trwało oddalenie; ale nigdy może nie t-skniłam tak jak teraz. Wybaw mnie od prześladowania. Jestemże jeszcze panią twego serca, czyś mnie już z niego wyrzucił, aby ci ludzie mogli się pastwić nade mną!

— Kto? — zapytał król.

— Twoi najlepsi powiernicy i przyjaciele, ten opój przebrzydły Flemming, ten przewrotny świętoszek Fürstemberg, uczynili mnie pośmiewiskiem... spikali się na to, by mnie chorą, życia zmartwicieniem pozbawić. Panie! ratuj mnie, lub powiedz, czyś już wyrok wydał na mnie.

Po długim niewidzeniu Cosel odzyskała wdziękiem niezrównanym, jaki posiadała, dawną swą władzę nad królem: August poczekał ją uspokajają-

— Fürstembergowi i Flemmingowi uszu natrę... sądzę, że i chora zbyt wzięła do serca to, co może bez zlej woli...

— Bez zlej woli!.. ale to są śmiertelni wrogowie moi, tak jak tu wszyscy... nimi tylko jestem otoczona. Zazdrośni, radziby mnie wyrwać z twojego serca.

Cosel płakała, król też nie lubił i starał się ją ukoić.

Gdy po kilkogodzinnym pobycie wyszedł do zamku, był już pod urokiem i na pierwszy wyraz oskarżenia, z którym Fürstemberg wystąpił, odpowiedział mu sucho, aby jutro szedł hrabinę przeprosić; księżę zamilkł.

— I ty i Flemming winniście; ale niecierpię kłótni i swarów u mnie; jutro musicie być u niej: pogodzę was.

Flemming, który sobie czasem pozwalał królowi się sprzeciwiać, odparł:

— Najjaśniejszy Panie, toby było dla mnie zbyt upokarzającem!

— A jednak przez to przejścje musisz — odpowiedział król, — inaczej musiałbyś chyba że dworu ustąpić: nie obeszłoby się bez kłótni przy pierwszym spotkaniu. Cosel nie przebacza łatwo, a ja awantur nie lubię.

Napróżno general się oburzał i parskał, spojrzał po sobie z Fürstembergiem... chwila nie była nadeszła jeszcze, trzeba było się poddać króla rozkazom.

Niedalej jak nazajutrz król obu powołać kazal do pałacu czterech pór roku: musieli stawić się oba. Cosel była zarumieniona od gniewu i dumna jak królową. August sam wprowadził winowajców.

— Sądzę — rzekł, — że tylko nieporozumienie mogło być przyczyną, iż hrabina mi się uskarżała

na niewzględne z nią obejście. Pełnym zastrzeżenia wspomnienie to... hrabina zapomni, panowie, jako grzeczni i szanujący płeć piękną, nie weźmicie jej za złe, jeśli tam słówko jakieś w żelu rzuciła. Proszę to puścić z obu stron w niepamięć.

Gdy król to mówił, z obu stron zmierzoną się oczyma. Coseł wzrok był jeszcze gniewu pełen i oburzenia. Fürstemberga nienawiści, Flemminga chytrego szyderstwa. Sklonili się jednak oba grzecznie bardzo, a mruczenie ich można było wziąć za komplement.

Z obu stron nie łudzono się wcale szczerością zgody, wiedziano, że to był rozejm do czasu, i że walka rozpoczęcie się przy pierwszej do niej zręczności. Po temu urzędowem przed dniań, którego i sam król pewnie czuł potokosć, książę i generał, przemówiwszy kilka słów obcajnych i chłodnych, odeszli. Król pozostał u Coseł. Pięć już lat trwała miłość jego stała, przyjaźniej powierzchownie, dla pięknej hrabiny; oczekiwano co chwila przesytu i zmiany: naprzóźno. Hrabina Kess i Vitzthum, kandydatki do trona, na rózro upatrywały zaćmienia blasku jej piękności; była to jedna z tych dziwnych istot, obdarzonych niemal nieśmiertelną młodością, których lice marmurowego żadna boleść wyszczerbić nie może. Pokatne miłości króla nietrwały, gminne, mogły go rozrywać, ale nie potrafiły zastąpić przywiązania do kobiety, która miała za sobą i charakter szlachecki i umysł wykształcony, i wszystko coby ją wśród innych innych odznaczyć mogło. Hrabina Coseł August, pełen próżności, mógł się pochwalić przed światem, mógł ją pokazać i chlubić się zdobyczą; wszystkich innych musiał się wstydzić. Żadna z tych, co poprzedziły Annę, nie dorównywała jej ani pięknością, ani umysłem, ani charakterem. Naprzóźno

chciano coś znaleźć przeciwko niej, aby choć do zręcznej potwarzy dostarczyło oręza; złość czuła się bezsilną, bo życie, pani Cosel jawne całe, nie miało żadnych tajemnic; niezmierna pycha tylko i powtarzane jej napomnienia, że jest żoną i królową, całą winę stanowić mogły.

Wkrótce po tej scenie zręczni nieprzyjaciele w inny sposób postarali się króla z nią poróżnić. Zaproszenie tanecznicy Duparc do Drezna dało im w ręce oręz. Wiedzieli, jak Cosel była zazdrosną i ile razy August musiał od niej znosić najprzykrzejsze wymówki i groźby z powodu bałamuctw swoich. Użyto Glasenappowej. Zamawiając pannę Duparc, król nie przyznał się wcale, kim był, poznała go pod imieniem hrabiego Torgau, a przybywszy do stolicy, biegała naprzóźno, szukając tego nazwiska... Miała ona tu ciotkę w teatrze...

Ta zaprowadziła ją do szambelana Murdachs, dyrektora zabaw królewskich, który był o wszystkim uwiadomiony. Zdziwiła się ciotka niezmiernie, gdy pan szambelan przyjął Duparc ze szczególnymi względami, ofiarował się zaraz wszelkie jej żądania spełnić i wyraził życzenie, aby wystąpiła w balecie księżnej Elidy, który właśnie przygotowywano na powrót królewski. Wszystko to miało być dziełem hrabiego Torgau, w którym ciotka i panna zaczęły się już króla domyślać. Domysiano się go więcej jeszcze po bezimiennych darach, jakie jej przysłał.

Cały dwór zaraz wiedział, że Duparc, ujrzawszy króla w teatrze i poznawszy w nim hrabiego Torgau, omdlała z radości; że król aktorowi Beltour kazał ją ratować, i że Cosel uraziła się tą wielką troskliwością Augusta o zdrowie awanturnicy.

— Zdaje mi się, Najjaśniejszy Panie — odezwała się hrabina urażona, — że to jestabytek łaski,

opiekować się tak nieznana jakąś istotą, weale zapewne nie zasługującą na te wzgłydy.

August się obraził i odparł sucho:

— Prawda, że nieraz mi można było wyrzucać zbytek dobroci dla osób, które jej nadużywały; sądzę wszakże, iż ta Duparc skromniejszą będzie.

Scena w loży się odbywała. Coseł, nie poskraniając ani ruchów, ani głosu, rzuciła się w głąb na siedzeniu, wołając:

— Wasza Królewska Mość masz szczególny gust do ulicznic.

Lękając się, aby z tych słów scena nie wybuchła publiczna, o którą nie było trudno, król wstał i wyszedł do loży królowej, z którą był brat jej, margrabia Brandenburg-Bareuth.

Chwilę, wystawiona na oczy całego dworu i szydelskie uśmiechy, hrabina przesiedziała ze spuszczoną głową, zawołała, że jej się robi słabo, nazwała podać lektykę i powróciła do domu. Tym razem król, który sobie w fantazjach swych zaważał nikomu nie dawał, rozgniewany, ani poszedł do niej, ani się kazał dowiedzieć.

We izach, w rozpacz, w gniewie, Coseł spędziła wieczór cały. Już się gościa żadnego spodziewać nie mogła, gdy późno w noc wdarła się prawie przemocą baronowa Glasenappowa.

Nieprzyjaciolom hrabiny zdawało się, że już rozjaśnioną, podbudzając jeszcze do wybuchów zazdrości, których król widocznie na ten raz znosić nie chciał, zdolają przyspieszyć zerwanie.

Duparc wprawdzie nie mogła się mierzyć z Anną, ani się jej kiedy śniło by dosiąpła tego szczęścia; lecz szło tylko o to, aby obalić panią Coseł lub przynajmniej zachwiać jej potęgę. Glasenappowej powierzono rolę bardzo dla niej właściwą. Wbiegła, udając nadzwyczajną litotę i wspułsucie, a za-

sławsky Annę we łzach leżącą na kanapie, przypadła do niej, szczebiocząc:

— Nie możesz uwierzyć — zawała, — jak mi się serce ściska nad losem twoim. Wiem wszystko, widziałam! oburzam się... boleję... ale to nie koniec. Nie wiesz nic. Król brawuje cię... zaraz po wyjściu twem zapowiedział panu Murdachs, żeby kazał do niego zanieść wieczerzę i ma na nią Duparc i trzy inne aktorki zaprosić. Wiem to z najlepszych źródeł: po teatrze król poszedł do szambelana. Duparc przed nim na kolana upadła... przy wieczerzy król był w najlepszym humorze i zapewne tam jest dotąd, odprawiwszy trzy inne aktorki, którym dano po sukni i po sto talarów.

Cosel wysłuchała plotki, zlekka odtrącając natarczywą Glasenappową.

— Wcale mnie to nie dziwi — odpowiedziała, — nie sądz, bym była zazdrosną, przeżyłam już wiele: odnowioną miłość dla księżnej Teschen i Henrjetty Duval i innych wiele, ale płaczę nad poniżeniem króla, który sobie większą niż mnie krzywdę czyni.

To mówiąc wstała Cosel z kanapy, ocierając łzy; przybycie improwizowanej tej przyjaciółki, pośpiech jej, daly uczuć hrabinie podstępna intrige i skutek sprawiły przeciwny, pozornie ją uspokoili.

Glasenappowa naprzótno usiłowała gniew w niej rozbudzić: wrzał on w sercu, lecz nie występował na usta... Cosel potrafiła się pokonać.

— Kochana baronowo — rzekła w końcu, — zbyt stoję wysoko, ażeby mnie kaprys króla miał dotknąć; nie jest on pierwszym, nie będzie pewnie ostatnim... my, kobiety, powinnysmy być do nich przywykle. Wstydzę się za króla, ale nie sądę, ażeby mi to serce jego wydrzeć miało.

Nazajutrz król ochronił z tych zapalów, zrana

nie przyszedł wcale wprawdzie do Coseł, lekai się jej porywcości, poślał na zwiady Vitzthuma.

Vitzthum nie należał dotąd do żadnych intryg przeciw Annie, żyły z sobą dobrze. Przyszedł jakby od siebie dowiedzieć się o jej zdrowie. Znalazi ją całe niespodzianie, starszą córeczkę trzymającą na kolanach, smutną ale spokojną. O wczorajszym wypadku nie wspomniała mu ani słowa; on także zapytawszy, jak się miała, nie śmiał potrącić o drażliwe wspomnienie.

— Jestem zdrowa, jak hrabia widzisz — ze śliniutnym uśmiechem odezwała się Coseł — czy znac co po mnie? powiedz mi.

— Panie jesteś zawsze piękną.

— Hrabia jesteś zawsze dobry i grzeczny.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Vitzthum, widząc, że ona pierwsza nie pocznie pewnie o królu i Duparc, zabawił chwilę i powrócił oznajmić, iż Coseł znalazła nadspodziewanie spokojną.

Zdałka cała partia przeciwna z niezmierną ciekawością oczekiwała, czy król zbliży się do Coseł, wczoraj okazawszy jej gniew tak wyraźny. Nad wieczór August poszedł.

Wieść gruchnęła i twarze się przedłużyły. Rachowano nieco na gwałtowność hrabiny jeszcze.

Tymczasem i ona i August okazali przy spotkaniu zbyt wiele rozwagi, aby do zerwania przyjścia mogło. Król nie chciał porzucić Anny, nawykł do jej towarzystwa, a choć gwałtowna miłość dla niej dawno już była wygorzała w sercu niestalem, nalog w niem pozostał. Do Duparc przyznać się nie mógł. Coseł sądziła się żoną, była matką i postanowiła, nasładując królowę, znieść bałamuctwa męża.

— Zrobiłaś mi wczoraj niemiłą scenę w teatrze — odezwał się król, — nie znoszę takich publicznych swarów, które mnie i was nie przystały.

— Najjaśniejszy Panie, moja miłość dla was...  
— Niechże będzie rozsądna — przerwał król.  
— Miłością cechą, że rozsądna być nie może — dodała Cosel. — Ja również niepodobnej rzeczy wymagam od miłości pana mojego, to jest, żeby była stała.

— Ja zaś od was, byście śmiesznej pozbyli się zazdrości.

— Nie dawaj do niej powodu, Najjaśniejszy Panie — szepnęła Cosel.

Król ramionami ruszył.

— Dzieciństwo.

Cosel powstrzymała się od wybuchów, wiedziała, że jej nic nie grozi.

Stosunki z królem nie zmieniły się wcale, stały się tylko mniej serdecznemi: galanterja ceremonjalna nieco zastąpiła dawną miłość.

Glasenappowa przyszła drugiego dnia oznajmić, iż Duparc ciągle ma z królem schadzki, że król obsypuje ją podarunkami. Hrabina przyjęła to zimno.

Towarzystwo hrabiego Reuss i Fürstemberg, którzy się spodziewali innego przebiegu tej sprawy, zrozumiało, iż Cosel z ofiarą uczuć swych, przemagając charakter, zadając gwałt uniesieniom, postanowiła się utrzymać. Przestraszyło to nieprzyjaciół. Cosel, jaką znali, nietyle zdawała się niebezpieczną: ta znowu pamiętająca o sobie, trudniejszą się stawała do obalenia.

Scena dramatyczna z Duparc, omdlenie jej za kulisami, upadnienie do nóg króla, wieczerza u Murdachsa, cała ta historja karnawałowa, z której usiłowano wysnuć coś wielkiego, skutek zrobiła zupełnie przeciwny; król, który się w pierwszej chwili niecierpliwił zazdrością Cosel, później znalazł w niej dowód namiętnego przywiązania. Pochlebiało mu to... kłóciły się niemal codzień o pannę Du-

parc, ale spory czołością się kończyły... August nie przyznawał się do winy.

— Moja droga hrabino — mówił, uśmiechając się, — tworzysz sobie fantazje jakieś, aby się dręczyć niemi. Dlaczegoż sądzisz, że mam kochać inną? Jakież dowody? Czy mniej jestem czuły, chętny, posłuszny i dogadzający wszystkim twym zachceniom? czy na chwilę znalazłaś mnie oziębłym? Czyż mi nie wolno spojrzeć na kobietę, przemówić do niej, żebym zaraz o zakochanie się posądzonym nie był? Nie kryję się z tem wcale mówię otwarcie: gdybym cię nadwyraz wszelki niekochał, porzuciłbym dla tych nieustannych zazdrości...

Cosel odpowiedziała wpółzartem:

— Wiem, że cię męczę wymówkami, ale muszę mieć ciągle i baczone oko na miłości moego pana... Pomimo to, nie zda się na nic moja podejrzyliwość i obawy, będę oszukana i ja, i tysiąc równie jak ja zazdrosnego.

Król się uśmiechnął, ta rola jakiegoś Jupitera pochlebiała mu... tłumaczył się, gniewał niby i stawał coraz czulszym... Duparc też nie umiała gospodarki zająć, bo to była istota, która tylko tak ze psutemu i zdziecałem panu jak król chwilowo chybba podobać się mogła.

Gminne obejście się jej i towarzyszek teatralnych obudzało w najjaśniejszym panu tem większe pragnienie przyzwoitszego towarzystwa... W krótkim przeciagu czasu Cosel nietylko odzyskała władzę dawną, ale z przeróżeniem tych, co na jej zgubę czyhali, zdawała się ona rosnąć i ustalać.

Najlepszym dowodem, że hrabina nie straciła nic w sercu króla kochanka, były w następnym roku odwiedziny króla duńskiego Fryderyka IV, powracającego z Włoch, i po drodze chcącego wi-

dzieć królowę Eberhardynę, swą ciotkę. August, który chwytał każdą taką zręczność nastręczającą się do tracenia pieniędzy na uroczystości i zabawy, zdumiewając niemi Europe, postanowił z przepychem jak największym przyjąć swego dostojskiego siostreńca.

Sam on obmyślił plan świątecznych zabaw, jakiemi go chciał zachwycić, a dawną poddanką króla duńskiego (rodem z Holsztynu), hrabina Coseł, wyznaczoną została do grania w nich pierwszej roli. Prawda, że teraz nawet jeszcze hrabina była zawsze najpiękniejszą, że jej nieprzyjaciele nawet nie mogli odmówić wdzięku, jakim wszystkich czarowała. Szczególnie w takich razach, gdy trzeba było wystąpić w postaci bogini, czarodziejki, królowej, Coseł postawała, majestatem, urokiem, przewyższała, co ją otaczało. Król zdawał się niejako uniewinniony, że składał hołdy tak wyjątkowej istocie.

Jak tylko dowiedziano się w Dreźnie o dniu przybycia Fryderyka IV, ułożony został program na cały czas jego pobytu. Pierwszego wieczora wysłano na spotkanie młodego kurfirska, księcia Fürstemberg, namiestnika, hrabiego Flemminga, Pfluga z całym orszakiem szambelanów, pažów, dworzan, oddziałem wojska i muzyką.

Część tylko dnia tego hrabina Coseł musiała pozostać w domu, aby królowej w oczach siostreńca nie wyrządzić bolesnej przykrości. Król w świętym bardzo orszaku dworu wyjechał o dwie mile na powitanie i wprowadził do Dreźna, wśród bicia z działa, napływu ludu, dźwięku muzyki, oświetlenia ulic i gmachów czarodziejskiego. Gwardje od złota lśniące ustawione były przy zamku... U wielkich schodów królowa z synem czekała nań i, wziawszy między siebie króla, prowadzili go na góre: za nimi szedł król sam.

W wielkich apartamentach dworu zgromadzone czekały nań damy, które królowa przedstawała. Ale całe to przyjęcie urzędowe trwało bardzo krótko; król duński, po rozmowie z ciotką i z rodziną, dał się wziąć Augustowi pod rękę i wieść do mieszkania, które dlań było przeznaczone. Tu zabawili chwilę... i przejściem krytem, łączącem zamek z pałacem hrabiny Coseł, udali się do niej dla spędzenia wieczoru... Uroczysta wieczerza, z całym ceremoniałem dworu Augusta, który, na wzór Ludwika XIV, kochał się w obrzędach, połączonych z przepychem, zastawiona była w zamku, w wielkiej sali. Wszyscy urzędnicy dworu, krajczowie, podczasowie, podkomorzowie, pazię w galowych ubiorach, pełnili swe obowiązki u stolu...

Król duński siedział między królem a królową, a pierwszy toast wzniesiony powitały działa z wałów... Na galerjach grały muzyki, sale zielenią i kwiatami strojne połyskiwały złotem, obrazami, kryształami, bogactwy, jakim żaden może dwór w Europie nie zównał.

Dokoła stołu, którego serwis złoty i wysadzany kamieniami był prawdziwem dziełem sztuki, jak żywe kwiaty snuły się najpiękniejsze damy dworu Augusta, a wśród nich piękniejsza od wszystkich Coseł, cała okryta diamentami! Pas jej, sznury, naszyjnik, przepaski włosów, bransolety, świeciły temi kroplami ros, w których wyglądała jak nadziemskie jakieś zjawisko.

Król duński, na którym jej piękność uczyniła wielkie wrażenie, a który był grzecznym i sądził, że się tem przypodoba gospodarzowi, nie mógł znieść, ażeby stała, i prosił, by jej usiąść dozwolono... Na skinienie króla podano taboret hrabinie, a że inne panie stać musiały, pomnożyło to ich gniew, oburzenie i zazdrość.

Pobyt króla duńskiego trwał dni czterdzieści, ale wyobraźnia króla starczyła na napełnienie ich co raz odmiennemi zabawami, ułożonemi z tą sztuką, jaka Augustowi była właściwa. Nikt lepiej nie umiał urozmaicić zabawy, urządzać niespodzianek, zachwycać pomysłami dziwacznymi i był to może jedyny talent niezaprzeczony, który współcześni i potomni w nim uznają.

Zabawy dworu były równie kosztowne i wyszukane, naśladowano je później dugo, ale nikt w tem Augustowi dorównać nie mógł. Karnawałowe igrzyska dziedzinskie, którym często za plac popisu służyły podwórce zamkowe lub rynek stary miasta, gromadziły dworaków i szlachtę, przymuszoną jak najkosztowniej o własnym groszu występować, przywdziewając stroje najrozmaitszych narodów.

Myśliwskie zabawy były też najrozmaitsze: ściganie jeleni po lasach psami konno, szczwanie dzików w zwierzyńcach pod Dreznem, polowanie na zajęce, bażanty i kuropatwy w Wielkim ogrodzie, hece z niedźwiedziami w podwórcach zamkowych, szczucie lisów w zagrodach około pańskiej rezydencji. Najulubieńszemi łowy Augusta II były dziki.

Igrzyska rycerskie, karuzele, uganianie do pierścieni, piesze turnieje, strzelanie do celu przy pochodniach w umyślnie na to urządzonej strzelnicach na Zwingrze, w rynku i t. p. zmieniały i urozmaicały myśliwstwo. Cel urządzeno w ten sposób, iż trafny strzał zapalał fajerwerk i tysiące rakiet ulatywało do góry. Rozdawano nagrody, często bogate, czasem szyderskie, jak naprzykład lisie ogony dla niezręcznych. Szlichtady w sankach najdziwaczniejszych kształtów należały także do najulubieńszych rozrywek.

Zabawą, która dotrwała później na bogatych dworach w Polsce do końca XVIII wieku, były tak

zwane gospody i jarmarki. Piękne panie przebiegały się za oberżystki, wiwandjerki, kupcowe i częstowały gości. Przebierano się za chłopów, za cyganów. Jarmarki te odbywały się najczęściej w nocy, przy świątecznych iluminacjach, a w budach niektórych ustawiano teatry marionetek.

Gdy August szlichtadę zapowiedział a śnieg tańiąc zaczął, tysiące wozów wieśniaczych na gościńcu zwoziło śniegi.

Maskarady i reduty w olbrzymiej sali zamkowej, w Zwingrze, na rynku odznaczały się też niezwykłą świetnością. Salę olbrzymią oświecało siedm olbrzymich także kryształowych żyrandoli, w których do pięciu tysięcy woskowych świec zapalano; obok niej w sali andygnacyjnej zastawiano dla zaproszonych gości ośmnaście ogromnych stołów okrytych wykwintnymi potrawy i napojami. Na maskarady wpuszczano, ktokolwiek odziany był przyzwoicie i imię swe podał u wnijścia.

Niekiedy przy dobrym humorze maski ruszały na miasto, wpadały do spokojnych domów i przestraszały mieszkańców, a swoboda karnawałowa nie dopuszczała zamknąć im drzwi przed nosem. Że wszyscy aż do woźnicy i sług maski mieli na twarzy, który mógł odgadnąć, czy się król między maskami nie znajduje?

Francuski teatr, włoska opera, balety, koncerty, które ogromne sumy kosztowały, przyczyniały się do uprzyjemnienia czasu. Niektórzy śpiewacy, muzycy, brali sumy znaczne, a widowiska te rocznie przeszło osiemdziesiąt tysięcy talarów kosztowały skarb królewski.

Wojskowe zabawy, przeglądy, manewry, udane wojny, służyły też jako środki uprzyjemnienia czasu. Zakładano obozy w okolicy, i zamiast szaleć w stolicy, szalano pod gołym niebem. Każdy

dzień odznaczał się inną uroczystością, wymagała nowych przyborów i strojów, ale na to król nie zważył wcale; komu była nadziana rola na igrzysku, musiał się do niej stosownie wyekwipować na owe Jowisze gody, Marsowe igrzyska, święto Diany, Merkurego targowice i t. p. Lecz który to zliczyć i opisać potrafi!

Czas pobytu króla duńskiego cały ten szereg uroczystości wywołał. Król August chciał mu dać pojęcie swej wspaniałości i bogactwa. Dla hrabiny Coseł była to jedna z najświętniejszych chwil triumfu. Jej barwy kładli królowie, cyfry jej świeciły w fajerwerkach, wieszały się wśród zielonych wieńców; ona rozdawała nagrody, ona wiodła damy do pierścienia, gdyż w ćwiczeniach tych wprawna celowała, i niejeden strzał szczęśliwy zjednał jej naówczas oklaski. Piękna pani jaśniała szczęściem. Król mógł się nią pochlubić, wnikała w jego myśli, podawała mu plany, pomagała do wykonania najdziwaczniejszych programów. Ze wszystkich wszakże uroczystości najwspanialszy był pochód bogów i bogiń, który już raz w 1695 roku był wykonany, a teraz powtórzono go świetniej jeszcze, kosztowniej i z niezrównanym przepychem.

Król duński brał w nim udział także jako Jupiter, król August był Apollinem, hrabina Coseł przedstawiała Dianę otoczoną najpiękniejszych nim orszakiem. Za nią postępował złocisty wóz triumfalny, w którym jechała muzyka. Nawet królowa nie mogła odmówić przystającego jej miejsca w świątyni Westy, jako kapłanka tej bogini.

August w istocie mógł jeszcze naówczas przedstawić Apollina, tak piękną zachował postać, tak jeszcze oblicze promienne... tak ledwie przeżyte losy po posągowem jego obliczu, nie zostawiając śladów, spłynęły.

Wszyscy znużeni, ledwie mieli dość sił, by te zabawie podołać. Cosel była niezmordowaną, krół w swym żywiole. Piękna hrabina nie oddaliła się na chwilę, nie znikła nigdy, szukając ciszy i spoczynku, stała u boku króla uśmiechnięta i poila się kadzidły, od których zawrócić się mogła głowa biednej kobiecie.

Dla niej jednej sprawiono kobiecy wyścig do pierścieni, który był triumfem nowym. Obaj królowie dnia tego nosili jej godła, kolorystyki i cyfry, król duński ją prowadził, August szedł po prawej stronie, podkomorzy dworu po lewej.

Z loży patrzała królowa...

#### XIV

Wyścig ten do pierścieni, w którym Cosel okazała nadzwyczajną zręczność i niezmierną odwagę we władaniu koniem i ćwiczeniach tak płci jej niewłaściwych, zdawał się w królu Auguście, który z nią razem triumfował, rozżarzać jeszcze uczucia.

Tiumy wybranych gości wpatrywały się w to widowisko, któremu dzień najpiękniejszy, najjasniejsza pogoda i łagodne powietrze towarzyszyło.

W lożach i na galerjach, otaczających podwórzec, w którym się bieg ten odbywał, widać było tysiące twarzy, głów ciekawych i stroje najwykwintniejsze. Piękna amazonka z licem rozplotomienionem, zręczna, zwinna, gibka, miała nadzwyczajne szczęście.

Królewscy widzowie przykłaskiwali, obaj królowie bogate dla niej przygotowali nagrody... nikt nie zważył na twarzy reszty dworu posępne, na zżółkłe oblicza dam, na szepty poza wachlarzami, na dziwną ciszę tłumu, który tali uczucia swoje.

W kącie wpośród dworu króla i urzędników.

którzy czynnego nie brali udziału w zabawie, stał Zaklika, wierny sługa hrabiny, jedyny może z tych, co przywiązaniem niezłomnym płacili jej za dobrodziejstwa i kaprysy. Służba u hrabiny Coseł nie była wcale łatwą ani przyjemną, ale pan Rajmund służył raczej własnemu sercu, niż hrabinie. Zaklika się kochał i nie mógł nawet smagany widokiem jej fantazji, dumy, pogardy, wyrwać z serca tej namiętności szalonej: zżył się już z nią, stała się w nim choroba, co podtrzymywała życie. Zaklika nie miał innego celu nad tą miłością bez przyszłości.

I on dumny był ze swojej Anny Coseł, chociaż te ponawiane triumfy jej niepokoiliły go instynktowo. Obawiał się tak szalonego szczęścia, wiedząc, jak na serce Augusta, na litość jego, na wdzięczność, na nic rachować nie było można, gdy go nowa opanowała namiętność.

Dokoła Zakliki, który stał przy murze, w cieniu skupieni byli starzy dworzanin Augusta. Z tej kupy ani jeden okrzyk nie dał się słyszeć, ani jeden oklask: nic, coby zdradzało uwielbienie dla pięknej, a dnia tego najpiękniejszej królowej turnieju.

Przy Zaklicie, osioniętym występem kolumny, znalazło się kilku nieznanego mu osobiście ludzi. Jeden z nich, choć świeżo ogolony bardzo starannie, siwym już był i starym; drugi zdawał się być cudzoziemcem; kilku innych stanowiło z nimi gromadkę. Mówili pocichu, lecz słowa ich mimowolnie ucho Zakliki chwytały.

— Pięknaż bo jest, piękna, ta kochanka króla waszego — odezwał się cudzoziemiec, — prawdziwy królewski kąsek... i zdaje się, że już dla tej musi się najjaśniejszy ustatkować?

Stary figlarnie się uśmiechnął i westchnął cicho

— Gdy na to patrzę — rzekł, — przypominam

sobie dawne czasy, i myślę, co też to ja jeszcze zobaczę, bo na tem się nie skończy, panie szambelanie. Boję się, by te triumfy ostatniemi nie były; przeżyłem wiele, pamiętam na szczycie chwały uroczą Aurore... pomnę wdzięczną Esterle... zdaje mi się, że widzę jeszcze śliczną Spiegel i miłą księżnę Teschen. Z nich wszystkich ta się wprawdzie jakimś ekwilibrem nadzwyczajnym trzyma najdłużej, lecz żeby króla miała przywiązać na wieki, temu nie wierzę!

— Mówiono mi wszakże, iż król jej przyrzekł ożenienie... — szepnął cudzoziemiec.

— Sądzę, że się niem i księżna Teschen łodziła, że się go i piękna Aurora spodziewała; lecz naszej zacnej, dobrej królowej Bóg życia przedłuży, a śliczna rycerka pójdzie za innemi.

— Chyba nieprzedko! — zaśmiał się cudzoziemiec.

— A który to odgadnie? — szydersko szeptał stary. — Spójrz, waćpan, na rząd tych pięknych jeszcze twarzy niewieścich, na których licach za zdrość się pali. Z małym wyjątkiem te panie wszystkie miały swe dni królowania... a tam w kąciku u dołu, widzisz tę kupkę francuskich linoskoków i tancerek; tam stoi Duparc, która dziś dzieli serce pana z tą amazonką, choć nic nie ma za sobą, chyba, że stokroć od niej brzydsza jest a swawolniejsza. Któż zaręczy, że jutro z cิżby nie wybierze sobie nasz najjaśniejszy coś jeszc'e... dziwaczniejszego...

Za Zakliką stali także dworacy: tu nie ukrywano niechęci.

— I owszem — mówił jeden z przyjaciół i zauszników Fürstemberga — niech sięga jak najwyżej, tem bliższy upadek... Wzbija się w łaski i wzbią w dumę, królowi staje się obejściem swem coraz nieznośniejszą: możnaby niemał obliczyć chwilę, gdy runie.

— Tak! tak! — dodał drugi — a nie będzie to pewnie ciche rozstanie, jak z tamtemi, bo ta nosi pistolet nabity i papier z królewskim podpisem. Zgubi się niechybnie, bo się będzie opierać i bronić.

— My to już jednak prorukujemy od ład trzech i dotąd nie spełniły się proroctwa nasze — rzekł pierwszy, wzdychając.

Dalej nieco widać było barona Kyan, zamysłonego bardzo. Dowcipny stary dworak słuchał i słyszeć nie chciał: zaczepił go ktoś o zdanie.

— Nie jestem astronomem, kochany panie — rzekł, — bym mógł rozrachować, kiedy gwiazdy wschodzą i zachodzą, a wiem tylko, że są i gwiazdy stałe...

W jednej z łóż hrabina Reuss i Vitzthumowa, panna Hülchen, a ztyłu Glazenappowa, siedziały ponure i milczące... Reuss westchnęła.

— Sameśmy winne — odezwała się do Vitzthumowej. — Król nie widzi od kilku lat, tylko stare znane twarze: nie umiąłyśmy się o nic postarać.

— Niecierpię tej kobiety — przerwała Vitzthumowa — ale zmuszoną jestem przyznać, że po niej znaleźć coś trudno.

Stara Reuss rozśmiała się szydersko.

— Nie znasz ani ludzkiej natury, ani charakteru króla — rzekła spokojnie. — Po blondynce Teschen musiała się podobać wasza bratowa; po jej krućzych warkoczach, znowu złocistych będzie szukać, a że ta udaje boginię, zasmakuje w chłopiance lub w takiej Dupare, która papple mu jak przekupka.

— A! już zresztą naszemu królowi się nie dziwię, że pęt swych nie umie rozplatać; ale król duński, patrz pani, jak słodkie oczy ku niej wznosi.

— Jak dumnym zgóry, olimpijskim wzrokiem ona mu odpowiada.

— Gdyby mi się nie chciało płakać, śmiałabym się z tej oszalałej awanturnicy — szepnęła Hülchen.

— Miljony kosztuje ta perła Saksonię.

Te i podobne rozmowy słychać było prawie wszędzie, lecz szmer nie mógł dojść do uszu pana, a choć August domyślał się może uczuć obecnych na turnieju osób, nic dlań zabawniejszem być nie mogło nad widok tej tłumionej zazdrości: był to także rodzaj hecy, wielce mu upodobanej.

Po turnieju i strzelaniu do celu, po świetnej wieczerzy, która już była pożegnalna, gdyż król duński nazajutrz wyjeżdżał do Berlina, a August mu towarzyszył, zgasły światła i hrabina Cosei w stroju, jaki miała na igrzyskach, powróciła do pałacu...

Twarz jej pałała jeszcze ogniem triumfu, zapału, ale zarazem gorączki i znużenia; uczuła się słabą i, zrzuciwszy z siebie klejnoty, padła na sofę spoczywac.

W pałacu było cicho, dalekie ledwie stąpanie dawało się słyszeć niekiedy w przedpokojach. Ta cisza, po wrzawie, okrzykach i muzyce następująca nagle, dziwnie ją usposabiała. Czuła się równie na duszy, jak na ciele, zmęczoną... Niczem nicusprawiedliwiony w tej chwili smutek ją owładnął.

Wśród triumfu spotkała parę razy szyderski wzrok Flemminga i ten ją przejął do głębi; była w nim jakby niema groźba, którą ona tylko jedna zrozumieć mogła. Wyraz jego oczów odbił się jej na sercu; gniew i trwoga w niem gościły. Nie miała powodu dla obojga, a pozbyć się ich było dla niej niepodobieństwem.

Napróżno przypomnieniem króla i wszystkich dowodów czci, jakich tego dnia doznała, usiłowała ponure rozbić myśli; obłok, co na nie zaszedł, wisiał na duszy chmurą czarną. Oczy zachodziły łzami... Tak nieraz w chwili największego szczęścia zjawia się przyszłości przeczucie.

Niema, stężała, z oczyma wlepionymi w ścianę, na której wisiał portret królewski, siedziała tak długo... Dnia tego nie spodziewała się już zobaczyć Augusta, nazajutrz rano razem ze swym gościem miał jechać do Berlina. Tam nowe go cekały uroczystości, nowe twarze, nowi ludzie.

W korytarzu, którego schody łączyły się z galerią do zamku wiodącą, dały się słyszeć kroki: nie mógł to być kto inny prócz Augusta... Coseł zerwała się z siedzenia i pobiegła do zwierciadła, aby suknie rozrzucone poprawić. Bujne jej włosy czarne nie dały się ująć ręce niewprawnej, i gdy król ukazał się na progu, Coseł trzymała je w białej dłoni, drugą osłaniając i podnosząc spadającą z niej suknię.

Z pierwszego wejrzenia Coseł poznała, że August przychodził do niej w tym stanie, w jakim gorzadko widywała, a jak najmniej widzieć lubiła.

Uroczyście żegnanie siostrzeńca, którego dwóch dworzan z wielkiem uszanowaniem na łóżko zaniosło, odbyło się ogromnemi puharami. Król, jakkolwiek nawykły do nich, nie wyszedł z tej walki cało. Szedł wprawdzie bez pomocy szambelana, który go do drzwi doprowadził, starannie pilnując, aby równowagi nie stracił, ale w gabinecie Coseł oczyma zaraz szukał siedzenia i rzucił się na nie skwapliwie. Twarz była okryta rubinowym rumieńcem, oczy przyćmione, mowa stała się niewyraźną.

— Anno — rzekł — chciałem cię pożegnać... Hal miałaś dziś dzień triumfu, jaki rzadko która kobieta otrzyma. Podziękujże przynajmniej.

Roześmiał się król.

Coseł zwróciła się ku niemu z twarzą smutną.

— A! panie mój — rzekła — czyżem ja ci codziennie tak samo nie powinna dziękować... Lecz gdybyś był widział te zawiścinych oczy, które na mnie

patrzały, te zazdrośnie ściele usta... pojąłbyś, że wróciłam smutna.

August wciąż się uśmiechał.

— Tragi-komedja życia — rzekł obojętnie. — Ja miałem mego Karola XII, ty masz twego Flemminga! Każdy ma coś, co go boli, a życie... to życie... Bądź mi wesoła!

— Nie mogę... — odezwała się Coseł.

— Dla mnie! — odparł August.

Coseł wpatrzyła się w niego i powoli, raczej przymus i rozwaga, niż uczucie wywołały różowy uśmiechek na małe usta...

— Gdybym na ciebie tylko, panie mój, wciąż pańrzeć mogła; gdybym cię miała zawsze u mojego boku — odezwała się, siadając przy nim powoli, — byłabym samym śmiechem i jednym weselem: radabym cię nie puścić na krok od siebie, trzymać skutego uściskiem. Niestety, wyrwiesz mi się sam. polecisz w świat, a który wie, jakim powrócisz?...

— Byle nie tak pijanym, jak dziś jestem... — ze śmiechem zimnym odparł August — wino lubię, ale panowania jego nad sobą nienawidzę...

— A kiedyż pan mój powróci? — spytała Coseł.

— Spyaj... astrologów: ja nie wiem. Jedziemy do Berlina. To jedno mnie cieszy, że Brandenburgi po drezdeńskich fetach wydadzą się bardzo chudo. Będzie nas Fryderyczek bawił żołnierzami i wygrodzi przy stole. Berlin po Dreznie! cha! cha! — zawała król — to mnie niezmiernie cieszy: jadę umyślnie, żeby się napawać zwycięstwem... Zgóry jestem go pewny.

— A wróć mi tylko Wasza Królewska Mość wiernym i stałym — dodała, jedną zawsze myślą zaprątnięta Coseł.

— Z Berlina? — śmiał się August — tam mi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, ani tobie... najczołiwlszy z dworów i najnudniejszy w dodatku.

— A Dessau? — szepnęła Cosel.

Król pokiwał głową.

— To prawda, że była bardzo ładną; lecz gdyby była katoliczką, powinnaby zostać mniszką... Nie rozumiała wcale galanterji, obrażała się półsłowem... Nie, ja takich nie lubię.

August spróbował się podnieść i potarł ręką po czole tak nieostrożnie, iż zsunał utrefioną perukę nieco; Cosel mu ją poprawiła: począł całować ją w ręce.

— Moja Cosel — dodał — jadę, a mam jedną prośbę do ciebie; pojednałem cię z Flemmingiem, zawrzyjcie pokój wieczny: przestańcie się jeść wzajemnie.

Anna zmarszczyła się.

— Najjaśniejszy Panie, racz to zapowiedzieć Flemmingowi, nie mnie. Uchybia mi ciągle, jest zajadłym nieprzyjacielem moim. Hrabina Cosel, żona Augusta...

Król, słysząc to, dziwnie się uśmiechnął, oczy jego błysnęły ćzikami.

— Hrabina Cosel — dokończyła dumnie Anna — nie powinna, nie może ulegać jakiemuś Flemmingowi, ani się go lękać, ani mu ustąpić.

— Ale ja tych wojen niecierpie...

— Kaz mu być mi uległym, poleć mu, by mnie, małkę twoich dzieci, szanował, to będzie sposób najlepszy utrzymania pokoju.

Po tych słowach, na które król już nic nie odpowiedział, nastąpiło nieme pożegnanie. Cosel z czułością zwiesiła się na szyi króla, który szukał podpory w kolumnie, aby go to nie zachwiało... Hrabina podała mu rękę, kilka tylko kroków dzieśliło ode drzwi, za progiem czekali szambelanowie. Z pochmurnem czołem król wysunął się od Cosel.

Któż może odgadnąć, co wówczas działało się

w tajemniczych głębinach pańskiej duszy, czy istotnie pragnął zgody na dworze, czy chciał, by na nim trwała wojna? Tegoż wieczora kazał przywołać Flemminga: szyderski był i podrażniony.

— Coseł mi się skarży na ciebie, stary — rzekł żartobliwie, — powinieneś jej ulec, wiele rzeczy nie słyszeć, a przebaczyć drugie tyle. Znasz kobietę... przecież ja umiem znowić od niej...

— Najjaśniejszy Panie! — odezwał się Flemming, który z królem do zbytku poufałym bywał. — Najjaśniejszy panie! to wcale co innego: miłość pani Coseł płaci Najjaśniejszemu Panu za te utrapienia.

— Więc mojej nie liczysz? — spytał król.

Flemming się skłonił risko.

— Wasza Królewska Mość wiesz — odezwał się. — żem ja w rachunkach nie mocny: lepiej się do liczby nie pociągać.

— Ale bądźże dobrze z Coseł! — powtórzył August.

— Najjaśniejszy Panie! to trudno: dworakiem jej byc nie potrafię, pochlebiać i kłamać nie umiem, a kłaniać mi się trudno, bo mam grzbiet stary.

Na tę mowę król śmiechem odpowiedział.

— To prawda — dodał, — że cię ona nie lubi; powiada, żeś do małpy podobny, a ja tego nie znajduję.

Flemming podniósł głowę, z oczu mu się iskry posypały, zabelkotał coś i umilkł.

Gdyby był król przedsięwziął na wieki poróżnić ich z sobą, zręczniejby nie mógł postąpić.

Tu miejsce może nieco bliżej dać poznać człowieka, który na losy przyszle bohaterki tego opowiadania wpływ wywarł tak stanowczy.

Hrabia Jakób Henryk Flemming był jednym z ludzi, co się najdłużej umieli utrzymać w łaskach króla Augusta i, wedle świadectwa współczesnych, najsilniej w nich stali.

Mówiono powszechnie, iż Flemmingowi zawańczał polską koronę. Jedna z jego kuzynek bliskich, córka feldmarszałka Flemminga, od roku 1684 wyszła była zamąż do Polski za podskarbiego, kasztelana chełmskiego Przebendowskiego: przez nią generał zawiązał najprzód w Polsce stosunki. Flemming był człowiekiem na swój czas wykształconym i więcej jeszcze dyplomatą niż żołnierzem, choć obrał zawód wojskowy. Przebiegły był i chytrym, jak wszyscy znakomici dyplomaci tamtych czasów, a w polityce trzymał się systemu Machiawela: wszystkie środki dobre mu były, byle go wiodły do celu.

Na dworze Augusta Flemming, który już wówczas marzył o wyłącznym wpływie i opanowaniu króla, starał się zrecznie pousuwać wszystkich, którzy z nim mogli współzawodniczyć. Zawadzał mu naówczas Hoym, nad którego ruiną pracował pocichu; lękai się wpływu Coseł i gotów był ją kimkolwiek innym zastąpić: niebezpiecznym zdawał się Schulenburg, i na tego już dawno miał oko.

Flemming miał pod ręką ludzi, którymi tamtych postanowił zastąpić, kreatury swoje, mające mu zawańczać stanowiska, czyhające na objęcie miejsc opróżnionych: Watzdorf, Manteuffel, WackebARTH, czekali i służyli mu wiernie. Zarozumiały i pewien siebie Flemming do swych zaufanych zwykł był mawiać: „Moją zasadą jest: okoliczności tworzą ludzi, każdy do wszystkiego jest zdolnym, byle mu się sposobność trafiła spróbować. Ja najlepszym tego jestem przykładem. Zrazu sposobiłem się tylko do stanu wojskowego i nie miałem innego pragnienia, tylko kiedyś pułk dostać, a jednak doszedłem do tego, że jestem pierwszym ministrem i feldmarszałkiem (został nim dopiero w roku 1711), choć w żadnym nigdy nie zasiadałem kolegium.

Rządzę, mogę powiedzieć, Polską i Saksonią, obu krajów ustaw nie znając, a mimo to z obowiązków tych wywiązuję się z honorem".

Zarozumiałosć ta i zuchwałstwo były podobno głównym przymiosem i charakterem Flemminga. Nierychło się jakoś przekonać zdołano, że wojskowym jego talentom brakło doświadczenia, a ministerialnych nie miał wcale. Z powierzchowności był to człowiek żywego temperamentu, rzeźwy, wesoł, hulaka, coś żołnierskiego mający w obejściu; rozkazujący śmiało, krótko i stanowczo. Gniewał się łatwo i dowcipnym żartem rozbrajał, bo lubił wesołość i dowcip. O trzy lata tylko starszy od króla, był jego przyjacielem poufaim, towarzyszem zabaw, powiernikiem. Zdarzało mu się po szumnej zabawie nadużyć czasem względem Augusta dozwolonej poufalości, ale zawsze to umiał naprawić.

Flemming żył po księciemu, trzymał służbę ogromną i sto koni na stajni. Przedpokoje jego były pełne zawsze ministrów, dygnitarzy, cudzoziemców, jak u króla. Łatwo mówiąc po francusku, po polsku, po łacinie, umiejąc pracować i nie opuszczając dlatego hulanek, mogąc nie spać, umiejąc pić i nie upijać się, zdrzemując na kwadrans w krzesle i wstać orzeźwionym, musiał pozyskać niezmierny wpływ na dworze, gdzie się wszyscy bawić tylko i intrygować umieli. Człowiek był żelazny, a mimo żywości, pozornie flegmatyczny i zawsze pan siebie.

Wyglądał wcale nie pięknie: niskiego będąc wzrostu, przysadzisty, otyły, z twarzą naperzoną, czerwoną, ale rysów dosyć czystych. Wedle zwyczaju owych czasów nie nosił peruki, ale własne włosy długie, w które wplatał parę loków.

Pieniądze robił, dobrami handlował i o kieszeni nie zapominał: nie wahał się nawet przy więk-

szycznych interesach wymawiać sobie tak znacznego porękawicznego, iż raz się król o tem dowiedziawszy, że wziął pięćdziesiąt tysięcy talarów, powiedział mu:

— Słuchaj, Flemming, wiem, coś wziął; to już dla ciebie za wiele; musisz mi połowę oddać.

I tak się stało. Jak to dobrze pana i slugę maluje!

Walka z człowiekiem, który się umiał posiadać i panować nad sobą, dla kobiety tak namiętnej a powodzeniem długiem wzbitej w pychę, była rzeczywistem niebezpieczeństwem. Wreszcie poza Flemmingiem stał całym zastępem nieprzyjaciół hrabiny Coseł, a co gorzej zjadliwych jej nieprzyjaciólek: pani Przebendowska, siostra cioteczna generałaminstrowa, cała klika hrabiny Reuss, utrapiona Gläsenappowa, Vitzthumy, rodzina Hoymów i te nawet jejmoście, które pozornie udawały przyjaźń dla pani Coseł, choć niczego tak nie pragnęły, jak widzieć ją upokorzoną.

Długie lata szczęścia budziły zazdrość, jastrzyło to, że przeciwko niej znaleźć nie mogli, coby ją w oczach króla poniżyło. Wśród tego rozpustnego dworu, w którym stosunki zawiazywały się tak łatwo i rozrywały tak prędko, nikt jej otoczonej zawsze gronem wielbicieli nic zarzucić nie mógł, szpiegi najpilniejsze nic nie potrafili wyśledzić, potwarz nawet nie miała się do czego przyczepić. Coseł mogła być dumną, bo istotnie przewyższała otaczające ją towarzystwo kobiece charakterem i szlachetnością postępowania. Tak, jak w początkach nie chciała zdradzić męża i domagała się od króla przyrzeczeń zaślubienia na piśmie; tak potem nie dopuściła się przeniewierstwa, będąc nieustannie zdradzaną. Ciągłe powtarzanie, iż się uważała za żonę króla, nie kochankę, do rozpaczny przy prowadzało te panie.

A im dłużej pracowały naprzóźno, tem rosły gniewy, niecierpliwość, zawziętość. Jątrzono więc Flemminga, a w pomoc mu stawali Fürstemberg, i ten którego Coseł uważała za przyjaciela, którego nie lękała się wcale i ufała mu, Vitzthum nawet. Ostatni był przez żonę, której ulegał, popchniętym, i więcej przez lekkomyślność niż przez niecheć, zaciągnął się do szeregu przeciwników hrabiny Coseł.

Plan był ułożony. Należało tylko znaleźć piękną twarzyczkę, którychby niezrażona losem swych poprzedniczek, chciała chwilowo zająć smutne, upokarzające miejsce u boku Augusta II. Znano króla, że zalotności ulegnie, ale ociężałem nieco trzeba było oszczędzić pół drogi, wyszukać pięknej pani, którychby pierwsza wyzwała go do zalotów. Rozesłano na wszystkie strony na zwiady.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

# Bibljoteka Groszowa Wendego.

Pragnąc uprzystępnić jak najliczniejszym czytelnikom możliwość nabycia taniej i dobrej książki, postanowiliśmy, pomimo ciężkich warunków wydawniczych, wydawać „Bibljotekę Groszową Wendego”, której każdy tomik będzie kosztował zaledwie 95 groszy, a więc dostępny będzie niemal dla każdego.

„Bibljoteka Groszowa Wendego” poza wartościowymi utworami piśmiennictwa polskiego autorów tej miary, co J. I. Kraszewski, A. Dygasiński i inni, obejmie szereg utworów literatury obcej, francuskiej i angielskiej na pierwszym miejscu. Ukażą się mianowicie, jako tomy „Bibljoteki Groszowej Wendego”, nieporównane i pełne głębokiego artystmu dzieła Josepha Conrada (Korzeniowskiego); pociągające egzetycznym tłem, bezpośredniością i barwnością utwory Jacka Londona; oryginalne i przeniknięte nawskroś głęboką filozofią katolicyzmu dzieła G. K. Chesterton; arcydzieła subtelnego znawcy duszy ludzkiej Guy de Maupassant'a i t. d.

Pomimo niezmiernie niskiej ceny tomów „Bibljoteki Groszowej Wendego”, pragniemy, aby owa tania książka w niczem nie ustępowała wydawnictwom droższym; dlatego też każdy tom cechować będzie nietylko staranny wybór ciekawej i wartościowej treści, ale również i wysoki poziom przekładu, wiernie oddającego w języku polskim walory artystyczne oryginału, oraz wielka dbałość o estetykę wyglądu zewnętrznego książek.

**WYDAWNICTWA KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka**  
**WARSZAWA — KRAK. PRZEDM. 7/9**

---

	Cena zł.
<i>Caine Hall</i> — Koziół ofiarny — powieść, str. 287. . . . .	3.90
<i>Chesterton G. K.</i> — Napoleon z Notting-Hill — powieść, str. 288 . . . . .	4.80
<i>Conrad J. (Korzeniowski)</i> — Fantazja Almayera — po- wieść, str. 212 . . . . .	5.—
— Murzyn z załogi „Narcyzą” — powieść, str. 214 . . . . .	5.50
— Sześć opowieści — nowele, str. 311 . . . . .	7.50
— Między lądem i morzem — nowele, str. 268 . . . . .	6.—
<i>Erenburg I.</i> Julio Jurenito — powieść, str. 397. . . . .	6.—
<i>Grubiński Waclaw</i> — Lwy i św. Grojocław — nowele, str. 177 . . . . .	4.20
<i>Iwaszkiewicz J.</i> — Hilary syn buchaltera — powieść, str. 178	3.50
<i>Kaden-Baudrowski J.</i> — Przymierze serc — nowele, str. 243	4.—
<i>Lordon J.</i> — Bóg Ojców Jego — nowele, str. 196. . . . .	4.20
— Martin Eden — powieść, 2 tomy, str. 327 i 289 . . . . .	9.—
— Na szlaku — nowele, str. 236 . . . . .	4.20
— Odszczepieńiec — nowele, str. 163 . . . . .	4.20
— Odyssea północy — nowele, str. 253 . . . . .	4.—
— Opowieści mórz południowych, str. 245 . . . . .	4.20
— Prawo białego człowieka — nowele, str. 152 . . . . .	3.—
— Serce kobiety — nowele, str. 251 . . . . .	4.20
— Syn słońca — nowele, str. 262 . . . . .	4.20
— Wilk morski — powieść, 2 tomy str. 270 i 244 . . . . .	6.50
— Zew krwi — powieść, str. 136 . . . . .	2.—
— Przygoda — powieść. . . . .	4.80
<i>Maupassant G. de</i> — Życie — powieść, str. 303 . . . . .	4.50
— Piotr i Jan — powieść, str. 186. . . . .	3.—
<i>Samozwaniec M.</i> — Na ustach grzechu . . . . .	2.40
— Malowana żona . . . . .	3.—
<i>Strug A.</i> — Mogiła nieznanego żołnierza — powieść, str. 411 . . . . .	5.20
— Odznaka za wierną służbę, str. 118 . . . . .	2.60
— Pieniądz — powieść, str. 459. . . . .	5.20
— Kronika Świeciechowska — nowele, str. 246. . . . .	4.—

# List zwrotny

DO KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka

w Warszawie,

Krak. Przedm. 9.

Upraszam o łaskawe nadśyłanie w miarę ukazywania się

12 tomów Biblioteki Groszowej Wendego

począwszy od № .....

Należność w kwocie Zł. 9.95 przesyłam jednocześnie przekazem (P. K. O. 137) proszę pobrać za zaliczkę \*).

Imię i nazwisko .....

Adres .....

\*) Wyrazy niepotrzebne proszę wykreślić.

Zamówienie księgarskie.

Do księgarni E. Wende i S-ka

w Warszawie,  
Krak. Przedm. 9.

J.I.KRASZEWSKI

95  
Groszy



HRABINA  
GOSEI



A. I. BRAUZEWSKI

# HRABINA COSEL

TOM DRUGI



WARSAWA, R. WENDE I S-KA  
Pernau, Słoneczna 1, Murowana, Łódź, Kalwaria,  
Lublin, Praga, Tarnów i Średzina-Tow. Wyd. „Jawor”

Okładekę wykonał Kamil Mackiewicz  
Odbito w Zakł. Graficznych  
Drukarnia Bankowa  
Warszawa, Mo-  
slinska 11  
1905

## I

Gdy król August zabawiał się z obojętnością człowieka, który wierzy w przeznaczenie, Karol XII także szedł naprzeciw zgotowanego mu losu. Z garścią ludzi wśród nieznanego mu kraju, rzuścił się na nieznaną sobie potęgę i z mąstwem lwiem a nieopatrznością młodzieńczą stanął na polach pod Poltawą.

Bitwa ta o losach wielu krajów i ludzi rozstrzygnęła była stanowczo. Król August powracał z odwiedzin w Berlinie, ciesząc się, że nie został zwycięzonym przez dwór, który się wcale o przepych nie ubiegał, gdy z Polski od księżnej Teschen wysłany kurjer przywiózł mu pierwszy wieśc szczęśliwą o pobiciu na głowę Karola XII. W pierwszej chwili król zdawał się osłupiały, zrzekł się uroczyście polskiej korony, a słowo swoje wyrzeczone w obliczu Europy chciał poszanować. W tym momencie wahania nadbiegł Flemming.

— Najjaśniejszy Panie — zwołał — wymuszone orążem układy nic nie znaczą; potrzeba wrócić do Polski. Leszczyński nie jest królem, tysiące rąk znajdziesz na obronę praw swoich. Trzeba się zjawić tylko, by zwyciężyć...

Tylu ofiarami okupiona korona była ponętną dla kurfirsata. Wiązały się z odzyskaniem jej plany monarchii dziedzicznej, okupionej ofiarą prowincji, które niby usta zamknął zazdrosnym sąsiadom. Cudżby z rzeczypospolitej część tylku miała pozostać

złożona z 1500 osób, kiedy w tym momencie państwo odzyskać wnętrze kraju, było będzie widać, aby ją z elektorskiej na dziedziźnia przeoblieć.

August przyznał z Flemmingiem, że położ i układy i zrzeczenie się korony nic nie były warte, należało zebrać tylko ludzi i lęgi do Polski. Flemming i jego przyjaciele, dawni zwolennicy Sasa, mieli mu dopomiąć; nie wątpiło byna mniej o szczęśliwem wyprawy powodzeniu... Z Polski przybyli w zaprosiny Denhoff, marszałek konfederacji sandomierskiej, i Szaniawski, biskup kujawski. Z siostrzeńcem swym Fryderykiem August miał czas w Dreźnie umówić się już przeciwko Szwedowi; brandeburski Fryderyk nie był teraz przeciwko skojarzeniu się z saskim, za czem do niego król umyślnie jeździł, i tak stanęła liga, którą później trzema spojonymi rękoma trzech Fryderyków upamiętniły medale.

Mało miał czasu August zabawiać się w miłości, gdy szło o odzyskanie korony. Zaledwie przybywszy do Dreźna, otrzymał wiadomość o bitwie pod Połtawą, którą pierwszy cukierni ogłosili kazal, pobiegł do sprzymierzeńca pruskiego, aby z nim pomówić o warunkach. W czasie krótkiego pobytu w Dreźnie Cösel zaledwie przywitał i pożegnał. Tu stały rzeczy gorzej niż kiedy. Flemming czuł się silnym dla kogo wypadkiem. Hrabina posyłała do niego kilakroć z żądaniami różnemi w czasie niebytuści króla; odpowiedzieć kazal, że nie myśli ich spełnić i że ma co ważniejszego do czynienia. List ostry od Cösel zdarł w oczach posłańca i podepiął, rozczarowując powiedzieć te, co go pisala, że się jest skarż i groźb nie leka. Były to bolesne wyzwania, których Anna Ścierpieć nie mogła. Drugiego czy trzeciego dnia potem, gdy Flemminga i moja jadąc, spotkał ją przy zamkowej ulicy, i koniec wracać był zamkony, Cösel wy-

czylią się z powozu i radą ze zręczności, pięścią  
mu groiąc, zawołała:

— Powinieneś pan pamiętać, generale, kim  
ty jesteś, a kim ja! Waćpan jesteś sługą króla,  
który spełniasz rozkazy; ja-m tu panią: chcesz wać-  
pan wojny ze mną, przyrzekam, że ją mieć będziesz.

Flemming roześmiał się z pozorną grzecznością,  
rukę do kapelusza przykładając.

— Nie toczę wojen z kobietami — zawołał —  
a czynię to, co mi dobro mojego pana nakazuje;  
ani się myślę kłaniać, ani kobiecym ulegać kąprysom.

Z okna karety posypały się wyrazy niepohamowanego gniewu. Flemming, nie zważając na nie,  
konia spał i ani patrząc na hrabinę, pojechał dalej. Przyczem wojskowi, będący przy Flemmingu,  
znieważyli ludzi hrabiny. Zaküką się już brał do  
szabli i byłoby przyszło do krwi rozlewu, gdyby  
rozumniejszy ktoś ze dworu króla nie wradł mię-  
dzy nich i Flemminga służby nie rozpędził.

Rozpoczęła się tedy wojna na dobre, Cesel, płacząc z gniewu, czekała na krabię.

Nadjechał August rano bardzo, a na drodze  
snać już wiedział, co zaszło, bo gdy Flemming  
przyszedł do niego z raportami, rzekł mu:

— Ze też wy, stary żołnierz i dyplomata, z jedną  
kobietą w zgodzie żyć nie umiecie.

— Przepraszam, Najjaśniejszy Panie — zawołał  
general — żyję z wielu w najlepszej, ale z temi, co  
się za boginie i królowe mają, nie umiem w istocie. Ta kobieta rujnuje kraju na fawazje dziwaczne...  
i żadnej zasługi uszanować nie umie.

— Ale tę kobietę ja kocham i wymagam dla  
niej poszanowania.

— Nikt jej nie uchybiał, dopóki sama nie rozpo-  
częła obeżwycie ze wszyskimi się obchodzić.

Król zmierzał, Flemminga rzekł w pełnym tonie:

... Lże odkrywając i jasne i jasne głosząc, dziki umysł, nienasycona pycha i chciwość. Jeżeli Wasza Królewska Mość słabym dla niej jesteś, n.p. co tron otaczamy, mamy obowiązek wzywać z tych więzów.

August zagadał o czem innem. Po krótkiej nadzie poszedł do Coseł; ta go oczekiwana, ale z wybuchem gniewu i wyrzutami, czego August nie lubił.

W progu już z płaczem rzuciła się ku niemu.

— Królu mój, panieli ratuj! Flemming się obchodzi ze mną, jakbym była najostatniejszą z kobiet. Lży mnie publicznie, listy, które piszę, drze i rzuca pod nogi; oświadcza się, że mnie stąd wygną; wystawia na pośmiewisko. Wybieraj, królu: albo ja lub on ustąpić musimy.

August ze śmiechem ją uściśniął.

— Uszczęśliwiaj się, hrabino, za żywo rzeczy bierziesz! Flemming mi w tej chwili potrzebny: muszę go oszczędzać.

— A ja? — zapytała Coseł.

— Al wiesz przecież, że bez ciebie niema dla mnie życia, ale jeśli mnie kochasz, coś przecie mi powinnaś poświęcić.

— Wszystko oprócz czciowej — zawołała Coseł.

— Z Flemmingiem trzeba się zgodzić.

— Nigdy!

— On cię przeprosi.

— Ja nie żadam tego, chcę być wolną od widzenia tego człowieka.

August wziął ją za rękę.

— Moja kochana Coseł — odezwał się zimno, — dziś chcesz być wolną, od Flemminga, jutro też samo będzie z Fürstembergiem, a gdy ich wypędzę, z Płockiem i Vitzbuhensem, z takim ty nie umiesz.

— To nikt przerwie cię w najjaśniejszej swej Panie,

nie sprzyja mi na dworze; wszyscy są nieprzyjaciółmi moimi.

Zaczęła płakać, król zadzwonił i, mimo protestów gospodyni, rozkazał zwołać generała Flemminga.

Dobra chwila upłynęła w milczeniu i dąsach, Coseł chodziła gniewna po sali, niemniej generał nadszedł. Wechodziąc, wcale się nie sklonił gospodyni, zwrócił się do króla.

Coseł, tylem do niego stojąc, cała w płomieniach, ledwie się pohamować mogła.

— Mój Flemming, jak mnie kochasz — odezwał się August, — wiesz, jak ja w mojem gospodarstwie niecierpię waśni: przebłagaj piękną hrabinę i podajcie sobie ręce.

— Nigdy w świecie! — przerwała Coseł — nie podam ręki nikczemnemu dworakowi, który się ważył uchybić bezbronnej kobiecie.

— Nie lękaj się, pani — zwołał Flemming, — ja też żołnierskiej dłoni nie myślę jej narzucić: kłamać nie umiem, a przepraszać nie będę.

Król wstał gniewny.

— Generale, uczynisz to dla mnie.

— Ani nawet dla was, Najjaśniejszy Panie. Jeśli ci się podoba, rzucam służbę.

— Waćpan jesteś podły, jesteś nikczemny — zakrzyczała, zapominając się, Coseł, — biskupi Najjaśniejszego Pana uzuchwaliły cię... lecz z Drezną niedaleko, chwala Bogu, do Königsteinu.

— Coseł, na miłość Boga! — przerwał August.

— Najjaśniejszy Panie, pozwól mi także być szczerą, i ja kłamać nie umiem... powiem mu w oczy, co o nim trzymam. Zapowiedział mi wojnę, ja mi ją wypowiadam.

— Z panią hrabiną wojuwać nie myślę — rzekł Flemming, — mom coś lepszego do czynienia. Mi-

łosć dla całego narodu, a nie w istotę to do wyjaśnienia jej wojny, by grom kraj uszczyścić i byłoby z czego wojsko wysłać, koronę odzyskać, gdyby wańpani zbytki ukryć.

— Flemming zapominasz siebie — zawołał August, który całej tej wyrazów cierpnierki słuchał bez wstrętu, pomimo że ja niby zahamować usiłowałem.

— Idź, wańpan, precz z mojego domu! — krzyknęła Cesel, topiąc ręgi.

— Dom to nie jest wasz i nikt tu ani jednej rzeczy, któreby do mnie należały, jest to pałac króla pana moego, a ja bez jego rozkazu nie wyjdę — odparł Flemming.

Cesel zaczęła płakać, szarpiąc suknię na siebie.

— Widzisz, królu, siły twoje, na to ja zeszłam, że mnie w oczach tych laida sługa, najemnik bezczesci, a ty stoisza niemy, obojętny, nie umiejąc ani mnie obronić, ni mnie pomścić.

Załamała ręce. Król łagodnie i spokojnie podstąpił do Flemminga.

— Panie generałe — rzekł — ja cię proszę o zgodę; to nieznośne. Oboje mi jesteście drodzy, potrzebni. Monize ja cierpieć za waszą popędliwość?

— Wasza Królewska Mość nie potrzebujesz ani słuchać, ani patrzyć na to; zostawić możesz sprawę naszą nam samym; leś ją rozszerzygnie wkrótce.

Wyterpawszy wszystko, co tylko mogła powiedzieć, Cesel rzuciła się na kanapę z oznakami gniewu. Król, nie widząc środka ani uspokojenia rozgniewanego takta i trzęsącego się Flemminga, ani złagodzenia rożajrzenia hrabiny, podał rękę generałowi i odprowadził go do drzwi.

Nim wyszedł Flemming, okiem pełnym zemsty i groźby rzucił na hrabinę, której wejrzenie odpowiedziało mu takimiż obietnicami. August zaczął się przebierać w sali zaprzysiężony, znać było jedno

że kryty moje sprawdzały wezwanie, czci tej  
klętni nie brał tak bardzo do serca.

Cosel i ku niemu wejrzała okiem, w którym wy-  
rzuty gorzały.

— Al królu — rzekła — na tem ja zeszła, na to,  
aby mnie twoja służba w oczach tych obrzuciła  
takimi wyrazy! To mój los. Flemming poszedł  
szydzić z tej, którą wybrałeś, która, mówisz, że ko-  
chasz... i ja słabszą jestem od niego.

— Kochana hrabino — odpowiedział król spo-  
kojnie, — wszystko co mówisz, dowodzi tylko, że  
mojego nie znasz położenia. Flemming w tej chwi-  
li jest, jak prawa ręka, potrzebny w Polsce; zra-  
zić jego dla siebie jest wyrzec się korony. Tego  
po mnie wymagać nie możesz i tego ja, jako król,  
nie uczynię. Przekonałaś się, że nie odmawiam ci  
ani najwyższej czci, ani miłości, ani ofiar... ale  
wszystko ma granice. Wprzódym nim kochankiem  
zostałem Cosel, byłem królem.

Namarszczona, straszna, wściekła, Cosel rzuciła  
się do Augusta.

— Kochankiem! Mam przecież na piśmie przy-  
rzeczenie two: ja nie jestem kochanką, ja drugą  
żoną twą jestem.

Skrzywił się August.

— Tem więcej interesów moich, korony mej  
i czci strzec pani powinnaś.

Gniew się we łzach znowu rozplynał. August  
kilka razy spojrzał na zegarek.

— Nie jestem panem czasu mego — rzekł — tysiące  
spraw na mojej głowie. Muszę wkrótce jechać do  
Polski. Kochana hrabino, uspokój się, Flemming jest  
porywczy, ale mnie kocha i zrobi to, co mu każe...

Na tę obietnicę Cosel nic nie odpowiedziała,  
cichurna, w milczeniu podała dłoń królowi. August  
wycofał

Wkrótce po tej scenie mowa już była o wyjazdzie do Polski. Hrabina, która zwykle towarzyszyła wszędzie królowi, tym razem dla słabości udać się z nim w tę podróż nie mogła.

Wiedziała dobrze, jakie jej tam groziło niebezpieczeństwo. Król mógł znaleźć w Warszawie księżnę Teschen, chociaż najmniej powrotu do dawnych stosunków lękać się było mozna, bo w życiu Augusta taka zgoda była bezprzykładną, i to ją drażniło. Więcej trwożyła się o kobiety inne, które nieprzyjaciele jej mogli królowi stręczyć, aby go od niej odciągnąć.

Król, jakby dla oszczędzenia walk i sporów hrabinie, brał z sobą do Warszawy Flemminga. Kto wie, czyby nie wolała mieć go tu w Dreźnie prześladowcą, niż przy boku króla nieustannym podszytuwaczem i wrogiem: nie było jednak środka zapobieżenia temu.

Król dosyć ciałym był do ostatniej chwili rozmazania, a zapewniał, że najsurowsze wyda rozkazy Fürstenbergowi, aby się dla niej jak najzwłedniej zachowywał. Dla złagodzenia gniewu przypominał jej z usmiechem, że przecież mogła się uważać za zwycięską, gdy przeciw woli i stręczeniu Flemminga, chcącego narzucić mu Wackerbartha, na jej prośbę baronowi Löwendhal, krewnemu Cosel przez żonę, dał wielkie marszałkostwo dworu po Pflugu. To właśnie budzało postrach i gniew Flemminga.

Cała lika nieprzyjazna hrabinie Cosel, na wieść, iż Flemming towarzyszy królowi, że hrabina zostaje, przykłaskała z radością, czując, że się rzeczywiście muszą, że wpływ Flemminga i jego intyga, starania Przebendowskiej, muszą kogoś w miejscu Cosel postawić. Upadek jej był już przewidziany.

Baron Löwendahl, który winien był wyniesienie się swej kuzynce, wcale nie obiecywał jej zawdzię-

czyć za to. Bito mu o użycie się na dworze i w laskach; czuł, że Coseł traciła wpływ, rychło więc chwycił się strony tych, którzy go popierać mogli. Zguba hrabiny była już poprzysiężona, gdy ona jeszcze ani się jej domyślała, ani chciała przypuścić, aby król po najuroczyszych przyczeczeniach, po tylu latach pożycia, mógł ją tak zdradzić jak inne.

Gdy przyjazny jej baron Haxthausen, jedyny człowiek, który jej dobrze życzył i w przyjaźni został wiernym, stawił jej przykłady Aurory Königs-marck i księżnej Teschen, których dzieci zostały uznane, co nie przeszkodziło rozstać się z matkami, Coseł kazała mu milczeć.

— Teschen i Königs-marck były kochankami króla; ja mam od niego przymierzenie ożenienia: ja jestem żoną jego.

Jeszcze przed odjazdem Augusta do Warszawy hrabina dostrzec mogła, jak liczny niegdyś dwór jej, przyjaciele, goście, opuszczali pałac czterech pór roku. Puski w nim były teraz. Wymawiano się różnie, nikt nie śmiał jawnie zrywać: usuwali się wszyscy.

Jedna zdajliwa Glasenapp, która stąd wynosiła plotki, powtarzała wyraz każdy, umiała ze słowa wysnuć to, czego w niem nie było, gościła tu najczęściej. Znając jej charakter, ostrzegano hrabinę.

— Znam ją — odpowiadała — wiem jaką jest, ale cóż mi ona szkodzić może? co wyszpieguje u mnie? Moje postępowanie nie lęka się ani szpiegów, ani potwarzy... nie taję się z niczem, nie potrzebuję ukrywać.

Nigdy może słodszym, milszym, czułszym niknął August, jak przy pożegnaniu z hrabiną. Cały dzień spędzili razem. Coseł już wjeździć nie mogła, ani mu towarzyszyć, osłabienie czyniło ja

smutną, gniewny i powrotność ustąpiły; ona wicecze kobietą słabą, przegubową i zapomniadaną, aby z litości pobudzić.

Z Augustem wszakże najmylniejszy to był rachunek. Uroków dniały były żywość, wesołość, śmiałość, śmiałość, radość, zuchwałość; wszystko co na zmysł działało; uczucie dniało było rzeczą nieznana; odrzynał je czasami, nie miał go nigdy. Po najczulszych z paniami rozmowach, których Vitzthum mierząc był świadkiem, za drzwiami śmiały się z nim ze swych hańców i galanterii w najczarniejszy sposób.

Rozczulić go chciać było najczarniejszym sposobem odstreczenia i znudzenia. Coś czuła w sercu nieopisana tworząca chwytala za ręce króla, całowała je, oblewała łzami, przerząc, aby się nie oddalał, aby o niej nie zapomniał. August odpowiadał wyzyskanymi wyrazy, ale z tych wonnych oświeideń wiele chłod rupi.

Był to koniec długiego kilkioletniego szalu, z którego osiągnęły oboje. Lecz w kobiecie zostało przywiązanie, wdzięczność, pamięć, czułość; w królu panowało znużenie. Zamiast się litować jej smutkowi, rad był uciec od niego; łzy go niecierpliwiły, nudziła bolesć, wymówki męczyły.

Cesel nie umiała już być wesołą i trzpionową, jak niegdyś, gdy z nim razem dosiadała konia, dojeżdżała jelenia, bawiła się, dobijając kordelasem dzikiego zwierza, lub strzelała do tarczy o lepszą.

Wdzięk jej nie zmienił się wcale, lecz w oczach króla spowszedniał. Cesel miała ten rodzaj najrzadszej piękności, która się nawet czasowi opiera, której ból nie może zetrzeć, wiek nie odejmuję blasku, łzy nie gaszą; lecz dziś ani czarodziejskie oczy wejrzenie, ani uśmiech, co do stóp jej ciągnął, nie miały władzy nad Augustem. Oczy te stra-

ciż nasze swoja, ostatnich przymierze, zakończenia stała się pospolita kobietą, bo nikt nie wiedział i niespodzianki ją opuścił.

Zbyt też zajmowały Augusta ujędy polityczne, odzyskanie korony, jednak nie sobie zwolenników, zapewnienie sprzymierzeńców,ubezpieczenie na tronie, ażeby mógł myśleć w chwilach spoczynku o czem innem, jak o rozrywce.

Przyszła godzina rozstania: Cosel płakała, król pocieszał, zapewniał ją o wydanych Fürstembergowi rozkazach; zaprzysięgał wierność niezłomną i zniknął.

Nigdy hrabina nie uczuła tak mocno samotności, jaka ją otoczyła, nigdy się też ona nie objawiła tak zastraszącą, tak znaczenia pełną jak teraz. Po wyjeździe króla pałac, około którego stały tłumy, przedpokoje, w których o miejsce było trudno; wieczory, na które się cisnęli wszyscy i mieli za szczęście być przyjętymi, wszystko to stało pustką: Cosel nie miała nikogo.

W dzień przyjatywała roztrzepana, złośliwa i gadałliwa Glasenapp, na obiad przychodził poważny Haxthausen. Wszel dnia u progu zjawiało się kilku biedaków z prośbami, którzy zasłyszeli o potędze hrabiny, a nie wiedzieli o jej zachwianiu.

Nic nie brakło napozór, przecież już tu czuć było ruiną. Pierwszych dni każdy posłaniec przynosił listy królewskie i każdy je wiózł do niego. Ani się domyślała Cosel, ze nim wyszły, rozpięczętowywano je w kancelarii księcia Fürstemberga i wysyłano pod kopertą Flémminga, aby w nich wybór mógł ueszczać: król nazbyt był zajęty, żeby się o nie dopytywać.

Z ciżby przyjaciół został jeden może najwierniejszym, a ten nosił suknię i imię sługi. Był nim Raimund Zaklika, który ze swoją panią przeżył i prze-

bądź, kiedyś zabić jej męża... Któreś nie dają się dżedziczyć, choćby za głośno zdecydowca, co smiały histerię obrażać; trzeba było tylko skinienia jej, by z rąk tych olbrzymów wyszedł nieżywym ten, kogo by one ujęły...

Kilkakrotnie spojrzała nań w chwilach stanowczych, Cosel znajdowała go tak strasznym, tak wzburzonym, iż go powstrzymywać musiała.

Zakliku nie miał prawa ani się nawet odezwać z tem, co czuł, lecz Cosel go rozumiała i wiedziała bardzo dobrze, iż nań rachować mogła. Gdyby mówiącą zabiła Flemminga, byiby z najzimniejszą krwią dopełnił rozkazu i bez jęknięcia poszedł na szubienicę. W jego oczach była ona zawsze tą samą świętą gwiazdą, którą raz pierwszy zobaczył błyszcącą z pomiędzy gałęzi starych lip w Laubegaście. Owszem, stawała się dlań piękniejszą coraz, i całym szczęściem jego było, że na nią kilka razy nadzień mogły popatrzeć.

Tak smutno i milcząco było w Dreźnie, gdy król pedził wesół i najlepszych pełen nadziei do Warszawy. Flemming był z nim, a pani podskarbińska Przebendowska go poprzedziła.

Nie tajono się z tem wcale, iż w Warszawie miało dla króla wyszukać nowej pani. Nie wymagano od niej wiele: ani tak niebezpiecznego wdzieku, jaką miała Cosel, bo ten groził zbyt długiem i stalem przywiązaniem, ani wielkiego dowcipu, bo królowi dosyć było wesołości, trzpioctowstwa, cobiego zabawić mogło; ani serca, bo król tylko przed wstępne sceny odgrywał z tego tonu. Dosyć było ochę młodości, śmiałości wiele, zalotności, które by się narzuciła, imienia i wychowania, aby ona przynajmniej z Cosel ważyć się mogły...

Z temi instrukcjami wyjechała pani podskarbińska do Polski, a w Warszawie nie brakło jej w cze-

wybierać. Serdeczna przyjaźń łączyła kuzynkę Flaminę z marszałkową Bielińską, której dwie córki: wielka podkomorzyńska litewska Małgorzata Denhoffowa i hetmanowa Pociejowa, miały dosyć wdzięku i dość lekkości, aby je w liczbie kandydatek śmiało można pomieścić.

Pierwszego zaraz dnia pojechała pani podskarbińca do przyjaciółki. Bielińska przyjęła ją z czułością wielką. Znano jej wpływ na Flemminga, a jego władzę nad królem; podskarbinie służyło wszystko, co się starało o łaski pana.

Do narady poufnej nie mogła użyć nikogo, coby ja lepiej zrozumiał i chciał jej usłużyć, nad wielką marszałkową.

— Serce moje! — rzekła — przybyłam z wielu kropotami na głowie, sązę, że mi w nich będziesz pomocą.

— Podzielię je z tobą chętnie — odpowiedziała marszałkowa.

— Z królem mamy biedę — szepnęła Przebendowska. — zakochał się i dał opanować kobiecie, która już od lat kilku nim włada.

— Komuż to mówisz? znam tę Cosell! — przerwała Bielińska. — A czemuż się król Teschen nie trzymał?

— Dlatego, że on żadnej dugo nie może być wiernym. Cosel musimy się pozbyć, a w jej miejsce dać mu inną. Król jest zaudzony.

Marszałkowa zamysliła się mocno.

— Znaleźć łatwo — odpowiedziała — lecz jakże ostrożnym być należy, aby w nowe nie wpadł wiezy.

Pani Przebendowska została u przyjaciółki na obiedzie. Obie córki marszałkowej nań przywitały, obiedwie były młode i ładne. Pociejowa miałka, zwinna, słabiutka się wydawała, ale z oczów jej oślep tryskały z ust dobywały się wybuchy śmiechu.

Denzhoffowa poczuła jego wzruszenie, zirytowała go melancholiczna, chociaż pooszyta była trzpietem i ta powaga przybrana źle potrywała charakter płochy, żądzę życia i używania niezmierną.

O obu tych panach już nadwczas szeptano sobie na ucho historię, które tylko za czasów Augusta w Polsce, pod wrażeniem przykładów, jakie miały przed oczyma, prawdopodobnemi się stały. Z oczów Denhoffowej patrzał dowcip i ziosłyłość, ale przystronione skromnością tak przesadzoną, iż się podejrzana stawała.

Pani Przebendowska mówiła o rzeczach obecnych, nie spuszczając z oka obu pięciu chłopów siadek. Ciekawie dopytywano o króla.. Pani Pocejowa przypominała sobie jakiegoś hr. L. Friesena... Mówiono coś i o Cessel, ale pochutu. Po obiedzie młode panie wyrwali się z młodzieżą na konną przejażdżkę, gdyż obudwie namiętnie lubily hasać i dokazywać na koniach; panie starsze pozostały same.

Przebendowskiej nie tajnym był zły stan interesów marszałkowej... To też zaraz nad nim utsikiwała zaczęła... Wzdychały obie.

Marszałkowa zbliżyła się poufnie, biorąc za rękę przyjaciółkę.

— Proszę cię, widziałaś córki moje? Maryni wecale jest świeża i ładna, serce na dobre... potulna, łatwa... Jak ci się z twarzy podoba?

— Bardzo wdzięczny ma buziaczek — rzekła Przebendowska.

— Helmanowa jej nie uskripi, ale to żywe srebro, jak ją widzisz drobną, siatliuchną napozór... to zak prawdziwy...

Podskarbina myślała coś, gdy marszałkowa, zniżając głos, dodała:

— Przecieżśmy przyjaciółkami od dzieciństwa

moja najdroższa — zechę z wyurzeniem. — Jeśli już ktoś ma być tak szczęśliwy, że króla mieć będzie kochankiem, czemużby mu choć nie pokazać Marysi?

— Nie sądziłam, ażebyś tego sobie życzyła...

— Dlaczego? Denhoff smutny małżonek i niewłody, jest z nim najnieszczęśliwszą... Jeśli króla rywalem mieć nie zechce... Marynia się rozwiedzie...

— Ale czy ona zechce?

— Ja ją skłonię! ja ją zinuszę! — odezwała się troskliwa matka. — Dla nas byłoby to prawdziwem szczęściem. Interesa nasze w najgorszym stanie. Uchowaj Boże co na mojego męża, runie wszystko...

Pani Przebendowska ani obiecyszyła, ani odmawiała.

— Obaczmy — dodała — obaczmy... Nie trzeba nic mówić Marysi, póki nie zmiarkujemy, czy się królowi podoba. Coseł była porywcą i za zdrosną, po niej potrzeba mu istoty łagodnej, wesołej, potulnej.

Nie znajdzie nic stosowniejszego nad moją Marysię, ręczę ci!

Po długich szeptach i naradach dwie przyjaciółki rozstały się w jak najlepszej zgodzie, a marszaikowa odprowadziła podskarbinę aż do powozu.

W kilka dni potem król i Flemming nadjechali. Przebendowska mieszkała w jednym domu z nim, mogli więc poufnie mówić tego wieczora i szepnęła mu o Denhoffowej.

Trochę skrzywił się generał, bo zasiyszał był coś o różnych dawniejszych trzpiołówstwach, a było ich sporo i głośnych: ale czyż to być mogło zawadą?

— Królowi — rzekł — dosyć pokazać się umiętnie, dość trochę wyzwać go żaloinie; znudzony

jest wszchnie go, która zechce. Żeby więc inna nie wzięła... trzeba mu tę nastręczyć.

Przebendowska opisała charakter i powierzchowność swej protegowanej.

— Ale daż się ona skłonić? — spytał Flemming

— Gdyby to mogło być wątpliwem, mam małkę jako sprzymierzeńca — cicho odpowiedziała kuzynka.

Nazajutrz generał chciał poznać sam panią Denhoff, nimby się coś postanowiło. Wczorem zawiozła go siostra do marszałkowej. Bawiono do późna. Pociejowa i Denhoffowa śpiewały; ostatnia przybierała minki melancholiczne i smętne potrzebu ącej pocieszenia nieszczęśliwej istoty. Flemmingowi się to nie podobało, bo i król w tem się nie kochał. Lecz po kilku dniach poszukiwań wrócił muzyk do Denhoffowej, znajdując ją mniej niebezpieczną, niż inne. Nauczony doświadczeniem, Flemming lekkał się najwięcej ambicji i chęci panowania. Denhoffowa płocha była, załotna; lecz ani zazdrosną, ani marzącą o władzy: lubiła żyć.

Postanowiono próbę.

Flemming wszakże musiał się wprzody rozmówić z Vitzthumem. Uchodził on za przyjaciela Cosela, chociaż już staraniem żony znacznie był dla niej ochłodli. Flemming miał przewagę wielką w sprawach kraju, ale tam, gdzie szło o kobiety i rozrywki, Vitzthum przedował król bez niego nie robił nic. Byli z sobą poufni: bez pomocy jego obejść się nie było można.

Generał przystąpił wprost do rzeczy.

— Cosel nam wszystkim dokuczyła, król nawet jest nią znużony: trzeba mu dać inną.

— Jak się wasm podoba — odezwał się Vitzthum z ukojeniem — wiecie, że ja się do tego nie mieszam, ani narzucam jego ulubieniec, ani go od nich od-

stręczami. Tego roknie podał kieliszek na quezy dzwoni; dajcie mi powiedzieć.

— Al to być nie może, wy musicie być z nami — zawołał Flemming.

Nadchodząca Przebendowska usilnie też nalegać zaczęła na Vitzthuma.

Nic nie pomogło.

— To nie moja rola — odparł stanowczo, — nie przeszkladzam, ale pomagać nie będę: mówię to stanowczo. Nie mogę wyjść z mojego obyczaju, nie mieszałem się nigdy do intryg, a dziś do nich jestem za stary.

— Jesteś przyjacielem Coseł — dodała Przebendowska.

— Ani przyjacielem jej ani wrógiem — śmiejąc się rzekł Vitzthum, — jestem neutralnym i chcę nim pozostać.

Próżno Flemming zabiegał, pochlebiał, ośmieszał: Vitzthum pozostał niewzruszonym i wyszedł niepokonany.

Podskarbina znajdowała, że się i bez niego obejść potrafi.

Nazajutrz u dworu zbliżyła się do króla, który ją dosyć lubił.

Miała twarz wesołą i figlarną.

— Najjaśniejszy Panie, kolej podobno na Polskę?

— Jakto? kochana podskarbino?

— Po Lubomirskiej Coseł... po Coseł trzeba wybrać kogoś w Warszawie.

— Ale ja hrabinie Annie chcę zostać wiernym.

— W Dreźnie — odpowiedziała podskarbina, — ale w Warszawie i gdy jej niema!

Potrzesła głową.

Król się usmiechnął.

— Czyś się też Wasza Królewska Mość w teatrze choć przypatrzył naszym paniom? — spytała.

— Nie do mnie...

— Więc ja się nie edam oczami, iż rządzi Wasza Królewska Mość; ładniejszej, pięknej, lepszej nad nią doprawdy tu niema... i śliczny buziaczek i młodziuchne to... i rączki ma bardzo ładne.

— Któź to taki? — zapytał król.

— Denhoffowa, z domu Bielińska — szepnęła podskarbina — siostra hetmanowej Pociejowej.

— Nie przypominiam sobie, bym ją widział — rzekł August, — lecz jako wielbiciel wdzięków nie-wieścich, przyrzekam pani, iż na pierwszych asambbach postaram się o poznanie tak zachwycającej, jak mi pan malujesz, istoty.

— Zaśluguje na to... przekonasz się Wasza Królewska Mość — dodała, odchodząc, pani podskarbi na i wracając prędko. — Gdybyś Wasza Królewska Mość zaszczycił mnie jutro bytnością swoją na skromnej wieczerzy, możebym mu ją potrafiła zaprezentować.

Król August spojrzał, a zdaje się, że podskarbina nie dostrzegła wzroku, jakim ją zmierzył; byłaby się może zarumieniła, tak widocznie szyderskie było to wejrzenie, powiadające jej, że wie już wszystko i że daleko otwarcie mówić z nim można. Uśmiech przebiegł po ustach i znikł.

Tegoż samego dnia marszałkowa Bielińska posłała po córkę, zamknęła się z nią i z podskarbinią na godzin kilka. Gdy się rozchodzily, Denhoffowa zmieszana była niezmiernie, ale szczęśliwa razem i trwożna. Zapominała się ciągle, szła, wracała, szeptała coś matce, nie trafiła do powozu. Widocznie straciła głowę. Matka musiała ją upominać, aby starała się być panią siebie. Małeńska osobka nawykła do poufalszego towarzystwa, w którym królowała, zawsze pewną będąc, iż co uczyni, po-

dobrze się muś, lekkała się trze wstępem do przyborów do nowego szczęścia, które A. P. zdawało niepewnym. Nie sprzeciwiała się wcale woli matki, lecz tyle z tem było zachodu a trzpiot ów tak nie lubił wielkich zaciąduch...

Przebendowska i Flemming, jako brat i siostra, mieli jedno gospodarstwo. Generał w Polsce nie miał wcześniej jeszcze występowali niż w Dreźnie, miał z sobą cały dwór, służbę, a potrzebując nieraz ugasić króla, wiedział, że dlań wystąpić świetnie było koniecznym.

Skromna wieczerza stała się balem bardzo wytwornym. Król, wchodząc, znał już piękne grono kobiet, wśród którego wystrójona i wylekta, zmieszana, onieśmielona, a nawet mniej pięknie, niż zwykłe, wyglądająca siedziała pani Denhoffowa. Podskarbińska tak ułożyła wszysko, że król, zbliżywszy się do niej, rozpoczął rozmowę wesołą, która pozwala dosyć źle. Uważano, że król wcale nie okazał, żeby mu się owa piękność podobać miała.

Po wieczerzy zadrała muzyka, zaczęto tańczyć; król wziął ciągle jeszcze nie mogącą przyjść do siebie Denhoffową, która tańcowała niezręcznie, zmyliła się parę razy i zmieszana tem, wydała się niekorzystnie.

Słowniem, wrażenie, jakie zrobiła, wcale nie odpowiadało temu, co obiecywała Przebendowska.

Wieczorem król powracał do pałacu z Vitzthumem.

— Widziałeś — rzekł do niego — chcię mnie tu zbałamucić; ale dopóki takie jak Denhoffowa będą tego próbować, hrabina Coseł nie ma się czego obawiać.

Vitzthum był w dobrym humorze.

— Al Najjaśniejszy Panie — odierawał się, — nie

które tu jest, i zakończyła Arabas. Czyż królewna może zrosnąć w Dreźnie, a potem Drezno i w Warszawie. Warża Królewska Mość ma dwa domy i dwa państwa; jedno w Dreźnie, drugie tu; należą do żaloby i wypada dla kompleta, mieć i dwie paniz. Polacy, jak słyszę, skarżą się, iż im się krzywdzą, dzieje przez Czerw, chcieliby, abyś Wasza Królewska Mość bogosławiała tu sobie upatrzył. Gdyby Polka wyłącznie mieliła zawiadniać sercem, skarzyliby się Sesi: trzeba więc serce rozdzielić na dwoje, i później kochać w Saksonii, potem w Polsce, aby dwa kraje zadowolić.

Król się śmiał.

— Żartuj sobie — rzekł, — dobrze ci będąc spokojnym, a ja przez każdego posłańca odbieram list z wyrzutami; tu z drugiej strony kuszą mnie... i nie wiem co z sobą zrobić.

— Niech sobie krzyczą — odparł Vitzthum, — król powinien tylko to robić, co mu się podoba.

Na to nie trzeba było naniawiać Augusta. Ze strony marszałkowej, gdy raz odkryła się możliwość ścigania króla, nic nie zosłalo zaniedbaniem. Nazajutrz proszono na wieczernię króla z małym towarzystwem poufnych. Pan Denhoff z siostrą zabawiły go śpiewem przy klawicymbale, i dość szczęśliwie powiodła się scena z Atysa i Sangardy.

Denhoffowa ośmioletnią była i szła za rodą podskarbiny, która zaleciła jej, żeby sama króla wyzwalała nieco; śpiewając swą arię, oczy nie spuszczają z niego, tak że czule wyrazy pieśni zdawały się ku niemu kierowane. Król mógł być wyzywany, rozcierać się pozał, przystąpił i nie skapit słówkiem mitych, na które Denhoffowa tylko spojrzeniami omawiającymi odpowiadała. Usłużna matka, śmielsza siostra, mówiły za nią i tłumaczyły, tak, że król otoczony niemi, zdawał się ze wszystkimi trzema

romans rozpoczęta. Wzięto się do nałarczywia. Nie było ceremonii, pani Bielińska naprowadzała rozmowę na wesołe przedmioty i królowi dom się podobał. Zacząwszy bywać, powoli nawykł do oczów pani Denhoff, które od jego wejrzeń nie stroniły, i zakochał się tyle, o ile August mógł się kochać. Pani Przebendowska, cierpiąca zawsze, mogła już dokonać tego wielkiego dzieła, położyć się w łóżko i spoczywać.

Król odbierał ciągle listy od Cosel, której umysłnie donoszono o wszystkiem; listy pełne goryczy i wymówek, na które odpowiadał zrazu pilnie, później coraz rzadziej grzecznościami i zapewnieniami.

Z nich już mogła się ona przekonać, że na serce króla rachować było złudzeniem; liczyła na jego przyrzeczenia, zobowiązania, na słowo... I ta rachuba zawieść ją miała.

W rozmowach z Vitzthumem król okazywał zniesierpliwienie, przebijając się w nim chęć uwolnienia się z więzów hrabiny Cosel, której się obawiał. Flemming przeczuł to.

Jednego wieczora przy winie, gdy król począł wzdychać, roześmiała się.

— Miałbym ochotę — odezwała się — przypomnieć Najjaśniejszemu Panu stare dzieje; służą one czasem na pożytek nowym.

— Naprzykiad? — spytał August.

— Onego czasu — począł Flemming — elektor saski, nim jeszcze poznał piękną Aurorę, pokochał córkę Schöninga, wspaniałą Rechenberg. Dokuczyła mu ona wkrótce, trzeba się pozbyć jej było. Naówczas elektor saski prosił o przyjacielską usługę kanclerza Beichlinga. Beichling rozpoczął romans z Rechenbergową i króla ze szpon puściła.

— Chciałbyś tego samego środka użyć z hrabią Cosel? — spytał król — wątpię, żebry sie powiodł.

- Ktoscęgożby chce mi sprobować?
- Kogoż chcesz nią urozczeliwić? -- dodał August
- Wybór zostawiłbym przenikliwości Waszej Królewskiej Mości — rzekł Flemming.

Przechadzając się po pokoju milord król i uśmiechał się szydersko.

— Wybór to trudny, bo Cosel mało ma znajomych, aby się nawet zbliżyć do niej ośmiedliły. Trzeba użyć barona Löwendahl'a, który jako krewny i protegowany, ma łatwy przystęp. Gdybym mógł jej zdradę zarzucić, miałbym wyborny pozór do zerwania.

— Sprobuję użyć Löwendahl'a — szepnął generał. — Wprawdzie zawdzięcza jej wiele, lecz więcej jeszcze winien królowi, a idzie mu o to, żebym upadek Cosel jego nie pociągnął za sobą. Zrobi, co mu się poleci...

Wskutek tego pięknego planu poszedł list do Drezna polecający Löwendahlowi, aby ufałował hrabinie Cosel skompromitować. Dawano mu do zrozumienia, iż w ten sposób przysługę uczyni osobie, która się za to potrafi odwdzięczyć. Takich to środków znali ludzie o tej epoce nie wahali się używać, gdy im szło o dogodzenie fantażom, o spełnienie planów, o wyniesienie się i zemstą.

## II

Gdy król w Warszawie z miodów i za rozkazem pani Przebendowskiej skidał hołdy Denhoffowej, odgrywającej komedię pod okiem taternikiem daleko od niej zręczniejszej matki; Cosel jak osłupiła, zaledwie wstawszy ze słabości odbytej, słuchała codziennych donień, któremi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkim zawiadomiona. A ta król obawiał się zazdrości jej

... i kobieta... charakterem, otaczonym ją szpiegami, którzy każdy krok, myśl i słowo pilno postrzegalieli...

August rad się był jej pozbyć, chciał razem uniknąć rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknej Coseł, ale nadto był słabym, bałkutnym, żeby się osmiej oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim, co chciały, bawiła go nowość i po raz setny rozpoczętne też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i siewaniem, dla tych łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafili pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Coseł, chociaż widział on sam wielką różnicę tamtej inią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, tej żadnej; ale Coseł groziła odebraniem życia królowi, potem sobie: pogroźka jej nie była czczem słowem. Można się jej było obawiać. Nakazano więc w Dreźnie mieć oko na Coseł i wszelkie jej kroki, lękano się, ażeby nie chciała przybyć do Warszawy: Flemming znał słabość króla, bo sam z niej korzystał, dysgracjonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukażanie się Coseł, jej piękność, wyższość, władza nad królem, wszystko zniszczyć mogły i obalić.

Wielkiemu marszałkowi Löwendahlowi szepnięto, by szczęścia próbował Coseł miała klejnoty, dobra, domy, była jeszcze młodą i piękną... Szło zresztą o to, aby jej zarzucić nieuwierę.

Jednego poranka Flaxhausen, przyjaciel hrabiny, zastał ją we łzach i płomieniach; podbiegła ku niemu iamięc ręce oburzona.

— Uwierzyłeś pan?... — zawała — ten niegodziwiec, taki nikczemny, który mi wszystko jest... — i kobieta, w tej chwili śmiała mi swoją

iość zazdrością. Zajmieni się za to i zakończyła, zagroziłam mu, że do króla napiszę, i miałem szczęście, że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić; drżał z oburzenia i gniewu, a łzy się jej z oczów toczyły.

— Al przed kilku miesiącami — rzekła — nie śmiałyby być uczynić mi tej obelgi.

Krok ten Löwendhal'a był jakby znakiem dla hrabiny, że jej godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowej, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś głośnych przygód po świecie.

— Królewskie listy — odeszwała się do Haxthausena — znacznie zmienione. Słyszaleś pan co o Denhoffowej?

— Mówią o tem — rzekł Haxthausen.

— W jakieź błoto go wciągnięto! — zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming, który całą sprawą kierował, powrócił do Drezna, król mu polecił pozbyć się zwolna hrabiny, ale postępować z jak największą względem niej delikatnością.

Przybycie jego razu przeraziło Coseł, lecz po kilku dniach przekonał się, iż przyjechał w usposobieniu wcale odmiennem i unikał wszelkiego powodu do zajść nowych, uspokoilią się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku chciał mieć wolnym; szło o to, aby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można dobrowolnie.

Posłano z tem łagodnego Haxthausena, który smutne i ciężkie swe poselstwo sprawił z jak największym poszanowaniem i względami dla hrabiny. Z wielkim podziwieniem jego, Coseł odeszwała się.

— Król mi go dał, więc i odebrać może. Miejscem to nadto nieliepsze czasy przypominają, ażebym wyżyć w niem mogła: wyniosę się chętnie.

W tej chwili wydano rozkaz, zapakowane rzeczy

najęto dom przy Moissstrasse, w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebrazy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabiny z tego raju napełniła nieprzyjaciółki jej radością. Był to znak niechybny zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swemi poufalem powtarzała, że jest żoną, i że król opuścić jej nie może. Jeszcze w roku 1705, August w chwili, gdy był rozkocony w niej, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz; Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała.

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dokola, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród której gęstymi krzewami zarosła wyspa, jak kłab zielony, jak kosz pełen kwiatów przyglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz i pusto było dokola.

Król coraz bardziej wymagający napisał do Flemminga, iż chce swej Denhoffowej Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel, by się z nią spotkała, ani dla niej, by na porywczość hrabiny narażała się; trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Flemming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiste; zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawię.

— Zmiluj się, pan — rzekł grzecznie — pomóż mi; król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić, domokosz Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mi, że życie nie będzie pewne, póki

nię przyjaciółkę w swą. Samemu królowi tytuł rok groziła hrabina pistoletem, że i król radby ją widzieć gdzie indziej; jak wiecie, nie lubi on spotykać się z temi, których dotknął lub obrąził. Wiem, że Cosel ma innie za wrogą: nie byłem nim nigdy — dodał Flemming — rozśmiewał mnie chwilowo: dziś to zapomniane. W położeniu, w jakim się ona znajduje, uchybićym jej nie chciał, ani przyprowadzać ją do ostateczności. Idź, pan, skoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym nie potrzebował słać do niej rechazu, aby jej większą uczyniło przykrość.

Haxthausen, wyrywając z tych słodkich wyrzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w deku oborym hamulec, Haxthausen zaczął od żarcików:

— Więc pani — rzekł — iż się nie mogę zdziwić złemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaru. Nie znam pani Denhoff, ale z tego, co o niej wiemy, zda się, iż ta fajnata przedko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachciewa się spleśniatego razowego, ale po kilku kąskach, do pierwszego się powraca. Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylibyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się, że przychodził z jakimś poleceniem.

— Czy znówu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwiniając w tę bawelnę pochlebstwa?

Haxthausen poparzał smutnie i głowę dał znak, że tak było w istocie.

— A więc mów pan...

— Byłem u Flemminga — rzekł — pokazał mi rozkaz króla, który chce, byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyniesła się do Pillnitz. Sądzę,

te to i dla mnie samej bęgało przyjemniejsze, niż patrzenie...

Łzy stanęły jej w oczach; spuściła oczy.

— A! tak mi trudno! tak trudno! — zawała ciacho. — Wiem, żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach niema zdrady, a tu jej się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba; jednak, nie wiesz pan, ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali, zakrywając chustką oczy. Dawną gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcem okiem osłonić, potem otarła je żywo.

— Widziałeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmysłili go oni?...

— Daję panu słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

— Nie znają mnie — zawała, — drażnią, az do wściekłości przyprowadzaią, aż do okrutnej, szalonej zemsty obudzą. Wiedząż oni, do czego ja dojść mogę, gdy raz gniew mną owładnie? Myśląż, że poszczęju ich, jego nawet, tego człowieka, który sądzi, że mu korona daje prawo uragać uczuciom i pomicać ludźmi?

Haxthausen słuchał milczący.

— I to wszystko — dodawa — spotyka mnie dla jednej Denhoffowej, której ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z nimi!... Prawdziwa godna ulubienica dla króla... Chcieli go więc poniżyć i zbeszcześcić, dając mu taką kobietę. O! ci ludzie, ci ludzie!...

I znowu płakać zaczęła.

— Mogiałem się tego spodziewać? jakże nie miałam wierzyć mu — mówiła, skajac, — przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce; poświęcał mi, co miał najdroższego: nie wahaj się ujawniać mnie przed światem, tyle lat szczęścia...

spokoju, ukołysały serce, uwiezyły, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie... Ja-m go kochała, on mi nic wyrzucić nie może; byłam mu wierną: jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz trwogi o niego... Życie, obyczaj, wszystkom zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tylu, mamże go stracić, pozostać sama, sierotą, bez opieki, bez słowa poegnania, bez wyrazu współczucia! Al ten człowiek nie ma serca. Serca? — poczęła śmiejąc się — nigdy go nie miał: rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igrza z ludźmi, z uczuciami, z tem co dla innych świętą, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem. A który kiedy pochwali się, że znał tego człowieka — dodaje, — jak anioł dobry, umie być jak szatan zimnym i bezlitosnym; w pocałunku kryje nienawiść, w uśmiechu osłania zemstę: słowa mu z ust płyną słodyczy pełne, aby uspily ofiarę. Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzeć nogi i usiąć wygodniej, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych, by mu się z pod stóp nie ruszyli.

Oczy jej gorzały, Haxhausen słuchał, nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową goryczy pełną.

Poł godziny trwały te wybuchy namietne, coraz zmieniając ton; naostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trafiła. Umilkła.

— Pani — odezwał się posel — któryby się mógł dziwić twemu gniewowi? jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz, pani, wątpić, iż ja pragnąłem innego ci losu oznajmienie przynosić lecz jestże środek zaradzenia temu? W tej chwili nema innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby so-

bie drogi do przyszłości nie zamknąć. Masz, pani, najlepiej zmienny umysł króla: nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go, pani, odzyskać, trzeba dziś myśleć o jutrze i dlań się zachować.

— Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu — odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

— Ale mi pozwól, pani, być szczerym — rzekł poseł.

— Mów otwarcie.

— Flemming jest dla pani, jeśli nie zmienionym, to przynajmniej lepiej, łagodniej, względniej usposobionym, niż był kiedykolwiek; trzeba go w tem usposobieniu utrzymać. Któz wie? na dworze zmienia się co chwila wszystko: możesz mu, pani, być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczny i uczać się może wzruszonym. Straszono go ciągle od róžkami pani, pistole mi, zemstą, gniewem... Nieprzyjaciele pani miej je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Drezna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażniona, nie zbliży się do niej nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną. Masz, pani, przykład na hrabinie Königsmarck — dodał, — potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z księżną Teschen, pozwolono jej zostać w Dreźnie, widywać go; gdy przeciwnie Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

— Ale jakże mi pan śmiesz — zawała gniewnie — stawić takie przykłady! Esterel Königsmarck! to były metresy króla: ja jestem żoną jegol... nie równaj mnie, pan, z niemi.

Haxthausen zamknął.

— Zresztą masz pan starcie się, nie chce gniewać; chcę się okazać łagodną i posciągłą postadę jutro.

Już poseł miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle uderzając nogą.

— Nie będą śnieli zmusić mnie do tego; król sam nie odważy się na to... to nie może być nieniel!

Haxthausen poczał ją łagodzić, uległa mu; ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powołości, wracała do oporu i burzyła się.

Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie; na ostatek znużonejmu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

— Nie pojadę; zostanę; niech gwałtu użyją jeśli się ośmielą.

— Nainyśl się, pani, na Boga; proszę panią... coż powiem Flemmingowi?

— Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do generała z tą smutną nowiną i z opisem całej swej rozmowy.

Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nie nie mógł uczynić: siły widocznie uzyc nie chciał. Po długich namysłach, prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niej.

Baron miał siostrę niezamężną Emilję, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru; tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodności a mogła, buntując się, szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znów oburzała na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już, mając jej słowo, że odjedzie do Brwownie, i za każdym odwoływała ich ode drzwi.

Widocznie rachowała i, ważąc wszystko, nie mogła być pewną, co dla niej lepszym być może.

Flemming, dowiedziawszy się o tem, że hrabina osiątecznie odmówiła, dał jej jeszcze dwa dni do namysłu.

Trzeciego dnia pojechał do niej.

Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnej sukni z zapalańcami oczyma, ale z postawą dumną.

Flemming przedstawił się jej z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

— Stawiasz mnie pani w najprzykładszejszem w świecie położeniu — rzekł spokojnie, — im pewnościszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tem mniej usiłowałem jej oszczędzić przyrości; wstrzymałem rozkaz króla kilka dni: przynioszę go pani. Jeśli nie zechcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszonym spełnić go w jakikolwiek bądź sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreźnie.

Stojąca przy oknie Cosel zobaczyła edział konny trabańców, który przed jej mieszkaniem nadągnął i ustawił się w ulicy; błysnęły jej oczy zarne, ale się pohamowała.

Spojrzała na list.

— Jadę natychmiast! — rzekła z lekkim ukłonem — możesz pan zaufać słówu mojemu.

Flemming schował list, uklonił się i wyszedł, trafiając pojechali za nim.

W godzinę potem, hrabina Cosel, płacząc, ukryta w powozie, jechała do Pillnitz. Wszystko to dobrało się wprzody, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płochy i bez czucia, nie chciał on zerwać z hrabiną Cosel, nie okazawszy jej swych względów, należnych po tylu latach poznania; niepokoioło go to, iż nie miał powodu do

zerwania, że okazać się winnym, nie mając z tą stroną znaleźć winy.

Gdy Löwendahlowi tak się nieszczęśliwie po wiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono dwa układów jakichś Watzdorfa i usławnego ale niezgrabnego van Tinen, którego król używała ale nie cierpiał.

Watzdorf, niemniej wstremliwy Augustowi, zwany chłopem z Mansfeldu przez niego, był grubjani i niezgrabny.

Watzdorf na dworze niewiele znaczył, ale Flemming go bronił i nim się opiekował. Jednego dnia gdy się go najmniej spodziewał mogła hrabina zjawić się w Pillnitz.

Jedyną jego wzmówką, że się znaleźć nie umia i z halasem zaraz wpadł do domu kobiety, które się już nie lękał, było to, że przybył pijany. Po droż do Drezna wcale go nie wyżeźwiła; pokońco mu układy z hrabiną Coseł, wystawiał więc sobie, że mając losy jej w ręku, mógł pozwolić sobie, co się podoba.

Już po wjściu do pokoju bez oznajmienia poznała hrabina chłopa z Mansfeldu.

— Kochana pani — zawołał, śniejąc się od pragnienia, — jestem posłany przez króla jegomości, ponieważ mi pani być rada. Przywozę jej doskonałe nowiny. Król, któryby mógł i nic pani nie dać i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy życzy sobie rozstać się z obopólnem zadowoleniem i zgoda: słyszy pani?

— Słyszę, panie hrabio, ale nie rozumiem — dumnie rzekła Coseł.

— A jaka zawsze śliczna! — dodał Watzdorf, zbliżając się i ujawszy najprzód rękę; namyślił się nagle podniósł głowę, znajdując, iż lepiejby w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny, piękną rączką dala mu policzek.

Watzdorf stał chwilę zdumiony.

— To tak? — zapytał.

— Tak — odpowiedziała Cosel, pokazując mu na drzwi — król powinien był wiedzieć, że takiego głbura za nosła do mnie nie godziło mu się wybierac.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilktł, położył kapelusz i został.

— Niech to idzie w zapomnienie — rzekł, — ja nie jestem mściwy, a zresztą, policzek z tak pięknej rączki nie bezcześci... owszem...

Chłop z Marsfeldu został nawet po tem na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie; obiecywał bowiem hrabinie najświętniejsze warunki, wymagając jej serca.

Rozesmiał się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmity.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendahl'a, odradzono jej to: Watzdorf zajmował się naówczas finansami, dostarczał pieniędzy; walka z nim była trudna.

Nasłano później van Tinen'a, o którym na dworze rozpoznawano, że się w niej szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen życliwszy dla niej, nienawiściły był królowi; pozwalał sobie zbyt wiele... dawał mu rady mentorskie i zniecierpliwił go do tego stopnia, iż król, który potrzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnemi rękoma, a raczej nogami nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinen'a na progu położu, w którym August siedział już po wielu kieliszkach, przesiągnął go, żeby nie wciążał.

— Król nie lubi cię; nie wiaz mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobrej rady, wszedł August się skrzywił. Po chwili van Tinen, ośmieniony, począł rozprawiać: król milcząc odwrócił się od niego; ten zaszedł z drugiej strony, wiazł po samą rękę olbrzyma, który milcząc patrzał na zgóry. Przytomni, widząc jak oczy Augusta błyszczły, radzi byli ostrzec nieopatrnego, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał szczebiotania natręnego, nareszcie zaczął coś mówić; van Tinen przerwał: król zamknął. Po chwili odezwał się znowu i jeszcze raz wpadł mu do słowem van Tinen. W tej chwili, jak dzik rożarty król zwrócił się ku niemu; ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżej, drugi cofając się coraz bojaźliwiej do kąta gabinetu. W chwili, gdy van Tinen oparł się jak trup biad o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił nim na posadzkę i począł go bić nogami, tak że zbito go na miazgę, służby porwawszy bez zmysłów ją leżącego, na łózko ponieśli, i o mało życiem głuszenia swojego nie przypłacił.

Na żadnym z tych ludzi król nie mogąc się zdobyć, aby Coseł obwiniało, zasłyszał wreszcie plotkę, że tajemną intrugę miała z bratem Lechrenna, który był uszedł za granicę. Posłano więc do niego, wdano się w targi, aby niewinna oczerniona, ale i to się nie powiodło.

Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Drezna, aby mieć powód do znęcania się nad upadłą.

Postępowanie to mogło ja goryczą napełnić i do rozpaczliwy przyprowadzić; mogła się czuć obrażona króla, który dozwalał ją diećzyć i nasylał tychich ludzi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreźnie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciły listy kresami wysłane, aby o tem ozwoić marszałkowej. Natychmiast zwolniona została rada familiarna; trwoga była niezmienna. Przybycie Cosel mogło tę całą tak szczęśliwie osnutą komedię zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczej oplątany przez te panie. Ułożono dlań scenę nową.

W godzinie, o której król zazwyczaj przybywał w odwiedziny do pani Denhoffowej, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonymi, siedła piękna załotnica na łóżku, z chustką do otarcia leż, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznali tę pozę piękną i wielce efekowną.

Gdy król wszedł, udała, że go, w rozpacz swej zagłębiona, nie postrzega.

— Cóż ci to jest, piękna pani? — zapytał król troskliwie.

Denhoffowa udała, że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domogiąc się też przyczyny.

— Najjaśniejszy Panie — odrzekła patetycznie Denhoffowa, — za grożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! umrzyć byłoby niczem, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało... ale... niestety... ludzie chcą mi z życiem wydrzeć razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy... może się już tu znajdę... może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty, królu, przybywasz tylko, aby mi cznaić, żem powinna ustąpić szczęśliwej rywalec...

— Ale cóż pani śnisz? — przerwał król zdziwiony — skąd to wszystko, móglębym ja panią zdzielić? Nie; pani, nierozerwane węzyły łączą nas: twój charakter pełen słodczy, twa dumbość dla mnie są rękojmia, że ci między żadna Cosel szkodzić nie może.

— Al! panie mój — ciągnęła dalej Marynia — bogdażby to, co mówisz, prawda było, bogdażbyś mi odpłacił miłością tą szczerą, jaką ja mam dla ciebie. Al umrzeć dla mnie jest meczem, ale cię utracić to nad siły... wyrzec się życia przedzejbym mogią, niż tego szczęścia, które mi się uśmiechało. Królu, jeśli mnie kochać przestanieś, weź to życie: nie chcę go więcej.

— Ale moja droga trabino — odparł król, — byłoby z mej strony niegodziwością takie wyznanie tak słodkie wyrazy z ust tych, niewdzięcznością zapłacić.

— Dałeś ci, panie, za tak słodką nadzieję — mówiła ciągle Marynia — mimo to ja się wspokoju nie mogę, trwoga mną owłada... Ta nieznośna rywalka zbliża się... będziesz ją widzieć, pochwyca znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą fałszywie rachowałam umiata.

— Cześć się pani drczysz — przerwał król troszkę niecierpliwie, — jakimże ją sposobem uspokoić inoś? Owszem, pozwól niech Cosel przyjdzie, odniesiesz triumf nad nią.

— Nie, nie! — zawołała Denhoffowa — jeśli Cosel ma tu przylić, ja opuszczam Warszawę: ta kobieta targnąć się może na mnie, najniżgodziszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie tej rozmowy stała pode drzwiami, gotowa wnijść, gdy znak usłyszała Marynia kaszlnęła... drzwi się otwarły i weszła udając zdziwioną i niezwiedzioną zupełnie, że kąsię tu znajdował.

— Bardzom szczęśliwy, że panią widzę — zawała król, wstając, — chodź pani i pomóż mi uspokoić córką swą, która mnie obraża posądzeniami niesłusznnemi.

— Ale o cóż idzie, Najjaśniejszy Panie? Marszałkowa udawała zdumioną.

— Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywiązania — dodała żywo. — Nie powinno to Waszej Królewskiej Mości obrażać.

— Posłuchajże pani...

Tu król opowiedział wszystko... Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę, to na niego; mine miała skłopotaną.

— Przebaczysz mi Wasza Królewska Mość — rzekła po chwili — ja się córce mojej nie dziwię wcale. Wiadome są całemu światu pogrózki hrabiny Cosel, znany jest gwałtowny jej charakter. Wszak śmiała grozić wam nawet, Najjaśniejszy Panie!

— A więc — przerwał August — o co idzie? dla waszej spokojości wydam natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zwrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa, składając ręce, wykrzyknęła przejęta wdzięcznością:

— Szczęśliwą możesz się nazwać, Marynusie kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

— Ośmieniam się jeszcze uczynić uwagę, że pani Cosel, łaskami Waszej Królewskiej Mości uzupełniona, nielatwo kogo posłucha; należałoby kogoś wyprawić... kogoś takiego, coby umiał...

— Wybierzcie panie, kogo chcecie! — zawała król, trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed Najjaśniejszym Panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości.

Marszałkowa miała już gotowego do jej wyprowadzki człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z księciem Polignac do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobil sobie tytuł szambelana jego królewskiej mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w pół godziny gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zatrzymać z drogi hrabinę Coseł.

— Jeżeliby rozkazu Waszej Królewskiej Mości usłuchałaście chciela? — spytał Francuz — w takim razie co nam uczynić?

Król od chwilę zamysłyony, wyraźnie kosztował go to, do czego został zmuszony.

— Dam waspanu w pomoc La Haye, podpułkownika moich kawaler-gardów, i sześciu gwardzistów; zdaje mi się, że to już wystarczyć powinno.

Nie kracąc czasu, posłano po pana La Haye, który z eust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i tejże nocy oddział, wysłany przeciwko jednej kobiecie bezbronnej, wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym gościem, który wiódł z Warszawy do Drezna.

A jak czułe były podziękowania, i jak wielka potem radość z odniesionego triumfu!!!

### III

Hrabina, raz postanowiwszy widzieć króla i samą w obronie swej stanąć przed nim, z małym dworem wybrała się w drogę, chcąc pośpieszyć tak, ażeby jej wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nie opuszczający jej nigdy wierny Zaklka towarzyszył w tej podróży. Cierpiał on niewymownie nadlosem swej pani, ale w naturze jego było milczenie.

tem uparciej, im więcej bolał... Blady, wychudły, szcerniały, jechał przy powozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wjazdem z Drezną Coseł kazała go zawołać do gabinetu.

— Wszyscy mnie opuścili — odezwała się — nie mam nikogo, na kogobym liczyć z pewnością mogła.

Spojrzała nań; Zakliku stał chmurny.

— Czy i wy mnie porzucicie?

— Ja? nigdy! rzekł krętko.

— Zdaje mi się, że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

— Zawsze — odpowiedział uroczyście Zakliku, dwi palce podnosząc do góry, jakby przysiągał.

— Chcę wam to co mam najdroższego powierzyć — odezwała się, zniżając głos, Coseł, — powiedzieć mi, zaręczęcie, że chyba z życiem stracicie to, co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzeć siłą, że mi będziecie strzec mego skarbu, honoru mego, jak...

— Jak relikwii — rzekł Zakliku, znowu rękę podnosząc — niech pani będzie spokojną...

— I nie trzeba, by żywa dusza wiedziała o tem, co złożę w waszych rękach.

— Każe mi pani przysiąć?

— Wierzę słówu. Trzeba jednak, abyś wiedział, co masz strzec. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Coseł. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyczeczenie, że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawą małżonki. Inaczej, nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzeć to przyczeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą; mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania, gǳiem to pismo złożyła. Zamurować je?

moga mnie wygnac; zakopac? moga mnie oddac na siebie nosic nie jestem pewna.

To mowiac, Coseł otwierała szkatułkę hebanową, sadzoną srebrem i kością słoniową, ze szkatułki dobyła pudełko złote, a z niego woreczek skórzany, opieczętowany, ze sznurem jedwabnym.

— Ty mnie nie zdradzisz? — odezwała się, patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i łzy mu spadły na wąsy, pociąwał podana rękę; pochwycił, oglądając się, woreczek, który złość, i prędko na piersiach, i odezwał się głosem stłumionym:

— Chyba z życiem go utracę.

Coseł prędko zamknęła szkatułkę.

— Jechamy w drogę — dodała, — nie wiem, co się w niej przytrosić może, a może zdarzyć się i najmniej spodziewane i najgorsze: trzeba, byś miał pieniadze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

— Do rachunku — rzekł Zaklika.

W kilka godzin potem Coseł z nabitemi pistoletami, które jej nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małej miejscowości na pograniczu Śląska, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiałano się zatrzymać dla spoczynku; hrabina, znużona, hazała robić obiad naprzeciw i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jej końcu stało dziesiątek koni jakiegoś oddziału trabantów, który, jak się domyślano do Saksonii musiał powrócić. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargen i La Haye zjawili się przed nim, prosząc, aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radziby jej złożyć uszczronianie.

Pierwszy z nich znajomym jej nawet nie był.

Zdziwiła się niepomaka hrabina, gdy jej Zakliko to oświadczył, nawykła od niejakiego czasu do tego, iż wszyscy od niej stronili. Na myśl jej nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Haye był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaleźć.

Hrabina Anna pomimo niepokoju i serca ucisku, nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnej a nawet wesołej. Przyjęcia oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, a że pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podrózny.

W czasie obiadu rozmowa szła dosyć swobodnie, ku końcowi Montargon, który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tem, o owem i zwrócił się do hrabiny:

— Zdaje mi się — rzekł — że pani się niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęły i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cofnęła się z krzesłem od stołu.

— Jakto? pan! pan mi będziesz dawał rady? pan masz lepiej znać króla nadę mnie i moje położenie i to co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

— Pani daruje — wybałkał.

— Nie daruję panu tego — krzyknęła Cosel — bo to jest niezręczność i niegrzeczność. Dajże miwać pan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

— Ode mnie pani hrabina w istocie anibyś mogła rad potrzebować, anibyś ich powinna słuchać; ale gdybym miał polecenie od króla jegomości?

— Od kręcia? — zawołała Cosel.

— Tak jest.

— W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa — rzekła hrabina. Opanowali go nieprzyjaciele mci, zrobił to, czego był nie powinien uczynić i czego w tej chwili żałuje sam. Mógl król chwilowo ulec, a pewna jestem, iż sam będzie rad, że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon, człowiek gładki, ale obrażony tonem, jakim go piękna podróżna zraza poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim a w istocie bolesnie obrażającym:

— Wdzięczeniem był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia nader nieprzyjemnego środka — siły.

— Jakio? — porywając się krzyknęła Cosel — waćpanbyś śmiał się targnąć na mnie?

— Mam stanowczy rozkaz króla zwrócić panią do Drezna — rzekł Montargon — i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie, że był synem wioskowego pisarza, i krzyknęła nań:

— Precz mi, piszczyku ty jakiś; precz! — porwała za pistolet — bo ci łeb roztrzaskam.

W progu stał już Zaklik.

Montargon, który także dobrze wiedział, z kim miał do czynienia i był pewnym, że hrabina słowa mu dostrzyma, wysunął się co przedzej, nie otwierając już ust, a La Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób, w jaki towarzysz jego dostał odprawę, był dla niego nauką; La Haye zaczął z wielką łagodnością:

— Pani hrabino, — rzekł — posłów ani ścinają, ani karzą; niech się pani uspokoi: myśmy nie winni,

że nam takie ciemne dano polecenie. Byłbym w rozpaczy, gdybym się mogi najmniejszą przykrością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! rozkazy z własnych ust najjaśniejszego pana dla wojskowego: niema ratunku, one się spełnić muszą.

— Widziałeś pan króla? — spytała spokojnie Coseł.  
— Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Coseł padła na krzesło drżąca.

— Niech się pani uspokoi: niema, jak mi się zdaje, nic dla niej groźnego w tem wszystkiem.

— Jakto? a Denhoffowa?

— A! to bałamuctwo przemijające — zawałał La Haye — coś naksztalt romansu króla z Duvalową, o której dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem, czy sobie jej imię przypomina. Pani Denhoffowa jest zamężna, mąż jej na wsi, o niczem nie wie, niema najmniejszego podobieństwa, ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi; zobaczysz go pani i łatwo odzysniesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniej zaczęła go Coseł o wszystko rozpytywać. La Haye umiał jej historię w takim świetle przedstawić, aby jej znaczenie zmniejszyć. Po kwadransie rozmowy hrabina grzecznymi prośbami dała się wreszcie pokonać. La Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzegać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jej na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysiął zaraz kurjera do pani marszałkowej. Obawiając się zaś, ażeby Coseł nie zmieniła w drodze postanowienia, on i La Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją niepostrzeżeni, noclegi i popasy odprawując w kilka godzin po niej, aż pod Budyszyn, skąd już spokojni mogli wrócić do dziękczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blisko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, śnił o nim długo i mówił sobie pocichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażaćby się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszym występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy, w których jej nie oszczędzano. Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważni gorszyli się i sarkali, a poniewieranie dobrej sławy przez kobietę zamężną, pod niebytność męża, ciburzało.

Raziło to tem więcej, iż wspólniczką i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczej chlubiono tem, niż tajono z ponиeniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne intrigi trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, ażeby żonę do siebie wezwała. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby.

Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono dos matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swem przybyciu, pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

— Nie męczę nas temi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia cajej rodziny dla twoich fantazyj poświęcać nie myślimy; mamy króla w ręku, król się w Maryni szaleńie pokochał. Chcesz, żebym przez śmieszna pruderię odwiozła ci ją tutaj... a nasze interesa przez to zabiła?...

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

— Słuchaj, wacpań — dørzuciła pani marszał-

kowa,—masz do wyboru; albo milczeć i zostawić rzeczy jak są i korzystać z łask monarszych, coby ci do tych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncjusz Grimani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

— Moja pani—odezwał się Denhoff,—dzielić się sercem żony z najjaśniejszym panem nie mam najmniejszej ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwieby mi się co z niego okroiło... bo to tam dużo ludzi do córki jej mościowej konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnijcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięcznen będą, byle prądzej.

Marszałkowa była nieco zdziwiona, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy do Grimaniego; nuncjusz napisał do Rzymu: Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno, i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długie ogromne, majątki obciążone: interesa zawikłane i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoffowej, która gorliwie się wzięła do kasy jego królewskiej mości. Sprawiono na przód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym wieku patrzyła Warszawa; potem dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czułe serce Augusta II. Posypały się dary dla całej rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacje, gdyby nie rozum, doświadczenie i zabiegliwość matki, nie-wypuszczającej jej z opieki i czuwającej nad dobrem całej familii. Pani marszałkowa prośla o coś

ciagle, prosiła nader zrecznie, i bardzo ślicznie i grzecznie; znajdowała zawsze tak słuszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkiwie umiała przemówić do serca najjaśniejszego pana, iż August dawał chętnie i choć nań Sasi już sarkali, nie bardzo uważały na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żałoby uwalniał; król się musiał bawić, nie śmiano uirudniać mu rozrywek i zaprawiać je tesknotą oddalając się od nich, tak że bardzo przedro córki, syn i marszałkowa zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytworne przybory zwozić potrzeba było z Drezna; nie miał tu całej tej armii posługaczów którzy go otaczaли w Selsonji, rozumiejąc jego skinienia, odgadując myśli, siągając się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była uboga stosunkowo w to, co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swej pani, na co go stało, zdumieć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoffowa obawiająca pistoletów Coseł, upewniła, że jej tam na drodze swej nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całej rodziny, która szła za wozem triumfatorki, zbierając co z nicgo spa dało, nie przedzej nastąpił, aż się upewniono, że Coseł w drogę jej nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, której w istocie więcej się lękała dla króla, niż dla siebie, udawała ciągle przeróżoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzec od jakiej wymarzonej napaści.

Być bardzo może, iż nieprzyjaciele hrabiny chcący zapobiec, by wróciwszy do dawnych łas u króla, nie mściła się doznanej zniewagi, wpły-

wali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania. Dosyć, że król, który rad ją był oszczędzać, i który łagodnie dosyć obchodził się po rozstaniu z innemi ulubienicami swemi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Coseł. Chciało się jej pozbyć w ten sposób, aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, iż obudzi żal w Auguście. Jąt-rzono więc i pobudzano Denhoffową, która wzdragała się prześladować kobietę, i kobietę nieszczęśliwą.

Ale Flemming i Fürstemberg przestraszali ją ciągle tem, iż w Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naowczas pani Denhoffowa straconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jej rodzina.

Tak z jednej strony nasadzając panią Denhoffową na króla, ażeby ją wygnął z sąsiedztwa stolicy, z drugiej Flemming sam przypomniał mu, iż nieopatrznie, w chwili nainośći, dał na piśmie przyczeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwała się hrabina Coseł, że należało bądź co bądź, papier ten, bodaj zań opłaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słusznem: raz rozpoczęwszy prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść dalej i odebrać nieszczęśliwej wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jej w Pillnitz spoczynku.

Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niej wstremliwym, Coseł, nawykła teraz z pozorną przynajmniej cierpliwością znosić wszystko, musiała go przyjąć, wiedząc, że przybywa z wiedzą i za wolą króla.

Tym razem był on znacznie mniej więcej w do-  
stępowaniu z hrabią.

— Życzę pani dobrze—odezwał się przy powi-  
taniu,—najlepszym tego dowodem, że tu przyby-  
wam, abym dopomogł do jakiej zgody i układów.  
Wpływniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzyst-  
nej wypadło to dla pani... ale...

— Ale co?—zapytała Cosel, spoglądając nań.

— Ale ze strony pani trzeboby też trochę po-  
wolności—rzekł Watzdorf.

— Posłuchaj mnie, pan—odezwała się Cosel—  
byłam królową panią, bóstwem; jestem matką troj-  
ga przyznanego przez króla dzieci jego; nie dałam  
mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości: naj-  
złośliwsza potwarz żeby skruszyła, rzucając się na  
mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbyt-  
nią miłość dla króla. Po tylu latach pożycia, w oś-  
nym roku, nagle po świeżych jeszcze przysięgach  
i łaskach, najnikczemniejsza intryga odbiera mi nie  
jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi zrzec się  
miłości... milczę... wypędzają mnie z darowanego  
pałacu, idę; każą mi się oddalić z Drezna, usuwam  
się do Piłnitz; chcę widzieć króla, zawracają mnie  
siłą z drogi. Pomimo to wszyscy ogłaszają mnie  
zuchwałą, rościwą, niebezpieczną, lękają się mojej  
wściekłości, mówią, żem gotowa z rozpacz godzić  
na życie króla.

— Tak jest, wszystko to mówią, prawda—roze-  
śmiał się Watzdorf—ale pani możesz temu zadać  
klam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniła się i porwała.

— Teschen i Aurora były faworytami — zawa-  
łała—ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam  
i jestem żona.

Watzdorf się roześmiał w glos.

— A! kochana hrabino—rzekł z poufałością ob-

rażającą... — to są stare dzieje. Pani wiesz, co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczna, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wie, co czyni. August II, pan nasz najmiłościwszy, podpisał przecież zmuszony pokój altransztadzki... a ogłasza go nieważnym; podpisał też pani może przyczeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje też wagę.

Z trudnością mogła Coseł utrzymać oburzenie swe.

— A! królowi wolno — zawała — do słów, przysiąg i przyczeczeń naujuroczystszych żadnej nie przywiązywać wagę; ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wie, co czyni i nie oszukuje siebie i ludzi... dla mnie słowo jego święte i ważne.

Zaczęła się przechadzać po pokoju. Po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego, z czem przybył.

— Niech mi pani powie otwarcie — odezwał się — jakie są jej żądania? Król ma dla niej wdzięczność i dobrą wolę... uczyni wiele; tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych, ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten paperek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Coseł ku niemu:

— Z tem pan przybyłeś? — zapytała.

— No, muszę wyznać: tak jest.

— Wracajże nazad — odparła Coseł rozplotowiona, — bo pókim żywa, nie oddam go nikomu. Jest to obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie, że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego łaski, podać mu rękę, gdybym tej objetnicy ślubu nie otrzymała?

— Ależ to była śmieszność — rzekł Watzdorf.

— Sama pani uznasz: królowa żyła i żyje. Któż jest

w prawie rozporządzieć jak przyszłość? Takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata, nic nie waży.

— A pocóż mi je odbierać chcecie? — zapytała Coseł — bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadoma, uwiedzioną oszukiwał. Lękacie się, aby go ta lekkoimyślność i żarada nie napiętnowała tak, jak godzien.

— Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę — rzekł Watzdorf.

— To wracaj, skąd przybyłeś — zimno odezwała się Coseł, chcąc wyjść z pokoju.

Poseł poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

Zastanów się, pani, do czego to doprowadził Króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnej. Wszak może użyć siły! wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mogi.

— Więc niech próbuje — odparła hrabina.

— Toby była ostateczność nader smutna — kończył Watzdorf — tej właśnie wszyscy, co jej życzą dobrze, radzili uniknąć; tej ja pani chcę oszczędzić. Jeśli zmusisz do gwałtu, nic się spodziewać nie możesz; dobrą wolą otrzymasz pani...

Coseł nie dała mu dokonczyć i zapytała:

— Chcesz, bym sprzedała mój honor i oceniał go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski nie ma tyle, ażeby kobiety jak ja honor zapłacił. Za skarby świata go nie oddam.

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

— Chcę, żebym świat wiedział, jak niegodnie byłam oszukana, jaką niepoczciwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Łzy potoczyły się jej z oczów.

— Nie! — zawała nagle — wańpan kłamiesz, to nie jest wola królewska: nie wierzę. Czernicie kró-

ia, chcąc go obronić. Wierzę w płochość chwilową jego, ale nie zwałętam o sercu szlachetnem. Król nie woże tego żądać.

Posłany milczał, zwolna rozpięta suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie; w milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwem.

— Jeśli to, co mnie podpisał i poprzysiągł, nie ma wagi — odparła, ręką papier usuwając — jakaż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf, list złożył i schował nazad: litość odmalowała się na jego twarzy.

— Pani hrabino — odezwał się cicho, — jej postępowanie budzi we mnie litość; wierz jej lub nie, ja więcej nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani, na co się narażasz. Nie śmiałbym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w sobie musi bronić godności królewskiej, za którą przed monarchami i ludami odpowiada. Tam gdzie idzie o sprawy stanu, niema środków, jakichby nie wolno było użyć. Niech pani przypomni sobie los ludzie wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwiać się królowi, gdy nim owładnie namiętność.

— Znam go lepiej od was — wrzuciła Coseł.

— Król nasz umie być dobrym, ale potrafi być strasznym — rzekł Watzdorf.

— Wiem o tem — powtórzyła hrabina.

— Zaklinam panią!

— Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz prózna — zaczęła Coseł spokojnie, — groźbą mniej na mnie możesz podziałać niż namową; wstydziłabym się jej ulec.

Watzdorf naprzóźno usiłował jeszcze przekonać

hrabine, która spojrzałszy nań długo i pogardliwie, wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic na powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwej znowu próby...

## IV

Są istoty, które na ból patrzeć lubią, a jekom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nieszczęściu uragać. Płochość czy złość pobudką: zawsze to świadectwo mniej szlachetnych charakterów.

Nieszczęście, jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jej nieprzyjaciołach. Prawda, że dumę swą nieraz im czuć dała, że niewiele osób zasłużyło na jej przyjaźń; lecz w owym dworze, intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów, co się dopędzić nie dawali, należała barenowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszona dom jej wypowiedzieć, przekonawszy się, co z niego wynosiła udając przyjaźń, z której za drzwiami sama się wyśmiewała. Długo też nie pokazywała się potem, a jak najmniej spodziewać się jej było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali jeszcze.

Jakież było zdziwienie hrabiny, gdy nazajutrz oznajmiono jej odwiedziny Glasenappowej. Zrazu wała się z przyjęciem, nie chcąc wystawać się na urągowisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa, niezrażona długiem oczekiwaniem, pobiegła naokół domu, którego dół zajmowała Cosel, od okna do okna przechodząc i zglądając, gwałtem się starała ją znaleźć i do niej docisnąć.

W ten sposób w istocie napadła Coseł, która usunęła się do swojego gabinetu, i przewiesiwszy się w otwartem oknie, zmusiła, by jej drzwi odermknęto.

— Al! moja droga hrabino, nie kryjże się — zawała, — wiem, że ty w moję dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczą, bo się nad tobą lituję. Każże mnie puścić! przynoszę ci plotki z miasta; nic nie chcę, tylko cię uścisnąć.

Coseł znudzona i zmęczona zarazem przyjęła baronową, która się rzuciła w krzesło, patrząc w zwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

— Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te galgany drezdeńskie — odezwała się — odmawiają mi wszystkiego. Niema potwarzy, któreby na mnie nie wymyśliły; wierz mi, Coseł, że ja ci zazdroszczę twojej samotności, bo na dworze żyć a jeszcze na takim, to się jak ja wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siedła wygodniej, obejrzała wkoło.

— Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wczeleby ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odechnąć. Ja nie sądzę, żeby ci się to nie udało. Ta paskudna Denhoffowa gołowa cię i stąd wygnac.

Coseł uśmiechnęła się wzgardliwie.

— Mamy tedy tę panią w Dreźnie — poczęła paplać żywo, — a z wielkiego strachu, abyś jej z pistoletu nie postrzelili, podpułkownik Chatira i sześciu kawaler-gardów na krok jej nie odstępują. Myślę, że za tę gwardię nie gniewałaby się, nawet nie mając obawy. Oprócz tego, postawili ją u Fürstemberga, dopóki jej pałacu nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie jej skończy się.

— Mają przecież pałac po mnie — mruknęła Coseł.

— O! ten już przeznaczony dla kurfirsta — dodała Glasenapp, która wiedziała o wszystkim. — Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przyjacielem, myślę, że i garderobiana u Denhoffowej... Fleming wydaje sliczne wieczorki dla króla i faworyty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają. Mówią, że na jednym z nich, dobrze podpiwszy, pogłaskał Denhoffową pod brodę, zowiąc ją czule takim epitetem, na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu też tego za złe... zresztą, słyszę, tak dobra, że królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak straszna jak ty, moja Coseł, która niecierpiąc podziału, chciałabyś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc, Glasenappowa pochyliła się naprzód, obejrzała ostrożnie, palec polożyła na ustach.

— Król się nam zmienia — szepnęła, — znaliśmy go jako bardzo dobrego pana: staje się srogim i okrutnym.

Coseł spojrzała na nią.

— Takim względem mnie nie jest...

— O! to bardzo naturalne: wielka miłość nigdy się inaczej nie kończy — mówiła dalej Glasenapp, — ale słyszałaś o Jabłonowskim?

— O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę — odezwała się Coseł.

— Wiesz przecież, ile król winien był hetmanowi, ile wojewodzie ruskiemu, który hetmana skłonił na stronę króla; a wiesz gdzie dziś ruski wojewoda?

Coseł spojrzała zdumiona.

— Książę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy z tego samego mieszkania, w którym ojca namówił na stronę naszą, i w rocznicę dnia, gdy wyjeżdżali kurfirsta witać na granicy.

— Byćże to może! — zawała Coseł.

— Tak i ja bym spytała może niedawno, czyż to być może — mówiła dalej przybyła — a dziś powadam, że wszystko możliwe.

— Cóż zawinił wojewoða?

— Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie, gdy król brał Denhoffową, wystąpił jawnie przeciwko niemu za to, że im żony zabiera, że mieszka publicznie z cudzemi, że kraj psuje, że to zbrodnia stanu! Zbrodnia stanu! — śmiejąc się i plaszczać w ręce, wołała Glasenappowa. — Al nieoszacowany Jabłonowski! Mówią, że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniej żony całe zostawi. Królowi najgorzej to dopiekało, że mu Denhoffową chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłonowskiego tak, że tam jakieś listy poprzejmowano, jakieś pisarza wzięto na konfesaty, jakieś papiery poznajdywano w domu, i król bez ceremonii, bez sądu, Jabłonowskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

— Miarkujże, moja droga — dokończyła Glasenapp — kiedy około ksiązał wojewodów tak mało ceremonij, cóż już o innych mówić? Co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba?

Opowiadanie Glasenappowej, choć nie odezwała się Cosel ani słowem, uczyniło na niej wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany... i za sprawę polską więziony w Saksonji, w istocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

— Mamy świetne ciągle zabawy — rzekła — król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowej nikt na nich nie widzi; domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą starać nie

śmiała. Jak Toschen maskuje się i przebiera za nietoperza razem z siosirą: mamy też najwieńczej maskarad i redut. Króla także nie w dać nigdzie, bo musi siedzieć z nią zaniknięty. Przy jednej wieczernicy Kyan, słyszę, zamiast do kielicha, zaprasza do nabożeństwa po katolicku na intencję najjaśniejszego pana, ażeby go Bóg z niewoli pełskiej wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

— Nazajutrz — dodała opowiadająca — kieś pochwycił koncept dowcipnisa i przybito na Georgenthal i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się, słyszę, śmiał, lecz tego, co się to ważył uczniom, szukać kazało, a wątpię, by go znalezli.

Płolla tak nieznurzona długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosili. Po nim zażądała widzieć ogród i aleje lipowe. Tu, gdy się sam-na-sam znalazły, Glasenappowa zbliżały się do ucha hrabiny.

— Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wyplatanej figla. O! nie przeczę, że lubię dokuczyć tym, którzy mi też do jedli niemal; alebym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a tej doznałam niegdyś od was, hrabino. Żał mi was... Na dworze narządzają się i odgrażają przeciwko wam, jeżelibyście tego papieru wydać nie chcieli.

— Papieru? jakiego? — napozór obojętnie spytała Cosel.

— A przecież wiecie, o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany... Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobrej woli, gotowi użyć siły.

— Bardzo dziękuję za przestroगę — odezwała się Cosel — ale ja na wszystko byłam i jestem przygo-

towaną. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nie mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i tej w końcu nikczemności... złożyłam go w miejscu bezpiecznym.

Glasenapp długo patrzyła na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać, czy prawdę mówiła, ale Coseł była nieprzenikniona, gdy chciała... Osłoniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu.

Łatwo jej było poznać i domyśleć się, że Glasenappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ja, aby się czegoś dowiedzieć; że była szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniej obudzającego zaufania...

Zabiegicale na nic się nie przydały, Coseł, zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestróg, dała jej z niczym powrócić do Drezna.

Zaledwie powóz, który ją tu przywiózł, oddalił się nieco, gdy hrabiina kazała zwoić Zaklikę.

Ten zawsze był wpogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Coseł wyprowadziła go na podwórzec i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącym domu i ogrodu.

Zakliku myśli jej odgadywał.

— Jesteśmy tu szpiegowani — odczywała się — prawda?

— Dokąd, nawet w domu za nikogo ręczyć nie mogę — odpowiedział wierny sługa.

— Możnaż ich oszukać? — spytała.

— Gotlieb tu na czele — poczał Zakliku — zda je mi się, że on do miasta jeźdząc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz nieinadry jest i spoić go łatwo, a zwieńczenie jeszcze łatwiej...

— Gotlieb? — zawołała hrabiina.

— Tak, właśnie ien, który się najwięcej z miłością swą dla pani uprzykrza... radby, ażeby się go nie obawiano.

— W mieście wszyscy cię znają? — zapytała ciacho Coseł.

— E! wielu zapomniało już o mnie—podchwycił Zakliku—a dla innych toć i trochę zamaskować łatwo.

— A maszże od kogo zasiegnąć języka?

— Gdy muszę, znajdę... — rzekł wezwany.

Po tych wstępnych pytaniach, Coseł jakby dreszczem przejęta, drgnęła.

— Niema tu już bezpieczeństwa dla mnie — rzekła — muszę uciekać, ale jak? tobie ufam jednemu; mów, jak?

Zamyślił się Zakliku i milczał.

— Trudno — mruknął — ale gdy musimy...

— To nie dosyć — kończyła Coseł — ja muszę zabrać z sobą, co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwieźć klejnoty, pieniądze, bo to, co tu zostanie, będzie ich łupem: zabiórą wszystko.

Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zakliku: poiał czoło, targnął wąsa, spuścił wdół oczy.

— Mów pani — rzekł, widząc, że Coseł czeka.

— Czy mi zaręczysz, że dobiegnę przed pogonią za granicę?

— Co w ludzkiej mocy, zrobimy.

Zaklicze pot kroplami na czoło wystąpił, widać było, że niepokój go dręczył, że się lękał, a nie chciał wydać z bojaźnią.

— Dawno to uczynić trzeba było wprzód — rzekł, ucinając mowę, co nie nawykł długo się wyrażać — ale co się nie zrobiło, o tem mówić już niema co: trzeba czynić, co teraz mamy przed sobą.

Złamał palce, gniotując je, biedny człowiek, aż kości trzeszczące w nich słychać bylo; chmurne

czolo namarszczył; stąpał z nogi na nogę. Cosel patrzała nań z trwożą i ciekawością, cały w sobie, energiczny, silny, małomówny, po wypieszczonych ludziach, do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czuła w nim człowieka.

Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się, następwszy brwi...

— Nocą pojadę do miasta — rzekł — ja tu w domu mało się pokazuję i tak; nie każ mnie pani wołać, aż sam przydę, będą we dworze sądzili, żem się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę, skrytą w krzakach pod wyspą, spuszczę się Elbą... Na powrót więcej czasu potrzeba pod wodę, ale i na to się znajdzie spesób. Co tam zdołam się wywiedzieć u dworu... zobaczę... Trzeba obmyśleć i resztę; wyjazd to niemała rzecz...

Mówiąc tak urywanymi słowy, wzdychał. Cosel zobaczyła w tej chwili krążącego zdala Gotlieba, który już się mógł czegoś domyślać z dłuższej rozmowy, i zaraz skinęła na niego.

Niemiec skwapliwie się przysunął.

— Ja sądzę, nieprawdaż Gotlieb, że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić... Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się stąd nierychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nastręczę, bo Polak, któremu to chciałabym polecić, wymawia się, że nikogo nie zna.

Gotlieb spojrzał na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć, czy to prawda była; skłonił się i zaczął mruczeć szybko, zaklinając, że dla swej najdroższej pani zrobi wszystko.

Na tem się narada skończyła, Cosel poszła do domu... Gotlieb uczepił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudziło to podej-

rzenie szpiegów, próbowali drzwi: zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na nim widać było ogólnego chłopa wyciągniętego, w ubraniu, w jakim chodził, i twarzą obróconego do ściany. Uspokoiili się więc szpiegi, iż w domu był i dali mu spać dosyta. Nie było też co rosić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach Elby się odbijał, gdy Zakliku łódkę pocichu odwiązał od kółka, u którego była przymocowana, wsunął się w nią, odepchnął od brzegu i pochyliwszy, puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Dreznemu unosił. O tej porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie, i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na miejscowości i kamienie. W czasach gdy jeszcze błądził niczem nie zajęty po okolicach, Zakliku płyniał wiele i żeglugią się bawił, tak, że poza Pillnitz ku Pirnie i dalej znał wszystkie rzeki załomy i miejscowości. Noc go więc czarna wcale nie ustraszała, a w kilka godzin ujrzał już najprzód świecka przedmieścia rozrzuconych u brzegów, potem jakby jasną lunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i iluminacja.

W Dreźnie będąc na dworze Cosel, Zakliku miał zręczność wielu tam poznać ludzi, serce go ciągnęło raczej ku stojącym w cieniu i na boku, niż do tych, co błyszczeli wśród przedpokojołów i wnieszani bywali do intryg, lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wiele. Nimi dopływał, myślał teraz ciągle, do kogobycie się udał.

Na dworze, który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie klejnoty garściami pięknym panom sypano; handel pieniędzmi i klejnotami był jedna z potrzeb powszednich.

Miał król kredyt na znaczniejsze sumy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmanna, w Dreznie dostarczycielami i pośrednikami było dwóch Izraelitów wielce znanym miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty, a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer...

Ostatni przybył tu z Hamburga w roku 1700 w początkach panowania Augusta i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia przy takim wiekuistym na pieniądzach głodzie, osiedlił się w Dreznie. Pierwsza to była wekslarnia i bank w tem mieście, na który król ponownie dał mu dom, zwany Starą Poczta, a naówczas Judenhauzen. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszym piętrze sal kilka zbytkownie wystrój i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakradał już wówczas na dzisiejszych bankierów tego rodzaju, nosił się po francusku, stroił bogato, i mawiano, że wcale niepowabny, miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciało.

Twarzysz jego, Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju: pochodził on z Polski i zachował cechy Izraelitom tutejszym właściwe.

Skrzenny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, niezapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary, nie pragnął się mieszać do świata, w którym widział, jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach hrabina Coseł posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zwołanie do niej przychodził, mieli z sobą interesa znaczne.

Izraelita, który najlepszą miał zręczność poznać ludzi w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Coseł; wierzył jej i był dla niej z wielkim uwielbieniem. A że rodzinę jego ponownie sie-

działa niegdyś w Krakowskiem i on tam młode lata przepędził, a Zaklika też ten kąt kochał... rozmawiali się z sobą nieraz, Lehmann, żartując, język dawny przypominał. Czasem podać kazai wina lampkę i z Rajmusem przegawędził jaką godzinę, tak się poznali bliżej i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział, że Lehmann już po upadku Cosel dał jej dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką zkolei wszystkich wpływowych ministrów, który padał na twarz przed wszystkimi i chwalił, co tylko zrobili, nie brzydząc się zepsaniem dworu; Ehrendt wprawdzie pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochość i rozwiązałość, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go.

Wprawdzie popisywać się z tem ani mógł, ani chciał; lecz z twarzy jego niemal czytać się dało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych nieraz był nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego co z sobą nieraz poszeptał pocichu, Zaklika wnosił, iż na Lehmanna śmieli spuścić może, a przynajmniej rady szukać u niego.

Gdy czolno ponizej mostu w znany sposób kącie u gospodarza Wenda, bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkało, bezpiecznie umieścił Zaklika, odzawszy się po oczy płaszczem i kapelusz nacisnąłszy, posunął się do miasta.

Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznął po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Zdala już gorejącą nad ogrodem Hesperią w Zwingrze widać było iluminację. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowej. W ulicach ludzie się strumieniami w różne

• strony leli, a między niemi i niejedną maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał panował wszędzie, znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanemi uliczkami, Zaklika, szukając zmroku, popod domami, z których niewiele oświeconych było, dostał się niepostrzeżony do Judenhauzu na Pirajską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O tej godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może sług nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

W istocie co żyło, poszło patrzeć na bal do Zwingru, pod golem niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych, kręcący się i szumiący z południowych krajów szałem i wrzawą. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmanna, który wyszedłszy do sieni, ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził niepostrzeżonego od służby do swojego gabinetu wtyle domu.

Scisnęły się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już nieniowego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschodniego typu, bez zmarszczek, spokojna, malowała charakter z życiem przejednany, znający jego warunki i ostygły już wielce.

Czarne oczy patrzały chłodno i rozumnie, a mimo ich ostygnienia czuć było, że je coś ogrzaćby potrafiło.

Zaklika, przywitawszy go, obejrzał się niespokojnie; gospodarz domyślił się, o co mu chodzi, i szepnął, uderzając po ręku:

— U mnie jesteś bezpieczny; nikt was tu i nie zna i nie pozna i, gdy trzeba, nie zobaczy.

— Tęgobym sobie życzył — rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak,

i powrócił preśnko. Przysekał krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

— Co się z wami dzieje? — zapytał.

— Dzieje się tak źle — odparł Zakliko, — iż gorzej już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu, z Drelna, a teraz idzie o to, żeby nas pieno i z Pillnitz wypędzić... jeżeli nie gorzej... Nie szczęśliwą tę sciąga zemsta nikczemnych ludzi: trzeba ją ratować.

— Tak jest, tak jest — odparł Lehmann, poprawiając czarnej czapeczki, którą starym obyczajem nosił na głowie — ale siebie nie gubić.

— Myślę, że się to da pogodzić! — odezwał się Zakliko.

— Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

— Cosel uciekać musi — dodał Zakliko.

— Dokąd? — spytał żyd z uśmiechem — chyba za morze; tu sobie panowie, wzajemnie czyniąc przyług, oddają zbiegów.

— Słysz, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann pokirał głową.

— Hrabina — mówil dalej wierny sluga — musi z sobą zabrać, co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac, i co w nim było.

Bankier głową znowu ćał znak potakujący.

— A czy bezpiecznie, uciekając, zabierać z sobą reszty? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburacz Izraelita za głowę.

— Jużto, wierzcie mi — rzekł, — radbym hrabiniem z duszy dopomóc; znam jej historię, znam charakter: była to jedna perła w tem blocie. Winieniem ja jej wiele i pomogę chętnie. Żyd jestem, ale serce mam i uczciwych ludzi szanować umiem; posłuchajcie mnie! panie Zakliko: siebie, dzieci i rodzinę dla niej gubić nie mam prawa.

— Ja przecie, gdyby mnie na katownie naj-sroższe wzięto, nie wydam was, ani hrabina, ani więcej nikt. Chyba Bóg jeden wiedzieć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał.

— Zgoda — rzekł — trzeba, żeby was tu u mnie nikt nie widział ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną, jak za wszystkimi, szpiegi chodzą.

— Nie bójcie się o to — dodał Zaklika.

— Co mi dacie, to wam prześlę, gdzie będzie trzeba — dodał Izraelita; — rzecz jest skończona.

Jeszcze raz sobie dlonie podali.

Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki: nalał je i siadł.

— Dziękuję wam — odezwał się Zaklika — nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

— A o czemże dowiedzieć się chcecie? — spytał chmurno Lehmann zniżając głos. — U nas tu zawsze gospodarstwo jedno: kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, — w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiataamy z drogi do Königsteinu, lub gdziekolwiek bądź, byle nam nie zawadzało. Litości tu ani serca nie pytać, bo nie ma nieczulszych ludzi nad rozwartnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają; król posługuje się wszystkimi, obsypuje łaskami, gdy potrzebni, i gardzi nimi... Wszystko jedno: jest to, co było wczoraj i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

— Król więc zakochany? — spytał Zaklika.

— On? zakochany? — odparł Lehmann — a czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoją religię na waszą znaie-

niał, iż nie wierzy, aby cokolwiek mieniał, bo nie miał tak same z tą miłością, której nigdy nie było.

— A Denhoffowa?

— Al! al! — zawołał Lehmann — co ma być? pieniądz zbiera i klejnoły: król już pono myśli zawczasu, za kogo ją wyda, gdy mu się uprzykrozy. Siostrę jej hetmanową Friesenowi swatają, a ją? no weźmie Haxthausen, aibó Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

— Cóż tu się chcesz nowego dowiedzieć? tu się ludzie zmieniają, nie rzeczy.

Chwilę potem jeszcze pociechu mówili z sobą, Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowej, wpuścił go i klucz mu zostawił. Pożegnali się, mrucząc. Zaklika, owinięty płaszczem, poszedł dalej... Nie sądził, aby niebezpiecznym było podsunąć się z tłem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć, jak to tam teraz wyglądało; zdawało mu się, że się niewidzianym przesunię.

Już był w zamkowej ulicy, pełnej przesuwających się masek, *nobles venitiens* i domin, gdy ktoś po ramieniu uderzył...

Zwrócił się zdziwiony: za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

— Jakżeście mnie poznali? — zapytał Zaklika.

— Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was nie ma nikt — szepnął Fröhlich, — ale cóż wy tu robicie? Syszałem, żeście byli u dworu tej... tej, która upadła?... a teraz?

Zaklika dla utajenia się odparł żywo:

— Nie było tam co robić opuściłem gol

— To rozumnie — rzekł Fröhlich — wszystko do-

bre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcej szanować... Cha! cha! niech każdy ratuje się, jak może! Powróciliście więc do służby króla? czy może już Denhoffowej służycie?

— Jeszcze nie — odparł Zaklik — a jakże się ona wam wydaje?

— Mnie? — zapytał Fröhlich — ona mi się wydaje, jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kąsają, które się zdaje łatwo zgnieść a trudno złapać.

Począł się sam smiać i zatknął sobie usta.

— Pierwszy nietoperz, którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywał się im i przysłuchiwał zaczął. Zaklik chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę.

Fröhlich natychmiast się wysunął.

Z pod czarnej maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać: „co tu robisz? co robisz?”

Nie miał już Zakliką lepszej odpowiedzi do dania nad tą, którą zbył Fröhlicha.

— Szukam służby — rzekł.

— To ci się twoja pani sprzykrzyła...

— Nie jest ona panią dziś i slug nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednej z bram zamku wychodzących w ulicę, Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jej sklepienie, którą kilka mdlych oświecało latarni.

— Szukasz służby, a jakie jżebyś żądał?

— Jestem szlachcic, szlacheckiej służby wymagać mam prawo, takiej, która się przy szabli lub szablą odbywa.

Hiszpan coś zamruczał.

— A Cösel? gdzie Cösel?

— Zapewne w Pillnitz? nie wiem.

— Chodź za mną.

— Dokąd?

— Nie pytaj, przecież się nie lękasz?...

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł, iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga.

Pomimo maskarady na Zwingrze Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodzili i wysuwały się, kilku, co woleli siedzieć u kielichów, nie ruszali się; Flemming spodziewał się nawet króla na chwilę.

Wrzawa buchała z pokoju, w którym gościć się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho i generał żwawo poszedł do progu. Cichym głosem zwołał na Zaklikę, aby szedł za nim i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu. Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek, pochylony nad niemi, pisał coś szybko... Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za nimi.

— Kiedy rzuciłeś służbę u Cösel? — zapytał.

— Kilka dni temu.

— Cóż myślała?

— Urządała się w Pillniż...

— I siedzieć myśli? — zapitał Flemming.

— Ja sądzę...

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrzepali głowami.

— Jakżeś się z nią rozstał?...

Zaklika zmiarkował, że obudzając zaufanie, o czemś potrzebnem będzie się mógł dowiedzieć.

— Zostałem wypędzony — rzekł, — bo tam teraz mało sług potrzeba.

- A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?  
— Doskonale.  
— I przyjąłbyś służbę inną?  
— Czemu nie?  
— Choćby, choćby — dodał Flemming — wymagała żebyś przeciw dawnej swej pani wystąpił?  
— Ja nie mam pani, ani pana, oprócz króla jedności — odparł Zaklika, — bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu, śmiejąc się do rozpuku.

- Za dwa dni przyjdź tu do mnie! rozumiesz?...  
— rzekł cicho.

— Rozumiem — szepnął Zaklika.

Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem.

I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tem pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą; przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Stąd wyszedłszy, lepiej się otulił płaszczem, zajrzał do miejsc kilku, pomówił z kiuku poufałymi, na przedmieściu zapukał do jakiejś chaty i tak zmarudziwszy do późnej nocy, siadł na czolno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę robiąc z całych sił niemi, puścił się z powrotem do Pillnitz.

## V

Miedzy innemi wiadomościami, które Zaklika zaciągnąć, była i ta, że nazajutrz znowu maskarda wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczerzy i jakiegoś widowiska... Ponieważ pani Denhoffowa, hetmanowa Pociejowa i ma-

ka ich marszałkowa Bielinska, wszyskie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arje włoskie... opera najczęściej je do pół-wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerty grywał Tartini, Santa Stella występowała jako primadonna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Bercelli, ściągnięci byli pańską zapłatą do Drezna. Aldrovandini malował dekoracje, Bach dyrygował muzyką.

Z równem staraniem urządżony był balet, a potem komedja francuska.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król, wśród tych maskarad i redut, często zimaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nastręczały. Na dzień następny naznaczona była wenecka maskarada z jarmarkiem... Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pociejowa także... Król rozesłał rozkazy, aby mu się ktoś żyw stawił i żeby na placu było tłumne. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nic wówczas nie kosztowało spędzić tysiące ludzi ze wsi pobliskich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysów pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązałszy czolno na swoim miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uśpionym i niepostrzeżony wkradł się do swej izby, oczekując w niej, izby się pani obudziła.

Nie było chwili do stracenia: zaledwie się okna otwarły, przeszedł się przed niemi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać; rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczna. Hrabina, zoba-

czywszy go, wyszła zaraz i znalazła się u brzegu Elby.

Zaklika zdał jej szczegółową sprawę ze wszystkiego, a najpierw ze swej rozmowy z Lehmannem. Zdawało mu się i niemożnością i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, aby najmniej obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabiny zawieźć do Drezna tak, aby mógł wcześniej nazad powrócić. Ciężkie kuferki i szkatuły w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwigania, siła nadzwyczajna Zaklikiego pozwalała podolać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko... Konie, przez Zaklikę zgodzone, miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o zmroku. W domu urządzić chciał Zaklikę tak, ażeby się jak najdłużej odjazdu hrabiny nie domyślano. Przeprzęgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieję, że nim do Drezna dojdzie o ucieczce wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiej, gdzie jej, jak się spodziewała, ścigać nie zechać.

Z wielką przytomnością umysłu zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklikę się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi...

Słysząc to, oniemiał Zaklikę i pobladł.

— To być nie może — zawałał — to dobrowolne rzuczenie się w paszczę! Pani będziesz poznana... a wówczas...

Cosel potrząsnęła głową.

— Chcę — rzekła — i tak być musi. Znasz mnie, wańcań, że mam wolę żelazną, że jestem uparta, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę jego widzieć, muszę ją widzieć; to nie fan-

fazja, to potrzeba, to lekarstwo. Chcę spojrzeć na nich, aby stracić tęsknotę a nabraci obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i kocham.

— Lecz pani narażasz się.

— Doskonale wiem, na co się narażam... — przewała Coseł. — Mogą mnie pochwycić i zawieźć do Königsteinu, czy do jakiego tam zamczyska; mogą mnie zabić... ale ja muszę tam być. Na obronę życia mieć będę oręz przy sobie, resztę zostawcie mnie...

Zaklika zbladł, załamał ręce; lecz znając Coseł, nie odezwał się więcej.

Hrabina szybko weszła do domu, ażeby go zaraz do Drezna odprawić z tem, co najdroższego miała... On poszedł natychmiast przez Gottlieba nakazać zaprząć do bryki, dla odwiezienia podarków i rzeczy przeznaczonych dla dzieci. Nie obudziło to szczęściem żadnego podejrzenia. Parobczak, który miał powozić, dobrany był taki, co nie znał miasta i niewiele miał w gębie języka. Zaklika zamierzał go jeszcze w drodze podpoić dla bezpieczeństwa. Sam przynosił szkatuły, okrywszy je bielizną i sukniami, tak aby ich widać nie było... siadł na wóz i nie żałując koni, ruszać kazał. Wyprawa ta dobrze się powiodła, chłopak upił się, nim dojechali do miasta, tak, że ani ulicy, ani domu, do których się skierowali, wskazać był nie mógł. U furtki ogrodowej Lehmanna, którą sam otworzył, poskładawszy szkatułki i zamknąwszy ją od uliczki, bezpiecznie poprzenosił je niepostrzeżony do izby bankiera. Żywa dusza nie widziała go tu... Ścisnąłwszy dloni uczciwego Izraelity, wymknął się nazad, a że chłopca znalazł śpiącego nasianie, sam ujął konie i popędził, nie popasając, do Pillnitz.

Tymczasem Coseł żegnała to spokojne ustronie, gromadziła papiery, paliła listy i musiała to wszyst-

ko dopełnić tak, aby żadna ze sług nie zobaczyła nic nadzwyczajnego i przedwcześnie wydać jej nie mogła. O zwykłej godzinie podano obiad, gdy niespodzianie zjawili się nań z Drezna hrabia Friesen i Lagnasco, zapewne z poleceniem zajrzenia, co się tam działo.

Hrabina miała tyle mocy nad sobą, iż ich prawie wesołą twarzą przyjęła, usiłując nie wydać się z tem, co nosiła na duszy. Owszem, udawała zrezygnowaną, zajętą ogrodem i domem, przywiązującą najwyższą cenę do tego spokojnego ustronia, a zobojętniałą na to, co się w stolicy działa mogło.

Rolę tę przeplatając żalem do króla i wyrazami czułości dlań, czyniła ją tak prawdopodobną, że przybyli wcale się nie domyślali udania.

Hrabia Friesen miał interes, prosił o pożyczczenie dość znacznej sumy. Coseł go lubiła, gdyż dał jej nie raz dowody przyjaźni: uśmiechając się odmówiła mu.

— Mój hrabio — rzekła, — jestem uboższą niż ci się zdaje. Król zwykle odbiera, co raz dał; każdej chwili mogę resztę utracić; nie mogę ci służyć; daruj.

Friesen przyjął to bez gniewu.

Goście, opowiadając o nowych zabawach, o królu, o pani Denhoffowej, o dworskich przygodach i wróżbach przyszłości, zagadali się do wieczora. Szczęściem musieli wracać na maskaradę obowiązkową, bo król nie przebaczyłby jej opuszczenia i pożegnali wkońcu gospodynę.

Zaczynało zmierzchać; hrabina Coseł skarżyła się przed swoim dworem na ból głowy, ze zmęczenia rozmową pochodzący, i oświadczyła, że tego dnia wcześniej się spać położy. Nakazano ciche sprawowanie się we dworze. Zaklika sam obszedł wszystkie kąty, zalecając zachowanie się spokojne. Coseł wcześniej niż zazwyczaj zamknęła się w swoim pokoju.

Gdy gęstszy mrok padł, Zaklika, który w płaszczu i przy pistoletach koło domu stróżował, obrawszy chwilę, zapukał do małych drzwiczek wychodzących ku ogrodowi. Wysunęła się czarna, zakwefiona postać i niepostrzeżona chwyciwszy rękę Zaklikiego, zbiegła ku brzegowi Elby. Tu czelno czekało i cicho odbilo od brzegu nie potrzebując wiosła, bo płynęło z wodą. Gęste trzciny i lozy zakrywały je przed oczyma ludzi nawet we dnie, teraz zaś nie było nikogo, coby je mógl dostrzec. O kwadrans może drogi stąd niedaleko od brzegu, na który w pustem zupełnie miejscu wysiedli, znaleźli wedle obietnicy powóz niepozorny, ze czeremą końmi i woźnicą. W tych czasach przygód dworskich i awantur miłosnych nikogo dziwić nie mogło, że w nocy wymykała się kobieta.

Zaklika, do powozu wsadziwszy Cosel, która najmniejszej nie okazywała obawy, sam siadł z woźnicą i ruszyli tak do Drezna. Tu miała już umówiony dom i gospodę u brzegu Elby, gdzie wysiąść mogli i później znaleźć mieli powóz inny i konie do pośpieszniejszej nocą dalszej podróży.

Parę mil do Drezna przebieżono bardzo prędko. Tu Zaklika spróbował jeszcze hrabinę skłonić, ażeby się wyrzekła niebezpiecznej wycieczki na rynek: odpowiedziała mu ruchem ręki i jednym słowem. Zaklika w domino ubrany, w masce, miał jej towarzyszyć, nie oddalając się na krok.

Powóz porzuciwszy u mostu, szli dalej piechotą.

Dnia tego osób było więcej jeszcze, wrzawa i wesołość wzmogły się, lud drezdeński, który z tych zbytków korzystał, chętnie się bawił niemi. Domy w zamkowej ulicy postrojone były i oświecone lampami, ulica nabita powozami, ludźmi, końmi i lektykami, tak że przecisnąć się było trudno.

Hałas ten, śmiechy, pisk, od których Cosel była

odwykła, a których nigdy bardzo nie lubiła, z początku przykro na niej uczyniły wrażenie; kilka razy jakby zwątpiwszy o swych siłach, przycisnęła się do muru, nie mogąc iść dalej, to znowu jakby pchnięta myślą jakąś czy uczuciem podbiegła żywo. Zaklika osłaniał ją i czuwał nad nią.

Godzina była właśnie, gdy największy tłum na rynku się zgromadził. Na galerji ratuszowej muzyka w dziwnych strojach odegrywała fanfary, dołem roły się maski naiosobliwsze.

Dokoła rynku stali w kwiaty poubierane stragany, budy, ławki, sklepiki, przy których postrojone panie we wschodnich ubiorach sprzedawały drobne fraszki, napoje i łakocie. Koło kuku z tych bud pokaźniejszych, największym ściskiem otoczonych, rozlegały się śmiechy. Iluminacja rzęsista otaczających domów rzucała blaski jasne różnych barw, na jaskrawy tłum malek i domin.

Wśród nich arlekiny i poliszynelle na wystawionym umyślnie teatrzyku odegrywali improwizowane farsy. Tu także widzowie stali gęstą ciżbą, bijąc w dlonie i śmiechem jednym, wielkim, napełniając chwilami rynek, głusząc muzykę.

Spiewy, kapela, dzwonki, krzyki, śmiechy, wołania, wszystko razem tworzyło gwar straszny, w którym ucho nic rozeznać prawie nie mogło. Zwało się to wesołością, a było kipieniem chaosu. Dla oka widok tego rynku równie był przykrym, ze swą ruchawą powierzchnią falujących głów, podnoszonych rąk, skaczących postaci okrytych łańcuchami i świecidiłami, w najkrzykliwszą zlanemi pstrocznę.

Czasami na tle jaskrawem wybitniej wypłyngła na chwilę figurka wdzięczna lub widmo poczwarcie i wnet zasiadały je pokrzyżowane, połamane okruchy ludzi zbitych w jedną nierozplątaną masę.

Z okien kamienic wyglądały te strojne popiersia

kobiet, to szare i ciemne jakieś postacie ludzi smulnych, zmuszonych z wierzchołka nędzy patrzeć i przysłuchiwać się szaleństwu. Niekiedy trzaskały zamknięte jak piorunem drzwi kamienicy, czasem z okna wylecial improwizowany fajerwerk, z innych sypano na wyciągnięte dlonie cukierki, owdzie piasek i kamyki.

Cosel w końcu ulicy zamkowej stanęła, jakby jej serca zabrakło znowu iść dalej. Zawahała się.

Zaklika skorzystał z tej chwili i szepnął raz jeszcze prośbę:

— Pani, wróćmy się.

Zamiast odpowiedzi, jakby popchnięta jego słowem, Cosel posunęła się żywiej ku rynkowi, oglądając wzrokiem ciekawym...

Na kilkanaście kroków przed nią stał jeden z tych *nobles venitians*, w kapeluszu z piorem czarnem, w aksamitnej sukni, ze złotym na piersiach łańcuchem, w czarnej maseczce. Stał, wziewszy się w bok, w postawie tak malowniczej, tak zręczny i piękny, iżby malarzowi za wzór mógł służyć. Około niego roily się maseczki, u boku jego dwóch podobnie ubranych stało, nieco się cofnawszy.

Cosel na pierwszy rzut oka poznała Augusta. Herkules Apollo nic miał równego sobie w kraju, w którym o pięknych mężczyzn nie było naowczas trudno. Zawahała się nieco... lecz wprędce, nabrawszy mestwa podstawiła ku niemu.

Chociaż ciemny strój dosyć ją okrywał, Cosel też mogło wprawne poznać oko. Do zgonu zachowała ona majestat piękności, szlachetne ruchy, wdzięk kształtów niezrównany. Król, spojrzawszy na nią, zadrzął widocznie, lecz zdawał się oczom nie wierzyć.

Nie zaczepiając go, Cosel przeszła przed nim parę razy echoistna. August posunął się ku niej.

Zdawało się, że ją zaczepi: wstrzymał się z jakąś obawą. Maseczka spojrzała nań, jakby go wyzywała; August podszedł.

Dwór cały mówił po francusku i w tym języku rozpoczęła się rozmowa. Hrabina zmieniła głos, który drżał mimowolnie: August nie zadawał sobie tej pracy.

Co się działo w biednym sercu kobiety, która wyrazić potrafi.

Zbliska przypatrywać się jej król zaczął.

— Na honor! — zwołał — piękna maseczko... pochlebiam sobie, że znam was tu wszyskie... a jednak...

— *Mnie, nie...*

— A wy znacie kto jestem?

— Ja was znam.

— Któz taki?

Zadrżały głos, potem nagle wyrwało się słowo i pobiegło wprost do ucha:

— Kat!

Król się wyprostował dumnie.

— Zły żart...

— Najsmutniejsza prawda.

August popatrzał na nią.

— Jeśli mnie znacie — rzekł — a śmiecie rzucić mi tem słowem w oczy... powiedziałbym i ja, że was znam, a jednak, nie: to nie może być.

— Nie znacie mnie — śmiejąc się, powtórzyła Coseł.

— W istocie i ja tak sądzę. Nie możecie być tą, której się domyślam, bo ta nie miałaby ani odwagi przyjść tutaj, ani pozwolenia.

— Kobieta — zapytała maska, — kobieta nie miałaby odwagi? kobieta pytałaby o pozwolenie?

I roześmiała się.

Król drgnął, jakby w tym śmiechu coś go uderzyło; chwycił jej rękę: wyrwała mu ją z pręsiechem.

— Intruzieś mnie, piękna maskotka — edzwał się — a mów sz, że nie zna sz.

— Nie znam... — odpowiedziała Cosel — nie. Niemniej znałam kogoś, co był podobnym do ciebie, ale ten ten miał serce królewskie, szlachetność pańską, duszę bohatera... a ty...

Król, jak zwykl był, gdy nim owładnął gniew, zaczerwienił się mocno i natychmiast poblał.

— Naseczko — zawołał — to przehodzi coś granicę swobody karnawałowej...

— Swoboda jest niesograniczona...

— Więcż do końca — rzekł król — a ja?

— A wy...

Znowu Cosel głosu zabrakło.

— Jeśli nie jesteś katem, toś igraszką w ręku sprawców.

— Cosel! — zawołał nagle August — chwytając ją za rękę.

— Nie, nie! — wyrywając ją, krzyknęła ze śmiechem szyderskim maska. — Jakżeby ona tu być mogła i tak spokojnie zanieść widok stupy na swoim pogrzebie: widziałam ją niegdyś: znam kobietę, której imię wyrzekłeś. Miedzy mną a nią niema nic wspólnego. Tamtą zli ludzie zabili i pogrzebali: ja żyję.

Król słuchał milczący i pomieszany. Nagle Cosel zbliżyła mu się do ucha, rzuciła w nie kilka słów, których tylko śmiech suchy zaszelesiał w powietrzu, i nim August się opamiętał, znikła.

Król rzucił się za nią, lecz zręczna Cosel wmieszala się w tłum i poza osłaniającym ją Zakliką wbiegła za stojącą stragany. Tu płaszcz swój cały czarny miała czas zerwać z ramion z pomocą Rajmunda i czerwoną jego podszewką osłonić ramiona, tak, że gdy drugą stroną wybiegła na rynek, nikt w niej już pierwszego nie mógł poznać zjawiska.

Zaklika napóźno ją wstrzymać usiłował, znała dobrze z lat dawnych tego rodzaju maskaradowe jarmarki i ich obyczaje, biegła więc wprost tam, gdzie Denhoffową znaleźć się spodziewała. W trzech straganach naprzeciwko ratusza ustawionych, z których średni przystrojony był na wzór neapolitańskich *Aqua fresca*, w wieńce z cytryn i pomarańcz, siedziały: pani Pociejowa, przy której służbę odprawiał z gitarą na wstążce, stojący przy niej hrabia Friesen; pani marszałkowa Bielińska, ubrana za Wenecjankę, przy której stał na straży Montargon, i pani Denhoffowa w neapolitańskich kobiet stroju, cała okryta klejnotami.

Była to małeńska kobieciąka, młodziuchna, z twarzą wielce zmęczoną, na której miejsce rumieńca zastępowały róż i bielidło, z melancholicznym wyrazem, źle ukrywającym figlarność i pustotę. Budkę jej otaczała młodzież, a najbliższej kręcił się Besenval, poseł francuski, który ją dowcipami do śmiechu tłumionego pobudzał.

Cosel udało się stanąć tak zboku, że się jej dobrze mogła przypatrzyć, a z pod maski pogardliwe widać było i gniewne razem oczy. Jakby czując ten wzrok na siebie zwrócony, Denhoffowa wstrzęsła się i pochyliła nieśmiało w tę stronę.

Cosel wyciągnęła rękę cudnych arystokratycznych kształtów po szklankę limoniadę, którą Denhoffowa częstowała.

— Piękna gospośiu — rzekła głosem, w którym drgało wzruszenie — zlitujże się nad spragnioną... nie proszę o jałmużnę, wiem, że sobie za wszystko płacić każesz.

Pokazała jej w palcach sztukę złota.

Denhoffowa, jakby przeczucując jakąś groźbę, drżącą ręką rozlewającą się podała szklankę.

— Słówko jeszcze — rzekła Coseł, przysuwając się jej do ucha — spojrzyj na mnie!

To mówiąc, odjęła tak maskę, że tylko Denhoffowej mogły być na chwilę widoczne rysy jej twarzy.

— Spojrzyj na mnie, wraż sobie te rysy w pamięci: jest to twarz nieprzyjaciółki, której przekleństwo ścigać cię będzie, płochą zalotnicę aż na łóżu śmierci. Przypatrz się mi: jest to ta, której się lękałaś, którą chciałaś osadzić w więzieniu, którą pozbawiłaś serca króla, która cię dzień i noc przeklina. Pamiętaj, ze ciebie gorszy los czeka: ja odchodzę czysta, zdradzona, niewinna; ty wyjdziesz stąd zbrukana i sponiewierana bez czci, jak ostatnia z ostatnich. Chciałam cię widzieć i powiedzieć ci to słowo, choćbym je życiem miała przyplacić i rzucam ci w twarz niem: jesteś nikczemna! jesteś podła!

Denhoffowa, przelekoniąca, pochyliła się i zaczęła mdleć; około straganu zrobiła się wrzawa i ścisk; król nadbiegał: Coseł wyśliznęła się zręcznie i wraz z Zakliką rzuciła w małą boczną uliczkę.

Poza sobą słyszeli zmieszane głosy, tłumnie cисzące się fale ludu, i krzyki i nawoływanie żołnierzy... Zaklika ściskał w ręku pistolet, który pod płaszczem trzymał, Coseł biegła przed nim żywo. Coraz mniej wyraźna ścigała ich wrzawa, która się zmieniła w jakieś mruczenie i szum głuchy... Na sąsiednich większych ulicach przebiegały konne patrole, powozy i jeźdźcy przelatywali je żywo; zauważając jednak najmniejszy zakąt miasta, Zaklika mógł bezpiecznie przeprowadzić Coseł do bramy miasta.

Na nieszczęście nim do niej dojść mogli, przyszedł rozkaz z zamku, ażeby wrota wszystkie zamknąć i żadnej nie wypuszczać kobiety... Nadrodze już usłyszeli o tem rozmawiające panie,

które wyjechać chciały, a którym nie dozwolono z miasta się ruszyć do jutra. Zaklika, zasięszawszy to, pobiegł do nich i spytał, czy ten rozkaz stosował się także do mężczyzn.

— Aż nie — zawała jakaś rezolutna pani, śmiejąc się — królowi tancerek pewnie zabrakło, więc nas tu chcą gwałtem na noc zatrzymać.

Cosel, zmieniwszy płaszcz swój znowu czarną stroną, dotąd dosyć się szczęśliwie w cieniu domów potrafiła przesuwać; dalej jednak niesposób było w tym stroju iść, gdyż kobiet nie puszczano, a twarz i postawa Cosel nazbyt znane były: każdy oficer mógł się jej domyślić.

Zaklika, któremu każda chwila wydawała się wiekiem, pociągnął za sobą Cosel do Lehmanna. Zabawa w zamku ręczyła za to, iż tam teraz pusto było; w istocie stary bankier sam siedział ze swoją rodziną, gdy weszli pocichu i Zaklika zażądał co najprędzej jakiegokolwiek ubioru męskiego dla Cosel.

Lehmann pochwycił co miał pod ręką: płaszcz czarny i trójgraniasty kapelusz nie pierwszej mody. Z mimowolnym pełnym bolesci uśmiechem jakimś, hrabina narzuciła na siebie te suknie... Lehmann blady wypuścił ich tylnymi drzwiami... U wrót, które zdala już widać było parą latarni oświecone, stało mnóstwo żołnierstwa, trabantów kilku na koniach; oficerowie, posiadawszy z nich, przechadzali się wzduż drogi. Zaklika wziął pod rękę hrabinę i środkiem ulicy ją poprowadził. Cosel miała spuszoną głowę i kołnierzem zakrytą twarz.

Gdy podchodziły ku grupie żołnierzy, niektórzy z nich zwróciли się ku nią i zdawali patrzenie z uwagą, ale nikt nie zatrzymywał.

Słyszać było urywaną rozmowę oficerów, śmiejących się głośno.

— Cóż znowu? czy najdroższy klejnot wykradł  
kto z miasta?

— Cha! cha... Szukają owszem Cosel, która  
swoim zwyczajem pono się na królu publicznie  
w rynku pomścić miała.

— Cosell ale tej już na świecie niema!

— Ho! ho! wróci ona, bo się jej jeszcze boją.

— Gdy Teschen upadła, nikt o niej nie myśał;  
ta jeszcze panią, bo drżą, usłyszawszy jej imię.

Drudzy się śmieли.

Wśród tego gwaru przeszli tłum bez przeskoko-  
dy, wsunęli się pod ciemne sklepienie, a gdy mi-  
nęli most na fosie, Cosel lżej westchnęła: była już  
napół wolną.

W godzinę potem ciemną nocą toczył się szyb-  
ko jej powóz gościńcem ku Prusom, a Zakliką,  
z pistoletami w rękach przy woźnicy, przysłuchi-  
wał się niespokojnie, czy pogoni za sobą nie chwyci  
uchem.

Cosel szukano jeszcze w Dreznie i Pillnitz.

## VI

Berlin w pierwszej czwierci XVIII wieku był za-  
ledwie słabym zarysem tej stolicy, jaką został od  
niedawna. Wzniósł się on i zabudował właśnie  
w tej porze i był niemal nowym, a miał już cha-  
rakter właściwy miasta koszar, wojska, klasztor-  
nego porządku i ciszy... Tu nic już naówczas nie  
szło, jak samo chciało, ale jak zgóry rozporządzono:  
wzrost, upiększenie, handel były nakazaną, za-  
prowadzone i wzięte w kluby od razu. Nic smutniej  
nie mogło po Dreznie wyglądać nad ową nad-  
Sprejską stolicę. W ulicach widać było więcej  
żołnierzy niż ludu, bębny i piszczałki głośniej się  
słyszeć dawały niż dzwony, i koszar więcej było

niż kościołów. Po większych ulicach sterczały regularnie ustawione domy, które tam stały, nie że chciały, ale że musiały... Pusto było dosyć... Jednakże Berlin już miał pięć kwadratów i przedmieścia, rozsypane szeroko a nędzne, dokoła... Gdzie niegdzie, wśród domków i domów, pałace familij królewskiej odznaczały się wymuszonym wdziękiem, który wydawał się skąd inąd zapożyczony. Na Spandawskiem przedmieściu świecił tak Monbijou, królowej na Stralauskiem belweder króla...

Wszystko tu było nowe, jak samo państwo: najstarsze gmachy liczyły wiek swój na lat dziesiątki. Parę posągów nudziło się w tej pustyni, para szerokich placów czekała życia i mieszkańców. Tak na Molcke-markt stał już Fryderyk I, przeznaczony pierwotnie do arsenału.

Jeden most na Sprei był już murowany, a zwanego mostem nowym, i zamiast Henryka IV wstawiono nań elektora Fryderyka-Wilhelma.

Pałac królewski z początkiem wieku budować zaczęto... gasił inne wspaniałością... Schluter tak go obwieszał wieńcami, iż z pod nich ścian widać nie było; że zaś po nim dwóch innych go kończyło, każdy swym smakiem: trzy smaki zrodziły rzecz niesmaczną. Berlin miał już naówczas nasiona wszystkiego, co wielkie miasta stanowi, brakło mu tylko życia i ludzi. Teatr, galerię, bibliotekę, muzea, zakładano śpiesznie, napełniano jak było można: jednakże tu, jak w Dreźnie bywało, nie poświęcano wojska porcelanie, ale zato na wagę złota kupowano żołnierzy. I to co Berlin w istocie miał najciekawszego, a w czem spoczywała przyszłość jego monarchii, to było wojsko wymuszone jak maszyna, regularne jak zegarek, poruszające się jak eden człowiek.

Tu stał ów sławny pierwszy bataljon grenadie-

rów największych na świecie, złożony z ludzi z całego świata zbieranych, mogący być wzorem tego, co z człowieka zrobić można w tym rodzaju, i do jakiej doskonałości dochodzi mechanizm militarny. Grenadierów, tych olbrzymów, płacono olbrzymio, choć na inne rzeczy wielka była oszczędność. Niektórzy z nich mieli domy własne i oprócz mustry zajmowali się handlami. Najdorodniejszy z olbrzymów tych, Józef Norweski, którego przywieziono zgarbionym i krzywym, tu się dopiero wyprostował i stał owym ideałem żołnierza, jakim później słynął.

Berlin po Dreźnie był to klasztor po teatrze. Gdy powóz zapylony i zblocony pani Cosel wtopiczył się szczęśliwie w ulice tej stolicy, a piękna hrabina wyjrzała oknem w te piaszczyste puste aleje, na te jakby wymarłe domy, ścisnęło się jej serce; ale tu spodziewała się bezpieczeństwa, spokoju, opieki; tu chciała czekać, aż się może w losie jej coś odmieni.

Z Frankfurtu już wysłany przodem sługa naiął jej przy jednej z większych ulic mieszkanie, które po pałacach, jakie niedawno zajmowała, wydało się jej nędznem i biednem, choć było tylko zimnym, niezameszkanem i puskiem.

Ale dla niej była to tylko gospoda... Zaklika siadła drugiego dnia na straży: urządzone, co było potrzeba do życia. Cosel zajęła ciemny kąt, w którymby o niedoli swojej marzyć mogła, i nowe gospodarstwo się rozpoczęło: smutne dni, długie a jednostajne.

W Berlinie wszakże incognito nikomu pozostać nie było wolno. Trzeciego dnia Cosel oznajmiono odwiedziny marszałka Wartesleben, gubernatora Berlina, a drugi marszałek Natzmer, dowódca żandarmów, często przejeżdżając się ulicą, domowi się przypatrywał.

Wszyscy byli bardzo grzeczni.

Z wysokich sfer doleciała wiadomość, że tam przybycie hrabiny, a nadewszystko przekaz na znaczne summy od Liebemannna bankiera, widziano okiem bardzo przyjaznym. Z Drezna pomimo ścisłych stosunków trzech Fryderyków nie zdawało się grozić nic, i Cosel spodziewać się nie mogła, aby ją tu jeszcze prześladować chciano.

Tu dopiero wśród tej samotności mileżącej, w powiecie tego miasta głuchego, które zasypiało o zmroku, wśród tej ciszy złowrogiej, cały ogrom nieszczęścia stanął przed oczyma tej, która nań była skazaną.

Goryczą zapłynęło serce. Całe dnie siadywała nieruchomo, nie mówiąc słowa, z oczyma czarnymi wlepionymi w ścianę, lub na ulicę, duchem i sercem uciekając w czasy ubiegłe.

Serce jej zadawało sobie pytanie, czy tak łatwo przestać kochać, czy tak łatwo można zapomnieć: czy za szczęście doznane tak prędko można niewdzięcznością płacić?

Charakter króla wydawał się jej poczwarną zagadką! Przypominała sobie czułość jego, dowody przywiązania, niedawne jeszcze triumfy swoje, a jego przysięgi, i nie mogła pojąć upadku.

Nie zwątpiła o królu, wątpiła o człowieku: mężczyzna cały, jak go Bóg stworzył, zdawał się jej dzikiem szyderstwem. Nie rozumiała życia, nie pojmowała przysięgi, naigrawania się ze świętości, oplwania przeszłości i zadania jej kłamstwu. Świat wydawał jej się czemś niezrozumiałym. Pytała własnego życia i szukała w nim winy, czując karę: nie mogła znaleźć tak wielkiego grzechu, jak była bolesć.

W kilka dni kazała sobie przynieść biblię.

W kilka dni także wszedł około południa Za-

klika, który przychodził zwykle tylko, gdy był zawołyany, lub gdy musiał coś oznajmić. Stanął w progu ze spuszczonimi rękoma: Cosel podniosła głowę ku niemu.

Milczał długo.

— Co powiesz, Zakliko? coś niedobrego?

— A gdzież na świecie dobre! — rzekł — chodzą już koło domu szpiegi, pytają; chciałem tylko powiedzieć, abyś się pani ich strzegła. Nie mylę się, przedzej czy później zjawi się tu pewnie ktoś z oświadczeniami przyjaźni: zamknij, pani, usta.

Hrabina się zmarszczyła.

— Musisz mnie już znać — rzekła — że ja i milczeniem kłamać nie umiem. Niajam odwagę jemu i jej rzucić obelgą w oczy, będę mieć męstwo powtórzenia to każdemu, co słuchać zechce.

— Pani — odważył się dodać Zakliko, choć spuszczeniem głowy dala mu znak, że rozmowa ma być skończona — pani, nacóż ich jątrzyć i zemstę wywoływać? I tak kłamać będą.

Nie odpowiadała już nic uparta Cosel, z oczów spuszczonej potoczyły się dwie łzy gorzkie; Zakliko wyszedł.

We trzy dni potem młody, ładny mężczyzna każał się zameldować do hrabiny.

Był to van Tinen.

Hrabina znalazła go z tego, iż raz już był do niej wysyłany dla układów, do których chciał przyjść jak Watzdorf niewczesnymi oświadczeniami gorącej miłości. Te obelżywe oświadczenia musiała ona znosić cierpliwie, choć ją obrzydzeniem dla nikczemników napełniały.

Przyjęto van Tinena.

Oświadczył najprzód, iż się niezmiernie zdziwił, gdy będąc w Berlinie, dowiedział się o pobycie jej tutaj, o którym jakoby wcale nie wiedział wprzódy.

Cosel spojrzała mu w oczy z szyderstwem.

— A gdzieś, pan, był, gdym opuszczała Saksonię?

— Ja? — rzekł van Tinen — byłem w Dreźnie nawet tego wieczora, gdyś pani pono o młodości przyprawiła nieszczęśliwą Denhoffową, ale gdy się to raz uciszyło, nie dowiadywałem się, dokąd się pani udać podobalo.

— Tak, więc się bardzo cieszę — odpowiedziała Cosel — iż mogliście o mnie zapomnieć: nic więcej teraz nad to nie życzę.

— Ja sądzę — odparł van Tinen — że i tam radziby być pewni, iż pani wyrządzonych sobie krzywd zapomniała także.

Milczały czwile, van Tinen szepnął:

— Móglbym pani wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy...

Zakrawało to na chęć wkradania się w łaski u Cosel, na zyskanie zaufania.

— Ja-m nie ciekawa — smutnie roześmiała się Cosel — myślisz, pan, ze mnie cokolwiek dziś jeszcze obchodzić może? Wierzyłam dawniej w tych szalów szczerość, myśląc, że z serca się rodzą: dziś wiem, że je tworzy pycha i pustota...

— Bawimy się nadzwyczajnie — rzekł, jakby nie rozumiejąc, van Tinen. — Nie są to rzeczy nowe dla pani, która w tylu świętniejszych zabawach byłaś królową; jednakże...

Znać chciał wyznania, Cosel milczała; van Tinen, śmiejąc się, po dobrej woli opowiadać zaczął:

— Miejsca te dobrze pani znane, bo niegdyś w Laubegast pono...

— Mieszkalam tam szczęśliwsza — szepnęła Cosel, — a! to prawda.

— Flemming na równinie pod Laubegast, prawie naprzeciwko Pillnitz, dawał wielką fetę dla króla i Denhoffowej.

— Al! al! — zawała Cosei.

— Sześć naprzód pułków wyszło w pole — mówił przybyły — cała królewska lejb-gwardja konna użyta była. Na wyżynach rozstawiono działa i wojska tak rozporządzono, ażeby dwór miał widowisko prawdziwej wojny. Jakoż udało się wszystko przepysznie. Rozdzielone pułki postępowali, dając ognia, nacierając, a choć oprócz kilku wywróconych i podeptanych, nikomu się nic nie stało, można było przysiąc zdala, że bitwa była najzańczejsza i przelew krwi okrutny. Król przypatrywał się temu igrzysku, z jednej strony mając przy sobie Denhoffową, z drugiej hetmanową Pociejową, obie konno, jako amazonki. Otaczał go cały dwór na pysznych rumakach... Reszta dam w poszóstnych powozach patrzała, nie wysiadając z nich, a był cały świat niewieści.

Cosei uśmiechnęła się szydersko.

— Teraz mu dwie towarzyszy — rzekła, — widoczny postęp, a w odwodzie ta arjer-garda w powozach. O! rzeczywiście to wspaniale i po królewsku.

Van Tinen zniżył głos.

— W istocie te dwie — dodał — nie są wcale o siebie ani o nikogo zazdrośnie. Ale wracam do mojego opisu — począł znowu: — nieopodal rozbite były wspaniałe namioty. Pod jednym z nich król obiadował, mając przy sobie: Denhoffową, Pociejową, Bielińską, i co najprzedniejsze osoby z towarzystwa.

— I pan tam byłeś? — spytała szydersko Cosei.

Van Tinen się zarumienił.

— Nie, ja-m był w drugim namiocie, ale wiadziałem doskonale wszyskiego. W czasie obiadu muzyki nam przygrywały, a na vivat bily działa i tak naprzemian grzmot armat i trauby towarzyszyły wesołym okrzykom.

— Prześlicznie — rzekła Cosei — i koniec?

— Nie, to dopiero początek. Po obiedzie nastąpiła zabawa, ze stołów nie zbierano, Flemming chciał resztkami nakarmić żołnierzy; ale że chleba brakło, w każdy kawałek chleba wetknęto po golenie i użyto ich przeszło tysiąc. Zatrąbiono wtedy do szturmu... Żołnierze, stojący w bojowym porządku, posunęli się mążnie ku półmiskom, ale ci, co ich dochwycili się pierwsi, pod naciskiem drugich zostali złamani; padli: trzeci szereg pchał drugi. Stoły się wywracały, ludzie się dusili, kupy żołnierstwa wiły się po ziemi; widowisko było przepyszne: pękały od śmiechu! Trwało to pót, póki resztek potraw stało i nie zatrąbiono do odwrotu. Król zdalał odpoczywał na pagórkiku z damami... Gdy wieczór nadszedł, w królewskim namiocie rozciągnięto kobierce; stanęły muzyki, zaczęły się tańce i trwały ochoczo do siódmej wieczorem. Flemming przez cały czas chodził z kielichem od gościa do gościa; zaklinał, całował, prosił, lał, przepijał i sam ponownie rajpierwszy upił. Król także zdawał się w nadto dobrym humorze, ale majestat pański umiał utrzymać, tak że nikt tego nie poznał. Przypatrywał się z politowaniem służbowemu szambelanowi jego królewskiej mości, który stał za nim godzinę, trzymając na tacy szklankę wody, a że wprzód sam coś innego znać pił, niedobrze się mógł na nogach utrzymać, i gdyby go kto wówczas palcem trącił, byłby się niechybnie wywrócił. Nigdym Flemminga w takim nie widział humorze.

— Nie dziw — rzekła Coseł — obchodził swoje triumfy, a mój upadek.

— Nareszcie król zabierał się wychodzić —kończył van Tinen, — gdy pijany Flemming rzucił mu się na szyję z poufałością braterską, nie zważając, że tyle oczów na nich patrzało, i ozwał się głośno,

tak, żeśmy to wszyscy usłyszeć mogli: „Bracie ko-  
chany bracie, kwita z przyjaźni naszej, jeżeli mnie  
opuszczysz”<sup>8</sup>). Pani Denhoffowa, która króla na kroku  
nie opuszcza, zaczęła hamować Flemminga; ale to  
przychodziło z trudnością: Flemming był tak szczę-  
śliwie pijany, iż nie już nie widział przed sobą  
oprócz ludzi równie jak on napiętych. Gdy go Den-  
hoffowa za rękę chwyciła, on ją o mało nie przy-  
cisnął oburacz. Wydała mu się fajna i powiedziała  
jej to tak wyraźście, iż aż krzyknęła z oburzenia  
i gniewu; ale w tejże chwili zaczęła się do ro-  
puku śmiać. Pomimo tych zakłęć, król i Denhoffo-  
wa dostali się na konie i pojechały. Szczęściem  
że zręczny loufer ściągał króla krok za krokiem  
inaczej już lecił z konia. Chciano go koniecznie  
do powozu posadzić... rozgniewał się koniuszegosia  
Racknitz, który cokolwiek za ostro się brał, kro-  
pchnął precz, a na Denhoffową krzyknął: „Dajże  
mi, pani, pokój, znam się z moim koniem: proszę  
się o mnie nie troszczyć”. Jakoż w galop się pu-  
ścił, co konu wyskoczy, a kawaler-gardy, dwór i ca-  
żyło za nim. Hrabina spadła z konia, ale ją ota-  
czający kawalerowie podchwycili... to ją jakoś opa-  
niała i choć konno jezdzi śmiało, zajęła miejsce  
**w powozie.**

— Powinni jej byli pozwolić kark skręcić — ode-  
zwała się Coseł.

— Najzabawniejszy był Flemming — dodał van  
Tinen, bo po odjeździe dam i króla, jeszcze mimo  
nie dosyć było. Okrutną miał do tańca ochotę  
więc brał pozostałe służące i kręcił się z niemal  
raźnie, aż póki nadchodzący ranek nie przerwał  
tej pięknej zabawy. I Flemmingowi nic nie było.

<sup>8</sup> Bruder, ich sagt mir die Freundschaft ist, wenn du weggehst.  
Pam. con Loen'a.

— Przecież — odezwała się hrabina — nie pierwszy tő raz w ten sposób się z królem obchodził. Sam król mi opowiadał, jak po pijanemu nadokazywał: „Słyszę, że Flemming wczoraj trochę się niedo- rzeczy znajdował, ale wasza królewska mość tego mu za złe nie wezmiesz”. Król do czasu śmieje się i przepuszcza — dodaje, — lecz kłóż ręczy, że się nie dostanie kiedyś do Königsteinu; gdy mu się jego przyjaciele, tak jak on, przysłużą. Król łagodny jest baranek — rzekła, śmiejąc się szydersko — nieprawdaż, panie szambelanie, a wiecie dlaczego? dlatego, że gniewając się, popsuiby sobie zabawę. Potem, gdy mu się znuży człowiek, skinię i każe, aby go więcej nie widział: na tem komedja skończona!!!

Cosel zaczęła się przechadzać, van Tinen zmilki przestraszony wyrzeczonemi przez nią wyrazami.

— Nie dziwię się tej goryczy, jaką płynie z ust pani — rzekł, — jednakże...

— Tak, masz słuszność — przerwała — gdybym i ja nie miała serca, nie miała czucia, nie bolała na krzywdę, a targowała się tylko o jej zapłatę, mogłabym mówić inaczej. Mogłabym powiedzieć, że August ma najlepsze serce, że nie on winien ale okoliczności: pierwsza zmarszczka na mej twarzy, znudzenie po tytu latach pożycia, moje gniewy i gwałtowności tak bezprzyczynne! Boć powinnałam była śmiać się z Duval, cieszyć gdy Duparc przyjechała i niewiele więcej warią Denhoffową wziąć za przyjaciółkę! Nieprawdaż, kochany szambelanie? Nie korzystałam z dobrych przykładów, jakie mi dawały pani Haugwitz, Aurora, Esterle i Teschen, chodzące z sobą pod ręce na lipskim targmarku! w takiej zgodzie serdecznej!

Śmiała się spazmatycznie.

— Ja widocznie stworzoną nie byłam do tak dobrego towarzystwa... — dodała — nie umiałam się znaleźć, nie rozumiałam świata ani ludzi: winnam sama sobie. Sądziłam, że w piersiach są serca, że w duszy są sumienia, że miłość nie jest rozpusta, że przyczesczenia są święte, i że królowie słowa dotrzymują. Wszystko to były złudzenia moje, winy moje i grzechy. Dlatego gdy tamte szczęśliwe... ja umieram z upokorzenia, z tęsknoty, ze wstydu.

Van Tinen, słuchając tych wyrzekań, które z ust cudnie pięknej kobiety wychodząc, wrażenie na nim czyniły mimowolne, przejmujące, uczuł się poruszonym, zmieszany, zawstydzonym. Spojrzała nań Coseł z politywaniem.

— Słuchaj — rzekła, zbliżając się do niego — wiem, czuję, żeś ty tu nie przybył przez litość dla mnie, przez ciekawość dla siebie, ale z rozkazu.

— Pani!

— Nie przerywaj mi: słuchaj! Ja ci to przebaczą — kończyła — wam wszystkim idzie o to więcej, abyście zrobili karierę, niż byście ludźmi byli. Powtórz im coś slysał ode mnie; niech znają głęb mojej duszy: między nimi a mną wszystko zerwane. A jeśli chcesz się zasłużyć, dodaj, żeś slysał ode mnie, z żywych ust hrabiny Anny Coseł, iż tak jak niegdyś zapowiedziała królowi, że mu niewierność i zdradę zapłaci śmiercią, tak jeszcze dziś powtarza. Za rok, za dwa, za dziesięć, pierwszy raz gdy spotkam Augusta, w leb mu strzelę. Noszę pistolet przy sobie, nie rzuć go nigdy, aż nabój dla niego przeznaczony wyleci. Powiedz im i to, panie van Tinen.

Van Tinen pobladł śmiertelnie.

— Pani hrabino — zawała — jest to w istocie zmuszać uczciwego człowieka do zdrady. Posądzasz mnie, pani, niesłusznie, ale ja zostaję w służbie

króla polskiego, jestem jego szambelanem, przysiąglem mu na wierność. Tego, co słyszę z ust pani, nie mogę już nie powtórzyć! Muszę! pani to powtórzysz sama innym, pochwalisz się tem, żeś mi także w oczy rzuciła tę groźbę. To nie dworactwo już, ale obowiązek każe wyznać.

— Alboż ja ci bronię? — zapytała Coseł — ja cię o to proszę. Nie będzie to rzeczą nową; August to pamięta.

— Ale to posłuży nieprzyjaciołom, na których pani nie zbywa, do nowego spiknięcia się na jej zgubę: to da im oręź w ręce.

— Alboż im na orężach zbywa? — przerwała. — Jeden mniej, jeden więcej, nic nie znaczy. Kłamstwo, potwarz, zdrada, im wszystko dobre. Czyż gdybym nawet była pokorną, uszłabym prześladowania? Podli czują we mnie istotę, co ich podłości nie znosi, nikczemni mają we mnie wroga... moja uczciwość jest dla nich wiecznym wyrzutem ich podłości. Jakże mogą przebaczyć kobiecie, co się tak jak oni skalać i bezcześć nie chciała?

Śmiech spazmatyczny towarzyszył tym wyrazom: van Tinen stał jak na mękach.

— Widzisz — dodała — taką jestem dziś, jaką byłam w szczęściu. Nie zmieniła mnie niedola, otworzyła tylko duszę skrwawioną; nic więcej.

W czasie rozmowy oczy jej piękne to szklili się łzami, to osychały od ognia, co się w nich palił; van Tinen patrzał w końcu, zapomniawszy swej roli, jakby na niezrównaną artystkę ze starożytnej tragedii greckiej. Miała w sobie Coseł wszystko, co stanowi Medeę, co ideał święty wcielić może w rzeczywistość. Współczesni ze zdumieniem, jak van Tinen, nieraz wychodzili poruszeni jej wymową i pięknością promienieżącą.

Gdy zamilkła, szambelan długo nie mógł się

także oderwać; z wlepionymi w nią oczyma, zdawał się walczyć z sobą.

— Nie mogią mnie, pani, boleśniej upokorzyć niczym nad to wyznanie — rzekł — wystawiłaś mnie na próbę. Na cóż mam to, kryć przed nią? jestem królewskim sługą, gdy powróczę z Berlina, spytanym będę; na pytanie karmistem odpowiedzieć nie mogę: rzecz jest zbyt wielkiej wagi. Słowa moje pochwycione zostaną i w sumieriu mem będę cierpiął, żem się do jej nietczeszczyści przyłożył.

Van Tinen w tej chwili był szczerym.

— Nikt w świecie do mojego nieszczęścia nie może już nic dodać — odezwała się Cosel. — Myślisz, że bolęcę nad ulitą relaców, znaczenia i łaski? Nie! nie! mnie boli to, że w żadne serce ludzkie uwierzyć już nie mogę, że widzę podiość wszędzie, że sama sobą się brzydzę i sobie nie wierzę sama! Daj mi jego serce naprawrót... zrzekę się korony świata. Jam go kochała! całe życie moje w nim było... on mi był bohaterem, on mi był bogiem na ziemii: bohater stał się połysznalem, bestwo zmazało się kałem... a więc plużawy świat i życie ohydne!

Szambelan starał się ją pocalmować: płakała.

— O moje sny złote! o moje marzenia dziewczę, gdzieście się rozwiały! Niema was... niema!

— Racz się, pani, uspokoić — przerwał coraz mocniej wzruszony i pomieszany posłaniec, — nie uwierzysz, pani, jak mnie boli, żem był powodem rozżalenia jej; że moje przybycie...

— Nicēś nie winien — odparła Cosel, — pokazalabim ci rany, ale dawno je noszę, a każdy dzień je powiększa. Jeśli cię pytać będą, nie szczędź tej niepoczciwej Cosel.

Van Tinen nie mógł powstrzymać się dłużej, litość wzięła nad nim góre.

— Takim panem — odiwał się — uchodź stąd... więcej powiedzieć nie mogę.

— Jakto? — spytała Cosel — czy i tu mi jeszcze co zagraża? Czy król Fryderyk pruski wydałby tak kobietę na męczarnię, jak król polski Patkula? Powien przedeń pamiętać, że jemu odmówiono Böttgera, gdy się o riego domagał?

Van Tinen stał i leczący: zacięte usta świadczyły, że więcej powiedzieć nie mógł.

— Dokąd uciekać? — szepnęła sama do siebie — ziemi braknie... ja daleko życzym nie potrafiła, tam mnie jeszcze serce ciągnie... niech zresztą zrobią już ze mnie, co zechcą. Życie mi żorzydło. Odebrali mi dzieci... nie mam nic prócz żółci, którą się karmię.

Szambelan, chcąc zakończyć tę scenę, której nie przewidywał, pochwycił za kapelusz.

— Żał mi pani szczerze — rzekł — lecz zdaje się, że dopóki trwać będziesz w tych usposobieniach, nikt w świecie ani uratować, ani na los jej wpływać nie może: wszyscy przyjaciele hrabiny...

To wyrażenie ja rozumieję.

— Moi przyjaciele? a położę mi ich, kochany panie van Tinen — odeszła się żartobliwie.

— Masz ich, pani, więcej, niż sądzisz — rzekł gość — ja pierwszy!

— A! pan pierwszy! prawda — dodała — takich, jak pan, wielubym nałożyć mogla. Przynajmniej trzech czy czterech, co mi się ofiarowali pocieszać nieszczęśliwą wdowę, aby z nią podzielić owe ogromne lupy, z których mi wkrótce nic nie pozostanie. A! takich! — takich! — rzecza wzgardliwie.

Van Tinen był tak zimeszany, iż nie umiejąc nic odpowiedzieć już, uklodził się zlekka i ścinany czarnymi oczyma Cosel wyszedł powoli z pokoju.

W Dreznie dawnym obyczajem szło życie u dwooru, zabawy były jego ostatecznym celem. Poważne strony życia dostarczały tylko do nich powodów i zręczności, materiału i żywiołów.

Król starzał, a wiek podeszlejszy, który wiele wyczerpał i zużył, stocroć jest do zabawienia trudniejszym. W młodości bawi to nawet, co smutnemby być powinno, później rozrywka staje się posępna, wszystko czczem i pustem. To w czem dawniej człowiek widział ziarno, przemienia się w pustą łupinę. August też był coraz do rozbawienia trudniejszym. W pierwszych jego płochych amorach było coś choć chwilowo przypominającego serce, w ostatnich bawiły się tylko zmysły, — czcza galanterja francuska ze swą jedwabną, złotem naśywana sukienką.

Zabawy następowaly coraz wytworniejsze jedne po drugich, a po nich król ziewał i znajdował, że teraz nic nie miało smaku, siły, barwy ani woni. Gniewało go, cokolwiek błogi ten spokój szeregu bezmyślnych rozrywek przerywało, co mu przeszkaďało śmiać się, gdy brytany brały zrozpaczonego niedźwiedzia, lub patrzeć, jak biedny jeleń miotał się w przedśmiertnych męczarniach.

Były to także ulubione rozrywki, w które już młodzuchnego syna zaprawiał, a zdawało mu się to rycerską zabawą. Widok krwi dodawał smaku innym widowiskom, stanowił kontrast z obrazem słodkich uśmiechów niewieścich, skoków baletniczych i pieszczącej ucho włoskiej muzyki. Aby się napawać melodią, dobrze bylo wprzód w dziki ryk zwierzęcia się wsłuchać.

Nieprzyjaciele Cosel pracowali około króla pilnie. Unikał on o niej wspomnienia, dawał do zre-

zumienia, że niechętnie o niej słyszy: nic to nie pomagało. Zawziętość ubierała się różnie, najczęściej w pozorną obawę o króla, o jego bezpieczeństwo, o drogi spokój pański. Malowano kobietę nieszczęśliwą jako niebezpieczną.

Oddalona, swobodna, mająca w ręku środki potężne, bo wiedziano, że znaczne z sobą sumy uwiozła, mogła się stać groźna.

Flemming, Löwendahl, Watzdorf, Lagnasco, Vitzthum, nie pytając króla nawet, słali szpiegów i kreślili plany, jakby ją pochwycić, a korzystając z tego owe skarby, jak po Beichlingu, rozszarpać.

Jednymi zemsta, drugimi kierowała chciwość. W czasie swojego panowania Coseł nie zaszkodziła z nich nikomu, wielu z nich jej byli winni wyniesienie się swoje i swobodę. Jej zawdzięczał kanclerz Beichling, że mógł resztę życia na wsi, w marzeniach, projektach i alchemicznych doświadczeniach przepędzić; Löwendahl przez nią był polecony królowi. Z pochlebców bez liku nic pozostało ani jednego przyjaciela. Jeden Haxthausen miał odwagę, nawet przeciwko radom Flemminga do końca dotrwać wiernym i nie zdradzić nieszczęśliwej; jeden Friesen nie wziął jej za złe odmowy posiłków i zachowywał się neutralnie: reszta, pomimo że czas już sam winien był te uczucia ostudzić, nie miała pookoju, ażby ją zgubiła.

Jatrzono więc króla codzień, nieustannie.

Gdy van Tinen powrócił z Berlina, pod wrażeniem pięknych oczów Coseł z razu walczył z sobą. Żał mu jej było. Nie pokazał się na dworze, ale go Löwendahl wyszpiegował i zaważwał do siebie.

— Jakżeś ją znalazłeś, mów — zawałał, — zdaje się nam wszystkim, iż król zachował dla niej dodatek pewną słabość. To jest rzecz niebezpieczna...

Nam daleko z Denhoffową i Pociejową jest lepiej. Te ani się do rządów mieszają, ani mu ludzi stręczą, ani chcą panować. Prawda, że ogromnie król kosztują, i on sam mówi, że nigdy tyle Cesel nie wymagała, ale koniec końcem, nam z tem lepiej. Cóż Cesel? Ma jeszcze nadzieję na powrotu? mówi dotąd o przyzeczeniu ożenienia? odgrzała się, że strzeli?...

Van Tinan smutnie na to odpowiedział:

— To żona, z której nieszczęśliwa kobieta.

— Nieszczęśliwa sama sobie winna! Trafiła się jej najlepsze partie, najwierniejsi synozmiesięczacy oszalały na te o przyczepieniu ciekiem, siedzą i ciągle śpiewają, ona, nienajlepszą... co, i dodatk-

— Tak się zdaje, bo w niczem mi się nie widzą zmieniają — rzekł van Tinan.

— Ale mówiąc wyraźniej, opisz, coś widział — nalegał Löwendahl.

— Przychodziłam wam, iż to, co widział i słyszał, serce mi zatrzymał. Zawzięta jest, gniewna, nie przebaczyci nocy; ale w nieszczęściu swoim wzbadza uszmarowanie; jest doprawdy cudowna, jest wielka.

— Więc tem niebezpieczniejszą — dodał śmiejąc się Löwendahl — ale zbrzydając musiała?

— Zbrzydając? — pochwyci pierwszy — piękniejszą jest, niż kiedykolwiek była: ani śladu lez, ani bólu na tej perłowej twarzy. Od lat ośmiu najmniejszej zmiany w świeżości, najbliższego zmarszczka: prawie małością.

— Tem gorzej — powtórzył Löwendahl — tem gorzej; król mógłby ją zobaczyć, a po zwiędnięciu zawczasu twarzy rzęce Denhoffowej znowubry na nim mogła zrobić wrażenie.

— Nie wątpliwie — potwierdził van Tinan — bo je czyni na każdym.

- Mówileś z nią?
- Tak jest, a raczej ona mi się wylała z całego goryczą.

Powoli dał z siebie wyciągnąć szambelan, co marszałkowi wiedzieć potrzeba było i donieść, zwiększać, Denhoffowej. Jakkolwiek płocha i lekkomyślna, jakkolwiek złośliwa, bojaźliwa o siebie i bronić się pragnąca na wszelki sposób, Marynia Denhoffowa tak bardzo złą nie była, żeby kobietę nieznana, biedna, której największą krzywdę już wyrządziła, chciała pozbawić ostatka swobody... Przykrzyło jej się to naleganie nieustanne i postrachy, byłaby się opierała może, gdyby nie pani Bielińska, która zmuszała ją być ze wszystkimi dobrze i nie sprzeciwiać się faworytom króla, aby swe panowanie przedłużyć.

Löwendahl tego dnia stawił się u pani Denhoffowej, wybrał godzinę, gdy sama była z siostrą, i począł od pochlebstw, które obie lubiły. Z wielką zręcznością, niby nieumyślnie przeszedł do porównania obecnego czasu z dawnym; mówił wiele o Coseł, i zakończył tem, że miano o niej wiadomość.

Denhoffowa zapytała:

— A cóż się z nią dzieje?

— Siedzi w Berlinie, pod opieką króla pruskiego, i używa danej sobie swobody, żeby nas, króla, dwór i wszystko, co się tu działa i dzieje, w najszkaradniejszych malować kolorach. Jest to niewdzięczność czarna, aleśmy do niej nawykli.

— Zresztą — dodał Löwendahl — mniejszaby o to, gdyby zawsze nie powtarzała swego, że przy pierwszym spotkaniu królowi w łeb strzelil!

Denhoffowa porwała się z krzykiem z kanapki, na której siedziała, zakrywając oczy... Pani hetmanowa ruszyła ramionami tylko.

— Ktoby się tam tego lękał, albo na to uważa — zwołała — to są brawady bezsilne.

— Takby się zdawać mogło, gdybyśmy pani hrabiny nie znali — przerwał Löwendahl, — szczególnie ja, który mam nawet zaszczyt być jej krewnym. Jest to kobieta, która nigdy nic próżno nie mówi.

— Szczęściem niema żadnego podobieństwa, ażeby się kiedykolwiek z królem spotkać mogła — dodała Pociejowa.

— Jakto? czyż pani sądzi, że ona czekać będzie sposobności a nie szukać jej? Wszak tak samo jak potrafiła raz w kraść się na maskaradę, może się dostać przebrana do Drezna, czekać na króla choćby w ulicy.

— A! tak! tak! — poczęła gorąco Denhoffowa — ja przeczuwam niebezpieczeństwo... Król jest nieuwazny, tę kobietę należy... ja nie wiem! cóż z nią zrobić?

Löwendahl ruszył ramionami.

— Kto woli swej używać nie umie, temu ja odebrać należy i uczynić niewolnikiem: rozumie pani.

— Obie kobiety zamilkły, obu przyszło na myśl, że to co teraz spotkać miało Cosel, mogło później być Maryni udziałem. Marszałek Löwendahl zdał się tego domyślać i dodał:

— Najjaśniejszy pan nigdy dla osób, które chociaż krótko kochał, nie był surowym; świadkiem te panie, jakieś tu spotkać mogły; ale są wy padki...

Na tę naradę nadeszła najrzeczniejsza z nich, matka, pani marszałkowa Bielińska; pomimo wieku już dobrze dojrzałego ubrana z wielką pretensją, przeglądająca się we wszystkich zwierciadłach, poprawiająca coś około fryzury nieustannie i piękne

białe ręce okryte pierścieniami wystawiająca chętnie na uwielbienie. Powitala Löwendahla z uprzejmością poufałą, z uśmiechem, i popatrzywszy po córkach, wpadła z jednego schwyconego słówka na tok rozmowy.

Denhoffowa wtajemniczyła ją w te obawy, które przyniosły z sobą przyjaciel domu; tam gdzie szło o córki, dla marszałkowej nikły wszelkie wzgłydy; litościwa w innych razach, stawała się mściwą i gniewną. Córki tutaj były całem jejaniem i przyszłością; co im zagrożało, doprowadzało ją do szaleństwa.

Wysłuchawszy opowiadania, uniosła się.

— Ale, bo też szczególne zachowują wzgłydy dla prawdziwie szalonej kobiety! Król jest nadto dobry! Wyzywa go, uraga, sama winna będzie, jeśli sobie ciężki los zgotuje. Temu raz koniec położyć należy.

Marynia miała króla przestrzec... złożono to na nią; lecz po namyśle marszałkowa znalazła, iż ona tego dobrze nie potrafi uczynić.

Postanowiono więc, aby ona tylko zagiała, a marszałkowa sama wymownie dokonała reszty.

Löwendahl w tak dobre ręce powierzywszy sprawę swej zemsty, odszedł.

Wieczorem zabawa była w ogrodzie Hesperyd. Tak się naówczas zwał podwórzec Zwingru, świço, wspaniale i z przepychem królewskim dokonczonego; była to mała cząsteczka jakaś olbrzymiego pałacu królów, który miał doń przytykać. Ogród urządżony był obyczajem i smakiem wieku, w kwatery kwiatów poobsadzane bukszpanem, z wodotryskami, grotami i bogatą mitologicznymi figur ozdobą. Wieczorem rozsypane lampy i kolorowe latarnie czyniły go piękniejszym jeszcze, niż we dnie. Z drzew poustawiane gaje pomarańczowe,

w których przygotowano siedzimy, czwarty pa-  
rom przechadzającym się używać spoczynku w cie-  
niu i ukryciu. Na balkonach galerij, otaczających  
około Zwinger, grały muzyki, a melodje ich roz-  
chodziły się daleko z lekkim wiatrem wieczora.  
W pośrodku ogrodu rozbity namiot, jaśniejący cały  
iluminacją, stanowił salę improwizowaną, w której  
po wieczerzy miały się odbywać tańce.

Król przybrany był cały w niebieskie jedwabie  
ze srebrem i białe koronki, a wyglądał młodą  
i chciał sobie snać młodsze jeszcze pierwszych  
swych podróży po Europie przypomnieć lata. Den-  
hoffowa także tego wieczora była w sukni blado-  
niebieskiej i w bieli, a było jej wcale do twarzy.  
Zmuszając się do wesołości, powitała króla, któ-  
go każdy bawić musiał, pod karą niełaski, i za-  
częła od pustych żarcików. Część wieczora upi-  
nęła na śmieszkach, do których Pociejowa dobrze  
pomagać umiała.

Pani hetmanowa i siostra jej były w jaknaj-  
lepszej przyjaźni, a choć jedna o drugą mogłyby  
być zazdrośna, nigdy tego uczucia oznaki  
najmniejszej nikt w nich nie dostrzegł. Hetmanowa  
nała, delikatna, jeszcze napożór wątlesza od sio-  
stry, daleko była wytrzymalszą od niej. Polska  
i Saksonja naówczas zdumiewała się owej sławnej  
komедji podróży jej z Friesenem z Warszawy do  
Gdańska i napowrót, odbyjej z takim pośpiechem,  
żeby poczylonna znużyła. Pociejowa ani dnia po-  
niej nie potrzebowała spoczywać. Ona Denhoffo-  
wej w ciężkich razach pomagała przy królu w roz-  
mowie, w naprowadzaniu jej na co była potrzeba  
i tego dnia podjęła się wreszcie z rozkazu matki  
wtrącić coś o Coseł.

August był zmęczony i chmurny.

Hetmanowa wtrąciła coś, że dawniej za czasów

hrabiny bawił się łatwiej i z większą ochotą, że może tamtej żałować.

Pelen grzeczności król odpowiedział żywio, iż w towarzystwie tak miłych i pięknych dam niczego żałować i o niczem pamiętać nie było podobna.

Denhoffowa pochwyciła tę zręczność, by ujawszy go pod rękę, zacząć coś prawić o Coseł; lecz jak zwykle wywiązała się z tego wcale nieszczęśliwie, gdy w pomoc jej czatująca nadeszła matka: naówczas obie poczęły lament z tematu hrabiny.

Królowi się to widocznie nie podobało; spuścił głowę i nic nie odpowiadał. Chwila była, w której obie kobiety strwożyły się; wyszedł jednak z tego zamyszenia i odezwał się żywio:

— Kochana hrabino, chciej być o mnie spokojną; czuwa nade mną wielu proszonych i nieproszonych stróżów i nic mi uczynić złego nie dadzą. Nierad mówię o tem: chodźmy i wnieszajmy się do tańca.

Zamiar przypuszczenia szturmu do Augusta spełnił tedy na niczem. Flemming i Löwendahl powtórzyli po wieczerzy przy kielichach, to co te panie zaczęły niezręcznie w ogrodzie Hesperyd. Tu swobodniejszy król dał im mówić i słuchał.

Jednakże olimpijska brew zmarszczyła się kilkakroć.

— Siuchaj, Löwendahl — rzekł szydersko, — dasz mi wprawdzie dowód wielki przywiązania do mojej osoby, ostrzegając przeciw hrabinie, która jest twoją kuzyneką i której winienś to, czem cię zrobiłem; powiniennym ci być wdzięczny, a jednak powiem szczerze, stajesz się dla mnie dziwnym. Staranie o moje bezpieczeństwo zostawcie mnie, proszę.

Löwendahl umyłki, podstawił tegoż wieczora wprawdzie van Tinena, z opowiadaniem o Berlinie, ale król i tego słuchał z roztargnieniem, bo go nie lubił.

Rzecz obrachowana na wielkie skutki skończyła się na niczem.

Intryganci spostrzegli, iż należało innych użyć dróg i środków.

Jakkolwiek Cosel ustronne pragnęła prowadzić życie w Berlinie, zbyt była głośną jej piękność, jej sława, zbyt ciekawą osobą, zbyt głoszony dowcip, żeby wkrótce nie zaczęto ubiegać się o jej znajomość.

Większa część osób, otaczających dwór Frydryka, znaną jej była z pobytu kilkakrotnego w Dreźnie. Nudzono się tak bardzo jednostajnemi parady wojskowemi, które król codziennie odbywał, i wieczorami u najjaśniejszego pana lub królowej, iż każdy spragnionym był jakiejś rozrywki.

Król sam częściej bywał w Potsdamie lub Wusterhausen, niż w stolicy, nie chybili nigdy zaciągu warty o dziesiątej godzinie, dawał potem posłuchanie ministrom, lub szedł na przechadzkę; o południu przyjmował wojskowych i cudzoziemców, potem zasiadał do skromnego stołu z królową i rodziną, pracował po południu w gabinecie i nie ukazywał się na pokojach, aż wieczorem. Tu przybywała królowa, kilka dam, kilkunastu oficerów, czasem zaproszony ktoś obcy; grywano w pikietę, lombra i tryktrak i palono tytoń; tak schodził czas w dosyć podstaem ale też i nudnym kółku do jedenastej; o tej godzinie wszystko się kończyło zwykle urzędownie. W niebytności króla przyjmowała co wieczora królowa o siódmej u siebie i zapraszała czasem kilka osób na wieczerzę. Nie urozmaicalo nic tego toku życia, chyba nader skromny wieczorek w mieście u którego z dygnitarzy. Wcale to było niepodobne do szumnego Drezna, z którego się też tu śmiano pocichu, a nadewszystko z rycerskich i wojskowych zabaw Augusta, których nikt tu nie brał na serio. Wojsko saskie przy-

odziane w złoto, galony, lamy i pióra, nie mogło się ani porównać z pruskiem, w jednakowych niebieskich mundurach zaszytem, mało strojnym, w którym czerwony mundur husarski i trochę galonu stanowiły całą ozdobę; oficerowie nawet od żołnierzy mało się różnili ubiorem. Zamiast wymyślnych chorągwi powiewała tu wszędzie jedna biała, z dumem nad leżącym orłem godłem. *Nec soli cedit!* Na ówczas dewiza wydawała się nieco zuchwałą przeszłość ją wszakże usprawiedliwiła.

Nie było na świecie dwóch charakterów mniej do siebie podobnych, sprzeczniejszych i mających większe prawo do wsłrenetu wzajemnego do siebie nad Fryderyka pruskiego i Fryderyka Augusta polskiego. Od czasu jak pewien wybryk nieprzyzwoity panna von Pannevitz wypłaciła królowi... policzkiem, nie spojrzał ponownie nigdy na kobietę i był najwierniejszym z małżonków, a rodzinę swą trzymał w tak ciasnych karbach i życie wiódł tak oszczędne, iż od jego stołu wstawało się zwykle nietylko trzeźwo, ale głodno.

Porządek w państwie, w mieście, w domu, w wojsku, posunięty był do pedantyzmu; srogość i surowość niekiedy do bezlitości: obyczaje musiały być spartańskie, bo tu wszystko szło jak zgóry przykazano. Szlachta próbowała wprawdzie nieco się opodatkowaniu opierać, ale Fryderyk zapowiedział jej zgory, że jego władza, jak skała z bronzu, nie da się pożyć niczem.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwy, stół był mieszczański, a o balach na dworze nikt nie myślał. Jadano na glinie, a gdy obcych trzeba było przyjmować, dobywano srebra ciężkie, które znów szły do skrzyni nazajutrz.

Miewał król fantazje, lecz wcale innego, niż August, rodzaju. Po odejściu królowej od stołu, po

chudej wieczerzy, zbierali się poufali do „tabaczego kolegium”, to jest do izby, w której król i jątkami częstował. Przy fajkach wiele było wołno, a najpierw zabawiać się, biorąc którego nieszczęśliwego na zęby. Padał ktoś zawsze ofiarą. Pośrodku sali stał prosty stół, który obsiadali w wielkich mundurach ministrowie, generalowie i czasem obcy goście. Dawano wszystkim holenderskie fajki, czy kto chciał palić czy nie, i stawiano przed każdym kufel duksztyńskiego piwa. To było całe przyjęcie, bo na kosztowne wina nie myślał się król rujnować. Upoić piwem i tytoniem było wielką dla króla pociechą. Wyśmiewać uczonych, arystokrację, urzędników... główną zabawką. Żarty po piwie czasem przebierały miarę, gdy się w Wusterhausen mieszali do nich niedźwiedzie, a podszczuci za paśnicy kuflami bić się zaczeli; lecz zawsze to jeszcze nie dochodziło do ostateczności: odchorowywało wielu, rzadko kto umierał.

Na wielkie święta urządzano dysputy w tabaczem kolegium i zadawano jako temat, że uczeń są głupcami. Morgenstern stawał na katedrze w niebieskiej aksamitnej sukni z czerwonemi obszlegami, haftowanej w zajęce, w czerwonej kamizelce, w peruce omal nie spadającej do kolan i ogonem lisim u boku zamiast szpady. Godzinę prawił i to króla bawiło niezmiernie.

To były jedynie dworu pruskiego zabawy. W Dreznie wyśmiewano się z Berlina, w Berlinie Drezno miano za coś sąsiadującego z piekiem, bo Fryderyk polski nie wierzył w nic, a pruski po swojemu był pobożny.

Raz gdy przy wieczerzy nowo-przyjęty kamerdyner z obowiązku czął modlitwę i przyszedł do wyrazów: „Niech cię Bóg błogosławi”, zdało mu się przyzwoitszem obróconemu do króla, przeczy

łac: „Niech was Bog biegsta!”. Nie podobało się to królowi: „Humoreski, co ty, jak napisano — zawała — przed obliczem bożym ja taki jestem hun-cwot jak i ty”.

Po zabawkach w tabaczny kolegium, po chudych dworskich obiadach, których wiosna córka króla ojca nam zostawiła, niejeden zapragnął innego towarzystwa, trafniejszych żartów, rozmowy wytwornejszej. Znajonni hrabiny Cosel zaczęli czasem do niej przybywać; znudzona kobieta otworzyła drzwi dla garsiki tej gości i pocichu wieczorami zbierało się czasem z dworu osób kilka... cichutko, skromnie, bo w Berlinie halasu robić nikomu nie było wolno.

Król Fryderyk, choć pewnie o tem był uwiodziony, bo wiedział dobrze o wszystkiem, co się u niego w stolicy działo, nie mówił nic. Ośmieniło to kilku młodych dworaków, kilku wojskowych do odwiedzania hrabiny. Zwykle przychodzili przed wieczerzą, a że ona spać nie mogła i do pierwszej siadywała, gawędzono dobrze za północ. Drzwi potem otwierały się pocichu i goście rozchodzili się do domów. Nie mogła Cosel posądzać króla, pod którego schroniła się opiekę, o większą miłość dla Augusta; zbyt wielkie były ich życia i charakterów różnice; nie wyszczegano się więc wcale w rozmowach mówić o Dreźnie, co niechęć ku niemu dyktowała.

Przynoszono tu plotki, które stale dolaływały, a hrabina nie kryła niechęci swojej dla płeche-go Augusta. Niejedna wiadomość ciekawa dostała się stąd przez młodych, idąc do starych, aż do tabacznego kolegium, gdzie ją królowi w kłębach dumu przy piwie do ucha podano. Naówczas uśmiechał się król Fryderyk, ale głową dziwnie potrząsał i zdawał się dziwić, że Cosel była tak śmiała,

bo naprzód wielką radość i szalunek wyznał dla  
wspaniałego sąsiada.

Jednego wieczoru, gdy się zwykli młodsi goście  
zebrali u Coseł, nie spodziewanie przywlokł się  
i stary generał, należący do tabacznego kolegium.  
Ostudziło to w młodszych zapal do swobodnej rozmowy,  
ale nie powstrzymało Coseł od powieści  
zwykłych i wymyślań na króla.

Stary, generał głową potrząsał i słuchał, dziwić  
się zdawał i niedowierzać. Dosiedział tak do pół-  
nocy i dłużej, a gdy się inni wynosili, pozostał  
nieco: zdziwiło to trochę Coseł.

Stary, który mówił mało, zbliżył się do niej, żegnając ją z wielkiem uszanowaniem:

— Pozwoli mi hrabina uczynić jednę małą uwagę — rzekł ochrypłym głosem, — bardzo się u niej  
przyjemne czas przepędza, ale choć drzwi zamknięte i okna, dużo stąd wychodzi na ulicę. Lada  
wiatr to zaniesie nad Elbę; zmarszczy się najjaśniejszy nasz sąsiad na naszego króla, że tu pod  
jego bokiem takie się rzeczy prawić mogą na jego  
dobrego sąsiada i sprzymierzeńca: królówiby to  
było markotno.

Coseł się nie zmarszczyła.

— Jakto? — spytała — więc u was w domu wła-  
snym, między czterema ścianami nie wolno mówić,  
co kto ma na sercu?

— Mówić wolno — rzekł generał, — ale powie-  
dziawszy, można gdzie pojechać, choćby się nie  
życzyło.

— Jakto! i ja?

— Kochana hrabino — rzekł, wzduchając, stary  
generał — nawet wamby się to mogło przytrafić.  
U nas tu rygor wojskowy we wszystkiem... kraj to taki  
i porządek... Jabym wam radził grać w tryktrak lub  
pikietę, bo to rzecz zabawna, a za to niema biedy.

Cosel spuściła głowę smutnie.

— Myślicie, że ja to mówię jako stary gđera, któremu się coś przywiduje. A! nic, wiercie mi, że może mi ktoś szepnął, abyście byli ostrzeżeni.

To mówiąc, wyszedł generał powoli, a hrabina padła na kanapę, szydersko uśmiechając się sama do siebie.

Ne usłuchała jednak przestrogi, a gdy poufałe zebralo się towarzystwo, mówiła wiele, głośno, jakby wyzywając do tej surowości, której się spodziewała.

Jednego poranku zjawił się u drzwi domu generał gubernator miasta Berlina, Wartesleben. Grzecznie poklonił się hrabinie, uśmiechnął, pokręcił wąsa, a potem zapytał: — czyżby to prawdą było, że hrabina życzyła sobie zmienić rezydencję i w spokojniejszym kątku w Halli zamieszkać?

— Ja, w Halli? — zdumiona przerwała Cosel — a cóżbym ja robiła w Halli?

— Wie, pani, powietrze tam jest bardzo zdrowe, widoki piękne, spokój wielki, wygody wszelkie: nic przyjemniejszego nad pobyt w Halli.

Cosel nie widziała co ma odpowiedzieć zrazu; słuchała tych pochwał, coraz bardziej zdziwioną niemi się okazując.

— Ale ja nigdy w życiu nie miałam myśli jechać do Halli.

— Rzecz to jest dziwna — odpowiedział Wartesleben, — najjaśniejszemu panu ktoś o tem oznajmił i król wydał rozkazy, ażeby tam pani wszelka opieka była dana. Rozporządzenie króla to rzecz nieodwoalna, więc najlepiej już pojechać do Halli.

Nie mogła długo słowa przemówić Cosel, patrzyła milcząca; łzy popłynęły z oczów; załamała dłonie...

— To więc jest rozkaz — odezwała się w końcu — to wygnanie nowe... za co?

— Król sądzi, że tam panie będą się lepiej. Hrabina wie, tu w ulicach Berlinu łatwo się echo rozchodzi. Każde słowo odbrzyniewa, sięga daleko; tam... w Halli nikt nie usłyszy i większa panuje swoboda.

To mówiąc, powstał.

— Hrabina może rano jutro, ale nawet pojedzie wyjeżdżać rano — dodał. — Czas jest piękny, a podróż moim wybrykiem powinna. Leczże drogi niezawsze bezpieczne, król jego mość ofiaruje jej kilku ludzi eskorty, którzy aż na miejsce odprowadzą. Jest to z jego strony galanteria bezprzykładna... Za to powinni mu być panie wเดleci na.

General Wartesleben skłonił się bardzo grzecznie raz i drugi, i wyszedł, zostawiając hrabine osłupiałą.

Raz, który ja tu dosięgłem, nie myliła się, ręka z Drezna wymierzyła. Chciiano ją zmusić do milczenia, do poddania się losowi, do ulegania niedoli; oburzał się w niej such nieugięty, a każdy pocisk tali nową w niej energię pośudzał.

Tegoż dnia hrabina kazała pakować powozy, najmować konie i wierny Zaklikka z nawieszoną brwią, wzduchając, pracował znowu, nie śmiejąc rzec słowa.

Gdy Cosel siadać miała do powozu, kupka ludzi zbiegła się pod jej dom, a widząc tę piękną w czerni kobietę z podniesioną głową, majestatycznym postępującą krokiem do powozu ostawionego konnymi, ludzie strwożeni rozeszli się pocichu i zdało im się, że spojrzeli na ofiarę wiezioną na rusztowanie.

### VIII

W ciasnej uliczce miasta Halli, w niepokaźnym mieszczańskim domu, nieopodal od gmachu, w któ-

zym sobie niewiele wynajmujący kupcy hutejsi i obywatele wydawali bale, w oknach pierwszego piętra, od niejakiego czasu dziwne zjawisko zwracało oczy przechodniów.

Była to kobieta. Całe dnie siedziała w tem oknie i patrzała w niebo oczyma, które nic nie wiadły, a postawa jej, rysy, wyraz twarzy, piękność anielska, smutek, co się na niej malował, zwabiały tłumy ciekawych.

Nikt w Halli nie znał tej kobiety, od niedawna zjawiała się tak w tem oknie smętna, zadumana, nieporuszoną, obudzając litość i zdumienie. Całej historii nieszczęścia jakiegoś poza tą chwilą domyślać się było można.

Siedziała dziwnie zamyślona, nieprzytomna; wzrok jej nie spadł nigdy w ulicę na przechodniów, nie zbląkał się na twarz ludzką: patrzała gdzieś w przeszłość, czy przyszłość. Czasem tylko, gdy tłum się zebral, gdy zaszemrał, gdy młodzież szeptała zaczynała głośno, uciekała od okna strwożona.

Drzwi tego domu stały zawsze zamknięte, nie miały znajomych, nie odwiedzał jej nikt; sługa przynosiła jej z sąsiedniej garkuchni jedzenie, niekiedy tylko młody, pięknie ubrany mężczyzna pukał do drzwi, targował się o wnijście: puszczano go na krótko i smutny nazad odchodził. Studenci zwali go kochankiem pięknej nieznajomej, ale on nań nie wyglądał.

Nie było wówczas w Halli mowy o czem innem, prócz o tem cudnym zjawisku. Tak była piękną ta kobieta, taki wyraz smutku głębokiego miał jej oczy, taką zagadką była ta wielka pani ukryta w ubogim domku. Każdy bowiem domyślał się w niej pani; pańskością tchnęła twarz, a gdy przesirazona odskakiwała od okna, ruchy jej zdraudzały nawykłą być i pokazywać się piękną ko-

biełę. Z królewską powagą rzucała się szpiegowa w głęb' pokoju i długo potem nie widać było nic, oprócz białej firanki.

Gospodarz domu pytany ostrożnie, gospodynia natarczywie badana przez sąsiadki, slugi nawet, na które nalegano datkami, miały usta zamknięte. Spytani oglądali się ostrożnie, bojaźliwie i mruczeli, ruszając ramionami, że nic a nic nie wiedzą, że to była zdaleka, chora, obca jakas niewiasta. Oprócz tych ciekawych jednak przechadzał się czasami ulicą to jakby przypadkowo złakany żołnierz, spoglądając ku oknom, to jakiś człowiek nieznajomy, który tak wyglądał, jakby niedawno mundur jakiś z siebie zrzucił. Niekiedy nawet wieczorami pod przeciwnym murem zasiadali żołnierze i niepostrzeżenie w ciasnej uliczce spoczywali, jakby z przypadku, choć im tam pewnie bardzo wygodnie nie było. Tą piękną nieznajomą o której najrozmaitsze krążyły domysły, była hrabina Coselecz jakżeż teraz zmieniona..

Ostatnia podróż złamała mocno kobietę, duszę jej napełniła trwoga, odjęła nadzieję. Smutną była do szalu, rozpaczającą do obłakania, łzawą i nadwyraz biedną. Zemsta, co ją ścigała, była tak długą, nieubłaganą, nienasyconą, że po niej już się wszystkiego spodziewać mogła, nawet śmierci.

Z Berlina jeszcze mogła w początkach swobodna ratować się ucieczką; w Halli była już niewolnicą. Zaklika, który jej aż tu towarzyszył, doniósł nazajutrz po przybyciu, iż wszystkie wyjścia z domu były strzone, że Halla stała się więzieniem. On chodził jeszcze wolny, ona już krokiem ruszyła się nie mogła. Chciała do kościoła w niedzielę widziała, jak ją krok w krok ścigano: wróciła. Gospodarz domu i gospodynai byli uniżeni i grzeczni, ale im wcale ufać nie było podobna. Dom temu

usłużny urząd pruski wskazał i znać się upewnił, iż w nim niewolnica będzie bezpieczna. Mieszczanin miał lisią twarz i kose wejrzenie, żona jego chodziła niema i blada, obawiając się słowa rozmowy.

Zaklika próbował się do nich zbliżyć, cofnęli się jak od zapowiedzonego. Drugiego czy trzeciego dnia oznajmiono szambelana van Tinen. Cosel ze wstrętem i oburzeniem kazała mu drzwi otworzyć. Wszedł nader skromny, smutny, zmieszany, jakby nie wiedział, co powie.

— Mów, pan, z czem przybyłeś — odezwała się Cosel — bo wiem, że go tu nie litość sprowadziła, ale czyjeś rozkazy.

— Mylisz się, pani — rzekł van Tinen — jedno i drugie. Wolalem ja przybyć tu, niżby miano wysłać kogo innego, któryby mnie miał na jej nieszczęście wzgledów.

— Nie miej, pan, względów — odpowiedziała Cosel, — mów otwarcie; cierpię wiele, ale męstwo w sobie wyrabiam: na wszystko jestem gotowa.

— A! gdybyś pani gotową tylko była na jedno — odezwał się van Tinen — na trochę rezygnacji i łagodności. Wszystkoby jeszcze dało się naprawić. Któż wie?

— Czegóż chcesz ode mnie?

Van Tinen westchnął.

— Ja-m posłaniec, z czem mi kazano, przychodzę: król wymaga od pani tego pisma, które jej dał niegdyś... przyczeczenia...

— I sądzi, że mu je oddam, abym z żony spałda na pospolitą zalotnicę, którą mu odpędzić wolno, gdy się nią znuży? Kochany van Tinen — dodała spokojnie — jeśli poto tylko przychodzisz, wracaj i powiedz, że Cosel nigdy a nigdy nie sprzeda swego honoru.

— Pani, na miłość Boga — począł przystanąć, ręce zarzekały się! Możesz upołem swoim sprawiedzieć największe nieszczęście, tak jak zwrotem tego kawałka papieru odzyskać możesz wolność... wszystko...

— Serce Augusta — szepnęła Cosel — al! nie! nie wierzę w nie: niema go tam w tej piersi brylantami obsypanej, złotem opasanej, jak brylanty i złoto osiąglej. Nie odzyskam nic, bom na wiele co najdroższe straciła! nie wierzę w niego i w ludzi!

Powtórzyła mu tylko to, co mówiła ciągle. Van Tinen nie poprzestał na tej próbie, siedział parę godzin, nie mogąc nic z niej dobyć więcej, ale litując się, pozostał dni kilka, dając czas do namysłu.

Każdego tak dnia przybywał, rzeczywiście litując się niedoli hrabiny; powtarzał pytanie, prośbę, nakłaniał, błagał, a ona z coraz większym odwagą powiadała mu chłodem:

— Tego papieru nie oddam, w nim honor mojego obrona moja i dzieci moich, które mi wydarto, cześć leży: umrę, ale on go mieć nie będzie.

Drugiego dnia już po przybyciu van Tinena hrabina zawołała Zaklikę, który wyglądał teraz prawdziwie jak z krzyża zdjęty. Był to szkielet człowieka: żółty, blady, obciążony skórą sfałdowaną, straszny a niemy. Gdy spojrzał na ludzi, odcieku wzroku nienawiści pełnego, cofali się jak od groźby, czuć w nim było bolesć, co szukała tylko pozoru, aby się stała wścieklizną.

Straszno było mówić w tym domu, niebezpieczne dłuższą prowadzić rozmowę, by w niej zmowy nie posądzone. Zaklika przychodził i wychodził niby coś posługując się okolicą sprzętów, coś wynosząc i z czemś wracając, i tak żywana, rozbite toczyła się rozmowa.

Cosel powiedziała mu krótko:

- Nieprawda, wszak już jestem uwięziona?
- Strzegą nas dokola.
- A ciebie?
- Mnie dotąd nie.
- Trzeba byś mnie porzucił i był wolnym.

Zaklika stanął i drżeć począł cały.

— Ja? Was, panią? porzucił? a cóż ja zrobię z sobą? a gdzież się ja podzieję? a do czegoż życie przywiąże? więc chyba iść i w studnię... i umrzeć.

— Nie — odparła Cosel — to nie koniec mojej niewoli; ja go znam: to początek. Potrzeba, żebyś ty był wolnym, dlatego, ażebyś mógł mnie uwolnić.

Rajmund się zadumał.

— Potrzeba? mów pani.

— Będziesz wiedział, gdzie się znajduję. Ufam ci, obmyślisz środki, postarasz się mnie uwolnić... Kilka tysięcy zostało, które Lehmann zachować potrafił; dam kartkę do niego, potrzeba, ażebyś ją miał.

— Ale ja... — oburzył się Zaklika.

— Nie dla siebie, dla mnie trzeba, byś ty je miał.

Spojrzała nań: sklonił głowę posłuszny.

— Najprzód idź, sprobuj, pytaj, czy cię puszczę; zdradź mnie: mów, że mi służyć nie chcesz, aby ci dali wiarę. Zrób, co chcesz. Na persiach nosisz mój skarb i poniesiesz go: ja ci go powierzam. Rozumiesz mnie. Zakliko?

Podała mu rękę drżąca.

— Jednemu tobie wierzę! w tobie jednym ludzka dusza mieszkała. Nie zdradź mnie ty ostatni.

— Ja? oburzył się Zaklika, i oczy mu tak dziko błysnęły, że się Cosel cofnęła. — Ja? — powtórzył i wstrząsnął się. — Umrzeć mogę, ale zdradzić?

— Więc trzeba, żebyś ty był wolnym, bez podejrzenia wolnym... Idź.

Nie można było mówić dłujo. Rajmund wszedł; nazajutrz go pół dnia nie było. Powrócił wieczorem, prowadząc z sobą najętego sługę i dziękował za służbę.

Cosel miała siłę odegrać scenę gniewu i wyrzutów, bo gospodarz i gospodyn słuchali pode drzwiami.

Odprawę odłożono do rana, Zaklika poszedł na miasto. Wielka miłość dla tej pani, której życie był oddał, uczyła go tego, co najmniej umiał: chytrości. Poszedł do urzędu, wzywając rady i pomocy, mówił, że chciał się uwolnić, że się urodził polskim szlachcicem i nikt go wstrzymywać nie ma prawa.

Na to rozśmiał się pruski urzędnik, który wiedział, ile szlachty polskiej pochwytanej na granicach chodziło pod karabinami pruskimi, ale mu nie powiedział nic. Może gdyby nie blada twarz i schudzenie, byłby mu dla wzrostu i siły zaciąg do olbrzymów zwiastował; lecz Zaklika nędznie wyglądał, a odkarmić człowieka zbyt było może kosztowniem. Tu się i z tem rachowano.

Puścić go więc się nie wahano i Zaklika konia kupował na targu. Wrócił jeszcze raz do Cosel, ale już go nie podsluchiwano, wiedząc, że się kłóci ze swoją panią, i że ją opuszcza.

— Jedź do Drezna — powiedziała Cosel, — głoś wszędzie, żeś mnie porzucił i czekaj. Lehmann da ci pieniądze, trzymaj je w złocie, miej wpogotowiu. Usłyszysz, co się ze mną stanie. Jeśli będę wolna, przybądź do mnie, jeśli będę uwięzioną, ratuj. Jeślibyś ściągnął podejrzenie, a pochwycią cię miało, papier, który masz przy sobie zedrzyj, połknij, ale go nie daj nikomu. Nie niszcz go pót, póki iskierkę będziesz miał nadzieję, że siebie i skarb mój ocalić możesz. W ostatniej godzinie — dodała, brwi

marszcząc chmurno — zniszcz, niech zginie, jak ja ginę; ale niech oni wiedzą o tem, niech jak groźba i postrach wisi nad nimi, niech się lękają odkrycia: niech...

Słów i tchu jej zaprakło, podała mu rękę, którą Zaklika, przykłeknawszy, całował długo i płakał, ale nie wyrzekł i słowa.

Gdy dłoń tę od leż jego mokrą wyrwała Coseł, załamała ręce i zawała:

— Są jeszcze ludzie i serca...

Zaklika jak pijany, jak nieprzytomny wytoczył się z tego domu, którego drzwi się za nim zamknęły.

Nazajutrz przybywający van Tinen znalazł ją weselszą, spokojszą, więcej zrezygnowaną.

Zdawało mu się, że namyśliwszy się, może zwrócił to przyczepieniu, że się sama zlituje nad sobą; ale wprędce postrzegł, że się mylił tłumacząc tak jej uspokojenie. Coseł powiedziała mu, gdy wchodził:

— Mój panie van Tinen, jakże mi ciebie żał, nie będziesz w łaskach u króla, nie pokocha cię: poczciwy mój kuzyn Löwendahl, nie upoi Flemming i nie dostaniesz ani tysiąca talarów! Ja jestem taka uparta, bezrozumna, szalona! nieprawdaż?

— Więc wszystkie moje starania daremne?

— Tak, mój kochany panie van Tinen — dodała, pierścień z palca zdejmując — żał mi cię, niefortunny bogów posłańcze, chciałabym, żebyś choć mej dobrej woli miał pamiątkę: przyjm ten perścien. Świecił on tym szmaragdem lepszym życia mojego godzinom: nie zdał mi się dziś na nic! Przestał być pamiątką miłą, bolał mnie jak rana na ręku. Weźmij go, proszę.

Van Tinen przyjął pierścien w milczeniu. Jeszcze próbował ją skłonić, jeszcze chciał mówić, Coseł się rozśmiała dziko.

— Oszczędźże sobie pracy a mnie nudy, mój kochany van Tinen; wieś co do słowa, co mi powiedzieć możesz, ale słowa te odbite od mojego uporu próżne się toczą po ziemi. A! dosyć tego już, dosyć, niech się spełni przeznaczenie.

Jeszcze raz na wyjezdniem przyszedł ów poseł z dosyć smutną twarzą, ale już ani nagląć, ani namawiając. Cosel zdziwioną była jego powrotem.

— Żał mi panie — rzekł, — tak serdecznie mi żał panie; nie mogę przewidzieć, jaki los ją spotka; lecz...

— Wiem, że zawsze być musi smutnym dla mnie — odezwała się Cosel — ale to bynajmniej mojego postanowienia nie zmienia. Królewskiej ręki przyrzeczenia danego mi nie zwrócię. Wolno mu było dać to uroczyste poręczenie lub nie lecz je cofnąć, królowi? słowo? dane kobiecie! oszukać ja! Ja tego nawet przypuścić nie mogę. Nie, taki Flemming lub podły Löwendahl może bez wiedzy króla chcieć je wyzyskać, aby mu je rzucić pod nogi i kazać sobie zapłacić za nie; król tego żądać od mnie nie może. To nie jego wola.

Odwróciła się i wyszła. Tegoż dnia van Tinen odjechał.

Dziwne uczucie wiózł z sobą: pierwszy raz wysłany spełniał swój obowiązek z zimną krewią i obojętnością dyplomaty, powoli stałość tej kobiety, męstwo, wytrwanie, charakter jej, robiły na nim wrażenie coraz większe, tak że zachwiał się, zastydził roli, którą grał; litość, wstyd ogarnęły nim: czuł się upokorzonym.

Wracał, gniewając się więcej na tych co go posłali, niż na tę nieszczęśliwą, co go odprawiła z takim niezachwianem męstwem w obronie honoru.

Przybywszy do Drezna, van Tinen miał czas spocząć; dwór cały gotował się znowu na wielką

uroczystość, która się miała nazywać odbyć w Moritzburgu: nie wezwano go więc, aby się stawił, bo wszyscy czem innem byli zajęci, a on sam wcale się z raportem z podróży nie śpieszył. Rad był, że w ten sposób przedłuży przynajmniej niepewność co do losu Cosel, który przewidywał gorszym jeszcze, niż był obecny.

Moritzburg właśnie od niedawna, wśród lasów opodal otaczających Drezno, na wspaniałym stawie wznieziony był dla spoczynku po łowach. Przecilicznie wśród głuchych ostępów i gęstych ścian starodrzewu wydawał się ten zamczek ze swymi wieżyczkami. Cale ówczesne towarzystwo, przy królu bawiące, zaproszone było na tę gospodę narodów czterech części świata. Mnóstwo cudzoziemców, a z dawnych króla przyjaciólek księżna Teschen, hrabina Königsmarck, obok Denhoffowej i Pociejowej, seraj caty.

Placem zabawy był rodzaj wału usypanego umyślnie nad wielkim stawem, na którym wznieziono naprzecie sale i gabinety połączone z sobą galeriami i całe strojne w gałęzie i wieńce zielone. Wśród stawu miały się odbywać wyścigi wodne, regaty na gondolach sprowadzonych z Wenecji i czółnach holenderskich, dokota zaś napędzony zwierz dostarczał dla myśliwów zabawy, bo go ścigano, pędziły, szcztuto i strzelano aż na stawie.

Tyle się osób zebralo na tę uroczystość, że wszystkie pokoje zamku, zabudowania, namioty rozbite nad stawem, dwa rzędy baraków wystawionych naprzecie, nie stały na pomieszczenie i powozy służące musiały za gospody na nocleg, a inni spali pod golem niebem wśród drzew... i nazajutrz rano, że niekażdy się kłali bardzo trzeźwym, peruk, szpad i trzewików, po lesie i krzakach szukać musiano.

Van Tinen wmieszał się w tłum, bawiąc od bdy do budy; jakoś ta cała zabawa i wesołość dżką mu się wydała. Król, który tu sam gospodarzy, niezwyczajnością widoku zadowolony był i wesoły. Niemal dla dymisjowanych swych amorów nie był bardziej uprzejmym i czułym. Denhoffowa płonęła z zazdrości, gdy mówił z księżną Teschen, Königsmarck pogardliwem okiem rzuciła na Denhoffową, gdy król jej czynił honory jarmarku.

August cały był zajęty swem dziełem, iluminacją, wspanialością fety, którą wydał, i nie spoczął, aż gdy skończywszy po północy wykonanie programu, siadł z dobremi przyjacioły do puharów i toastów.

Tu językom puszczone wodze, a Flemming, Vitzthum, Friesen mogli mówić dowoli, nawet o tych paniach, dla których August przed chwilą okazywał największe uwiebienie.

Przebrano wszystkie intragi dworskie i skandaliczne historyjki, o których król lepiej wiedział od innych.

Löwendahl siedział także w końcu stołu.

— Zdaje mi się, żem tego gładysza van Tinera dziś tu widział — rzekł król z przekąsem.

— Wrócił z Halli — odparł marszałek kwaśno, spoglądając na króla, który wstał i poszedł z nim w pusty kąt sali.

— Van Tinen był wysłany do Coseł? cóż przywiózł?

— Co zwykle od niej wszyscy — zamruczał Löwendahl — nikomu jej nie żał tyle co mnie, lecz z uporem tym niema ratunku.

— Trzeba było wzamian za to pismo ofiarować jej swobobę i, aby chciała!

— Powiada, że go za nic nie sprzedła.

August się zmarszczył.

— Przecież raz skończyć to potrzeba — dodał Löwendahl.

— Tak, jutro list wystosować do króla jegomości pruskiego, prosząc o wydanie hrabiny — dokonał król,—co dalej ma się zrobić, zobaczymy.

— A tymczasowo dokąd się jej Najjaśniejszy Pan udać każe?

— Niech ją zawiozą na zamek Nossen... namyśli się tam może. Nie mogę ścierpieć tej zuchwale wypowiedzianej mi wojny. Dosyć już tego. Głowę minią obija Denhoffowa: wiecznie o tem słyszę. Dać mi z tem pokój raz przecie!

Te słowa królewskie, wyrzeczone w zniecierpliwieniu i pod wrażeniem rozkołysanej zabawami wyobraźni, podchwycione i nazajutrz zaraz były wypotrzebowane. Przypomniał je Flemming Augustowi.

W liście do króla pruskiego żądając wydania hrabiny, położono za powód nietylko jej śmiałe przeciw Augustowi mowy, ale oskarżenie o spisek na jego życie.

Odgrózki publiczne mogły to poniekąd usprawieliwić.

List wyprawiono przez kurjera do Berlina.

Król Fryderyk ani chwili się nie wahał; przywołano z jego rozkazu porucznika Ducharmoi z pułku księcia Anhalt-Dessau.

— Udasz się, waćpan, do Halli—odezwał się król do niego, — znajdziesz tam hrabinę Coseł. Weźmiesz ją pod straż, na swą odpowiedzialność i odprowadzisz do granicy saskiej... tam oddasz ją w ręce oficera, który waćpana pokwituje.

Ducharmoi, młody człowiek, ale nawykły do karności wojskowej, choć mu ta rola wydała się nadar przykra, natychmiast udał się do Halli. Stanawszy tu bardzo rano, przez uczucie delikatności nie śpieszył tak bardzo z pochwyceniem pani Co-

sel. Przeszedł się parę razy pod jej oknami dla upewnienia, że mu nie uszła; zobaczył ją i tem się uczuł skłonniejszym do postępowania z jak największą delikatnością. Około południa wszedł do domu, który Cosel zajmowała, i kazał się jej oznajmić.

Jakkolwiek hrab na przygotowaną była do takiego końca, widok wojskowego okrył twarz jej bladością. Ducharmoi, skloniwszy się, oświadczył, że ma rozkaz króla towarzyszenia jej do granicy, gdzie zostanie oddaną władzom saskim.

Jak piorunem rażona stała hrabina przez chwilę.

— Co za niesprawiedliwość! co za barbarzyństwo! — zawołała i strumień łez puścił się jej z oczów.

Od tej chwili nie wyrzekła już ani słowa.

Kazano zaprzegać powozy, zniesiono rzeczy; Ducharmoi podał jej rękę: zeszła machinalnie, posłusznie, nie patrząc na nic i na nikogo, rzuciła się w głąb powozu. Ruszyły konie, oddział jazdy pruskiej towarzyszył z porucznikiem na czele. Przez cały czas podróży do samej granicy nie dała znaku życia. Powóz się wreszcie zatrzymał; hrabina drgnęła; przez okna jego zobaczyła znane sobie mundury saskie i oddział, któremu wydaną być miała. W tej chwili przywołała do siebie pana Ducharmoi, który się zbliżył do karety.

Gorączkowo zaczęła szukać po kieszeniach i dobywać, co miała kosztowniejszego przy sobie. Znalazła złote pudełeczko i piękny kameryzowany zeżarek: oboje podała oficerowi.

— Weź to na pamiątkę ode mnie.

Ducharmoi się wzdrażał.

— Proszę pana, błagam, weź — podała — niech to się nie stanie ląpem tych obrzydliwych Sasów.

Wypróżniała woreczek z pieniędzmi, przeznaczając je dla pruskich żołnierzy. Potem znowu rzuciła się w głąb powozu, zapuściła firanki i nie spojrzała

nawet, ani dokąd ją wieźć, ani co z nią uczynić miano.

## VIII

Z dawnej służby, która ją otaczała, nie pozostawiono przy hrabinie nikogo: kobiety obce, twarze nieznane ją otaczały. Obejście się wprawdzie było dosyć łagodne i pierwsze życia potrzeby zaspokojone; lecz od chwili, gdy ją w ręce saskich żołnierzy oddano, niewola stała się widoczną... czuć ją było na każdym kroku. Noc tylko przebyła hrabina Cosel w Lipsku.

Rano urzędnik w peruce, przy szpadce, milczący wykonawca z wysoka płynących rozkazów, wszedł do pokoju, w którym noc we łzach i miotaniu się bezsilnym spędziła. Niósł z sobą rozkaz na piśmie od króla, zabrania i przejrzenia wszystkiego, co hrabina miała z sobą.

Spojrzała nań okiem pogardliwem, nie chcąc się z nim wdawać w rozmowę. Zabrano i opieczętowano szkatulki, papiery, kosztowności, przerzucono kufry, przebrano suknie, szukając tego, czego znaleźć nikt nie mógł. Upokarzające to przetrząsanie trwało godzin kilka, ocalało od niego ledwie to, co hrabina miała przy sobie i na sobie.

Gdy urzędnik miał już odchodzić, cisnęła mu jeszcze garść pieniędzy i kilka pierścieni w oczy Cosel, i tak milcząca, jak była w czasie ohydnego zaboru tego, co się zwało jej własnością, odwróciła się wzgardliwie.

Któż potrafi odmalować stan duszy kobiety dumnej, namiętnej, czującej się niewinną, a przesładowanej z zimnem i obrachowanem okrucieństwem? Naprzemian łzy i gniewy, to omdlenie i doszal podobne oblakanie, śmiech dziki, obudzały nawet w slugach polowanie nad niesłczęśliwą...

Zaledwie dawszy jej spocząć chwilę, kazane znów siedać do powozu... dokąd? nie mówił nikomu.

Oddział żołnierzy na koniach otaczał karetę, jechali do wieczora, pędząc szybko. Na niebie rozognionem po słońca zachodzie, pokazały się mury zamku, wieże i powóz przez ciemną bramę wjechał w podwórze.

Cosel podniosła oczy. Miejsce jej zupełnie było nieznane. Zamek zdawał się pusty i dawno niezajmowany. Kilku ludzi oczekiwano u drzwi do niego wiodących. Slugi musiały prowadzić osłabłą panią schodach wąskich, który wiodły na pierwsze piętro. W kilku sklepionych izbach znać było pewne przygotowanie dla jej przyjęcia. Były to stare mieszkania z oknami wąskimi, z ogromnymi kominkami, z grubymi mary, odarte, bez ozdób żadnych, ledwie w sprzęt opatrzone a więzienny mające pozór.

Cosel rzuciła się na łóżko znękaną.

Noc przeszła bez snu, w strasznym marzeniach, które rodzi niewola. Mialo się na brzask i nieb pochmurne rumieniło się na wschodzie, slugi spały jeszcze... w korytarzu słyszać było chodzącą strażnicę, gdy Cosel wstała i pobiegła do okna, który głęboko we framudze osadzone, dzienny blask przeszyby w ołów oprawne przepuszczalo.

Widok z tego okna nie mógł jej nic w życiu widzianego przypomnieć. Przed jej oczyma rozciągała się równina, daleko lecąca ku sinym lasom na widnokrągu. Wśród niej gdzie niegdzie sterczały kupy drzew, widać było dachy i z za zieleni się psem wspinających się dym ludzkich ognisk ku niebu. Pusto i cicho było dokoła.

Zamek stał na górze, która urwisto spuszczała się ku małej osadzie. Dołem szedł gościniec, zdżony karłowatymi wierzbami. Na gościncu nikogo tylko z głowy spuszczeniem, porykując, szło stąd.

krów ku pastwiskom i pastuszek obdały je pogatały.

Okolica była nieznana.

Z sypialni, w której noc spędziła, cichem roki weszła Coseł do drugiej obszerniejszej komnaty.

W środku jej stał stół dębowy, przy ścianach lwie ławy i kilka stołów, na murze dwa stare, zapylone, dziko patrzące wizerunki...

Nad kominem obity, starty, widny był herb jakiś w kamieniu kuty, z którego tylko została tarcza i helmy. Za tą komnatą sklepiona, jak pierwsza, była jeszcze kragla izdebka w wieżycy z oknem na drugą zamku stronę. Tedy widać było lasy i wzgórza i osady, i znowu inny kraj nieznany, wśród którego na górach jeszcze parę gniazd rycerskich sterczało.

W kraglej baszcie było nieco sprzętu... pusta szafa w murze, a na jednej jej półce, rzucona nigdyś, niepodjęta przez nikogo, wałała się stara biblia poszarpana, rozsypana, pogryziona przez myszy i warstwą pyłu okryta.

Coseł schwyciła ją chciwie, ale księga z rąk jej się wyśliznęła i kartami luźnemi rozproszyła po podłodze.

Z izby druzie drzwiczki żelazne, zaryglowane starannie, wiodły już gdzieś w tajemnicze ciche mury zamczysta, w którym głosu życia ludzkiego słychać nie było.

Dzień się robił. Jaskółki latały koło okien, zwijając się u gniazd swoich. Coseł wróciła do sypialni. Kobiety już się były pobudziły, ofiarując swe usługi. Ona ich nie potrzebowała. Głód zaspokoїwszy trochę cieplego napoju, który połknęła, sama nie wiedząc co bierze, poszła do okna. We framudze kamiennej ława pozwałała usiąść i patrzeć w świat,

choć na tym świecie nie było nic, tylko szerokie pole puste i trochę zieleni.

Cosel zwróciła oczy na drogę.

Drogą sunęły się w pole wozy i szli ludzie, po-  
dzono stada; potem tuman kurzu leciał po niej,  
wirując, i osiądał gdzieś daleko zmęczony.

Godziny szły niepoliczone. W południe zastą-  
wiono jadło. Jedna z kobiet namawiała do stołu  
Cosel poszła i, patrząc na swój obiad więzieniowy,  
rozplakała się.

lime były owe biesiady, gdy przyjmowała kró-  
łów u siebie, klękających przed jej czarnymi oczyma.  
Oczy te nie zgasiły, ale szczęście jak mara szyder-  
ska pierzchnęło... I znowu Cosel szła do okna i zno-  
wu patrzyła na drogę, nie przyznawała się sama  
przed sobą do tej nadzieję, że na gościńcu kogoś  
zobaczyć miała. Wierzyła, że Zakliku szukać jej  
będzie.

Ale tego dnia i następnego na gościńcu nie zo-  
baczyła nikogo oprócz trzója, pastuszków i wozów.  
Nikt ku zamkowi nie podniósł oczów. Od okna cho-  
dziła do okna: dokoła dziko było i pusto. Wieczor-  
rem odarty dzieciak zbierał ziele pod murem. Hra-  
bina rzuciła mu ocalony jakiś pieniądz i, wychy-  
liwszy się, zapytała cichym głosem, jak się zamek  
nazywa? Dzieciak nie zrozumiał, nierychło się ze-  
brał na odpowiedź; nie śmiał przebąknąć: „Nossen!...”  
i umknął przerażony.

— Imię nawet niedobrze było jej znane. Parę  
razy przypadkiem niegdyś obiło się o jej uszy.  
Wiedziała teraz, że była w okolicy Drezna i Meis-  
sen. Ona, co uwolniła Beichlinga, jego braci i współ-  
winnych, co osładzała los Böttigera, teraz sama  
przyszła do gorszej niż oni niewoli.

A z niewoli tej nie było w świecie człowieka  
coby ją chciał lub mógł uwolnić. Przeszedł jej zno-

wu przez myśi Zaklikę, ale cóż on mógł jeden przeciw murom, strażom i królowi?

Tak trzeciego popołudnia zadumana spoglądała w dziedzińcu, gdy na drodze spostrzegła jeźdźca. Jechał zwolna od strony Drezna.

Koniowi cugle puścił, rozglądał się ciekawie po okolicy; podniósł głowę ku zamkowi: zdawało się, że jeszcze umyślnie zwoinił kroku, czegoś tu szukał oczyma. Opończę miał na sobie szarą; twarz żółta, wychudła przypomniała wiernego sługę: zadrżała i poczęła białą dawać znaki chustką.

Jeździec dobył podobnej i, ocierając nią niby opylone czoło, dał też znak, iż spostrzegł ją. Był to w istocie Zaklik. Z postawy, ruchu, choć wdać poznać go mogła. Serce jej silniej uderzyło. Ta przynajmniej człowiek jeden o niej pamiętał... ten jeszcze mógł ją ocalić.

Jadący drogą powoli się tak przesunął, oglądając na zamczysko, i znika za obrywem góry.

Zaklik siedział zrazu kilka dni w Halli i czatował. Nie ruszał się stąd, ażeby mógł w ślad pusić się za hrabiną, wreszcie mu Prusacy precz jechać kazali. Nanyśliwszy się więc, przebrawszy, ruszył do Drezna. Tu udał się wprost do Lehmanna.

Bankier przyjął go widocznie przestraszony, błydy; drzwi pozamykał i naprzód pytać zaczął, czy go ktoś nie widział. Upewniony, iż z nikim w Dreznie ani się spotkał, ani mówił, że rzekomo służbę porzucił, Lehmann dopiero odetchnął. Długo jednak nie przyszedł do słowa, a gdy mówić zaczął, zdawało się, iż szmeru własnej mowy się lęka.

— Wy nic nie wiecie — rzekł — kto to uczynił, trudno zgadnąć; powoli do tego przyjść musiało ząbewne, ale dziś już miary jej nieszczęściu nie będzie. Król w gniewie, a królewski gniew zimny, odowaty, straszny. Gdy król zły jest tylko, prze-

chodzi ma się średko; gdy obrażony zawiązie się, nieubłaganym jest. Coseł zgubiona!

Zakliku słuchał tyko.

— Tak, Coseł jest zgubiona — mówił Lehmann — gdy król komu zle wyrządzi raz, już go ścigać będzie i nie dopuści do oczu swoich. Coseł mu odmówiła oddania przyczeczenia, jakie jej dał. Ona go nie zwróci, on jej nie przebaczy. Rozkazano zabrać jej wszystko. Löwendahlowi poruczono szukać wszelkiego jej mienia, pieniędzy, klejnotów, summ. Pillnitz zabrano na skarb, inne dobra także. Król sam polecił szukać i spisać co było, aby, jak mówi, ocalić to dla jej dzieci i wyrwać jej z rąk środki pomsty i ucieczki.

Lehmann się zbliżył do Zakliki.

— Ode mnie też odebrano wszystko. Król przysiąał, sprzeciwić się niepodobna: książki świadczyły.

— Jakto? wszystko! jąścić nie tę zatajoną summę, którą mi hrabina u was odebrać poleciła?

To mówiąc, dobył zaszytą w rękawie kartkę: bankier wziął ją rękomą drżącemi.

— A wiesz ty — spytał — coby było nam dwom, gdyby tę kartkę i tę summę odkryto? Poszedłbym do Königsteinu, a moje dzieci z torbami, Flemming, Löwendhal i inni chwyciliby radzi zręczność zajrzenia do mojej skrzyni żelaznej.

I ręce mu drżały.

— Więc i tę summę im wydałeś? — zapytał zrozpaczony Zakliku, łamiąc ręce.

Lehmann patrzał nań długo, zdawał się walczyć z sobą.

— Słuchaj — rzekł, — przysiąż mi najprzód na to, co masz najbliższego, że mnie, choćby ci życie wydrzeć chciano, nie zdradzisz...

Z szuflady biurka Lehmann wydobył zastawiony u niego przez księżnę Teschen krzyż brylantowy.

— Przysiąż mi na to — zawołał.

Zaklika ujął w ręce krzyż, podniósł palce do góry i zimno rzekł:

— Przysięgam. — Złożył potem krzyż do szuflady i dodał: — ode mnie ci nie trzeba było przysięgi, dość szlacheckiego słowa. Nie zdradził Zaklika nikogo i nie zdradzi.

Chmurno nawisła mu brew.

Lehmann patrzał nań a biały był aż do warg, które mu zastygły ze strachu.

— A jeśli u ciebie znajdą pieniądze, gdy cię złapią?

— Najprzód, pieniądze własne mieć mogę, choćby i od tych znaczniejsze; potem i hrabina mi też dać mogła.

— Ale cokolwiek ona miała, to dziś fiscus zabiera; nawet podarki od niej, nawet powierzone klejnoty, cokolwiek należało do niej kiedy.

— Ja m nigdy nic nie miał i u mnie szukać nie mogą. Dasz mi te pieniądze?

Lehman się zawahał jeszcze.

— Mogę być nieszczęśliwym przez ciebie, ja i dzieci moje; ale niech nie mam na sumieniu, żem nie ratował w nieszczęściu. Bóg jest jeden i nieszczęśliwi u Niego wszyscy równi.

Otworzył kufer żelazny, dobył worek i zaczął liczyć na stole pieniądze. Odetchnął Zaklika i otarł pot z czoła. Spalone wargi szukały napoju: znalazł wodę i wypił całą karafkę; potem siadł zadumany w końcu stołu, oparł się na łokciu i ze zmęczenia usnął.

Gdy Lehmann zajęty liczeniem zwrócił się ku niemu i zobaczył go uśpionym, zrozumiał dopiero, co ten człowiek milczący przecierpieć musiał, gdy w tej chwili pierwszej uspokojenia zdjąć go mógł taki sen nagły mimo woli i wiedzy.

Na pałcach przeszedł do drugiego krzesła Izraelita i usiadł, czekając niecierpliwie, aż się obudzi. Pragnął on bardzo, aby to jak najprędzej nadeszło, gdyż mimo litości nad człowiekiem, lękał się go dłużej mieć w swoim domu.

Zakliko, który padł ze znużenia, ale w którym dusza czuwała niespokojna, rozbudził się przedko i prawie przestraszony porwał się z siedzenia. Przetarł oczy: wtedy mu było, że się tak słabym okazał.

Rzucił okiem na pieniadze, pocieciu zagarniał je do trzosa, w którym miał trochę swojego grosza i w milczeniu opasał się nim pod suknię.

Lehmanna czekał, nic nie mówiąc. Gdy wziął za czapkę Zakliko, bankier się zbliżył do niego i rękę mu położył na ramieniu.

— Bogu tylko jedemu wiadomo, czy się kiedy jeszcze zobaczyłeś — rzekł, — żal mi was szczerze, ale jak od poczciwego czynu hamować? Widziałeś, żem się lękiał, nie miej mnie za złego człowieka: mam dzieci, a dla nich żyję. Teraz przy rozstaniu nie odmów mi jednej rzeczy, ale posłuchaj wprzody. Miałem hrabiny sumiły znaczne i długo, w naszych rękach pieniądz się mnoży. Rachunki nasze skończone, popłaciłem wszystko, przecież w takim nieszczęściu człowiek rachować powinien inaczej: weź jeszcze to dla siebie czy dla niej i z Bogiem idź!

Wyciągnął woreczek, który trzymał ukryty pod suknią, milcząc, prawie gwałtem mu go wcisnął do ręki i dodał:

— Nie byłeś u mnie, nie znasz mnie: ja ciebie nie znam.

— To dla niej — rzekł Zakliko, ściskając go za rękę.

— Wyjdź ogrodem, a przedżej — dodał Izraelita.

Bał się, nadto będąc znajomym, pokazać w mieście Rajmund, ażby nie obmyślił, co miał czynić,

Na przedmieściu, nad Elbą zostawił był konia. Stał tam jeszcze wówczas nie jeden domek Wendów, którzy dawniej po całem byli Dreznie rozsiani, choć z nich dziś nie zostało nic. Za owych czasów gdy przy dworze wisiał, jak mówił, Zaklika, nie mając co robić, włóczył się często po przedmieściach: tu go uderzyła mowa do jego własnej podobna. Słuchał długo rozmawiających z sobą Serbów tutejszych i językiem swym zabrał z nimi znajomość. Rybak, z którym się najpierw poznałomił, zwał się Hawlik, zaprowadził go do swojego ubogiego domu i tak zawiązała się między nimi druzba, która w trwałą przeszła przyjaźń.

Hawlik był katolikiem, Zaklika mu dziecko trzymał do chrztu i pokumawszy się z nim, polubił prostych ludzi. Rodzina była dosyć biedna. Niegdyś mieli tu oni spory pas ziemi, ale im się nie wiodło; z każdego ich nieszczęścia jakiś Niemiec skorzystał: sprzedawali tak kawałami ojcowiznę, aż mało co jej zostało.

Grunt Hawlika przypierał do brzegu rzeki, a ciągnął się ogrodem aż na wyniosły jej brzeg, ale mało z tej piaszczystej ziemi było pożytku. Hawlik też rolnikiem nie był, wolał stawiać więc cierze, iść z nievodem lub z wędką. Czasem się też poszczęściło na ryby. Życie było ubogie, smutne; lecz się wlokło jakoś z końca w koniec roku.

Zaklika przychodził dawniej do nich często, siadał z nimi pod chatą wieczorami i tak rozmawiali długo o swej biedzie. Wend lepsze czasy pamiętał:

— Wszystko to wokół było nasze, — mówił — ale różnemi sposoby wyżgli nas z ojcowizny; teraz się swoim językiem odezwać straszno, a wkrótce nas nie będzie, chyba na cmentarzu szukać; albo rzeba zostać, czeni nas Bóg nie stworzył, lub wy-

mierac. Po miastach nas nie dopuszczają do niczej  
dość, by kto Wendem był, aby go popchnięć.  
Maleje liczba nasza, widzim jak giniemy, a nikt  
na to ratunku. Znać Bóg skazał na bezpotomny zgubę.

A gdy się im z serca wyrwała ich stara pieczęć  
serbska, nie ważyli się jej nucić, chyba po nocnej  
i pocichu i dzieci się jej uczyły ukradkiem.

U Hawlików stawał Zaklika, ilekroć mu trzeba było  
było niewidzialnemu być w mieście, dla konia lub chlewu,  
choć niepokaźny, dla niego posłanie na gospodę,  
i misa kaszy na wieczerzę i szklanka piwa,  
serca poczciwe i dlonie serdeczne.

I teraz u nich gościł, radzi mu byli. Nigdy  
o nic nie pytali, ani co robił, ani poco przybierały  
tylko czy mu się na świecie wiodło, choć z twarzy  
widzieli, że nie bardzo.

Poszedł do nich nocować Zaklika i z myślą  
się biedzić. Nie wiedział, czy mu bezpiecznie  
tu pokazać, aby języka dostać, i czy go albo  
uwiężą lub nie zatrzymają. Rankiem nazajutrz ostrzegły  
nie się zakapturzywszy, poszedł mostem naprzeciwko  
Narrenhausu. Tak mu się zdało, iż Fröhlicha spakowawszy,  
najbezpieczniej się od niego coś dowiedzieć potrafi. Stary Fröhlich o swej godzinie szedł  
lub jechał zawsze, na zamku pełnić służbę, kiedy  
się zaczynała od śniadania. Można było być pewnym,  
że się go u mostu o dziewczęcej spotkańie  
większego bezpieczeństwa Zaklika usiadł na schodach domu Fröhlicha, aby go minąć nie mógł. Ja  
o godzinie naznaczonej stary trefniś ze swym  
czastym kapeluszem i srebrnym kluczem był u drzwi.  
Zobaczywszy siedzącego, począł go nogą trąbić  
nie poznając.

-- Hm, mości panieli jażże mam nazywać?  
nój dom bierzecie za gospode?

Zaklika się odwrócił i zniósł go poznając.

— Co się to z was zrobilo, mości Unglücku? —  
wołał — wyglądasz, jakbyś się ożenili! Hę?  
— Powracam z podróży.  
— Katolik! prawda? to chyba z czyśćca?  
— Włóczyłem się po świecie — odparł Zaklika;  
coż się tu u was dzieje?  
— Co? chcesz, żebym ja ci historjografem był  
go, czego na wołowej skórze nie spisać? — roze-  
niał się Fröhlich. — Co się u nas dzieje? dobrysta!  
pytaj, co się u nas nie dzieje?

Chwycił się za głowę.

— Nie wiecie, co się z moją dawną panią stało?...  
zapytał Zaklika.

— Ani nawet kto była twoja dawna pani.  
— Hrabina Coseł.

Fröhlich obejrzał się i palec położył na ustach.  
— Cyt! na Bogal który to imię wspomina? przy-  
róku tego imienia wymówić nie można. Śmiać się  
ema z czego, a ty wiesz, że ja śmiechem żyję  
pewnie umrę ze śmiechu\*).

— Ale powiedzże mi choć, co się z nią stało?  
— Jakto? ty nic nie wiesz? gdzieś był?  
— Daleko...

— Myślę, że i daleko o tem mówić muszą. Ta,  
której niewoli był pan nasz lat osm, jest pono-  
niewoli u niego... i potrwa dłużej jej niewola  
ż panowanie trwało.

— A gdzież jest? — zapytał Zaklika.  
— Mówią, że siedzi gdzieś na zamku w Nossen,  
e dla niej pewnie co paradniejszego zbudują —  
ześmiał się Fröhlich z nałogu a smutnie. -- Nie!  
el nie chciałbym być kobietą. Prawdę rzekłszy  
mężczyzną być nie dobrze... a ci śpiewacy włoscy,

\* Fröhlich ist tnie ze śmiechu umarł w Warsawie, ob.  
Yebaa.

co są nijakie żo rodzaju, mówią, że im też na świecie niekoniecznie wyśmienicie — paplał Fröhlich — gdybym miał do wyboru, chciałbym być... osłem. Mięsa oślego nie jedzą, skóra gruba od kija broni, a gdy długouchy arje śpiewa, wszyscy uciekają i spokojny: dodaj, że apetyt niewymyślny i stara miotła żywić się umie. Możesz być szczęśliwsza istota?

— Nossen! Nossen! — powtarzał zamyślony Zaklik, zapomniawszy o trefnisiu.

— Ja o osłe a ty o Nossen! co ci po tem Nossen! nie gadajmy o smutnych rzeczach: bądź zdrów!

Fröhlich, włożywszy urzędowy swój uśmiech na usta, poszedł. Zaklik został.

Łatwo mu było od Hawlików dowiedzieć się o zamku i drodze do niego i tegoż dnia, nie pokazując się nikomu, ruszył ponad Elbą wskazanym mu gościńcem.

Uradował go to, że właśnie przybywającego zobaczyła zaraz Coseł; domyślił się jej po białej chustce, a czuł, że jej z sobą pociechę przyniesie.

W gospodzie konia postawiwszy, że tu już sami siedzieli Niemcy, Zaklik handlarza grał rolę i skór pytał. Tak się rozgościł pod „Złotą podkową”, a niby za towarem chodząc, miał czas powoli zamki oglądać.

Były to opuszczone mury, straż przy Coseł z kilku ledwie składała się ludzi. Nie wpuszczano tam nikogo, ale pilności zbytniej nie było. Okna od mieszkania wysoko stały w murach, nikomu na myślnie przyszło, aby niemi uciekać można; to też i straż żadnej u okien nie sposzregł Zaklik. Żołnierze fajki palili w podwórzu i na korytarzach u drzew hrabiny.

Od tyłów zamku podejść nawet pod okna było

łatwo, ale że góra była lysa, zewsząd widna, z gościńca mogli ludzie dopatrzeć i wydać.

Ażeby mieć pozór do dłuższego pobytu, drugiej nocy stękać zaczął Zaklika, że zachorzał i po kościach mu łamało, że pilno mu było w dalszą drogę, a tu może spoczywać przyjście, póki się nie wyliże.

Gospodarz z pod Złotej Podkowy wcale się nie gniewał za to, mając do żywienia konia i człowieka; owszem, znajdował, iż ostrożność radziła dobrze się wyleżeć i wypocząć, ażby łamanie i darcie odeszło, ku czemu sadło niedźwiedzie w pomoc ofiarował.

Przy wieczerzy już się też rozgadać było można z panem Wuischem, który trzymał gospodę. Zaklika tak się był po sasku wyuczył, że go po wymowie ani było poznac. Szepnął mu zaraz gospodarz, iż na zamek tę panią przywieźli, która na życie króla godziła. Od niego dowiedział się też Rajmund, ilu stało żołnierzy na warcie w zamku i jakie przedsiębrano ostrożności. Dwie kobiety, starsza ochmiestrzyni i garderobiana, a oprócz tego kucharz i chłopiec składali teraz cały dwór tej pani, której wprzody złocista ciżba skinienia patrzała.

Prawiono dziwy o uwięzionej.

Zaklika został niepodejrzewany na drugi dzień, a że dał parę talarów gospodarzowi na zatargowane skóry, bezpieczniejszy już, poszedł z południa niby zamek oglądać i okolicę.

Od jednej strony, kiedy były lasy i pusty gościńiec, prawie niepostrzeżonemu przez zarośla i krzaki podkraść się było można pod mury. Z tej jednak strony czy wychodziło jakieś okno mieszkania Cossel, nie wiedział i musiał to do dalszego zostawić badania.

Wieczorem wziął drugą porcję niedźwiedziego

siedła od gospodarza i położył się, myśląc, jak mu zamydlić osoby, a pobyt w gospodzie prze ciągnąć.

## IX

Rano, gdy przy piwie grzanem siedział w izbie Zaklika, weszło trzech żołnierzy ze straży zamkowej na piwo też, z wielkim hałasem, bo dawniejsze żołnierstwo nie chodziło inaczej.

Zaklika w nich poznał zaraz dawniej widywanych na strażach u dworu, i jeden też z nich pilnie przypatrywać mu się zaczął.

— Hej! hej! — rzekł, sparły się oburacz stole — my bo gdzieś się znamy?

— Pewnie — odparł Zaklika — bom ci to ja dwa sko służył długo, póki się do handlu nie rzuciłem, gdy mi ten chleb zbrzydł. Nierazem ja was też straży u króla pana miłościwego widział.

— Al toś ten, co łamiesz podkowy! — zawołał żołnierz.

— Bywało to, bywało, żem i wołu za róg wzruszy, w miejscu osadził, ale teraz już i z baniem nie wiein czybym sztuki dokazał.

Żołnierz mu się skłonił, uśmiechając, i podprowadził do stołu. Zaklika o piwo dla niego zawałał: praca jąźń się zawiązała dobra...

— No! dostało się nam za pokutę — odezwał się żołnierz — na wartę do Nossen! koło kogo spódnicy pilnować Nudno, choć się powiesić! I by choć byli dodali hrabinie z parę ładnych dziewcząt, ale ochmistrzyni pięćdziesiąt lat, gardebianna ze czterdzieści. Nawet na tej pustyni nie ochoty z niemi pobaraśkować.

— A dugoż będącie tu siedzieć?

— Któz to może wiedzieć? Już ze snu czwarte wiek puchnie, bo niema co robić, tylko o mur pacham i chrap...

— W kartyby można grać — rzekł Zaklika.  
— Z kim, o co? małego przy nas grosza i echo odpadła...

Ziewnął, pijąc piwo, znajomość pozyteczna zowała zrobiona. Gdy żołnierze po piwie szli do zamku, Zaklika, zagadawszy się niby, odprowadzać ich zwał, coraz dalej, coraz dalej, aż do bramy, aż dziedziniec i tak nie postrzeglszy się, aż na kotańce się wsunął.

Reszta żołnierzy, biwakująca na słomie, nie zdzieliła się przybyszowi; owszem, radzi mu byli: siadź nimi do gawędy i rozruszał znudzonych... Znali się karty, przegrał im parę talarów... Dopiero byli radzi. Gdy odchodził, ciekawość go niby zięła zamek zobaczyć i tak jawnie się poszedł wjeździć pod mury, ani mu kto słowo rzekł. Oficer był w miasteczku i grał na gitarze córce rzeźnika. Jednakże tego dnia więcej nad to dokazać mu nie udało.

Zaklika, chorując ciągle, targując skóry, marując, starał się wkraść do zamku: nie posadzano wcale, jednakże trudności były wielkie, z samego położenia wynikające. Część zamku, w której osadzono hrabinę, przytykała do drugiej prawie istej; mieścił się w niej oficer i stary murgrabia rodziną, który zawiadywał ruiną. Przez żołnierzy strafił z nim zawiązać znajomość Rajmund i stanął się go poznać bliżej. Człek był obarczony ruiną, chciwy i skąpy. Częstując go za swój grosz, wywiedział się powoli, w którą stronę okna mieszkania hrabiny wychodziły i że drzwi żelazne od szty, od której miał klucze murgrabia, otwierały się na wielką salę, w której zdawna niepotrzebne sądowe papiery składano, mając kiedyś do zamkniętych i urzędów powiatowych przeprowadzić. Zaklika wielką okazywał ciekawość ku starym gmachom,

zadbył był zamek oglądać, ale na to stary dozecie zaniechał. Innego dnia rozmawiali się o hrabinie a Polak usiłował ku niej zajęcie i litość obudzić w murgrabim. Popatrzyli na siebie...

— Hrabinie — rzekł Zaklik — pozostało wielu przyjaciół na dworze i są ludzie, co zapewniają że kiedyś może jeszcze do władz powrócić. Nie dziwiłbym się, panie Herzog, gdyby który się tu zjawił i wańpanu piękny grosz ofiarował za to, że byś tylko chwilę rozmowy z hrabiną ułatwił.

Spojrzał na starego Herzoga, który sobie dlonią brodę gładził, mrucząc.

— Cóżbyście wy poczęli w takim razie? — zapytał Zaklik.

— Byłaby to djabelska pokusa — odparł stary — zrobiłbym jak Luter: palnąłbym djabła w łeb kałamarzem.

Ale stary się uśmiechał.

— A gdyby wam dano trzydzieści talarów? — spytał Rajmund.

— I za talarów trzydzieści poszedłbym na szubienicę — rozśmiał się Herzog. — Wielkim painem to się może upiec, gdy co podobnego zrobią ale chudych pachołków wiodą na rynek i po stryczek.

— A! nie takaż to wielka winowajczyni hrabina, ani takby to wielka była wina dać jej pomówić dwa słowa z przyjacielem... Takto się gada — dodał Zaklik — aby się gadało; a no gdyby si przyjaciel znalazł, daiby pewnie i pięćdziesiąt.

Herzog popatrzył wielkimi oczyma, usta jak długiego świdania ściągnął i brodę pogładził. Minęła mu śmieszna, sama myśl pięćdziesięciu talarów szlachetnych jak napój mocny do głowy.

— Jeśli asiźniej wiesz o takim przyjacielu hrabiny, co mógłby dać bitych, twardych talarów?

pięćdziesiąt, to mu ode mnie powiedz, niech przyjdzie: pogadamy.

Obejrzał się wokoło, Zaklika rzekł:

— Masz go przed sobą.

— Tegom się zrazu domyślał.

— Obawiać się nie macie czego, żołnierze mnie znają i jestem z nimi dobrze. Zaprowadźcie mnie do sali w tej godzinie, gdy kobiet niema przy hrabinie, gdy ona sama: zapukamy do drzwi... rozmowa dłuża nie będzie.

— Gdyby nie te baby, co przy niej są — mruknął Herzog, — wszyscy były łatwem. To nieszczęście, że one się tam mieniają i jedna zawsze siedzi.

— Niech je obiedwie żona wasza zaprosi.

— A! baba o niczem wiedzieć nie powinna.

— Spodziewam się — rzekł Zaklika, — ależ ona może zaprosić, nie wiedząc dlaczego... to wasza sprawa...

— Narady te trwały długo. Herzog, człek już bywały, do takich robót wiele okazywał zdolności, byle grosza dostał. Zdało mu się też, iż nieszczęśliwa kobieta nie mogła być tak ważnym więźniem stanu.

Jednego tedy dnia, gdy hrabina przechadzała się po sypialni, usłyszała zrazu nieśmiałe, potem coraz wyraźniejsze do drzwi żelaznych w baszcie pukanie. Z bijącym sercem pobiegła do nich i ze swojej strony uderzyła w nie. Natychmiast zamek się odryglował, drzwi w zawiasach uchyliły i Zaklika się w nich ukazał.

— Mam tyle tylko czasu, aby pani oznajmić, że jestem tu i będę w okolicy; będę czuwać, a co uczynić się tylko da, zrobię.

— Ułatwić ucieczkę! ucieczkę! — poczęła żywo Coseł — umrę, zaduszona tem powietrzem. Staraj się, płac, czyń, co chcesz!

— Te datki jest prawie niepodobne, a przy-  
nejmniej wymaga czasu — żywo rzekł Zaklik; —  
spuścicie się na mnie, iż uczynię, co tylko w mocy  
człowieka. Z okna, które wychodzi na tył od  
baszty, spuścicie sznurek szary; ponieważ drugi raz  
rozmowa może być niepodobną, szukajcie na nim  
kartki. Oznajmię, co zrobię.

Herzog naglił. Zaklika worek z częścią pienię-  
dzy wsunął hrabinie i szepnął:

— Jedną sługę trzeba kupić. Stoję w gospodzie  
na dole „Złota podkowa”...

Drzwi się za nim zamknęły, bo kobiety mogły  
nadejść; ale w hrabinę duch wstąpił: skłonna do  
modlitwy, podziękowała Opatrzności, składając rę-  
ce i szepcząc dziękkczynne wyrazy.

Zaklika, ten sługa biedny, na którego ona zgóry  
swojego królewskiego majestatu zaledwie spoglądać  
raczyła, nie zdradził jej przeciel!

Herzog wziął pięćdziesiąt bitych talarów z nie-  
ukrywaną radością. Łatwe ich zdobycie złakomiło  
go... Powiedział sobie w duchu, że należało tę  
dojnę krowę spożytkować i wyciągnąć z niej, co  
tylko się da. Nietyle więc teraz Zakliką za nim,  
ile on za Zakliką gonił.

Ten już osnuwał projekt uwolnienia hrabiny,  
a wykonanie prawie mu się zdawało możliwem,  
choć wielkiego potrzebowało przygotowania.

Herzog z chęcią go nazajutrz oprowadził po  
zamku i pokazał mu całą dawną budowę. Była  
ona niegdyś obronna, a ze starych murów, pod-  
cieni, przejść, pozostały ganki, którymi i na zamek  
się dostać i z zamku dobyć było można. Jedna  
taka wycieczka wychodziła prawie na gościniec,  
a choć jej dawne drzwi zawalone były gruzami,  
oczyścić je było łatwo.

Ale niedosyć było z zamku wyjść; należało

obmyśleć środki ucieczki szybkiej do granicy i miejsce schronienia, którygoby August nie mógł dosiągnąć tak łatwo. Stosunki ówczesne z dworem cesarskim i pruskim nic na ich opiekę rachować nie dozwalały. Zaklika sądził, iż gdyby się udało przebyć Śląsk i dostać do Polski, tam jeszcze najbezpieczniejsze znalazłoby się schronienie. Chociaż stosunki jego z krajem oddawna były zerwane, miał znajomych, krewnych i powinowatych, a wiedział, że Sas, oprócz stronników, miał też mnogich nieprzyjaciół.

Zebrać jednak konie, ludzi i wszystko, co było potrzeba do ucieczki, wcale niełatwem się zdało w Saksonii, gdzie dwór miał szpiegów i czujne oko na wszystkich.

Zaklika przywiązał kartkę do sznura nazajutrz i oznajmił, iż idzie się starać a przygotowywać do uwolnienia hrabiny. Z Herzogiem zaś na wyjeździe w cztery oczy pogadał, nie wyjaśniając mu nic, a łakomiąc obietnicą nie pięćdziesięciu już, ale choćby tysiąca, jeśliby do ważniejszej sprawy przyszło.

— Z tysiącem talarów eichusieńko moglibyście wyciągnąć gdzieś nad Ren, wysławszy wprzody familję i żylibyście we własnej chacie, jak u Boga za piecem.

Stary nie nie odpowiedział, głową trząsł.

Z żołnierzami na wyjeździe napiwszy się piwa i pożegnawszy ich do widzenia, pod pozorem, że tu znów za skórami przybędzie, Zaklika ruszył nazad do Drezna. Pieniądze, jakie mu Lehmann wyliczył, mogły na wszystko starczyć, lecz ucieczka musiała je wyczerpać; myślał więc, że gdyby się tylko do Polski udało dostać, tamby już innego trzeba szukać ratunku.

Cosel została po odjeździe jego z rodzajem go-

rączki, wyczekując nowych wieści. Codziennie biegała do okna, ciągnąc sznurek próżny, spodziewała się jakieś wiadomości. Nie obchadowywała trudności. Zdało jej się, że człowiek ten musi i powinien ją natychmiast uwolnić, gdy mu objawiła wolę swoją; tymczasem przedsięwzięła zyskać jedną ze sług, którą jej narzucono.

Obiedwie były chmurne i nieprzyjazne; młodszakże miały poruszenia litościwsze i łagodniejszą twarz. Z nią czasem choć kilka słów przemówić było można. Cosel nie miała zwyczaju inaczej się obchodzić nawet z osobami obcemi, tylko jak królowa do wszystkich mówiła ty i zapewniała o swej lasce. Chodziła, choć uwięziona, zawsze w tym majaestacie dawnej wielkości, czując się małżonką króla.

Nieinaczej też odzywała się i do Magdaleny, młodszej sługi, z którą jednak powoili do łagodniejszego zeszła tonu. Nie potrafiła jej jednak sobie przyswoić, aż narzekając na jej towarzyszko i obudzając między niemi nienawiść. Pieniężne podarki potajemne podziałyły lepiej jeszcze, ale miesiąc upłynął, nim potrafiła się o jej życzliwości dla siebie zapewnić.

Zakłiki z powrotem widać nie było. Utrudniały mu w Dreźnie zachody to, iż go powszechnie znano, i że szukanie powozu a koni musiało podejrzenie obudzać. Trzeba było nadzwyczajnej przebiegłości jego, ażeby wszystko to zebrać, skupić człowieka dostarc i wcale na siebie oczów nie zwrócić. Przez Wenda swego porobił znajomość w Budyszynie i tam założył główną kwaterę.

Tym sposobem znikł z oczów dworu, a za pretekst służyło mu, iż to dla jednego z panów polskich przysposabiał, którego rychło już z Königsteinu miano uwolnić, aby miał czem powracać do kraju.

Wiele to jednak zabrało czasu, i jesień przyszła i zima, a w tej porze ucieczka była trudniejszą, drogi gorsze, ślady do wynalezienia łatwiejsze. Zakliku dostał się do Nossen, prosząc o cierpliwość do wiosny. Herzog kazał sobie zapłacić znowu, lecz drzwi otworzyły, gdy Magdalena przypuszczona do tajemnicy, stała na straży. Mogła się więc Coseł rozmówić dłużej i umówić dokiadniej, tak że ucieczka na pierwsze dni wiosny odłożona została. Nie było wątpliwości, iż Herzog, skuszony zapłatą, ułatwi ją.

Zima w tym roku była długą i ciężką, a tego rodzaju przedewzięcia, gdy się wloką i odkładają, czas do rozmysłu i strachu zbytni dają pomocnikom. Herzog, nieco podpiły, wybaknął coś przed żoną: resztę ona z niego dobyła. Niewiasta prze myślna znajdowała, że kto zdradza, ten już na wsze strony zdradzać i wszelką możliwą korzyść ze swej niepoczczości ciągnąć powinien. Zdaniem jej więc było, udać zdradę, aby pieniądze dostać, a wydać Zaklikę i hrabinę, żeby miejsca i łaski nie postradać: tem lepszym się to zdawało, że w takim razie nikt nie wynosić nie pożebowali.

Herzog brodę gładził, nic nie mówiąc: uśmiechała mu się ta trafna myśl zacnej małżonki. Czekano tylko wiosny. Coseł uspokojono nieco nadzieję swobody przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia; hojnym podarkiem ujęła obie dwie kobiety. Zakliku świętować miał z Serbami swoimi między Budyszyrem a Dreznem.

Hrabina tak pewną była Magdaleny, iż się przed nią mimowolnie zdradzała; chciała, by jej towarzyszyła, gdyby z wiosną co się w losach jej miało odmienić. Kobiecie to wszystko wiele dało do myślenia: strach ją ogarniał. Walczyła z sobą... Pod pozorem widzenia się z rodziną wyprosiła się

na dni kilka do Drezna. Siostra jej była przy dworze Denhoffowej; pojechała do niej. Tu naradziły się z sobą niewiasty i z narady wypadło, ażeby wszystko zanieść do pani marszałkowej Bielińskiej a nagroda wspaniała nie minie.

Można sobie wystawić przeróżenie kobiet, gdy jak piorun spadła na nie wiadomość, iż Cose mogła się ratować ucieczką. Wnet zwołano Löwendahla. Pierwszym skutkiem było przyaresztowanie obu kobiet.

Tegoż samego dnia jeszcze nowy oddział żołnierzy poszedł zmienić stojący w Nossen; podwodzono straże, wzięto murgrabiego i okutego zawieszono do Drezna. W nocy, pod oknami, zaciągnęły warty. Cose, budząc się, znalazła w przedpokoju oficera nieznajomego, który wraz z urzędnikiem poleconem miał przetrząśnięcie papierów, rzeczy przeszukanie mieszkania, wypróbowanie drzwi i zamków.

Na widok tych groźnych przygotowań gniew ni owładnął, lecz cóż mogła przeciwko sile?... Ni śmiała pytać o nic, a lękała się, żeby Zaklika nie został odkryty i uwięziony. Szczęściem po nazwisku nikt go nie znał, miał bowiem ostrożność zwać się wcale inaczej, a z opisu twarzy trudno było go ścigać.

Kartka Zakliki, którą hrabina z pomocą sznurki ściągnęła, zręcznie przez nią została zniszczona w obecności tych, co ją odebrać chcieli. Dowódów zamierzanej ucieczki nie było żadnych, oprócz powieści służącej. Jednakże życie w Nossen od tego dnia stokroć stało się nieznośniejszym. Przysłani sługi nowe, wylekłe i obchodzące się z hrabiną z surowością nielitościową. Broniła ją tylko dum i milczenie.

Po wyjściu urzędnika pozostały oficer, min-

wardze nasępionej twarzy, litościwsgo serca niż  
nni, zblízył się do hrabiny ze współczuciem.

— Pani hrabina nie przypomni sobie pewnie  
biednego chłopca, którego nieraz na straży przy  
królu towarzyszącego w lepszych czasach najjaśniejszemu panu widziała — rzekł cicho. — Pełnię tu  
smutny i ciężki obowiązek; tylko dlatego się nie  
wymawiając od niego, abym mógł pani oszczędzić  
nieco bolesci. Al nie pogarszaj pani położenia swego.

Cosel dumnie nań spojrzała.

— Chcesz mi dowieść współczucia — zawałała,  
— powieć mi co odkryto? kto? jakim sposobem?

— Szczegółów nie wiem — odezwał się oficer,  
— rozkazy wyszły od króla przez marszałka Lö-  
wendahla. Służbę całą zmienić kazano. Dozorca  
zamku wzięty na śledztwo i badanie.

— Kto wiecej?

— Zdaje mi się, że oprócz sług nikt — rzekł ofi-  
cer. — Będę przychodził codzień — dodał — będę  
nad miarę surowym przy ludziach, ale w czem po-  
rafię, pomogę i radbym przynieść ulgę.

Sklonił się i wyszedł.

W trwodze i niepewności upłynęło dni kilka.  
Zaklika, który w Dreźnie dowiedział się z odgłosu  
powszechnego, iż zamiar ucieczki z Nossen odkry-  
to... przyczaił się, czekając, azali jego ścigać nie  
sędą. Rozumiał to dobrze, iż mu się pokazać oko-  
to Nossen nie można, a czuł zarazem, iż oznajmić  
mależało hrabinie, że jest wolnym, że zatem na  
iego jeszcze liczyć może.

Nocami więc, przebrany za żebraka, przekradł  
się do zamku. We dnię z sąsiednich zarośli do-  
strzegł, że w oknie sznurka nie było i żołnierz pod  
nim przechadzał się na straży. Trudnen się stało  
oznajmienie o sobie hrabinie, łamał głowę naprzózno,  
jak tego dokaze. Włócząc się mimo mrozu i śniegu

po okolicy, drugiego dnia napotkał wózek wedlewnego przekupnia, który po wsiach i miasteczkach rozwoził towary zwykłe na podarki wii Bożego Narodzenia. Handel naówczas nie był tak ożywionym jak dzisiaj, wędrowni przekupnie dostarczali ze stolicy wymyślniejszego towaru.

Zjeżdżał zwykłe z wózkiem lub na plecach noszoną króbką przekupień do gospody wsi i miasteczka; schodziły się kobiety rozpatrywać w towarzysze. Do znaczniejszych domów przybywał sam handlarz i rozkładał swój towar pokuszający.

Ujrzał ciągnącego ku Nossen starego z Drezna znanego mu przekupnia, Zaklika go zatrzmytał. Przypomnieli się sobie, bo u niego dla swoich Wendorów nieraz podarki kupował.

— W Nossen — rzekł — możecie, mości Treue, zrobić dobre interesa: na zamku siedzi hrabina Cösel. Choć uwięziona, slug koło niej dosyć, a giosz pewnie ma i podarki na święta zrobić zechce. By się tam wam do niej dostać, pewnie u was dużo kupi.

Treuemu aż oczy zabłyśczały.

— Dziękuję — zawałał podając rękę — za dobrą radę: na myślby mi to nie przyszło.

— Biedna to teraz kobieta — dodał Zaklik — ale jej resztki więcej warte, niż nasze bo, a twa... A słuchajcie, panie Treue, jak się tam wprosicie do niej, to jej pocichu starego slugę przypomnijcie, bom ja nigdy u niej slugiwał.

— A cóż powiem? — zapytał Treue.

— Powiedzcie jej, że wierny jej sluga, co podkowy łamał, żyje i chodzi po bożym świecie. A z Nossen dokąd pociągniecie? — zapytał przy rozmowie Rajmund.

— Z Nossen już chyba nazad do domu, bo i święta za pasem, to je z dziećmi i żoną przebyć trzebał — rzekł w głowę się skrobiąc, Treue.

— No, to może do zobaczenia gdzie na gościom, bo ja za zajacami chodzę, to się może spotkamy.

Treue jak wszyscy handlarze, gdy im o zysk chodzi, umiał sobie radzić. Przybywszy do miasteczka, odpocząwszy, udał się zaraz na zamek.

Żołnierze go precz chcieli odpędzić; narobił wrzawy takiej, że aż oficer wyszedł. Z tym łatwiej się było porozumieć, ale posłał wprzody zapytać hrabiny, czyby co kupić chciała. Dla samej rozrywki i widzenia nowej twarzy Cosel kazała puścić przekupnia.

Nędnny był kramik biednego Treue i nie dla tak pańskich przeznaczony oczu, ale w osamotnieniu i niewoli wszystko rozrywką. Roztargnioną ręką rozrzucala pogardliwie te ubogie towary Cosel, gdy Treue dopatrywszy chwili, w której nikogo nie było, zbliżył się do niej i rzekł pocichu:

— Kazano mi powiedzieć pani, że jej wierny sługa, co łamał podkowy, żyje i chodzi zdrów po bożym świecie.

Zdziwił się niezmiernie Treue, gdy ujrzał na twarzy hrabiny jakby blesk nowego życia, promień radości, który ją przeleciał i oświecił.

— Kto ci to powiedział? — spytała.

— On sam, on sam, jasna pani — odparł Treue — spotkałem go tu w okolicy podobno na myśliwstwie.

Po tych słowach, hrabina szybko zakupiła, co jej pod rękę wpadło, i Treue zdziwił się niepomalu, jak mu szło w targu szczęśliwie. Nakupiwszy podarków dla służby, kazawszy sobie powtórzyć słowa te, które ją o Zaklikę uspokajały, hrabina odprawiła Treuego. Wyszedł z zamku uszczęśliwiony. Targ w gospodzie nie mniej mu się powiodł, aż zanocować musiał. Nazajutrz puścił się nazad drogą do Drezna, o milę od Nossen nastręczył mu się znowu Zakliku. Stanał wózek, powitali się jak dobrzy przyjaciele.

— A co? — zapytał Polak — powiedzieliście też mi?

— Aha? a jakże! — rzekł Treue — i hrabina widocznie była ucieczona tą wiadomością. Zrobiłem w istocie dobry interes na zamku i w miasteczku: Bóg wam zapłać.

Zaklika chciał mu powiedzieć, że też dobry uczynek spełnił, ale z tem się powstrzymał.

W Dreźnie tymczasem ciągnięto śledztwo z uwięzionych. Herzog miał nadto rozumu, żeby się przyznał do czego, choć naówczas mogli go wziąć na pytki pierwsze i drugie i mączyć, pókiby się nie przyznał. Zaniechano jednak tego, puszczone jednak obwinionego, odbierając mu miejsce tylko; kobiety wyszły z więzienia niewynagrodzone i wymęczone, ale przestroga w las nie poszła.

Król August, sam teraz obawiając się hrabiny, pilno czuwał nad jej losem. Znał ją nadto, by mu groźną nie była. Na pierwszą wiadomość o pogłosce, iż ucieczka zamierzona została, rozgniewany nakazał daleko warowniejszy zamek Stolpen przygotować na więzienie dla Cosel. Była to ta twierdza na bazaltowych słupach zbudowana, w której niegdyś biskupi meissenscy swoich więźniów zamykali; to samo miejsce, które przed laty szczególna Cosel zwiedzała z królem, gdzie z nim razem biesiadowali w zwierzyńcu; ten zamek, na którego drodze spotkała starą Mławę i wróżby pierwsze przyszłego losu...

W tejże chwili wysłano do Stolpen rozkazy, aby wieżę świętego Jana na mieszkanie oczyszczono i przygotowano. August gniewnym był i obrązony. Nieugięty umysł tej kobiety urągał jego władzy i potędze, jedna niewiasta śmiała upominać się o dotrzymanie przyczepień, o królewskie słowo i rzucać mu wiarołomstwem w oczy. Było to

zuchwałstwo niedarowane, nieprzebaczone, a kto gniew pański ściągnął na siebie, dla tego nie było litości.

Na dwa dni przed wigilją świąt ruch powstał w zamku niespodziany; z Drezna przysłano powóz i konie, straż nową i rozkaz króla, ażeby Cosel do Stolpen przewiezioną została.

Żdumiony oficer przez litość nie śmiał wejść do hrabiny z tym rozkazem nowym, który cięższy, jeśli być może, los jej jeszcze zwiastował.

Cosel na pierwszy szmer niezwyczajny w zamku zerwała się z siedzenia, na którym zatopiona w kartkach poszarpanych starej biblij siedziała. Rzuciła się ku drzwiom.

Były chwile jeszcze, w których po sercu Augusta (kochała go nieszczęśliwa) spodziewała się litości, sprawiedliwości, uczucia. Zdało jej się, że na święta nadchodzące przyszle jej w podarku wolność.

Drżąca stała w progu, gdy urzędnik w peruce wszedł z głębokim uklonem. Zjawienie się podobnego gryzpiórka było dla niej zawsze najgorszym zwiastunem. Trzymał papier w ręce, a okulary w drugiej: ręce mu dygotały.

— Czego ty chcesz? — zawała Cosel.

— Rozkaz najjaśniejszego pana, który natychmiast spełnionym być musi — rzekł ochrypłym głosem urzędnik. — Pani hrabina przejeżdża do Stolpen, przeznaczonego jej najłaskawiej do dalszego pobytu.

Z okropnym krzykiem, ręką zasłaniając sobie oczy, hrabina rzuciła się ku ścianie, jakby się o nią rozbić chciała. Na widok tego szalu podbiegły wchodzące kobiety i pochwyciły ją pod ręce. Jednym ruchem pozbyła się obu. Wrzask dobył się z ust jakby obłąkanej, potem ryk i jęk... urzędnik stał wryty, przerażony, nie wiedząc co poozać.

Niemal gwałtem musiano hrabinę sprowadzić do oczekującego na nią powozu.

W konwulsjach, bólu, płacz i osłupialem milczeniu naprzemiany wieziona, dnia 25 grudnia 1716... stanęła w bramie Jana i Donata i oczy zażawione podniósłszy, ujrzała przed sobą groźną wieżę święto-Jańską, przeznaczoną jej na więzienie.

## X

Stary zamek Stolpeński był naówczas już napół ruiną... Kilkakroć wierzchołki jego wieżyc ogień z nieba druzgotał, paliły się sarki budowy i podtrzymywane, opustoszałe, ledwie małą załogę pomieścić w sobie mogły. Dawne mieszkanie biskupów w części przerobione zostało, w części się rozpadło w gruzy; do wódca zamku, Jan Fryderyk von Wehlen, zajmował sam niewygodną basztę dla uwięzionej, nieszczęśliwej ulubienicy Augusta przeznaczono jedną wieżę, Johannishurm, wieżę jeszcze za biskupów więzieniem będącą, której piętra, każde z jednej obszernej izby sklepionej składające się, nosiły dotąd nazwania świadczące o dawnem przeznaczeniu.

Dawnej pani pałacu czterech pór roku starczyć teraz musiały dwie jeszcze mieszkalne komnaty.

Niższe piętro, Burgverlies, już naówczas gruzem zasypane, dawno było niemieszkalnym. Dwa wyższe Johannis-gefängniss i Richtergehorsam... przygotowano dla hrabiny. Jedno z nich przeznaczonem było na kuchnię i dla ludzi, drugie dla niej.

Gdy wydobyta z powozu, niemal znowu siłą wiedziono hrabinę do ciasnej sześciokątnej izby, naprzestrzął oknami wąskimi oświecone, uboczej, nędznej, smałej; gdy obejrziała się dokola; rzuciła się ze wściekłością, którą hamować musiano, jakby

głowę zboleła roztrzaskać chciała o mury. Naprzemiany znowu to osłupienie, to łzy, to szal i wściekłość opanowywały ją, tak że nieustanna straż czuwać nad nią musiała. Świadomi jej losów, choć najobojętniejsi ludzie, od wzruszenia, patrząc na nią, powstrzymać się nie mogli. Jej piękność, niedola, rozpacz, wyciskały łzy. Dodali jej stróże i służący, które dobrano umyślnie, aby ich przekupić anilitości obudzić niszczała, stali osłupieni widokiem tego bezprzykładnego szalu, co chwilą zdającego się grozić śniercią.

Ille razy oczy jej zwróciły się na ściany izby, na wiszące nad nią ciężkie sklepienie, na drzwi zaparte... powracał ryk i szal a po nim omdlenie i łzy.

Wehlen, stary żołnierz, który nigdy z kobietami nie wojował, twarda natura zdrewniałego pod mundurem człowieka, tracił głowę i cierplowość. Smutno mu było zostać wykonawcą wyroku nad kobietą, której niedola przechodziła siły. Pierwszy ten dzień święta, obchodzonego w całych Niemczech z taką radością i uroczystością rodzinną u domowych ognisk, zatruty został Wehlenowi widokiem scen rozpacznych. Żołnierze pod murami chodzący na wartach stawali przerażeni głosem, który się z zamku dobywał. Zdało się, jakby dawne izby tortur odbrzmiewały jękiem wszystkich ofiar swoich z przed wieków.

Noc przeszła w tym niepokoju i dzień następny ze łzami, a potem omdlenie milczące trzymało ją na łóżu w półumarłą załkaniem. Kobiety szeptały między sobą, że nie wytrzyma i skona. Trzeciego dnia Coseł porwała się z łóża... zażądała papieru... chciała pisać do króla.

Przewidziano to żądanie, listy odsyłane być miały Löwendanlowi i niszczone natychmiast... z zakazem, aby je ktoś śmiały otwierać.

Zastrzegł się August od wpływu tych rozpacza-  
wych jęków, nie dopuszczając ich do siebie. A nóż-  
by one obudziły litość, poruszyły, zniecierpliwiły,  
czolo królewskie okryły wstydem.

Skazane więc były na spalenie. Ale nie bro-  
niono niewolnicy łzami je zlewać dnie całe. Wy-  
słany list, który szedł w ogień, nie dochodząc rąk  
królewskich, dawał jej chwilę nadziei. Myślała, że  
choć jeden z wielu, choć trafem który dojdzie do  
Augusta. Wierzyła jeszcze w serce jego.

Gdy pierwsze wybuchy rozpaczny przeszły, z prze-  
rażeniem rzuciła oczyma dokoła. Z pierwszej byt-  
ności swej na zamku przypośniała sobie te mury,  
które ją wówczas przeraziły posępniemi ściany swe-  
mi. Z okien ich widać było zębate kurtyny, ota-  
czające zamek, góre okrytą lasem i w dali sine  
wzgórza puste, a kraj jakiś jakby bez ludzi.

Rzucono ją tu na łup samotności, wspomnieniom,  
dozorowi żołdactwa, znęcaniu się sług, którzy byli  
razem klucznikami więzienia i oprawcami ofiary.

Za najmniejszym przewinieniem tego jej nazna-  
czonego dworu grzmiał chrypliwy głos Wehlen'a,  
który nie rozumiał najmniejszego pobieżania wobec  
swoich rozkazów.

Z Drezna otrzymał on polecenie jak najsuwosze-  
go dozoru, pod odpowiedzialnością, która naówczas  
łatwo aż do utraty życia rozciągnąć się mogła. Ci co  
pisali instrukcje, nakazywali wprawdzie grzeczność  
dla kobiety, ale dla więźnia dozór, któryby nawet ma-  
rzenia ucieczki rozproszył. I na pierwszy rzut oka by-  
ła ona niepodobną. Zamek otaczały mury dokoła,  
wieża świętego Jana wznosiła się ponad niemi wysoko-  
ko, okuami poprzeyznana tak, że straż, niemal co  
chwila mogła, podniósłszy oczy, widzieć niewolnicę.  
Dwa podwórce, bramami warownymi zamknięte,  
przejść było trzeba, aby się dostać do stóp wieży.

We wrotach chodziły straże, przy murach byli żołnierze; sam zamek na wysokiej górze panującej okolicy każdego dnia przychodzącego wystawał na widok mieszkańców nieopodal leżącego miasteczka.

Oprócz komendanta twierdzy i kilku oficerów na to wygnanie skazanych, oprócz niewielkiej garści żołnierzy, zamek prawie nie miał innych mieszkańców. Służba hrabiny stanowiła wyjątek. Ona także dzieliła jej więzienie. Nikomu z ludzi do miasteczka nawet wyjść bez pozwolenia nie było wolno. Bramy zamykały się wcześnie.

Twierdza wprawdzie, jako miejsce obronne, mogła mieć pewne znaczenie. Leżała blisko granicy Czech, broniła saskich rubieży, ale stąd dawno żadna nie zagrażała wojna i opuszczono ją powoli. Königstein i Sonnenstein, te za niezdobyte naówczas uważane fortece, odebrały Stolpenowi dawną jego ważność. Nie bardzo też pilnie strzeżono zamku aż do przybycia hrabiny. Ten więzień stanu, ta winowajczyni, co śmiała się mniemać królową i nie chciała zwrócić pisma pańskiego, ściągnęła dopiero czujność całą ku opuszczonej murom.

Stary Wehlen, który nie widział ponad nigdy hrabiny, a z niewierności króla wnosząc, wystawiał ją sobie zestarzałą i zbrzydłą — osłupiał, gdy ją po raz pierwszy zobaczył. Cosel miała naówczas trzydziesty szósty rok życia, lecz szczególny dar boży nadał jej wiekuistą młodość; ślądu przebytych cierpień widać na niej nie było i nigdy może ani piękniejszą, ani ponętniejszą niż była. Blask jej oczów, białość i świeżość twarzy, majestatyczna postać, kształty snycerskie, wprawiały w zdumienie tych, co na nią patrzyli. Jakby urągając upokorzeniom, które ją spotykały, Cosel przybrała tu postawę, o której mowa panujączej. Rozkazywała... a w sto-

wach jej przebijala się tem większa dumia, im nie-szczęśliwsze stawało się położenie.

Jakże tam dni płynęły nieskończenie długie, nie-przebyte, jednostajne. Cosel miała na zapełnienie ich wspomnienie tylko... a czasem... czasem wraca-jącą nadzieję. Przeklinała okrucieństwa Augusta i nie umiała razem pojąć, aby ono trwać mogło, aby ten, co ją zdawał się kochać tak czule, mógł stać się dla niej tym niemym katem bez duszy.

Listy, które pisała, stały się dla niej potrzebą i nałogiem. Po milczeniu domyślać się mogła, że rzuciała je w otchłań bezdenną, a jednak, jednak ulga czula, gdy myśl jej wylała się na ten papier, który być mógł tylko urągawiskiem dla ludzi.

Zrobiłaż co taś zlego, ażeby się wiecznie nad nią znęcać musia? nawet pozbawić ją dzieci, pod pozorem, że mogła w nie tchnąć tę nienawiść ku ojcu, którą pałała przeciw niemu.

Gdy z Nossen chwytyano naprędce, co należało do uwięzionej, ktoś rozproszone kartki biblii zagar-nał. Przyszły one tu z nią, i hrabina zaczynała się w nieśmiertelnej księdze, w której tyle ludzkich wycisnęło się bolesci. Te poszarpane karty, których część wiatr poroznosił, wzbudziły żądanie całej księgi. Postała do Wehlena rozkaz, aby jej biblię kupiono. Komendant odnosił się do Drezna, kazano spełnić żądanie... b. b. odtąd nie zeszła z jej stołu. Na jej kartach znajdowała jeśli nie pociecho, to zapomnienie. Uczyła się z niej, czem od lat ty-siąców było życie: długą męczarnią przedgrobową.

Tak ją tu zastała wiosna... wiosna... w której się wszysko budzi wesołe i młode do życia, a która dla niej śmierć tylko przedłużać miała. W są-siednich drzewach zaczęły przelatywać zwawe pta-ki, jaskółki przybyły do starych gniazd na wieży aby je lepiej na nowo, drzewa zaczęły zielenieć

i otwierając się listkami ku słońcu. Ponad światem falami płynęło wonne ciepło, kwiatów westchnieniami zaprawne. Nawet około pustego zamku rozbudziło się życie, polami szły plugi i ludzie się przesuwali wolni... gromadami, ona jedna była sama i przykuta. Stanawszy w oknie i goniąc oczyma zdala ujrzaną postać, zgadując ją, wcielając się w jej byt: Coseł zadumywała się godzinami i nie wieǳiała, jak czasem żołnierz stojący na straży, tak samo oslepiony jej pięknością, wpatrywał się w nią, zapominając o sobie i pytając, co tak piękna istota tak strasznego popełnić mogła, by ją na niewolę skazano? Stary Wehlen, chodząc z fajką po wałach, nieraz sam patrzał ku górze i czuł, że mu się robiło w myślach gorzko, na sercu ciężko, że mniej kochał swego wspaniałego pana Fryderyka-Augusta.

Robiło mu się żal. Za całą przechadzkę wąskie wschody, i dziesięć kroków komnaty! i wiecznie to duszące sklepienie powietrze, którego słońce ogrzać nie mog o... i wieczne listy, co szły na stos, lub biblia i łzy!

Wehlenowi nawet żał się z piersi dobywał.

U stóp wieży świętego Jana był mały kliniek ziemi, opasany murem twierdzy i ścianą wieży: miejsca tyle jak na dostatni grób człowieczy. W tym kątku kwitły piołuny i macierzanka i dzikie gwoździki różowe. Po murach czepiały się zdzibła trawy i posiane przez wiatry nienazwane kwiatki ubogie... Wehlen pomyślał sobie: gdyby choć ten ogródek... Ale na ogródek nawet trzeba było pozwolenia, bo on był ulgą, słodyczą, pociechą, a zbuntowanej kobiecie dać trochę litości, było ją uzuchwalić. Sam więc stary zrobił tu sobie ogródek, myśląc, że choć popatrzeć na kwiatki miło będzie tej, co sama jak kwiat pański zwiędzia na łodydze.

Coseł wyjrzała w ten kątek i zobaczyła, że go

kopano; przyszedł jej na inny grób; odwróciła się. Dopiero gdy wiosna co tak żwawo sieje i rodzi, wyprowadziła tu kwiaty, Cosel się im uśmiechnęła. Nie takie miała w swych ogrodach i w Hesperi, ogrodzie i w Pillnitz, a teraz i tych mieć nie mogło.

Zdawało jej się, że gdyby zamiast na kamieniach, mogła choć usiąść na ziemi i przytulić się do niej odzyłyby znowu. Myślała, że kwiaty były dla niej powiernikami i towarzyszami. Lecz prosić o nie mogła królowa, cierpieć wolała. Witała z radością ogródek i żegnała go, gdy pachniał wieczorem.

Stary Wehlen kazał jej powiedzieć służbie, że ten ogródek jest dla niej, że go sobie objąć może. W istocie uciec stąd było niepodobna, o trzy kroki chodziły aż dwie straże.

I jednego poranku Cosel zeszła ze schodów biegącym po przeszkody, aby swój ogródek zobaczyć; powietrze zdało jej się upajającym, słońce nieznośnym, światło oslepiającym; potrzebowała czas jakiś wsparta o mur, spocząć, póki nie przyszła do siebie.

Odtąd ogródek stał się jej całą zabawą i całe dnie w nim spędzała, rękoma własnymi pielęgnując kwiatki, które przywozić sobie kazała. Niewiele i to było, mogła więc, znając krzaczek każdy i pielęgnując zosobna, włać weń życie i oczyma go wchowywać.

Tak zeszła wiosna i lato, bez żadnej zmiany, bez żadnej nawet jej nadziei. Głucha cisza otaczała ją ciągle, na listy nie było odpowiedzi, z dawnych znajomych nikt się nie zgłosił. Z ogromnych skarbów jej, zabranych dla dzieci, rozerwanych przez chciwe ręce, płacono jej około trzech tysięcy talarów, które mogła na swoje obrócić potrzebne. Ale o tych komendant zamku wiedzieć musiał. Wpuszczano tylko osoby niepodejrzane, handlarzy i przekupniów, a i ci wpuszczani musieli się poddawać.

starannym opatrzeniu, aby z sobą nie wniósł po-  
ciechy lub nadziei.

Od przybycia swego do Stolpen hrabina ocze-  
kiwała Zakliki, ale upływały miesiące i ogródek  
przekwitął, a słychu o nim nie było; aż jesienią  
późną żyd, który przyniósł jej coś na sprzedaż,  
gdy odeszły ślugi, obejrzał się wokoło bojaźli-  
wie, szepnął, że ten, co podkowy łamał, żyje i kie-  
dyś się pokaże.

Dosyć było tych wyrazów, aby już uśpioną obu-  
dzić nadzieję. Przybyły poseł nic więcej nie wie-  
dział.

Zaklika tymczasem ani na chwilę nie spoczy-  
wał. Zawiedziony w przygotowaniach swych do  
wykradzenia hrabiny z Nossen, musiał wszystko  
rozpocząć na nowo. Nie tajono bynajmniej, iż Co-  
sel wywiezioną została do Stolpen i osadzoną na  
wieży.

Okrucieństwo to oburzające starano się przed  
udźmi usprawiedliwić, rozpuszczając pogłoski, że  
Cosel jeszcze w Berlinie starała się uknuć spisek  
na życie króla, że się odgrażała na niego, i że do-  
knięta obłakaniem, mieniła się być królową. Po-  
lichu domawiano sobie, co żadną nie było tajem-  
nicą, że August sam się wstydził słabości swej  
lekkomyślności, z jaką w jej ręce dał cyrograf na  
niebie, za życia żony, obiecując ją poślubić.

Tego przymierzenia w istocie, pomimo ciągle  
ponawianych żądań, odebrać jej nikt nie mógł, ani  
o nawet przez najściślejsze poszukiwania wynie-  
ść.

Pierwszy to raz z takim okrucieństwem postą-  
ił sobie August i przeraził niem nawet Denhoffo-  
wą, chociaż ta ani tak wielkim przywiązaniem  
do króla, ani tak wysoko sięgającymi nadziejami po-  
ślubić się nie mogła.

Dwór nowej pani wprawdzie był dosyć święty, ale bliższe jej stoczenie żacnego politycznego znaczenia nie miało; ona też oprócz zabaw i rozrywek nie panowała nad niczym.

Ci nawet, co ją wynieśli dla pozbycia się niebezpiecznej Cosel: Flemming, Manteuffel, Friesen, Laguasco, Vitzthum, zdała się od niej trzymali. Jeden Watzdorf, któremu się śniło, że przez nią potrafi obalić Flemminga, przywiązał się do niej i zaślugiwał, wyrabiając od króla znaczne podarki, które Denhoffowa nieopatrznie rozpraszała, nieraz na jeden wieczór po dziesięć tysięcy talarów wydając na szumne zabawy.

Wtedy już niewiele rachując na króla i myśląc o wycofaniu się z niebezpiecznych łask jego, oglądała się na Besenvala i na młodego Lubomirskiego, który się zdawał do niej przywiązywać.

Augusta zimne i obrachowane obejście się z temi, którzy w największych u niego wprzód byli łaskach, i innych faworytów ostrzegało, aby się zawsze wyciąć starali i zabezpieczyć od kaprysów, który ich mógł w jednym dniu pozbawić wszystkiego. Tak Hoym, mąż pani Cosel, którego król potrzebował ale nie lubił, zapatrzywszy się na los Beichlinga, na to, co spotkało Imhoffa po alstrandstadzkim traktacie, wreszcie pierwszą jego żonę; nie miał pokoju, dopóki się nie zabezpieczył. Po sprzedawał dobra swe w Saksonji, powywoził pieniądze i, wystąpiwszy ze służby saskiej, cofnął się na Śląsk. Taż sama obawa nie dawała spętać marzałkowi Schulenburgowi. W tym roku, gdy hrabina uwiezioną została w Stolpen, Hoym dobrą ostatnią zamienił z Flemmingiem i pojechał z smutkiem i troską do końcać życia w Wiedniu.

Z Denhoffową kończyły się panowania wszech-

władnych metras na Cieleskun dworze. Aktorowie tych dramatów i iatry, kioremi żyło otoczenie Augusta, starzeli i wymierali, on sam tracił smak i ochotę szumnych rozrywek. Jeden jeszcze jarmark lipski po dawnemu rozrywać go umiał i na chwilę ożywić.

Zaklika dugo myślał co począć z sobą i jakich użyć środków, aby się do Cosel przybliżyć. Stolpen prawie mu nie było znanem, pojechał je obejrzeć zbliska. W miasteczku stanąć mógł bez niebezpieczeństw, nie zwracano bowiem zbyt wielkiej na podróżnych bacznosci; tu się też dowiedział, jak w zamku gospodarowano, kto na nim dowodził i że przystęp do niego nie był łatwym. Odjeżdżając, okrążył zamek i zwierzyniec ze wszech stron, szukając doń łatwego przystępu. Nie znalazł żadnego.

W pierwszym zwłaszcza roku pobytu hrabiny czujność była wielka, a do środka, nie będąc osobiste dowódcy znajomym, wcale się dostać nie było podobna.

Zaklika łamał sobie głowę nad zadaniem i powrócił do Drezna z postanowieniem ukazania się jawnego i szukania drogi, jakaby mógł Cosel usłużyć. Znajomych z dawnych czasów pozostało mu wielu, przyjaciół żadnych. Zjawiali się wszakże też raz codzień przybywający z Polski panowie, przez których wpływ coś tu sobie wyrobić było można. Zaklika marzył, iż powinien wrócić do służby wojskowej, a raz wdziawszy mundur, starać się jakimkolwiek sposobem dostać do załogi w Stolpen stojącej. Droga była długa i trudna, lecz ten, co ją przedsiębrał, miał za sobą zieloną wóle i poświęcenie bez granic. U panów polskich imię jego, starej rodziny, było już pewnym zalecением.

Ukazanie się jego na dworze obudziło zrazu

pewne zdziwienie. Wszyscy wiedzieli, że był przy hrabinie Coseł, nikt nie dopytywał; co się z nim stało po jej upadku. Zaklika oświadczył śmiało, że jakiś czas u rodziny w kraju przebywał. Chwilowe przybycie do Drezna Sienawskiego, biskupa kujawskiego, którego znał za młodą, dało mu pochop starania się przez niego o pozwolenie kupienia szarzy kapitańskiej w wojsku saskiem. Król na wzmiankę o nim brew namarszczył, kazał mu się sobie przedstawić. Przez kilka lat go nie widział i dużo zmienionym znalazł; podejrzliwem okiem mu się przypatrywał, ale znalazłszy go śmiały i spokojnym, dowiedziawszy się od niego, iż dobrowolnie hrabinę porzucił, przeciw wstąpieniu do wojska nic nie miał. Szło tylko o kupno szarzy, które mu zaraz nastręczono. Zaklika miał coś gorsza powoli ubieranego oszczędnością tam, gdzie się on często sypał obficie; dobito więc targu z Niemcem i nasz bohater wzdał znowu, tym razem inny i wspanialszy mundur niż przedtem. Służba była z wielu miar nieznośna, chociaż dla ludzi, co roztargnienia lubili, przyjemna. Wojska, które się w Polsce nie uganiały za konfederatami, więcej służyły do parady i zabawy niż do surowszych zajęć wojskowych.

W wojsku \*) oficerowie często po całych latach pułków swoich nie widywali, czasu zimy oblegali przedpokoje, a latem w obozie wcale ich spotkać nie było można. Siedzieli po domach i żyli z pieniędzy zebranych na zimowe leże, opowiadając o cudach waleczności, jakich dokazywali, przed zdumionymi kobietami. Nie szanowano ani rozkazów, ani rozporządzeń, życie wiedziono bez skrupułu, a żołnierz, odarty z pierwszych potrzeb życia

pokutował. Współcześni świadcza, że nowe pułki, które sztyftowano, na które brano pieniądze, wcale się nie ściągały, a rekrutowanie ich starym przeszkaďało się dopełniać. Nieustanna zmiana starszyzny rujnowała skarb, a szła na korzyść komisarjatu i oficerów. Co było w kraju najmniej zdolnego, znajdowało się w wojsku; awanturnicy, rajfury, gracze, lichwiarze, pieniacze, a procesa międry oficerami były nieustanne. Generałowie żyli z żołnierzy, a ci, do rozpacznej przyprowadzeni, musieli na wzór oficerów szukać chleba powszedniego, nie patrząc, jak go dostawali.

Margrabia Ludwik Badeński, pod którego dowództwem był kontyngens saski w 1703 roku na wojnę o spadek hiszpański przysłany, tracił głowę, nie mogąc sobie z nim dać rady. Często w marszu, gdy pośpieszać było potrzeba, znajdował ich wywczasowujących się w szlafrokach. Historja pułkownika Görtza i jego wyjścia z Polski w roku 1704 stawi także dobry przykład karności wojska sakiego. Görtz, którego aresztować miano za niepozorniwe prowadzenie oddziału, a zbytnie pamiętanie o sobie, tak dobrze manewrował, że tych, co jego mieli przytrzymać, oszczył i wziął.

Właśnie to rozprzężenie posiugiwało Zaklikiem zamiarom, wszystko tu było do zrobienia pieniędzmi... Towarzystwo, w które wszedł, nad hulankę i wesołe życie, prędkie zarobek i roztrwonenie ochocze nic droższego nie miało. Obyczaj i przykład dworu szczepił się w wojskowych; patrząc na parady dawane dla pięknych pań i szturmy przy pułapce do półmisków królewskich, nie brali powołania swego na serjo. Gdzie niegdzie wśród tej zbieranej drużyny, w większej części z obcych: Francuzów, Włochów i przybłędów różnych złożonej, traflili się rządki czowiek, co żenierzem być

chciał i umiał. Z takiego się tylko wysmiewano. Nic więc łatwiejszym nie było dla Zaklików jak wdziały mundur i zapoznawszy się z towarzyszami, przygotować sobie drogi dla dostania się na zamek stolpeński, w którym pobyt nikomu się nie uśmiał...

Stary Wehlen, o którym zasiegnął wiadomości, człowiek spokojny, dobry w gruncie, po całych dniach grający w arcaby i palacy fajkę, nie zdawał mu się trudnym do oszukania...

Cosel zdziwiła się mocno po milczących kilku miesiącach odbierając znowu poselstwo tajemnicze przez wędrownego Izraelitę, który jej zwiastował przybycie tego, co łamał podkowy.

## XI

Nadeszła druga wiosna i po raz wtóry zazieleńczała w ogródce, też same kwiatki podniosły z grządka wskreszone głowy ku powracającemu słońcu. Cosel otworzyła okno, dzień był ciepły, cisza w powietrzu; zduła w zwierzyńcu las i drzewa szumiały, ale ich szumuuchem tylko słuchać mogła. Ze schodów tuż schodziło się do małego wydzielonego jej kącika ziemi, a i ten dla niej był łaską człowieka, który się jej ulitował.

Niejeden raz już tak w ogrodzie swoim siedząc pod zbudowaną dla niej małenką laubą, widywała przechodzących podwórzem, od którego niski przymurek a dzielił żołnierzy i oficerów załogi. Nie lubiła wprawdzie dumna pani, aby się jej upadlej wielkości przypatrywano, lecz znękana potem widaćła twarz ludzką, zapominając, że była królową. I niejeden żołnierz mimowolnie stanął, wpatrując się w nią z politowania, a młodsi oficerowie traciли głowy, gdy dugo wystawieni byli na ogień czarnych jej oczów.

Jednym z tych, co się najdłużej zawsze przechadzali, szukając pozoru jakiegoś, aby się zbliżyć do ogródka i przypatrzyć pięknej Dianie, bo ją tak zwano od czasu, gdy w osobie bogini występuowała na wjeździe bogów, był młody Wehlen, synowiec komendanta. Stary go tu trzymał przy sobie, poczęści dlatego, żeby mieć kogoś musztrować bezkarnie i sadzać godzinami do grania z sobą w arcaby, w części dla skutecznego zajmowania się jego wojskową karierą.

Henryk von Wehlen wcale w niej zamiłowania nie miał, ale matka owdowiała, spodziewająca się spadku po komendancie bezdzietnym, który uchodził za majątnego, bo był dosyć skąpy, zmusiła syna, by się poddał jego rozkazom.

Młody dwudziestoletni Wehlen nudził się śmiertelnie na bazaltach stolpeńskich, lecz wyrwać się stąd nie mógł.

Jakimże to szczęściem dla młodego, rozmarzonego samotnością chłopaka było przybycie tego nieszczęśliwego, a tak pięknego więźnia, do tego zamku! Z pierwszego wejrzenia na Annę Henryk stracił głowę. Nie pojmował on, jak mógł kto mieć odwagę tak piękną istotę, taki ideal bezpieczeństwa ziemskiego zamknąć wśród murów tych i dać mu zamierać powoli. Z młodzieńczą pierwszą miłością, czystą, egzaltowaną, tajoną a gwałtowną, rzucił się Wehlen ku pięknej pani, aby jej służyć

przynieść ulgę w niedoli. Stary komendant wcale nie dojrzał w synowcu rodzącego się uczucia, ani się go mógł domyśleć. On był najprozaiczniejszym z ludzi, i dla niego dwie młode niewiasty zupełnie obie były równe. Uśmiechał się dawniej do wszystkich; teraz do żadnej.

Nieznanie Henryk poddał mu owę litość, która stworzyła ogródek u stóp wiśły, z późniejszą iunc

drobne usługi dla hrabiny. Zastępując często komendantą, był tu niemal panem na zamku, i Coseł, która rzadko nań okiem rzucić raczyła, wiedziała dobrze, iż na niego rachowaćby mogła. Wolala wszakże czekać na Zaklikę.

Jakież było podziwienie jej i radość, gdy pierwszy raz schodząc do wiosną ożywionego ogródka Coseł zobaczyła w podwórzu razem stojących i w dobrej zgodzie rozmawiających z sobą ludzi Henryka Wehlen i Zaklikę. Ostatniego poznała po głosie, bo go nowy strój wojskowy zmienił zupełnie.

Dochodziła ją rozmowa dosyć głośna. Zaklik opowiadał, że podjął się tu zająć miejsce kapitana Zitauera, któremu pilno było do rodziny pojechać.

Henryk i on zdawali się już dobrymi przyjacielmi.

— Al kapitanie von Wehlen — mówił drugi kapitan, von Zaklika — niewesoło tu u was na tych starych gruzowiskach mniszych. Gdybym był wiedział, że tu na skale takie pustkowie, taka nuda.

Henryk wszakże nie zdawał się wcale znudzony.

— Al mój panie — kto chce się bawić, temu się daj Stolpen niema co wybierać, ale spokojnie patrz na piękną naturę i życie sobie cicho... bardzo można.

Coseł słuchała, oczy odwróciła, aby nie dać poznac, że ją rozmowa obchodzi, ale serce jej uderzyło mocno.

— Kapitanie Wehlen — rzekł Zaklika — jeśli nie jest grzechem, tobyście mnie, jako nowego przybysza, powinni hrabinie przedstawić.

— Z całego serca — zawołał Wehlen, któremu pretekst ten zbliżenia się do pani Coseł był bardziej pożądany.

Obaj razem podstąpili pod murek ogrodka, znajdującego się znacznie wyżej niż podwórze, na którym stali. Kapitan Wehlen pozdrowił hrabinę

— Pozwolił pani przybyłego tu kolegę sobie przedstawić, kapitana von Zaklika.

Cosel zwróciła się niby obojętnie, lekkiem skiemowaniem głowy pozdrawiając zaledwie przybyłego, który stał zbledły, wzruszony, wpatrując się w to drogie, piękne oblicze, promieniące jeszcze tym amym wdziękiem, jakim mu niegdyś zajaśniało między lip Laubegastu.

Hrabina nie odezwała się ni słowa zrazu.

— Jesteście tu gościem? — spytała po długiej hwili milczenia, zniżając się do kwiatków.

— Ale zdaje się, że nim pozostał czas dłużny, bom tu na słužbie, a niełatwo się znajdzie, aby tu chciał zastąpić towarzysza.

— O! to pewna! okropniejszego więzienia nad to ikt wymyślić nie mógł — zawała hrabina. — W lochu iemnym nie widzi się świata i zapomina o nim, tu cały zień szeroki widnokrąg przed oczyma, ptaki, góry, lały, drzewa, życie, a między nim a mną mur nieprzebitny!

Wojskowi stali niemi.

— Cóżecie wy zgrzeszyli, że was tu posłano? — dodała.

Zaklika umilkł.

— Los chciał — rzekł — jam iuż niemłody: nigdzie ni nie jest weselej.

Sklonili się i odeszli.

Wehlen, porwawszy pod rękę Zaklikę, poprowadził go żywo w trzecie podwórze zamkowe, gdzie zajmował parę izdebek obok stryja i towarzyszowi eż postarał się blisko dać przytułek.

— Kapitanie Zakliko — zawała, — wy pewnie widzieliście po raz pierwszy w życiu reichshrabine Cosel. Cóż powiecie na tę królewską piękność? Nie jestże to kobieta tronu warta, co stracona jego stopni, jeszcze ma taki majestat na sobie? Co to za pięknośl co za gwiaździsta twarz!!!

Mówił to z takim zapalem, czerwieniąc, iż od razu wydał się ze swoją tajemnicą, z którą może i ukrywać się nie myślał. Spojrzał na Zaklikę: ten stał zamysłyony, oparłszy się o stół.

— Kapitanie Wehlen — rzekł krótko, — nie dziwuję się nic wcale, lecz z twoich wyrazów, z twoego zapału, mógłby kto cię posądzić, żeś się zakochał..

Wehlen uderzył się w piersi.

— Obaśmy żołnierz — zawołał — i uczciwi ludzie. na co się mam zapierać; straciłem głowę, patrząc na nią! Ani się wstydzę. Takich kobiet dwóch na świecie niema.

— Ale na cóż się to wam zdało? — uśmiechnął się Zaklika smutnie. — Kobieta, co była królową oczu już na nikogo nie zwróci; tyle nieszczęść wyssuszyło w niej serce, a w ostatku niewolnicą jest na wieki.

— Al na wiekil — przerwał Wehlen — cóż jest wiecznego na ziemi? Ona jeszcze tak mi się wydaje, że jest młodą!

Zaklika się uśmiechnął.

— A i wy mnie wydajecie się młodzil! — dodał.

Kapitan Wehlen zawstydził się, podał rękę nowemu towarzyszowi z dobrodusznym uśmiechem i szepnął:

— W istocie, macie słuszność ja nim jestem! Młodym, dzieciarnym to prawda; lecz oprzeć się urokowi tego wejrzenia nie jest w stanie żaden człowiek. Widzieliście mojego stryja, jego siwe wąsy, pomarszczoną twarz i zgasłe oczy. Cóż powiecie? patrzy na nią z daleka tak, jakby się grzał na słońcu i wdycha, odchodząc do swej izdebki, dopóki przy arcabach nie zapomni o bogini. Żołnierz godzinami patrzy się na nią, jak na obraz; a cóż mówić o dwudziestoletnim jak ja wartoglowie?

Wehlen ze swojem uwielbieniem dla Cosel b

zazarem pomocą Zaklice i zawadą. Tegoż dnia po-  
szli razem obejrzeć zamek. A było w nim istotnie  
co oglądać, w siedmiowierzchniej wieży, w pod-  
ziemnych galerjach i gankach.

Zaklika wszystko do jednego odnosząc celu, sta-  
rał się już obmyślać środki ucieczki. I nie było pono-  
innego nad wyjście podziemiami z wieży o siedmiu  
wierzchach do kapitulnej, a z kapitulnej do kaplicy,  
od której zapomniany korytarzyk wiódł niewygodną  
cięsną szyją nazewnątrz w stronę miasta.

Zaklika udawał, że go te gotyckie, starożytne  
szczętki wielce zajmują, aby się obeznać z niemi.  
Cały plan już snuł mu się po głowie: hrabina nocą  
przebrana po męsku mogła zniść ze schodów  
i przemknąć się na wewnętrzne podwórze. Tu nie  
chodziły straże, można było łatwo w cieniu nocy  
i murów dostać się do drzwiczek podziemia. W mia-  
steczku nietrudno było o parę koni, a granica ce-  
sarska pod bokiem.

Myśli te zwijały mu się po głowie, Wehlen mil-  
czenie jego brał w innem wcale znaczeniu.

— Prawda — rzekł z lekkomyślnością młodzień-  
czą — wam się to wydaje strasznem, zamurowanem,  
nieprzebytem. Wszedlisy w te lochy zimno się robi-  
ni — tylko od powietrza, ale od myśli, że to ludzie na-  
um czenie ludzi sobie podobnych budowali, że się  
kopali jak krety w tej górze, aby w niej ukryć wystę-  
pek lub zdradę, a jednak wierz mi, kapitanie, pomimo  
tych murów, co otaczają nas, i tych wież, i bram, i jam,  
i straży, łatwiej stąd wyjść i wniść, niżeli się zdaje.

Zaklika zamilkł.

W kilka dni potem znalazł już sposób dostania  
się do pokoju hrabiny Cosel, nie obudzając podej-  
rzenia. Szło mu bowiem o to wiele, ażeby go na  
siebie nie ściągnął. Hrabina, milcząc, podała mu  
rukę do pocałowania.

— Długo, nadto długo — rzekła chmurno — kazałeś mi na siebie czekać.

— Środka nie miałem — odparł Zaklika. — Kto ostatek waży, jak ja, ten musi być ogólnym. Nie o mnie mi szło, ani o życie moje; lecz o to, że po mnie, gdybym się nieroziropnie rzucił i zawiódł, nie będzie może nikogo.

Hrabina zamyśliła się.

— Miałeś słuszność — odpowiedziała — ciebie, jako najwierniejszego słугę, muszę zachować na ostatek! Synowiec komendanta najprzód może być użyty.

— Jakto? do czego? — zapytał Zaklika.

— Taka jest wola moja — odparła Coseł. — Weh-leń się kocha we mnie... oszalał... on zna zamek najlepiej... jest tu panem. Nie mieszaj się do niczego, zostaw mu wolne pole, pomagaj, nie widząc, lecz nie bierz udziału... zamknij oczy. Z nim spró-buję uciec.

— Ale to nieopatrzny i szalony chłopiec — przerwał Zaklika.

— A szalonym tylko szalone się przedsięwzięcia udają — rzekła Coseł.

— Lecz jeśli się nie powiedzie? — spytał chmurno Zaklika.

— Cóż mi tam? — zimno odezwała się hrabina — uczyniąż mi co więcej nad to, co robią? Żalby mi było młodego człowieka. Wy, tak, macie słuszność, wy powinniście zostać w odwodzie.

— Młody człowiek — po namyśle począł Zaklika, z ostrożnością, oglądając się ku drzwiom umyślnie trochę otworzonym — młody człowiek może nie mieć odwagi począć cokolwiek sam, i nie sądę, żeby to miał na myśli.

— Zostaw to mnie — odezwała się Coseł — ja tem pokieruję, dobrze, iż was tu mam, ale ostatniego mego talara nie postawię na kartę...

Szmer na schodach mówiąc im dalej nie pozwolił. Kapitan odwrócił rozmowę, odezwał się głośno i zeszedł zaraz na niższe piętro.

Ubodło go to, iż Coseł odrzuciła pomoc jego; lecz zawsze posłuszny, choć mrucząc, postanowił zastosować się do jej woli.

Wehlen od pierwszych dni wziął go sobie za powiernika, nie zwierzył mu się jednak nic więcej nad to, że szalenie był zakochany w hrabine i że dla oswobodzenia jej dałby życie.

— Wy przecież nie zdradzicie mnie? — zawała rzucając mu się na szyję.

— Ja was nie zdradzę — szepnął Rajmund — tego możecie być pewni; lecz czy się wy nie zdradzacie co chwila sami, i czy nie wydacie się nieostrożnością waszą?

Zaklika dopatrzył się wkrótce, iż Wehlen i pod ogródek na rozmowę, i do wieży pod różnymi pozorami coraz częściej chodzić zaczął. Miotał się niespokojny, jakby w ciągłej gorączce. Zaklika musiał go przy starym stryju zastępować u stolika z arcabami i na gawędzie z komendantem, która zabawną nie była, bo zwykle toczyła sięoko historii familij saskich, obcych z rzeczy i imienia Zaklice. Henryk biegał nieustannie, a po zdwojoniej jego ruchawości i jakichś przygotowaniach, których on tak łatwo mógł dojrzeć domyślać się mógł, z ucieczką rychło zapewne zostanie przedsięwzięta.

Niewtajemniczonemu, nie wypadło mu się na rzuciąć, jednakże raz Henryka w dziedzińcu sam na sam spotkawszy, Zaklika szepnął:

— Na miłość Boga, panie kapitanie, nie wiem co macie w sercu i na myśl; lecz lękam się, aby drudzy jak ja nie dojrzaeli u was zbyt jawnych je- kichś, a nadzwyczajnych przygotowań: nie wiem, nie chcę się domyślać do czego.

Wehlen trochę nastraszony, wziawszy pod ręce, wprowadził go w kąt ciemny.

— Jakto? — spytał — cóż widzicie? czego się domyślacie? mówcie.

— Nie chcę się domyślać nic, a widzę — rzekł Zaklik — iż przygotowujecie się jakby do jakiegoś *salto mortale*.

— Nie rozumiem! — podchwycił Wehlen — cóż jest we mnie niezwyczajnego? co obudza te podejrzenia? Całą moją winą, żem zakochany, żem szalony, że tą miłością żyję cały!

— Patrzcie, żeby ta miłość nie doprowadziła was do zapomnienia o tem, że ją ludzie dojrzeć mogą i po niej dojść do klębka! To, co ja widzę, może drugi zobaczyć... i...

Zmieszał się Wehlen, ale znać było, że już panem siebie nie był. Niecierpliwa Coseł musiała naglić o przyśpieszenie ucieczki. Tegoż dnia Zaklik dostał się na wieżę. Hrabina chodziła niespokojna, w ubraniu nieco odmiennem niż zwykle.

— Zaklik — rzekła — nie mieszaj się do niczego; bądź głuchym. Ze starym komendantem graj jak najdłużej. Jeśliby wypadkiem alarm powstał, staraj się go zatrzymać tylko.

— Jeśliby ucieczka się powiodła — przerwał — Zaklik — cóż mam czynić?

— Natychmiast tam się stawić, gdzie ja każę.

Słowa więcej wydobyć nie było można, wskazała mu ręką drzwi.

Ze smutnym przeczuciem jakimś Zakliku wyszedł w podwórzec i długo do siebie przyjść nie mógł. Wehlen, którego spotkał, był niespokojny, rozgorączkowany, co chwila spoglądał ku słońcu, które mu zachodzić nie chciało.

Stary komendant, niedomyślający się niczego, skinął na Zaklike, aby z nim szedł napić się piwa.

i siąść do gry w arcaby, która się do nocy przeciagiła. Wachmistrz, który zamykał bramy i przyносił klucze, zwykle ich jeszcze zastawał zatopionych w grze napozór bardziej prostej, a w istocie pochłaniającej człowieka, który się do niej przywiązał.

Wieczór był jasny i piękny, i jak zwykle w dniach pogodnych noc nagle po zachodzie słońca zapadać zaczęła. Zaklika grał tak nieprzytomnie, uchem łapiąc najmniejszy szmer dający się słyszeć na zamku, że komendant, wygrywający ciągle, śmiały się z niego.

— Co ci jest dziś, kapitanie? — pytał.

— Głowa mnie boli.

Po kilku partjach zaczęli rozmowę. Wehlen fajkę nałożył, noc się robiła ciemna; zapalone świece: Henryka, który zwykle w tej porze przychodził, nie było.

— Pewnie mi się wyrwał na miasteczko — odezwał się komendant — bo mu tu nudno, i wolałbym to z lchem — dodał zniżając głos — niż że mi się pod wieżą modli do tej dumnej pani, której w istocie zdaje się, że jest królową, że ledwie kogo skiniением pozdrowić raczy.

Zaklika odwrócił rozmowę...

Na zamku cicho było, godzina, o której wachmistrz odniósł klucze, zblizała się: zapukano do drzwi.

Stary żołnierz, który wyglądał raczej na rozbójnika, najemnik, który pono przeszedł służbę wszystkie niemieckie, flandryjskie i holenderskie, nim się oparł w saskiej, zjawił się blady i z twarzą dziwnie wykrzywioną w progu. Wyraz jej uderzył Zaklikę: był straszny, usta mu się trzęsły.

Komendant, choć go używał, nie lubił: ale że w ostrzejszym rygorze ludzi trzymał, rozstać się z nim nie mógł. Zwał się Wurm.

- Panie komendancie, podezwai się Wurm —  
mam mu donieść o ważnym wypadku...

- Cóż? pali się — porywając się z krzesła, krzyknął Wehlen.

- Nie, ale pański synowiec ucieka w tej chwili z hrabiną Coseł z zamku, hal hal!

Stary komendant rzucił się jak szalony ku drzwiom.

- I! niema się czego obawiać — roześmiał się dziko Wurm,—ja na to dawno czekałem, czatowałem: wiedziałem, że to nie minie i nagroda nie minie.

- Co za kłamstwo bezecne! — zawała komendant — jak śmiesz...,

- Ja spełniam mój obowiązek — zimno rzekł Wurm — w tej chwili żołnierze ich trzymają w ganiku za kaplicą i kapitan Henryk, co mnie po pyskach trzepał, gdy zły był, głowę dał!

Z wyrazem piekielnej zemsty uśmiechnął się wachmistrz... Komendant drżał, chwytając to za broń, to za klucze i nie wiedząc co ma począć. Trwoga o los synowca, do którego był przywiązaný, do szalu go doprowadzała.

- Kapitanie Zakliko! — zawała — ratuj mnie, ratuj jego!

- Niema tu co ratować — odparł wachmistrz, — jutro całe miasto się dowie i król i dwór, nadto ludzi ta sprawę widziało. O, ja to dobrze urządziłem. Zemściłem się ja, a jak wy na mnie za niego się zemścić zechcecie, no, tom ja i na to gotów.

Mówili jeszcze, gdy hałas w podwórzu od podziemia wieży o siedmiu wierzchach dał się słyszeć. Żołnierze z wrzawą prowadzili pochwyconyh więźniów, hrabine, która szła przodem niema i blada, i Henryka związanego, bo pistoletem jedną był sobie zadał ranę i życieby pewnie sobie odebrał, gdyby mu rąk nie skrępowali żołnierze.

Cosel z wściekłą rozpaczą biegła, nie oglądając się, na wiezę. Henryk stał... Stary zbliżył się doń, łamiąc ręce i włosy sobie szarpiąc z głowy. Za nim szedł Zaklika z litością w sercu dla biednego chłopaka, który tak nieopatrznie wpadł w zasadzkę. Nikt się nie oglądał nawet na Wurma, który szydersko się prześmiewając triumfował.

Stary był zmuszony w tej chwili synowca osadzić w więzeniu i z raportem wysłać do Drezna.

Napisać go nie mógł stary żołnierz, drżał i łzy ciekły mu z oczów; zwołał zwykle go wyręczającego pisarza... Ze łkaniem i przekleństwy ledwie wyjakiem słowa usłyszeć było można. Oskarżały synowca, młody jego wiek stawiając jako powód do politowania, zasługi swoje kładł na szalę: obwiniał sam siebie i ślepotę swą, ale naostatek winę też przypisał i zdrajcy wachmistrzowi, który niepoczciwie zamiast zapobiec nieszczęściu, czekał na nie, by z niego korzystać.

Podwojono straże przy wieży: noc ta zeszła na czuwaniu i niepokoju.

Komendant wachmistrza też oddał pod areszt. Z papierami wysłano kurjera do Drezna. Wschodzące słońce oświeciło stoipeński zamek smutniejszym niż kiedyś, niemym. Cosel leżała konwulsjami miotana.

Około południa już chmurą spadli z Drezna wysłany z rozkazami króla generał von Bodt i kilku urzędników.

Na samym wstępie stary Wehlen, nie mówiąc słowa, szpadę oddał, ale mu ją Bodt powrócił. Z rozkazu króla kapitan Henryk von Wehlen i wachmistrz Wurm oddani być mieli pod sąd wojenny.

Nim słońce zaszło, wyrok zapadły na śmierć miał być spełniony. Próźne były prośby i łkania

starego komendanta, odwoływania się do łaski, i żądania chociażby zwłoki.

Cosel usłyszała strzały i drgnęła: przeczucie mówiło jej, że człowiek, co ją kochał, płacił w tej chwili swą miłość życiem.

Zaklika stał blady jak trup.

Tegoż dnia Wehlen porzucił służbę, list napisawszy do króla. Wachmistrza w kajuanach zesłano do robót w fortecty Königsteine.

## XII

To była pierwsza próba hrabiny Cosel uwolnienia się z naizuconych jej więzów. Plakała po biednym, młodym zapaleńcu, który dał za nią życie, ale zarazem nad sobą. Słudze kazała się dowiedzieć, gdzie pochowano Henryka, i zanieść na jego grób wszystkie ścięte w ogródku kwiaty. Po tym wypadku zmieniło się niemal wszystko w Stolpen. Po Wehlenie komendę objął surowszy od niego, ale mniej zdolny Bierling, człowiek namiętny, gwałtowny, samowolny, dumny, mający wszystkie wady starego żołdaka, któremu się wiodło lepiej niż zasłużył. Świeży wypadek zrazu niezmierną surowość wywołał. Hrabinie z wieży królem ruszać się nie pozwolono, zmieniono dawną straż i Zaklice kazano powrócić do swego pułku.

Korzystając z uspokojenia komendanta, który co wieczora, po odebraniu kluczy, bezprzytomny padał na łóże, Zaklika, nim odjechał, poszedł pożegnać panią Cosel.

Znalazł ją nawpół obłąkaną i we łzach, mówić nawet nie mogła.

— Jakto? już i ty mnie opuszczasz? ty? ze strachu — zawała z oburzeniem.

— Ja nie z własnej woli stąd idę — odeszwała się

Zaklika cicho. — Kazano mi wracać do pułku, mu-  
szę. Odchodzę dlatego tylko, ażebym lepiej mógl  
służyć.

— A ja mam tu wieki czekać — płacząc, wo-  
łała Coseł — umierać powoli!

— Rozkazuj pani — dodał Rajmund smutnie, —  
zrobię, co kąiesz; nic mnie to nie będzie kosztować.

Po chwili namysłu Coseł wstała z suchemi oczyma.

— Nie, tak jest dobrze, tak musi być — rzekła,  
— idź, myśl sam, co masz czynić: ty to będziesz  
wiedział lepiej; mnie rozum opuścił, Bóg opuścił,  
ludzie, wszystko; lecz pamiętaj, jeśli i ty mnie zdra-  
dzisz, pomsty na ciebie wołać będę do Boga:  
przeklnę cię.

Zaledwie chwilę mogła trwać ta rozmowa, którą  
sługi zdradzić, usłyszawszy, miałyby sobie za obo-  
wiązek; nie było czasu do stracenia: hrabina wska-  
zała Zaklice drzewo w Pillnitz, pod którym sama  
zagrzebała, wyjeżdżając, w przewidywaniu potrzeby  
późniejszej szkatułkę małą, kosztowne zawierającą  
brylanty. Zaklika miał je wydobyć, starać się spie-  
nięzyć i sumę ze sprzedaży mieć na potrzeby hra-  
biny, jeśliby się ucieczka powiodła. Zaklika ledwie  
miał czas wysuchać rozkazów, gdy szmer na scho-  
dach zmusił go do śpiesznej ucieczki.

Przez lat kilka potem wierny sługa nie mógl nic  
więcej uczynić nad to, iż dawał znaki życia i przez  
przekupniów oznałmywał o sobie. Surowość byłaby  
może wreszcie ustała, gdyby nie nowy, podobny  
zupełnie pierwszemu wypadek, powtórzony i równie  
nieszczęśliwie zakończony, jak pierwszy.

Tym razem hrabina była pewna, iż ucieczka po-  
wieść się musi: nakazała Zaklice czekać na siebie  
w oznaczonym miejscu na granicy z koñmi i pie-  
niądzmi. Niespokojny kapitan znalazł jakiś pretekst  
dostrania się do Stolpen i widzenia na chwilę z hrabiną.

Zwrócono jej wiele swobody, a tej użyła na zjednanie sobie porucznika Helma, który tak samo jak Wehlen, rozkochał się do szalu w pięknej zawsze hrabinie.

Ta miłość nieszczęśliwego była może poetyczniejszą niż pierwsza, gwałtowniejszą i więcej wypróbowaną. Trwała ona lat dwa, nim hrabina, poznawszy człowieka, wywiedziawszy się o całym planie jego, zbadawszy charakter, przystała na to, aby raz jeszcze próbować szczęścia.

Porucznik Helm, oprócz wdzięku pani Coseł, był ujęty umysłem jej, wymową, poetycznością, gdyż w tym czasie zatopiona w biblii, zaczytana w prorokach, rozmiłowana w księdze świętej Starego Zakonu, Coseł stała się niby natchnioną wieszczką i prorokinią. Mowa jej, strój, ruchy, spojrzenie zdradzały stan umysłu niezwyczajny, któremu towarzyszyło takie zaufanie w sobie, taka wiara głęboka i powaga niezachwiana, iż ją to czyniło zjawiskiem, mogącym nie słabego człowieka jednego, ale tłumy za sobą pociągnąć.

Już ci, co ją słyszeli dawniej mówiącą o swem nieszczęściu, na łagodnym w Pillnitz wygnaniu, zchwycały się jej wymową z uczucia płynącą, urokiem słowa, tragicznością postaci. Późniejsze nieszczęścia w dziesięckroć powiększyły wrażenie, jakie wywierała na ludzi. Zaklika zdziwił się, ujrzawszy ją tak wielką: nadzwyczajną znalazł w niej zmianę. Była to ta sama piękność, ale z surowszym wyrazem twarzy, na której cierpienie wyryło swe piętno, nie śmiejąc dotknąć rysów, ani ująć wdzięku. Żywość ruchów ustąpiła teraz powadze, słowa nabraly jakiegoś namaszczenia, jakby z tajemniczego jakiegoś źródła płynęły. Wydawała się kapłanką jakąś i Pythonissą. Zaklika zastał ją z ołówkiem, zatopioną w biblii. Zmierzyła go oczyma i podała ręce do

pocałowania. Staremu ślusze iży zakręciły się w oczach.

— Widzisz — rzekła — żyję, Bóg mi przedłużył dni wątku, a nie uczynił tego nadaremnie. Wiem, że tych wszystkich przeżyję, co mnie prześladowali, i że im kiedyś przebaczę. Bóg mi życie przedłużył, aby mi oczy otworzyć na wielkie prawdy dla innych zakryte. Ja muszę być jeszcze wolną, mam wielkie do spełnienia rzeczy.

— A, pani — przerwał nieśmiało Zaklik — czyliż się nie obawiasz, by znowu...

— Ja się nie obawiałam nigdy i nie obawiam niczego — rzekła spokojnie. — Ten człowiek jest moim, władam nim, zrobi, co mu powiem, a ja mam teraz jasnowidzenie środków i dróg. On mnie nie zdradzi i los mnie nie zdradził!

Rajmund zamknął. Umówiono dzień i miejsce na granicy. Nie śmiał wypytywać ani o środki, ani o plan; drżał w duchu, lękał się o swoją panią, przewidywał, że to może los jej pogorszyć.

Odprawiła go skinieniem monarchini, z zupełnym spokojem ducha. Helm, którego widział krótko, wydał mu się tak zapalonym, tak rozmarzonym, jak biedny Henryk, który padł ofiarą młodych swych marzeń. Posłuszny rozkazom Zakliku, wziawszy urlop, gdyż służby wojskowej nie rzucił, znajdując w niej pewne zabezzczenie, z kołmi i Wendem, którego najął, stanął zawczasu na granicy.

W nocy tegoż dnia Coseł przybyć tu miała. Z niecierpliwością niewypowiedzianą Zakliku stanął na straży; w ciszy niczem nieprzerwanej upłynęła noc: nadszedł brzask... on czekał naprzóźno. Cały dzień następujący zszedł na czatach i noc jeszcze następna, i trzecia. Nikt nie przybył, nie było wieści. Czwartego dnia kupcy jadący od Stolpen, w gospodzie rozpoczęli, że zamknięta

■ twierdzy hrabina, już po wyślijnięciu się z zamku, wraz z oficerem, który jej ucieczkę ułatwił, pochwyconą została.

Tyle tylko mógł się dowiedzieć o niej i natychmiast powrócił na kwaterę, aby wiadomość mieć o wypadku i wskazówkę tego, co mu czynić wyawało.

Niestety, opowiadanie było prawdziwe. Zaklika pojechał na miejsce do Stolpen. Nie potrzebował iść do zamku, w całym miasteczku nie mówiono o czem innem. Helm przez rok cały pracował nad wygrzebaniem pod murami wąskiego przejścia, które wprost wiodło za twierdę od strony, gdzie nawet straże nie chodziły. Tu choć urwisko stromem było, znjść z niego wyuczył się. Otwór zręcznie zasłonięty był zewnątrz lekko ułożonymi kamieniami. Podpojone straże, niebytność komendanta, wszystko się zdawało zapewniać powodzenie ucieczce. W ciemną noc dżdżystą, hrabina po męsku ubrana, wysunęła się z wieży niepostrzeżona; Helm czekał na nią w trzeciem podwórzu, z którego otwór miał ich na wolność wyprowadzić. Wszystko się tu powiodło szczęśliwie, kamienie pocichu odjęte zostały, hrabina pierwsza wysunęła się z gruzów, Helm szedł za nią. Pomimo ciemności i kilkakrotnego upadku, oboje się spuścili wzduż bazalotowych słupów do podnoża. Na gościncu nieopodal czekając miały konie wierzchowe. Nim do nich doszli, na zamku uderzono na alarm.

Sługa, która weszła wypadkiem do sypialni pani Coseł, lękając się o swą panią, bo ją przez cały dzień, jakby rozgorączkowaną widziała, zobaczywszy okno otwarte tylko i łóżko puste, sądząc, że mogła się w przystępie szału rzucić z piętra na skały... narobiła krzyku. Co żyło zerwało się: komendant, żołnierze, pospolite w miasteczku.

W obszukiwaniu po zamku, dostrzeżono otwór pod murem... Puściła się pogoń w tej chwili. Człowiek, który z końmi miał czekać, powrócił z niemi co rychlej do miasteczka.

Cosel i Helm, nie wiedząc gdzie się schronić, za radą jej puścili się polami ku bliskim zaroślom, sądząc, że tam się ukryć potrafią; ale komendant, któremu szło o głowę, bo wiedział, że straciłyby ją pewnie, gdyby mu ten więzień wymknąć się potrafił; spędził całą ludność, zapalone pochodnie, konnych wysłano na drożyny i miedze i nim się na brzask zabralo, odkryto zbiegów. Hrabina i Helm mieli pistolety, raniono żołnierza w obronie; lecz na strzał wnet nadbiegli inni, i pomimo oporu, wzięto znowu więźniów.

Tak samo, jak pierwszym razem, oficera oddano pod sąd wojenny.

Helm miał jednak krewnych i powinowatych u dworu, udano się do króla i do świetnej naówczas gwiazdy, do hrabiny Orzelskiej, o opiekę i łaskę; nic to nie pomogło.

Skazany na rozstrzelanie, Helm zawieszony został do Drezna, gdzie wszelkie tego rodzaju egzekucje odbywały się na Nowym Rynku, naprzeciw głównego odwachu.

Nowy Rynek sławny był z takich krwawych widoków, na których nigdy nie zbywało ciżby, a nawet pięknych pań, przypatrujących się z ciekawością łamaniu kołem, ścinaniu i wieszaniu. Tym razem młodego wojskowego tylko rozstrzelać miano, a mimo to ciekawych było wiele, gdyż historja młodzieńca, szalenie rozkochanego w Cosel, który, jak opowiadano, w więzieniu kokardę jej całował, raźno gotując się na śmierć dla swego ideału, zajmowała żywo szczególnie kobiety.

Około południa uderzono w bębny, wyszedł

oddział wojska, wyprowadzono Helma... Uczy wszystkich skierowane były na pięknego złotowłosego młodzieńca, który nie stracił fantazji, idąc na śmierć. Z zamkowego skrzydła nawet widać było wyglądające głowy pań ślicznie ufrizzowanych. Kilka powozów z liberią wspaniałą ustawiły się tak, aby ostatni akt dramatu życia ludzkiego dobrze z nich widzieć było można.

Helma, który prosił, aby mu oczów nie zawiązywano, postawiono przy murze; odkomenderowani żołnierze nabili bron, oficer, który miał dać znak do strzału, stanął... ofiara już była gotowa, gdy od zamku konno nadbiegły wojskowy, adjutant króla, z przebaczeniem.

Nie znalazły ludzi, ktoby sądził, że akt ten łaski powszechną wzbuǳił radość: wielu znalazło się zawiedzionych, przybyli bowiem na krwawe widowisko, a odeszli z niczem i nie mieli co opowiadać w domu. Helma nazad wprowadzono do koszar. Powozy rozjechały się w różne strony, ciżba rozpłynęła się zwolna po ulicach.

Na zamku w Stolpen, oprócz podwojonych znowu straży i przedsięwziętych środków ostrożności, nic się nie zmieniło. Przysłano dowódcę nowego, obwarowano niektóre furtę i słabsze mury, nie tknięto jednak hrabiny, ani ścięsniono tej małej części swobody, jaka jej była dana.

Cosel pokutowała dosyć, w sumieniu swem sądząc i będąc pewną niemal, że druga już ofiara padnie nadaremnie i cieniem swym prześladować ją będzie. Nierychło bowiem doszła tu wiadomość, iż Helmowi król raczył przebaczyć.

Nikt nie wiedział, jaki los mu był zgotowany.

Zaklika, powróciwszy na dawną swą kwaterę, jakiś czas pozostał na niej, nie ruszając się nigdzie, aby podejrzeń nie obudzać...

Czuł on, że teraz kolej przyszła na niego i mężczyzna się gotował do tego, co za swój obowiązek liczył.

Ale dojrzały od tych, co go poprzedzili, ich doświadczeniem nauczony, chciał być pewien, iż ostatnia próba ucieczki się powiedzie. Nie zrażało go to wcale, iż Wehlen życiem a Helm przyplacił całą przyszłość swą — szlachetną chęć ratowania uciśnionej, niemal oszałalej niewolą kobietę.

Przez czas pobytu w Stolpen i okolicy, kapitan miał zręczność rozpoznać tak zamek, wszystkie jego stare budowy, podziemia, chody, lochy, nawet innym niedobrze znane, iż mógł tu lepiej niż ktokolwiek gospodarzyć. Zastanawiał się tylko nad tem, czy zręczniej mu będzie jako wojskowemu w zamku ucieczkę przygotować, lub uwolniwszy się od służby, osiąść czasowo w miasteczku i zwolna się przysposobić do uwolnienia hrabiny.

Po głośnym wypadku z Helmem jakiś czas wywiązało nie dawać znaku życia, ażeby nie ściągnąć podejrzeń na siebie. Zaklika więc dał tylko przez zwykłego posłańca znać, iż żyje i przybędzie, a sam czekał uspokojenia.

Kilka tak upłyнуło miesięcy.

W załodze na Stolpach miał towarzyszów wojskowych znajomych sobie dobrze, pojechał ich odwiedzić.

Między innymi był tam i przyjaciel jego niejaki von Kaschau, dobra dusza, ale hulaka niepomierny, z którym zawsze o Polsce mawiali, bo w niej kilka wypraw odbył i języka się był nawet poduczył.

Pod pozorem więc Kaschau pojechał Zaklikę na zamek. Stary żołnierz nudził się strasznie, więc ledwie go nie zdusił w uściskach, zobaczywszy u bramy, i natychmiast ze sobą do komendanta poprowadził, aby mu tu wolny pobyt wyrobić.

Komendant, który miał rany na nogach i ciągle prawie chory leżał, Kaschauem się wyręczał i byle mu spokój dano, zezwalał na wszystko. Dwaj więc przyjaciele poszli do mieszkania Kaschaua na gawędę przy kuflu piwa.

O czemże się miała wszczęć rozmowa, jeśli nie o niewolnicy, z której przyczyny ciągle czuwać musiano.

— E! — rzekł stary żołnierz — nie chcę ja sądzić, co drudzy robią, a zwłaszcza król jegomość, pan nasz miłościwy, ale co do mnie, nie rozumiem tej srogości nad kobietą i tej obawy! Co ona dziś komu uczynić może? Tyle chyba, że jeszcze się kto jak ów Helm zakocha, bo zawsze piękna i piękna. Nic jej zmienić nie mogło, ani więzienie, ani łyzy i męczarnie.

— A gdybyście ją byli widzieli w blasku jej chwały, jak ja, gdym przy dworze był — rzekł Zaklika — dopiero byście poznali niebezpieczeństwo. Myślicież, że król się lęka jej pistoletów? a! nie, obawia się oczów jej i władzy, jaką miała nad nim, bo wie, że gdyby godzinę z nim mówić mogła, u nóg jej leżałyby prosząc o przebaczenie...

Kaschau się rozśmiał.

— Tak, a wyszedłszy położyłby się u nóg panny Dieskau albo Osterhausen: stary, z pozwoleniem, bałamut!

— Radbym też ją zobaczyć — odezwał się Zaklika — bo to zawsze ciekawa rzecz taką kobietę widzieć, a godną jest politowania.

— Któz ci broni? we dniu jej nie wykradniesz rzekł Kaschau, — idź się pokłon dawnemu bóstwu.

Otrzymawszy to pozwolenie, Zaklika poszedł na wieżę świętego Jana.

Na drugiem piętrze był pokój Anny Cosel; gdy zapukał, długo nie otrzymał znaku życia i odpo-

wiedzi. Uchylił drzwi z bojaźnią i widok, którego w życiu swem nigdy zapomnieć nie mógł, przedstawił się oczom jego.

W pośrodku izby był stół, zarzucony książkami i papierami. Cosał ręką jedną na nim wsparła, drugą trzymając na ustach, stała nad rozwartą ogólną biblią... i dumała. Ubrana była tak niezwyczajnym smakiem, iż Zaklika uląkł się, czy przytomną była. Miała na sobie suknie szerokie czarne, z rękawami długimi, pas, na którym stały kabalistyczne znaki, a na czarnych włosach po wschodniemu zawiązaną chustkę, w której wpleciony był zwitek pergaminu, zapisany także głoskami hebrajskimi.

Piękna była w istocie, lecz niepodobną do owej Cosał, która przyjmowała króla duńskiego w stroju brylantami osypanym. Surowsze zdawały się jej rysy, czoło zmarszczone, a małe usta nabraly wyrazu zadumy i jakby pieczęcią milczenia stały zamknięte.

Już Zaklika wszedł i stał w progu, a ona słysząc kroki nie oderwała oczów od księgi, ciągle nieruchoma z wzrokiem wlepieionem w karty, jak posąg trwając w osłupieniu.

I nierychło oczy zwróciła; jakby wypadkiem zatrzymały się one na Zaklicie, ręka od ust się oderwała, zdumienie odmalowało w twarzy.

— Duchem jesteś czy żywą istotą? — zapytała.

— Wierny sługa, przychodzę po rozkazy — rzekł Zaklika.

— Są więc jeszcze słudzy wierni, i ja, niewolnica, mogą jesczce rozkazywać komu?

— Mnie — odpowiedział Zaklika — dopóki żyję.

— Jakżeś się tu dostał? tu już nikogo nie wpuszczają?

Zaklika na mundur swój ukazał.

— Po tamtych koej na innie — odezwał się, — ja postaram się być rozumniejszym, a może będę szczęśliwszym.

Cosel uśmiechnęła się boleśnie.

— Oi nie — odpowiedziała — wszystko w życiu ludzkiem jest zgory napisane, przeznaczone, nieodmienne, nikt się ze swych wyroków nie wyłamie.

— A dlaczegoż nie miałoby być wyrokiem moim, że ja hrabinie zwrócę swobodę?

Potrusała głową.

— Dlatego, że ja w inny sposób będę wolną — rzekła. — Dawniej ciemną byłam, teraz widzę jasno we własnym przeznaczeniu, czytam je w tej księdze. Łaski niema na świecie, jest tylko konieczność, żelazna, niezłamana, nieuchronna; trzeba się jej poddać, ją badać i uczyć się jej: w jednym Starym Zakonie mądrość cała.

Niespodziany ten zwrot rozmowy zamknął usta Zaklicice: nie wiedział co mówić dalej.

— Zostaniesz tu? — zapytała Cosel.

— Sam nie wiem, mam-li zostać? powiedz, pani! jam na wszystko gotów...

Cosel szybko kilka kart w księdze przewróciła.

— Trzeba się wyroczni poradzić — rzekła — ciekaj: nie tak!

Zamknęła klamry księgi, podniosła oczy do góry i poczęła szeptać jakby modlitwą; potem rozwarła biblią nagle, spojrzała na prawą stronę jej: oczy padły na księgi Jozue, rozdział dziesiąty, i głośno czytać poczęła:

„I znowu rzekł im: Nie lękaicie się, ani się twróźcie, ukrzepcie się i bądźcie mocnemi: tak albowiem uczyni Pan wszystkim nieprzyjaciółom waszym, przeciwko którym walczycie...”

Zamysliła się.

— Tak, rozumiem — poczęła po chwili — mocna

będę z tobą, ale nie poczynać nie trzeba, a eze-kać głosu bożego. Ale jakże ty tu możesz pozostać?

Zaklika, którego ta biblii wyrocznia zmieszała, nierychło zebrał się na słowo.

— Starać się będę o to, gdy potrzeba — rzekł — w ten lub inny sposób, dostanę się na zamek lub do miasteczka. Nikt mi tu mieszkać nie wzbroił! Ale mamże pozostać w służbie i wojsku, czy rzucić?

— Zrzucić tę liberię ohydną, ten kaftan niewoli Amalecytów — przerwała żywo Coseł. — Niewierni są: poganie, bałwochwalcy, gwiazdokłońce.

Znowu zamilkł Rajmund.

— Potrzeba mi niewielkiego czasu — rzekł ciszej po chwili — ażeby dostać uwolnienie, sprzedać szarżę, zebrać, co mam, i przybyć do Stolpen. Kaschau, który tu jest z załoga, przyjaciel mój stary; mam dobry pozór, ani mi innego potrzeba.

— Kaschau? — spytała Coseł — jak inni niewolnicy, sługa nieprawości, oprawca.

Zamknęła biblię i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Wracaj więc — rzekła — ani się lękaj o mnie; ja wiem, żem z przeznaczeniem walczyć nie powinna, ani ciebie do walki z niem szalonej będę wyzywać. Aleś ty jeden człowiek, który mi służysz wiernie. Twoje przeznaczenie Bóg w nagrodę lub za karę splótł z mojem, musisz cierpieć razem, a w chwili triumfu pojdziesz za mną się nim napawać.

Z tego nastroju trudno było rozmowę sprowadzić, Coseł, jakby przejęta czytaniem biblii, zapominała o tem, co ją otaczało. Zaklika postawszy u drzwi i oznajmiwszy, że jeszcze przyjdzie po rokazę, wyszedł smutny.

W dziedzińcu u studni czekał nań Kaschau.

— Co zas z nią mówił — zapytał.

— Stałem u drzwi naprzeczno i rozmówić się nie mogłem — szepnął Zaklik, — zastałem ją nad biblią; czekałem dosyć długo; nie mogła przerwać czy modlitwy, czy zadumy: przyjdę raz jeszcze.

— Wątpię, żebyś szczęśliwiej trafił — dodał Kaschau — ona w księgach świętych szuka pociechy teraz, a raczej rozrywki. To i lepiej... A jakżeście ją znaleźli? zmieniona?

— Zapewne — odparł Zaklik, nie chcąc się z tem wydać, że ją później widywał — jakże nie ma nią być? Coseł, królowa musi być odmienną w pamięci od Coseł niewolnicy, a jednak panią ona i dzisiaj.

Tak dzień skończyli, chodząc po wałach i dookoła murów, a rozmawiając z Kaschauem o Krakowie, w którym po dwakroć był przy królu, i o wojnie. Gdy bramy zamkały miano, pożegnawszy przyjaciela do jutra, Zaklik wyszedł do gospody w rynku, by tam przenocować. Usłużny gospodarz Niemiec, widząc wojskowego, nadskakiwał mu wielce i chciał bawić opowiadaniami, lecz kapitan pożegnał go wkrótce. Nazajutrz, gdy otwarto bramy, wrócił do Kaschaua, który go ze śniadaniem czekał.

Coseł była w ogródzie przy kwiatkach, skinęła na przechodzącego. Tego dnia ubiór jej był zwykłej i mowa nawet odmienną: weselszy promień igrzał na czołach.

— Patrz — rzekła — to są teraz moje dzieci. Moje własne mi wydarto! Co za okrucieństwo! Matce odebrać jej własność! W godzinach długich niewoli myślą tylko odgaduję, jak porosły? Nie poznalabym ich pewnie, a oneby się ode mnie odwróciły z przerażeniem... Prosiłam, by mi je choć widzieć dano! Niestety! dzieci to króla, nie moje! Powiedziano mi, że ich widać i znać nie będę! i jest istot tro-

je, tak moich jak tylko dzieci matce być mogą których te oczy nie zobaczą i te ręce nie uścisną! Czujesz ty to? rozumiesz... jak się serce pękać musi?.. Gdyby mi je Bóg zabrał, szukalabym ich na łonie Ojca niebieskiego; ziemski ojciec ich, wróg mój, stoi między mną a niemi... Litościwszy Bóg dał kwiatki, te mi się śmieją za dzieci. A gdybym im mogła poślać choć po kwiatku. Nie, odrzucilyby je ze wstrętem! One się matki lękać będą, im powiedzą, żem nie żywa, lub gorzej niż umarła, obląkana, szalona...

Zaklince się łzy w oczach kręciły.

Rzadko wspominała Cosel o swych dzieciach, jak gdyby się wspomnienia ich lękała. Domówiszy tych słów, zamknęła.

— Idź — rzekła — idź i powracaj. Radziłam się losów biblijnych i wyroczni liczb: powrócić powinieneś i dotrwać tu.

Skinęła jeszcze głową i ręką, ruchem królowej pożegnała Zaklikę.

Nie miał więc już tu co robić dłużej. Dla niepoznaki zabawił z Kaschauem godzinę i, pod pozorem służby, przed południem go pożegnał. Przechodząc podwórze, już nie zobaczył Cosel przy kwiatach, stała w górnem oknie, ubrana jak wczoraj z książką w ręku, zadumana, rozmarzona. Nie rzuciła nawet okiem na niego, tak cała była w sobie i czytaniu zamknięta.

Nie pytając, jakie go tu losy czekać miały, Zaklikę posłusznego, wróciwszy na kwaterę w Oszaciu, zajął się uwolnieniem ze służby. Łatwo mu przyszło pozbyć się munduru i stopnia. Zabrał, co miał, i jednego dnia smuinej jesieni zajechał na gospodę do Stoipen oświadczając gospodarzowi, iż tu na stroninie myśli zamieszkać.

Trafił się dwurek do nabycia tańio, i kapitan

kupił sobie chatę z ogrodem, w której za miesiąc już wraz z Kaschauem gospodarował.

### XIII

W roku 1727, we trzy lata po nieszczęśliwej z Helmem ucieczce, Stolpen, zamek i miasto, już znowu zapomniawszy o tem, co przeżyły, dawnym spokojnym trybem wiejskiego żywota, jednostajnego i cichego, wegetowały jakby wśród pustyni.

Na świecie, na dworze, przy królu wiele się zmieniło rzeczy. Hrabina Coseł była prawie pomszczoną, nie wiedząc o tem ani się starając o to. Do jej smutnego schronienia jedna za drugą dochodziły wieści żałobne, nieprzyjaciele jej znikali z tego pola lub ze świata.

Nowi ludzie, twarze, kobiety i faworyci wyraścieli na ich miejscu.

Wpośród tych ruin jeden tylko August Mocny stał, zawsze wspaniale rzucając złotem, szukając zabawy, a znaleźć jej nie mogąc...

Piękna Marynia Denhoffowa, może lękając się losu Coseł, naprzóźno usiłując króla przywiązać do siebie, w ostaiku bezpieczniejszym sądziła pójść zamąż. Król się temu nie sprzeciwiał wcale. Bawił się najweselej zawsze na lipskich jarmarkach i przekladał znajomości krótkotrwale nad więzy, aby dłużej krępować go mogły. Tak cudnej piękności, ale milcząca i jak posąg bez życia, Erdmuta Zofja Dieskau, córka tajnego radcy Dieskau z Czaplina, zachwyciła go na chwilę i wydał ją król przedko zamąż za nadwornego swego marszałka von Lossa, zauważając, że jak bryła ze śniegu zimną była. Tak potem zakochał się August w Henrycie Osterhausen, której bierne posłuszeństwo go znużyło, a sygnowała ją do klasztoru, skąd później Stanisławski żoną ją wywiódł do Polski.

Po tych wszystkich przemijających zapałach nastąpiło panowanie Anny Orzelskiej, córki Henryetty Duval, dawne świetności przypominające.

Anusia Orzelska w huzarskim mundurze złotem szytym, z orderem Orła białego, jeździła z królem na mustry wojsk i polowania... Król przy niej od-kwitał młodością. Nowe pokolenia zjawiały się na dworze. Hrabia Ruiowski jaśniął obok siostry swojej, starzy foworyci do grobu się kładli. Fürstem-berg, który swym zakładem z Hoymem sprowadził brabinę na dwór drezdeński, a później stał się jej najzajadlejszym prześladowcą, nie żył oddawna z wielkich łask pana zwolna schodził w zapomnie-  
nie. Towarzysze jego, ministrowie pierwsi, przeczu-wając, co go czekało, wyparli ze swej rady, odejmując mu wszelki czynny udział w państwa spra-wach: król się odwracał od niego. Nie pozostawało mu jak z alchemią, bigoterią i myślistwem sie-dzieć w lasach w Wernsdorfie i na łowach rozmy-śląc o niestałości łaski pańskiej.

Ten co namiestnikiem będąc, wszystkich zgóry wiódł i przez panią Reuss caemu dworowi chciał panować, a nawet samemu panu, zszedł do zupełnej nicości. Po śmierci żony marzył jeszcze o kar-dynalskim kapeluszu i wybierając się na jarmark do Lipska, pojechał na świat lepszy... tak cicho, iż król, który właśnie jarmarkował, nierychło się o zgo-nie dawnego faworyta dowiedział. Był to gorzej niż upadek głośny, bylo to przeżycie siebie samego.

Nawet brabinę Reuss wprzód mu kuzyn Lützelburg odebrał. Wpływ tego kółka, w którym Hül-chen, Reuss, pani Reichenbach, jej siostra i panie Schellendorf i Callenberg królowały... znikł zupeł-nie. Rozpierzchło się to i powym Erało.

Vitzthum nie żył także od roku, a kilka lat wprzody oddalony od króla, przebył w Szwecji; za

niego i za siebie czynną niezadowolenie była żona, owa siostra Hoyma, któraśmy widzieli dopomagającą Annie Cosel do łask królewskich, a wprędce pracującą nad jej strąceniem. O ile sam Vitzthum był nieznaczącym, o tyle ona, pani Rachela, jak ją zwano, pracowała za dwoje, a przybrawszy sobie z nicości wyciągniętego Watzdorfa, twarz w twarz stawała do boju nawet z Flemmingiem. Nienawiść jej ku feldmarszałkowi zrodziła się z niechęci i kobiecej intragi przeciw pani Przebendowskiej, która Sasi dla ułatwienia sobie, zwaliła panią Brebentau... W czasie poselstwa męża w Szwecji, Vitzthumowa pałac mu budowała na rogu Kreuzgasse, który później Rutowskiemu się dostał. Vitzthumowa uchodziła za najbogatszą panią w Saksonii, a wszystko, co miała, zebrała sama.

Vitzthum skończył tragicznie.

Na rok przedtem będąc w Warszawie z królem, przy którym szambelanem i adjutantem znajdował się naówczas nieaki markiz de St. Gilles, ponownie nieprzyznany syn sardyńskiego króla Wiktora Amadeusza, a wedle zwyczaju swojego grając dnie i noce, powaśnił się z nim u kart w królewskim przedpokoju. Vitzthum miał lat pięćdziesiąt kilka, St. Gilles dwadzieścia i parę. Gra była gruba, zapalczawy młody przegrywał; zaczął przeciwnikowi przemawiać: od słowa do słowa przyszło do lajań i razów. Hałas się stał, król się dowiedział, faworytowi starszemu dał naturalnie słuszność, zgromił Włocha i skazał go za obejście się grubiąńskie na trzymiesięczne w lipskiej twierdzy więzenie. Była to kara i łaska, gdyż komendantem w Lipsku podówczas był hrabia Castelli, wuj markiza. Zakazano mu się jednak na przyszłość pokazywać u dworu.

St. Gilles, odsiedziawszy trzymiesięczne więzienie, zbiegł tajemnie do Polski i, dostawszy się do

Nadarzyna, posłał Vitzthumowi wyzwanie. Nie mógł on go nie przyjąć, nakazał wszystkim jak najsurowiej milczenie, aby się król nie dowiedział, i na zaujrz dnia 13 kwietnia 1726 roku przybyć obiecał.

Wieczorem Vitzthum u córki (księżny Lubomirskiej) był na kolacji, bawił się jak najweselej i do północy grał w pikietę. We dwie godziny potem jechał potajemnie do Nadarzyna, wziawszy z sobą jednego tylko sekundanta, hrabiego Montmorency.

Zrana, między piątą a szóstą, stanął na miejscu, posłał do markiza z oznajmieniem oficera Freneuse i że naówczas obyczajem było z konia się strzelać, siadł na koni. Zapaśnicy wyjechali przeciw sobie z wielkiem męstwem, powoli, a zbliżywszy się na strzał, markiz strzelił i ugodził Vitzthuma śmiertelnie, iż ten trupem się z konia zwalił. W tejże samej chwili strzelił Vitzthum także, ale kula jego drasnęła tylko policzek markiza i perukę. St. Gilles, nie wiedząc co począć z sobą, uciekł do Warszawy i szukał schronienia w klasztorze teatynów. Król, rozżalony, nakazał, nie zważając na prawo schronienia, marszałkowi St. Gilles'a odebrać z klasztoru. Klasztor otoczyło półtoraasta żołnierza, w tej samej chwili St. Gilles, za laika przebrany, umknął na Berlin i Lipsk do Włoch...

Ciało zabitego, we wszystkie dzwony na cześć mu bijąc po drodze, wywieziono do familialnych grobów.

Taki był koniec pierwszego faworyta.

Flemming trzymał się jeszcze, on jeden umiał się stać potrzebnym i obronić od losu, który spotkał innych jego współzawodników... Budował naówczas pałace, sprzedawał, handlował dobrami i złoto na beczki mierzył. Pozbywszy się Schulenburga, odradziwszy królowi oddanie dowództwa wojsk genjalnemu synowi Maurycemu Saskiemu, marzył

Flemming o księstwie Kurlandzkiem dla siebie, a o ożenieniu pięćdziesięciośmioletniego Augusta z siedemnastoletnią księżniczką pruską, która przymierze między Saksonią, Polską (na dziedziczną przerobioną i rozdzieloną) a Prusami umocnić miała. I gdyby August II zgodził się był na to małżeństwo, przyszłyby było do skutku.

Niecny Löwendahl, który hrabinie Cosel winien był wyniesienie swoje, trzymał się jeszcze, ale z każdym dniem tracąc na sławie i znaczeniu i walcząc z silniejszym stokroć od siebie Flemmingiem, trwoniąc łatwo zdobyte mienie, pędził ku widocznej już ruinie.

Watzdorf nareszcie, ów „chłop z Mansfeldu”, przerzucając się na różne strony u dworu, dostarczając pieniędzy, frymarcząc z Flemmingiem, nie rzucił klamki dworskiej, choć król na niego patrzenie mógł, ale go potrzebował.

Na dworze króla ten sam panował szal zabaw i potrzeba nienasycona rozrywek. Przybycie Orzeskiej pobudziło do nowych wystąpień, tak jak przed kilku laty ożenienie syna odznaczyło się bajecznym zbytkiem i przepychem...

Wpośród tych najróżnorodniejszych roztargnień, które królewska fantazja sama sobie dostarczała, przychodziły chwile, w których August miał się za wielkiego wojsownika i wojskowych łaknął popisów.

W tym roku król wiosny pięknej w Pillnitz zazýwał, wojsko stało obozem, strzelano z dział i próbowało półkartaunów siły. Hrabia Wackerbath towarzyszył Augustowi. Mówiono o twierdzy Königsteinie i o czynionych próbach na skałach, na których się ona wznosiła. Półkartauny w proch rozsypywały kamienną podstawę twierdzy.

— A jednak—rzekł Wackerbath—znam miejsce i kamienie, którychby one nie wzięły: za to ręczę,

— Gdzie? — zapytał August.

Wackerbath spojrzał na króla, zdawał się zafrasowany tem, że mu się to słowo wyrwało i milczał.

— Gdzie? — powtórzył król.

— W Stolpen, na bazaltach tamtejszych, które są jak żelazo twarde, kule nic nie mogą.

— Stolpen! — zawała August i twarz mu się okryła chmurą — a, w Stolpen!

Była chwila milczenia, król się przechadzał niespokojnie, znać było, iż go jakaś fantazja dręczyła, której zadość czynić nie chciał, czy nie mógł.

— W Stolpen! — powtarzał kilka razy. — Można by kartaunów na skałach tamtych spróbować.

Wackerbath spojrzał trwożliwie na króla, który, jakby ubodnięty tem wejrzeniem, zawołał:

— Dlaczego nie mamy kul na bazaltach spróbować? przecież zamku nie obalimy? a kilka strzałów...

Wackerbath zmilczał, jakby czekając rozkazów i nie dowierzając im. August widocznie oziębłością jego był dotknięty i chciał się wyższym nad pewne wzgłydy dziecięce, które mu ktoś mógł przypisywać, okazać.

— Poślij, waćpan, do Stolpen — odezwał się — dwa działa, każ mi przygotować baterię naprzeciw tych słupów: będę sam jutro rano próbie przytomny. Tak, zrana — dodał — póki gorąco nie przyjdzie, bo dnie już bywają skwarne.

Odwrócił się od niego i poszedł.

Rozkaz króla spełniał się zawsze, mimo wszelkich przeszkód możliwych, we mgnieniu oka. Na całą noc wysłano rozkazy i działa do Stolpen... Zakliką spał w swym dworcu samotnym, gdy o północy rozruch niezwykły stał się w miasteczku. Konni, wozy, wojskowi z głośnymi krzyki wjeżdżali z pośpiechem wielkim i zuchwałością żołdacką. Kapitan wychylił z okna głowę, nie mogąc pojąć,

co się stało, i sądząc, że jakiś nieznany nieprzyjaciel wtargnął w Saksonji granice. Z języka jednak poznął Sasów, którzy swem *Herr Jeses!* powtarzaniem nieustannie zdradzali się łatwo. Zobaczywszy oficera, kapitan ośmielił się go po koleżeńsku zapytać — co się stało? i skąd pośpiech był tak wielki?

— Król! Najjaśniejszy pan! — krzyknął oficer, pędząc ludzi — król przybywa jutro, to jest dziś rano tu będzie.

— Król? w Stolpen?

— Tak jest i jeśli macie ludzi, ślijcie ich z łopatami, trzeba naprędce usypać baterje do rana. Będą strzelać do słupów i próbować kul siły.

— Gdzie? — krzyknął zdumiony Zaklika.

— A! gdzie! tu na góre zamkową! — śmiejąc się, powtórzył oficer, — czyż mnie nie rozumiecie?

Rozmowa się przerwała. Zaklika pochwycił się co najprędzej odziewać. Uszom swym nie mógł dać wiary! Król, król strzelający do zamku, w którym więził tę nieszczęśliwą ofiarę od lat tylu, jakby na uragowisko. Rzecz była nie do uwierzenia, nie do pojęcia. Król w Stolpen!

Jaka chwila do przebycia dla hrabiny! Włosy powstały mu na głowie; omackiem począł chwytać odzież, ubierać bezprzytomnie, machinalnie. Chciał biec, oznajmić jej o tem, przygotować ją, nakłonić do przeżycia tej próby, na którą miała być wystawiona.

Zaklika miał łatwy wstęp do zamku, zdawało mu się, że w tym zamęcie powszechnym wciśnie się i na coś przecie przydać może. Los Cosei ściaskał mu serce, łzy dobywały się z oczów.

— Król! król! — powtarzał machinalnie — al! to nie może być! W ostatniej chwili zawstydzi się, zboleje, nie przyjedzie. To nie może być. Co się z nią stanie?

Szarzało na dworze, gdy zamykając swój dworek, Zaklika wybiegł jak oszalały, pędząc pod zamek.

Na zamku wszystko było rozbudzone; wiadomość, że król przybywa, jak piorunem odpoczywających żołnierzy i starszych poruszyła. Z miasta z wiosek sąsiednich, żołnierze gnali płazami ludność z chat powypędzaną do sypania baterii naprzeciw. Płacz, krzyki i głośno wydawane rozkazy rozlegały się dokoła; konni krzyżowali się na drogach: wszyscy potracili głowy.

Jedną baterię już sypać zaczynano w zwierzyńcu przy tak zwanej Röhrfporte, drugą na Hanewaldzie, w ogródku skarbowym (Amts-Frohns-Gärtchen)...

Gdy Zaklika do bram przypadł otwartych naścież, w zamku wszystko było na nogach. Czyszczono, zamiataano, znoszono gruzy; komendant chrypł od wołania, oficerowie nie wiedzieli od czego poczynać. Około wieży świętego Jana cała służba żeńska i męska hrabiny Cosel stała w najdziwniejszych ponarzucanych ubraniach, tak jak się ze snu zerwała, sądząc, że na zamku się pali. Stali w osłupieniu, pytając jedni drugich, nie wiedząc, co się stało i co przygotowywać mogło. W otwartem oknie blada pokazała się Cosel, Zaklika wbiegł po schodach półwywy, załamując ręce.

Spotkała go w progu Cosel z zaciśniętymi ustami, cała drżąca.

— Król! — zawołała — król! al rozumiem! Król do mnie przybywa...

— Pani — przerwał Zaklika, — król przybywa kuli swoich działań na słupach u góry próbować.

Cosel się roześmiała.

— Frosty, naiwny człowiek! — zawołała — i ty w to wierzysz? Ja śniłam o nim od tygodnia. Duch mój błodził nad nim i pociągnął go ku sobie. Szczę-

kał pozoru... Chce mnie widzieć. On wie, że ja go kocham, że mu przebaczę. On jest wolnym, on chce mnie poślubić, jak dał słowo. Niech mnie ubiorę jak do ślubu, jak na największą uroczystość. Chciać być piękną! Chcę mu przypomnieć tę Annę, przez którą klękał... Król! — powtórzyła z zachwytem — mój król! mój pan!

I uderzyła w dlonie.

Zaklika ze spuszczoną głową, osłupiały, stąpiemy.

— Wołaj sługi moje — dodała, — niech przyjdzie Lina, niech dobędzie z kufrów suknie.

I rozpuszczone włosy czarne, które jej na biały sztyg spadały, ujawszy w dlonie, biegała po ciasnej izdebce.

— Wołaj mi sługi co przedzej! on może przybyć co chwila! a ja nie będę gotową! Mój król! mój pan... August.

Zaklika wybiegła, zwołała na sługi, a sam siedział na schodach i stąpiemy, zboalały, półmartwy, nie mógł już z miejsca się ruszyć.

W zamku wrzawa była niezmierna. Dniało. Liczono minuty, liczono sekundy; nielitościwe bicie smagały dla pośpiechu pracujących: baterje rosnęły w oczach ale i dzień rosnął straszliwie. Najpiękniejszy w świecie ranek majowy wszedził ponad dolinami i góry, z których lekkie mgły wstawały ku niebu. Drzewa pachniały rosą skropione, dyszały wonią łąki rozkwitłe; cała natura, jak dziecię w kąpielce szczęśliwe, budziła się z uśmiechem na ustach. Wśród tego wielkiego spokoju natury, w zamku, jak w poruszonem osiem gnieździe syczało, ruszało się, roijoło.

Żołnierze kładli mundury i zbroi kawałki, starszyżna dobywała najświeższych rynsztunków; komendant dowiedział się z przerażeniem, iż, przy-

ciwko obyczajowi, z Pillnitz ani stół, ani kuchnia królewska, ani zapasy przybyć nie miały, a tu przecież najjaśniejszego pana przyjąć czemś należało. Co tu znaleźć, cęby ust pańskich było godzem? Wzięto naturalnie kilka sztuk ze zwierzyńca, znalazła się flaszka wina, ale jak obozowa prostota zastawy stołu miała się wydać w oczach pana tak do wspaniałości nawykłego? Rzeczywiście jeden był tylko stary kieliszek z herbami saskimi, goźdien ust pana, a misy i talerze i reszta ubóstwo gospodarza przypominała. Księga z kościoła pozyczyli obrusa, gospoda dostarczyła wiele: bez reszty muśiano się obejść.

Półkartauny stawiono na przeznaczonych do nich wprędce usypanych baterjach. Było już po czwartej, czas upływał z szybkością przerząjącą... lada chwila można się było spodziewać najjaśniejszego pana, który zapowiedział, że z Pillnitz dodnia wyedzie. Komendant posłał na wieżę „siedmiu wierzchów” wyrostka, aby mu dał znać, gdy na gościńcu od Pillnitz tuman pyłu zobaczy.

Artylerzyści wcześnie celowali półkartauny tak, aby kule napewno w słupy bazaltowe biły. Zawawka ta wydawała się im wcale pańską, bo na nic nieprzydatną, ale fantazji musiał król dogodzić. Utrzymywało się tu od dawnych wieków podanie między ludem o jakimś bajecznem oblężeniu, w czasie którego odbite kule na napastników padały.

Wszystko stało w porządku i komendant lustrował szczupłe swe sily, gdy z wieży chłopak dał sygnał.

W tej samej chwili burmistrz, ławnicy, mieszanie z chorągwiami i w paradzie, niosąc zardzewiałe klucze od śpichlerza wójta miejskiego, wystąpili na gościńiec; na dzwonnicę ludzie oczekiwali znaku, ażeby powitać pana biciem we wszy-

stkie dzwony. W miasteczku co żyło, świątecznie  
ubrane, zalegało rynek i ulice.

Tuman kurzu, widny z daleka, zbliżała się żywiołowa  
nareszcie dostrzeżono jadącego przodem wyciągniętym  
klusem dorodnego, pięknego, wspaniałej po-  
staci mężczyznę. Za nim gonili adjutanci, szczapły  
dwór i kilku zaproszonych gości. W oddaleniu  
drugi orszak, jakby dojanając pierwszy, pośpieszał.

Milczenie głuche zaległo szeregi... oczekiwano.  
Coraz widoczniej rozeźnać było można niebieski  
żustokor króla z haftowaną na nim gwiazdą Orła  
białego.

W bramie król ledwie skinął burmistrzowi i ławnikom schyłonym do samej ziemi, biegł wprost drogą na zamek. Tu u wrót stała załoga, bito w bębny  
i komendant wyszedł z raportem. Lecz król zda-  
wał się pomieszany, niespokojny i w złym humorze.  
Nie odezwał się nawet do nikogo. Zwrócił konia  
ku baterii na Röhrporte w zwierzyńcu i popatrzał  
chwilę, nie mówiąc nic; potem ruszył pod twierdzę  
na Hannevalde. Przed tą baterią najpotężniejsza  
masa czarnych słupów, jakby związań w pełni  
ogromny się wznosiła. Widać stąd było wieże, mury  
i okna wieży Świętojańskiej, w których postać białą  
miągała. Ale król nie śmiał podnieść oczów. Po  
krótkiej chwili zwrócił do zwierzyńca.

W tej chwili dobiegły właśnie Wackerbath z Drezną i towarzyszył królowi roztańczonemu, zasępiónemu widocznie. Wackerbath stanął z tyłu, nie mówiąc nic. Augustowi śpieszno było; dał znak: przy-

stępili artylerzyści do działa i ogromny huk dał się  
słyszeć, odbity przez okoliczne góry.

Ucho czujne byłoby z nim razem pochwyciło  
krzyk dziwny, jakby rozpacz i bolesci. Król wszakże i towarzyszący mu nie mogli usłyszeć, ani zobaczyć nic, gdyż cała ich uwaga zwrócona była na

półkartonę i bastion, do którego podstawy dawano ognia.

Pierwszy strzał, skierowany na mur bazaltowy, wprawdzie wybił w nim dziurę, ale żelazna kula rozbryzgnęła się na kilka sztuk. Komendant przywiózł ją najjaśniejszemu panu, August popatrzał i głową ruszył w milczeniu. Drugi strzał wymierzono już na same słupy, rosnące z ziemi u stóp bastionu; kula została strzaskana i kilka tylko kawałków kamienia odpadło, snać dawniej nadkruszonego.

Kazał król, jakby zapalając się coraz, strzelać raz trzeci i czwarty na skały nieco wyżej sterujące; skutek był ten sam: kule się roztrzaskiwały, a kamień opadał tylko w tem miejscu, gdzie go trafiły... słupy wytrzymywały. Za każdym strzałem pękające kule i kamienia odłamły leciały w górę i opadały, nie raniąc nikogo, jednego tylko królewskiego konia, przy Röhrpfote trzymanego, uderzył kamień w nogę i trochę skaleczył. Za trzecim też strzałem kawał rozbitej kuli, około sześciu funtów ważący, przeleciał przez mury na miasteczko i padł na śródrownię, przebijając dach, sufit i rusztowania, aż do ziemi. Komendant, zobaczywszy to, pobiegł zaraz zbadać szkodę i kulę z kawałkami drzewa przyniósł przy najpowinniejszym raporcie najjaśniejszemu panu, który raczył ją oglądać.

Nie strzelano już nawet z baterji na Hannewald: król miał tej próby dosyć.

Od pierwszej chwili, gdy posłyszała Cosel o królu, była jak nieprzytomna; najprzód serce jej chwyciła nadzieję, że August stęskniony dla niej tu przybywał. Ubrała się z gorączkowym pośpiechem, z największym staraniem, patrzała długo w zwierciadło, uśmiechając się sama sobie.

— A! nie, to nie może być inaczej — szeptała, — jestem pewna, przybywa do mnie. Móglżeby

strzelać do tych murów, w których ja siedzę zamknięta, dla zabawki?... A! niel to koniec mojej nie woli, to mojego triumfu początek.

Biegała od okna do okna. Z jednego widać był pillnitzką drogę i na niej Nider-Thorn. Postrzegły tumany pyłu, serce jej biło, plakała. Wtem dali się słyszeć dzwony, bębny; król wjeżdżał... cisza. Przy cisnęła serce dłonią, czekała. Zdawało jej się, że gusłyszy na schodach, że go ujrzy we drzwiach, pełnego łaskawości i litości. Długo trwało potem mroczenie ziyorogie... i sirzał się rozległy... strzał i krzyk. Cosel upadła na ziemię. Nagle porwała się ją wściekła, rozjuszona, z rozrzuconymi upadkiem włosami i pobiegła do stolika.

Ręce dygoczące ze wzruszenia odmawiały już prawie posługi; odsunęła szuflady, rozwinięła jedwabne chusty, dobyła pistolet, który jej nigdy nie opuszczał i ukryła go w szerokim sukni rękawie.

Jak oblakana przybiegła do okna najbliższego, rozglądając się w prawo i w lewo. Z tej strony słychać było trzaskające strzały i skały gruchotanie, których odłamki dolaływały do okna. Cosel wprawiała się, oczy jej pałały ogniem, ręce drżały, pierś się podnosiła gwałtownie. Czekała.

Za każdym strzałem chwyciła się za głowę i się cie, jakby nie wierząc uszom, nie ufając oczom. Śmiech dziki błakał się po ustach, a łzy napełniały powieki.

Za czwartym strzałem ucichło.

I długo było cicho; Cosel się nie ruszała z miejsca, w prawej ręce trzymając i cisnąć pistolet.

Już prawie znużona tem oczekiwaniem patrzyła, gdy na drodze pod oknem tężent konia dostał się słyszeć. Cosel wysunęła się do pół... patrząc.

To był on! on! August! Jechał sam, pędząc konia drożyną pod murami.

Krzyknęła: podniósł głowę, stanął i rękę przyłożyszy do kapelusza, niemy, blady, stał, rwąc konia, który mu się wyrywał.

Hrabina wychyliła się ku niemu z okna, jakby się rzucić chciała.

— Królu! panie! litości!

August nie odpowiedział, Coseł się uśmiechnęła.

— Litości od ciebie się spodziewać, okrutniku nikczemny! ty, co słowa łamiesz i karzesz za nie tych, co się o nie upominają! Litości! od ciebie? Co dla ciebie ludzkie życie, czem serce ludzkie dla ciebie? Coseł, niewolnica, gardzi tobą, brzydzi się, przekлина. Ciebie i pokolenie twe, i kraj i imię. Giń, nikczemny!

W tej chwili dobyła pistoletu i... strzeliła do króla.

Gluchy rozległy się strzał ten po zamku i śmiech: Coseł padła. Król jak osłupiał, usłyszał świdrującą kulę, która mu kapelusz drasnęła, oprzytomniała; skłonił się z uśmiechem i konia puścił cwałem.

Nie dziw, że potem nie przyjawszy śniadania u komendanta, chmurny, natychmiast nazad do Pillnitz odjechał \*).

#### XIV

Gdy Zaklika, przerażony strzałem i hałasem, wszedł do pokoju Coseł, zastał ją bladą, bezprzytomną, leżącą na ziemi. Koło niej wystrzelony dwukrotnie pistolet. Domyślił się wszystkiego. Ślugi nadbiegły także ratować panią, która zdawała się jakby umarła.

Ludzi wielu słyszało strzał, August wszakże ni-

\*) Bei dieser Gelegenheit, hatte Sie nach dem Kurfürsten geschossen (Stolpen Stadt und Schloss 66).

komu o nim nie powiedział i zamilczał. Domyślano się stąd, iż o nim rozpowiadać nie należy.

Nierychło poruszona tym wypadkiem hrabina wróciła do sił i dawnego trybu życia. Wiedziała ona, iż teraz nie ma się już czego spodziewać: los jej był rozstrzygnięty na wieki.

Nie dziw też, że wśród tej długiej, jednostajnej niewoli, w umyśle jej chwilami czuć było jakby obłęd jakiś, jakby zwichtnięcie i szały.

Napozór jednak poddając się swojemu przeznaczeniu, Cosel i po tym roku 1727 nie wyrzekła się nadziei oswobodzenia. W rok potem, mając przez Zaklikę znaczną sumę ze sprzedanych klejnotów, usiłowała, nie radząc się go, nic mówiąc mu nic, wyrwać się, przekupując otaczających. Jednego dnia późnej jesieni spuściła się z mieszkania swojego na wieży, mając przyrzeczoną pomoc do wdrożenia się na mur przy ogródka. Żydzi handlarze, których do tego użyła, kazawszy sobie zapłacić sowicie, niezręcznie posiłkowali jej do tej ucieczki. Już była na drugiej stronie muru, który po lekkiej drabinie ze sznurów miała odwagę przebyć, gdy warty, usłyszawszy ruch u stóp wieży, załogę zaalarmowały. Komendant przypadł, i nim hrabina miała czas oddalić się cokolwiek od zamku, pochwyciono ją, odprowadzając z powrotem do mieszkania, u którego odtąd znowu stały warty.

Nie wzbraniano jednak przybywającym do Stolpen widywać się z nią, a trochę później we dniu do ogródka wychodzić.

Zaklika siedziała ciągle w miasteczku, nie obudzając szczęściem podejrzenia, gdyż zachowywała się spokojnie i w ostatnim wypadku posadzonym nawet być nie mógł. Cosel dawała mu różne rozmowy, ale dotąd nie żądała nawet pomocy do ucieczki.

W następnym roku podraźniły nieszczęśliwą nie-

wolnicę wiadomości o obchodzonym świętnie, świętniej może niż kiedykolwiek, karnawale w Dreźnie, z powodu przybycia Fryderyka Wilhelma wraz z synem Fryderykiem (Wielkim). Pobyt ich tutaj trwał cztery tygodnie.

W kilka dni po przybyciu Fryderyk pisał stąd do Seckendorfa: „Tutejsza magnificencja jest tak wielka, iż sądę, pewnie u Ludwika XIV nie mogła być większą, a co się tyczy rozwiązłego życia, wprawdzie jestem tu dopiero od dwóch dni, ale muszę powiedzieć prawdę, że nic podobnego w życiu nie widziałem”.

Magnificencje te trwały cały miesiąc, rozpoczęte dnia 13 stycznia. Króla pruskiego przyjmował Flemming w Elsterwerday i stąd wysłano po syna Fryderyka, którego August zapraszał.

Nazajutrz król z synem z maskarady odbywającej się u feldmarszałka przyszli powitać przybywającego. Następne dnie spływały na nużących zabawach, komedjach, baletach, pokazywaniu zbiorów i kosztowności. Na rynku wyścigi dnia jednego, potem gonienie do pierścienia, ciskanie dzirytów i t.p. Nie przeszkodziło zabawom, że wybuchły pożar w cehauzie zmusił gości do ucieczki z mieszkania. Sadzono się na karuzele, w których król występuwał po polsku w galonowanej sukni złotej z białymi i niebieskimi piórami. Myślistwo, oglądanie zamków nie ustawały. Coseł wiedziała o tych wszystkich wymyślach, które się powtarzały z dawniej jej dobrze pamiętnych.

Orzelska bałamuciła Fryderyka Wielkiego, który był nią mocno zajęty, a król zazdrośnie wypłacał się figlami. Dlatego to później o nim pisząc Fryderyk, mówił: „Król polski jest ze wszystkich w świecie monarchów najfałszyszym i wzbudzającym we mnie wstręt największy; nie ma czci ani wiary;

oszukaństwo jest dlań jedynem prawem.. własny interes a różnienie drugich ciąglem staraniem. Ale raz mnie tylko potrafił podejść i więcej nie zdoła".

Pomimo tych uczuć obu Fryderyków pruskich dla Augusta, najczulej się ściskano, a trzpiocono. Jednego dnia król August z księżną Teschen grał rolę gospodarzy i prowadził zabawę, w której występowali chłopi francuscy (żona księcia następcy), włoscy komedjanci (Orzelska), górnicy (Rutowski i pani Manteufel z domu Błudowska), w ostatku chłopi norwescy (feldmarszałek Flemming i żona jego z domu księżna Radziwiłłówna). Król pruski był przebrany za *pantalona*, a Fryderyk Wielki za *norweskiego chłopa!*

Król szczególnie odznaczał się nadzwyczajną uprzejmością dla swych gości i niesłychanego bogactwa strojem, okrytym brylantami. Pomiędzy nimi jaśniał nabyty przed piętnastu dniami, blisko dwóchsetkaratowy brylant najczystszej wody.

Odbywszy całą miesięczną tę zabawę na dworze drezdeńskim, król pruski pisze poufnie do Sekendorfa: „Jestem w Dreźnie, skaczę i tańczę, a zmęczony daleko więcej, niż gdybym codzień po dwa jelenie uszczuł. Wracam do domu znużony przebytem tu przyjemnościami. Z pewnością żyje się tu nie po chrześcijański, ale Bóg mi świadkiem, że w tem żadnej przyjemności nie czuł, i powracam tak czysty, jak przybyłem”.

Zabawom tym królewskim nie było końca.

Najwspanialszą i ostatnią ponownie obóz w Mühlberg nad Elbą, który trwał miesiąc cały; opiewali go poeci, ale też i wyśmiewano się z niego pocichu.

Miejsce na obóz oczyszczone z lasu, zajmowało mil trzy obwodu.

Spędzono chłopów i górników i wpień go wyjęto. Dwadzieścia tysięcy piechoty i dziesięć jaz-

dy polskiej i saskiej stało obozem; wszysko na nowo wyekwipowane i na francuski sposób wycertyowane. Najwspanialsze były kawalergardy grands mousquetaires konni, grenadierowie konni, gwardja konna, spahi i kozacy, a z piechoty janczarowie i bataljon lejbguardji grenadierów Rutowskiego.

Janczarowie mieli mundury z lamy złotej, a Rutowskiego batalion z najogromniejszych ludzi zaczął chwycić króla pruskiego nad wyraz wszelki. Król miał główną kwaterę w Zeitheyn, w drewnianym, naprzecie wzniezionym, ale olbrzymim budynku, o dwóch piętrach z suterenami, okrytym zewnątrz płótnem malowanem. Do malowania tego sprowadzono umyślnie sześciu dekoratorów z Włoch. Na choragi powiewało godło: *Ota Martis*. Oprócz pałacyku, król miał dwa ogromne namioty.

Z gości przyjmował August znowu króla pruskiego z synem i mnóstwo cudzoziemców, piętnastu posłów samych a sześćdziesięciu dziewięciu hrabiów i trzydziestu ośmiu baronów.

Z Francji przybył nawet Marechal de Saxe.

Więcej się tu bawiono, muzyki słuchano, tańcowało i spalone ogni sztucznych, niż popisywano z wojskami. Na jednej z uczt tutejszych podano sławny ów olbrzymi pasztet, czy ciasto, długie na szesnaście łokci, a sześć szerokie, na które poszło siedmnaście szafli mąki. Przywieziono je na wozie ośmią koński ciągnionym, a cieśla musiał je krajać. Wszystkie te pomysły płodny w nie August sam wynajdywał i wykonaniem ich się zajmował. Sławny Zucchi sztachował później ku podziwowi potomnych historią mühlberskich cudów; opiewał je König poeta nadworny, a Fryderyk Wielki z nich szydził nielitościwie.

O wszystkiem tem donoszono i rozwożono wi-

domości po kraju, lud i służby je chciwie powtarzali, a Coseł także słuchać musiała, gorzko uśmiechając się fetom, które świętokeradzko, bez czucia, powtarzały kropla w kroplę te, jakie August dawał dla niej.

Jątrzyła ją ta obojętność króla, rozbudzając chęć wyrwania się z więzów i pomszczenia może na nim swej niedoli a jego niewiary.

Przychodziły na nią takie dnie szalu i niepokoju, a potem znowu bezsilności.

Kilka razy miała już na ustach powiedzieć Zaklicę: „na ciebie kolej”. On też spodziewał się tego i czekał. U niego zawsze w gotowości było wszystko, sam jeden był, mógł umrzeć.

Przez lat tyle pobytu w Słoppen miejsce i ludzie byli mu doskonale znani. Myślał po każdej nieudanej wyprawie, jakby przyszле zapewnić powodzenie. Był to jedyny przedmiot, którym się zajmował. Wyzywać ją jednak na niebezpieczeństwo nie chciał: czekał.

Jednego dnia, gdy żydzi razem z innym towarem przynieśli jej hamburską gazetkę, w której było opisanie ostatnich zabaw czasu bytności króla pruskiego, a między innymi karuzelu, niegdyś dla niej po raz pierwszy wymyślanego, Coseł oburzyła się; oczy jej, jak zwykle, gdy bywała poruszona, zaskrzyły się: odczytała dziwnym stylem napuszonym opowiadanie... zmiała i zdeptała.

Zaklika na to nadszedł.

Chodziła długo zamysiona.

— Masz jeszcze ochotę życie swoje ważyć dla mnie? — zapytała pocichu.

— A! zawsze — poprostu odparł Zaklika.

— Masz jaki sposób ratowania mnie?

— Będę go szukał.

— Żal mi ciebie, najwierniejszym mi błąd —

rzekła — ale nie żałuję siebie; gotowam zginąć sama. Muszę się stąd wyrwać... muszę.

Rajmund stał zamyślony.

— Potrzebujesz wiele czasu?

— Nie mogę się obrachować — odezwał się Zaklik — trzeba raz tak począć, aby dokonać, co się zamierzało.

Skinęła Coselem, Zakliką wyszedł i nie zachodząc do nikogo, wysunął się poza zwierzyniec, potrząsając sam na sam myśli zebrać. Rozmaite plany miał oddawną, wszystkie one najlepszymi się zdawały, a jednak każdy miał jakąś wadę.

Wszystkie poprzedzające próby chybily przez to, że się zawczasu o próbie dowiedziano, należało tą obwarować, aby nie została odkryta, aż gdy Coseł dostanie się za granicę: potrzeba było zatrzeć ślady ucieczki i omylić pogonie.

Nieszczęściem Zakliku nikogo nie miał do pomocy, oprócz kilku wiernych, znajomych Wendów, bojaźliwych i niezręcznych. Rachować mógł na ich uczciwość, lecz wcale nie na przebiegłość.

Pora, w której ucieczkę wykonać należało, zdala mu się ta najlepsza, gdy jak najmniej spodziewać się jej mogli na zamku.

Powiedział więc sobie: we dnie.

W bramach zamku ściszej kontroli wchodzących i wychodzących nie utrzymywano, puszczano przekupniów do hrabiny, do komendanta i mężczyzai nie zwracali żadnej uwagi. Wnosił więc, że Coseł w chmurny lub słotny dzień, nad wieczorem, okryta jego płaszczem wojskowym, z czapką na oczy nasuniętą, śmiało wyjść mogła i strażby jej nie zaczepiła. On zaś sam miał o kilka kroków iść zanią i przeprowadzić za zwierzyniec do koni wierzchowych, które tu dosiąść mieli i puścić się zaroślami i lasem bez drogi w góry. Lasy łączyły się

naówczas ze zwierzyńcem królewskim, konie miały wpogotowiu trzymać Hawlik.

Przez kilka dni Zaklika ważył i rozważał... nic lepszego znaleźć nie mógł.

Przyszedł więc do hrabiny, poddając jej myśl swoje.

Chwyciła się jej gwałtownie, znajdując bardzo szczęśliwą.

— Pierwszy dzień dzdżysty, niema czego zwlekać — zawołała — trzeba próbować. Jestem zdecydowana się bronić, spodziewam się, że i ty nie dasz się wziąć im gołą ręką: trzeba się więc uzbroić.

— Ja mam nadzieję, że to nie będzie potrzebnego Cosel nic nie odpowiedziała.

Przez dni kilka niebo było wypogodzone i jasne. Zaklika przychodził codzień, czyniono przygotowania; przewidując, że tu już nie powróci, sprzedał za bezcen swój dworek i spieniężył, co tylko było możliwe.

Naostatek niebo się chmurami zaciągnęło późno wieczorem i zdawało się, że na dni kilka stała się słońca zapowiada. Zaklika umyślnie płaszczem okryty kręcił się, wchodząc i wychodząc z twierdzy, ucząc żołnierzy, iż na zapytanie odpowiadanie lubi. Szły próby jak najlepiej. W piątek padał deszcz od rana; gdy zaczęło zmierzchać, wszystko było wpogotowiu. Slugi Cosel otrzymały uwolnienie do miasteczka.

Okryta płaszczem żołnierskim, z czapką na głowę nasuniętą, zgarbiona, Cosel posunęła się ku pierwszej bramie świętego Donata i nikt na nią nie zwrócił uwagi; w drugiej żołnierz popatrzył i przepuścił, nic nie mówiąc.

W kilka minut potem, prawie podobnie okryty Zaklika śpiesznie szedł przez bramę pierwszą, w której nie spotkał nikogo: w drugiej żołnierz zaczął mruczeć:

— A wiele was tu jest? tylko co jeden, już drugi?  
Zaklika odsłonił mu twarz.

— Djabel cię zna — odezwał się żołnierz — tylko wiem, że jeden wszedł, a dwóch wychodzi.

— Jakich dwóch?

— Juściżem nie ślepy.

Zaklika, nie zważając, posunął się ku wyjściu: żołnierz go zatrzymał.

— Ależ mnie tu wszyscy znają — rzekł, śmiejąc się — czegoż chcecie?

— Idź się tłumacz do komendanta, a nie, to cię nie puszczę.

Zaczęli się z sobą kłócić, zrobił się gwar, nadbiegły wachmistrz. Poskarzył mu się grzecznie Zakliku, że tego jeszcze nigdy nie bywało: puszczeno go.

W kilka chwil zniknął w zaroślach za zwierzyńcem, ale żołnierz mruczał.

— Cóż do niego upatrzył? — zapytał wachmistrz.

— Na straży muszę liczyć ilu wchodzi i ilu wychodzi: jeden w takim płaszczu wszedł, a dwóch ich wyszło. I ten pierwszy taką miał minę, jakby on wcale żołnierzem nie był. A nuz Cosel? — dodał, śmiejąc się.

— A no! pleciesz! — rzekł niespokojnie wachmistrz.

Stanął, pomyślał i poszedł ku wieży świętego Jana. Tu dowiedział się od posługacza kuchennego, że kobietom wszystkim dane było pozwolenie na miasto.

Wbiegł na drugie piętro, pokój był ciemny i pusty; na trzeciem też nikogo. W ogródku szukać w deszczu śmieszniem było, wachmistrz głowę tracił i pobiegł do komendanta. Ten wybiegł z ludźmi najprzód pod wieżę, przeszukano wszystkie kąty, a czas upływał. Zaczynało dobrze zmierzchać. Nie

ulegało już wątpliwości, iż Cosel uciekła. Uderzono na gwałt i komendant z ludźmi, rozdzieliwszy ich na kilka oddziałów, wybiegł w pogон zrozpaczony.

Cosel tymczasem biegła do koni, które w znanej jej miejscu stać miały: omyliła się w pośpiechu i zbladziła... Zaklika dobiegła do nich, gdy jej jeszcze nie było. W rozpaczny puścił się szukać, nie śmiejąc nawoływać, bo już bicie na alarm słychać było.

Straciwszy czasu niemało, spostrzegł ją stojącą pod drzewem, już w zwątpieniu: pochwycił ją za rękę i doprowadził do koni. Cosel, odzyskawszy przytomność umysłu, rzuciła się na siodło, Zaklika chwyciła konia za cugle, gdy ludzie z załogi nadbiegli i otoczyli ich. Nie mógł się bezbronnie dać wziąć Zakliką i, wolając na nią, aby uchodziła, stanął z pistoletami i szabłą do walki.

Kilką strzałów zahuczało i świsnęło, i poczciwy Zaklika rażony kulą w samo czoło, jęcząc, powalił się na ziemię... W tejże chwili żołnierz chwyciła konia hrabiny, która napastnika trupem położyła, ale tuż przyszedł drugi i trzeci, poddać się było koniecznością.

Komendant nadbiegła, gdy już dwa trupy zimne leżały na ziemi skrwawionej, a trzeci ranny dogorywał.

— Pani hrabino — zawała — licz pani, ile życia ludzkiego jej wycieczki daremne kosztują!

Skoczyła z konia i zbliżyła się do leżącego trupa Zaklikiego. Bladne usty pocałowała go w krwawe czoło. Rękę trzymał machinalnie przyciśniętą do piersi; gdzie był złożony i powierzony mu akt przyrzeczenia królewskiego, który Cosel zdjęła z niego i zabrała z sobą.

Odprowadzono ją na zamek milcząca i pogranioną w myślach, z których nieprędko wyszła. Sie-

działa po całych dniach zanurzona w biblii i obudzała litość nawet w tych, którzy jak najobojętniej na jej los patrzyli. Zaklicz kazała sprawić pogrzeb, na który posłała pieniądze.

— Mnie go nikt nie sprawi — rzekła, — nawet dzieci, bo te mnie nie znają. Sama jestem na świecie.

Cosel, w chwili, gdy to się działo, miała już lat czterdzieści dziewięć. Piękność jej, jak świadczą wszyscy współcześni, oparła się latom i cierpieniem; była jeszcze piękną, a rysy twarzy zachowały wdzięk dawny i oczy nie straciły blasku.

Od tej pory przestała wychodzić do swego ogródka, otoczyła się książkami, czytała biblię, studjowała kabałę; kazała sobie księgi hebrajskie tłumaczyć; zabijała czas, nie mogąc zabić siebie. Były to ostatnie lata panowania Augusta II, który je spędził, naśladując pilnie pierwówzór swój, Ludwika XIV. Świecone zabawy i przepych ustąpiły nieco fantazji budowli olbrzymich, zakładaniu gma-chów, wznoszeniu pałaców.

Drezno, drewniane dotąd i dość niepozorne miasto, rozkazano albo przebudowywać z muru, lub domy sprzedawać. Wzniesiono najprzód ratusz na starym rynku: Flemming, Vitzthum, Wacker-barth, Sułkowski, musieli wznowić pałace. Od Flemminga odkupił król pałac japoński, wprzody holenderskim zwany; zakładano ogrody, wznoszono koszary, projektowano monumenta; stał już piękny Zwinger, cacko w swoim rodzaju, który miał być tylko podwórcem do olbrzymiego pałacu nowego. Piękne drzewa pomarańczowe, które dziś zdobią latem Zwinger, mają bajeczną historię swoją. W tym roku 1731 król naukową ekspedycję wysłał do Afryki, jako balast wrzucono w okrąg czterysta ścieżnych drzew, które do robót tokarskich miały być użyte; spróbowano je posadzić: większa ich część ożyła.

W okolicach Drezna wznosiły się zamki Moritzburg, Hubertsburg, domy letnie w Pillnitz i t. p.

W roku 1731 przedstawiono z wielkiem powodzeniem operę *Cleofida o Alessandro nelle Indie*, w której występowała po siedmkroć piękna Faustyna, słynna śpiewaczka, a po siódmem przedstawieniu mąż jej uznał właściwem udać się do Włoch, dla dalszego muzykalnego wykształcenia.

Chociaż Sasi niewiele mieli praw, o któreby się upominać mogli i śmieли, a August nie dopuszczał marzeń o swobodach podobnych tym, które mu Polskę obmierziły; wszakże sejm saski dla samej reprezentacji zebrać w tym roku pozwolił i z wielką ceremonią odbył się on w sierpniu; a Lubomirski, Sapieha, Czartoryski i podkanclerzy Lipski byli świadkami, jak to się tu te obrady cicho, porządnie, pięknie i programowo odbywały.

Jesienią król pojechał do Polski, przyjmowany przez wielu dygnitarzy w Łowiczu, i zamieszkał w Wilanowie. Tu obchodzono świętego Huberta. W następnym roku świetny znowu karnawał z gospodarstwami obchodzony był w Dreznie. Król ruszył do Polski, skąd dwanaście par żubrów wyprawiono do zwierzyńca w Krejern, ale te bezpotomnie tu wygasły. Najjaśniejszy pan nie lubił półtek, postąpiono sobie surowo z panem majorem d'Argelles, który paszkwile z Paryża słał do Warszawy. Złamano mu szpadę nad głową, oprawca go opoliczkował, potwarcze pisma w gębę mu zatkał, a potem na całe życie posłano go do gdańskiej fortecy.

W Dreznie budowano niezmiernie, zaczęto hotel inwalidów na wzór paryskiego i wiele innych budowli. Wilanów też dla króla odnowiono i tu zebrał się na podziw polski obóz, na wzór onego głównego pod Mühlbergiem.

Nie pomagało to jednak wcale na chorobę i sooniały zerwany. Szlachta wolała się na króla nie znała, a król też cierpiał ją nie mógł. Podczas jazdy jechał August z Frimontem i Krolliem oglądając gospodarstwo, które dwa tysiące robotników wzmacniało bramą damską, japońskie palce kozary, kociaki i pierdze. Król się starzał, nadal chodził zawsze nisko, leżąc na przed księżną Lubomirską, skulił sobie nogę niebezpiecznie. Kazano mu się czanować, o czem wcale nie myślał. W roku 1727 mordano zengrenowany palec u nogi skórną, a Kroll chlorki, który dla podział operacji, głowę ważył, gdyby nie ustała. Powiedziała nie jednak szczególnie, co karmiło go, z trudnością mógł się tak na nogach trzymać i rozmawiać z namami, na taborówce przyjechał.

A ostatnim rokiem, w Lipku jeździ, obchodził urodziny swego żarnika noworocznego, najedząc przyprawione konie; potem kotwiał uroczyste w Dreźnie świątyni, a że zajmował zbiórki, zjechał do Warszawy w dniu 16 stycznia.

Brziga zimowa, uderzenie w nogę przy wyjściu, sprowadziły gangrenę i w tym dniu król zmarł. Uzwnia rzecz, że w tamtym tygodniu do lat siedemdziesiątu trzech mógł wyrażać się.

Przywodziliśmy wyżej wiele zdań o Augustu, mniej więcej zgorszych w ocenieniu jego charakteru.

W kilka lat po zgonie króla Schulemborg znaczył przez Volkszeitung, zapisując o Augustu:

Pewną jest rzeczą, że król August polski, był jednym z monarchów najwytrwałoszańczych, ja, o których słowie wyobrażać można holenderskim, potoczącym o rzeczach sprawiedliwości i dar rozsądku, a największy, nadzwyczajną zręczność i energię, był bardzo pracowity i tak piękny? jak przywony

człek, który się chce czegoś dobić; kto go w różnych okolicznościach nie widział, ledwieby mógł uwierzyć, do jakiego stopnia umiał udawać i dyssymulować; zdolny był bardzo pojąć wszystko i wedle swego sposobu widzenia rzeczy się kierować. Oprócz tego rozumiał wojnę wielką i małą, siedząc na koniu doskonale zdejmował plany, wszelkiego rodzaju fortyfikacje znał dobrze, napaści i obrony twierdz; — wybornie w każdym wypadku umiał należyte rozporządzenia wydawać i instrukcje, następstek znał artyleryjską naukę jak ci, co się jej z powołania oddają".

Jedyny syn Augusta, który dziwne odebrał wykarmianie między wyznaniem protestanckim a katolicyzmem trzymany, aby wedle potrzeby mógł jedno z nich wyznawać, na lat kilka oddalony był z Saksonią i w tej podróży przez jezuitę Salerno ostatecznie został nawrócony. Na dworze Ludwika XIV znajdowano go bardzo skromnym, bojaźliwym i rozsądnyem. Dopiero 1717 roku ogłoszono publicznie nawrócenie go na wyznanie katolickie, któremu pozostał wiernym. Świdziło to ożenienie z księżniczką austriacką Marią Józefą. Po siedmioletniej niebytności młody kurfirst powrócił do Drezna z żoną.

August III różnił się od swojego ojca obyczajem i charakterem najzupełniej: był pobożny, skromny, nadzwyczaj leniwy, ale lubił też zabawy, a szczególnie polowania. Przyznawano mu rozsądek i zdrowe rzeczy pojęcie, lecz wstręt do wszelkiego zajęcia.

Panowanie Brühla i Sułkowskiego zwiastowało się już zawsze, bo w ostatnich latach Augusta II; przypuszczano jednak raczej, że drugi z nich będzie owym wszechwładnym ministrem, jakim się później stał pierwszy.

Gdy wieść o śmierci Augusta II doszła z War-

szawy do Saksonji i obwieszczało ją po całym kraju, odbierając przysięgę na młodego kurfirska, komendant ówczesny fortacy Stolpen sam ją przeszedł oznajmić hrabinie Coseł.

Stała dugo niema i osłupiała, potem załamała ręce rozpaczliwie i rzuciła się, płacząc, na ziemię.

Niewola, okrucieństwo, zapomnienie, doznanie krzywdy, nie mogły jej niewieściemu sercu odjąć miłości, jaką miała dla niego. Odtąd znów był jej ukochanym Augustem, a wszystko złe poszło w zapomnienie!

W pięć czy sześć dni z Drezna przybył niejaki Hennicke, który później tak świętą zrobił karierę, kazał się zameldować do hrabiny Coseł, w poselstwie od kurfirska. Siedziała jak zwykle nad książkami swoimi, gdy się ukazał w progu.

— Jestem przysłany do waszej ekscelencji — odezwał się — od najmiłościwszego pana, aby jej dobrą nowinę zwiastować, żeś pani wolną, i możesz, gdzie się jej podoba, zamieszkać.

Coseł ręką potarła po czole.

— Ja? wolną? — zapytała. — A na cóż mi dziś wolność?... Ludzie mi, ja ludziom i światu stałam się obca. Gdzież pójdę? Nie mam kąta, zabrano mi wszystko! z kim żyć będę? nikt mnie nie zna! Chcecież mnie wystawić na pośmiewisko, aby tę hrabinę Coseł, przed którą wszyscy skłaniali głowy, palcami wytykaną?

Hennicke milczał.

— A! nie! nie! — powtórzyła — nie, wolności nie chcę; nie mam gdzie się podziać: proszę, zostawcie mnie tu. Przyrosłam do tych murów, wszystkie łzy moje w nich wylełam, nie umiałabym żyć gdzie indziej; zostawcie mi ten kąt, proszę: nie pozyję dłujo.

Hennicke odpowiedział tylko, że najjaśniejszemu panu odniesie prośbę hrabiny.

Łatwo się domyśleć, że dozwolono jej tu pozostać. Hrabina w roku 1733 miała lat pięćdziesiąt i trzy. Po tylu przecierpianych kolejach nie spodziewała się już długiego życia.

Ale nikt nigdy nie odgadł swoich przeznaczeń.

Hrabina Coseł urządziła się wygodnie na wieży świętego Jana i przytykającym do niej ogródku. Głównem jej zajęciem i ulubionem czytaniem były książki hebrajskie, literatura Wschodu, kabała. Ostatczyła się też ciągle żydami i przez nich otrzymywała wszystko, czego potrzebowała. Pensja jej, wynosząca trzy tysiące talarów, starczyła na utrzymanie, na zakupno książek i wykupywanie niepocztowych, satyrycznych medalów, które August II, o zakład z nią poszedłszy, wybijać kazał. Kupowała także rzadkie talary z herbem jej i króla. Uprosila je sobie wówczas u niego, kiedy jeszcze sądziła, że ma prawa żony. Bito je w nadzwyczaj malej ilości. Po śmierci Coseł kilkadziesiąt sztuk tych monet znaleziono w jej fotelu.

W więzieniu i na swobodzie zachowała zawsze dumę i sposób obejścia się królowej. Miejscowych urzędników, duchownego i innych zwalała: „ty”. Osobom, które Stolpen zwiedzały, oświadczać kazała „swą łaskę”. Po siedemnastu latach niewoli za życia Augusta II przeżyła hrabina tutaj całe panowanie Augusta III i Brühla, obie kampanje śląskie i wojnę siedmioletnią całą.

Godne uwagi, że pierwszy strzał, który padł, rozstrzygając o przyszłych losach Saksonji, rozległ się o mury tego zamku. Pruski generał Warnery wypalił pierwszy do fortecy, zajętej przez kilku inwalidów, opanowując ją samotrzecią.

Fryderyk Wielki w czasie wojny wypłacał regularnie hrabinie Coseł jej pensję, ale w tej lichej monecie, którą zwano efraimitami. Z gniewu hra-

bina ćwieczkami do ścian poprzybijała wszystkie te talary.

## XV

W czasie wojny siedmioletniej w roku 1762 i zajęcia Drezna przez Austrjaków, książę de Ligne, który naówczas był pułkownikiem dragonów, jeździł umyślnie do Stolpen, aby hrabinę zobaczyć. Oświadczyła mu przy pierwszym widzeniu się, iż przedsięwzięła wszystkie religie poznać i poznawszy je, wybrała żydowską. W przódy była ona protestantką, jak hrabina Königsmark i Marechal de Saxe. Oświadczyła też księciu, że jeszcze za życia Augusta II mogła być wolność otrzymać, ale wolała w Stolpen zostać, bo jej nikt już na świecie nie znał, a nigdy się spodziewać nie mogła, ażeby żyła tak dugo.

Przy rozstaniu miłemu gościowi darowała hrabina biblię, która jak wszystkie inne jej książki, cała była okryta przypiskami, grubym czerwonym ołówkiem, co ją wcale nie przyozdabiało. „Szukała tego skarbu — pisze książę de Ligne — tak uroczyście, z taką troskliwością, żem sądził, iż chyba mnie najdroższemi diamentami obdarzy”.

Książę de Ligne widział ją ośmdziesiąt dwa lat mającą. Wkrótce potem otrzymał od niej list ledwie dający się wyczytać, a trudniej jeszcze zrozumieć i powiada o nim, że go wysylabizować nie potrafił, tak był pełen mistycznych i magicznych formuł.

Z innych źródeł wiadomo, że sławnemu swego czasu orjentaliście, superintendentowi Bodenschatz, kazała dla siebie tłumaczyć *Pirke abotb*, książkę rabiniczną. Posłała mu na to dwadzieścia talarów, a list podpisała jako Borromeus Lobgesang. W kilka dni to zrobiwszy, Bodenschatz otrzymał sześć dukatów i najpiękniejsze podziękowanie. Później żądano od niego tłumaczenia innych traktatów, pla-

częć mu za arkusz po luidorze. Bodenschatz zaciękawiony chciał wiedzieć, dla kogo to robi; powiedziano mu, że listy jego, adresowane do Drezna, posłaniec ze Schmidefeld zabiera i odpowiedzi przynosi, a o więcej się dowiadywać nie życzono. W końcu ów nieznany korespondent zaprosił pana Bodenschatza do Drezna, ciesząc się podróż zapłacić. Jakoż znalazła go w istocie w Dreznie. Cosel wystąpiła na przyjęcie go w zupełnym stroju arcykapłana starego przymierza. Kobiecą twarz poznali zaraz Bodenschatz.

Widywali się później częściej, hrabina przyjmowała go bardzo uprzejmie, dopytywała różne objaśnienia taktnudu, o księgi hebrajskie i rabiniczne pisma.

Hrabina Cosel dla Bodenschaiza miała się starać przez ojca swej synowej, hrabiego Holzendorfa, ówczesnego prezydenta rady konsystorza, aby go zrobić miejskim proboszczem w Stolpen. Nie przyszło to dla niego tylko do skutku, że go własny książę Baireuth zażądał.

Bodenschatz zrazil się też tem, że hrabina wyrażała się bez pohamowania o wierze chrześcijańskiej. Oprócz tego żona pastora, mimo sześcidziestu lat pani Cosel, która jeszcze była bardzo piękną, uczuła zazdrość i nie puściła go.

Naostatek w roku osiemdziesiątym piątym życia, dnia drugiego kwietnia 1765 roku, zmarła na zamku w Stolpen... a współcześni zostawili świadectwo, iż zwłoki jej zachowały jeszcze ślady tej nadzwyczajnej piękności: którą tak długo slynęła.

Śmierć była cicha... pogrzeb także. Dnia piątego kwietnia ciało złożone zostało w kościele zamkowym, bez kamienia, bez oznaki żadnej, w miejscu, o którym nikt nie wzmiankaże.

Troje dzieci zostawiła po sobie, przyznanych

przez króla: hrabiego Fryderyka Augusta Cosel, urodzonego w roku 1712, generała jazdy, szefa gwardji i pana na Zaborze nad Odrą w Śląsku... (pod Zieloną góra).

Jego to pałac nosił imię Cosel.

Cosel żonaty był z panną Holzendorf i zmarł w roku 1770, zostawiając jednego syna, który zeszedł bezpotomnie. Córka jedna, starsza, Augusta Konstancja, wydana za hrabiego Friesena, wniosła mu w posagu Königsbrück, a umarła w 1724 roku. Młodsza Fryderyka, urodzona w roku 1709, poszła za podskarbiego Fryderyka Krystiana Moszyńskiego. Mąż jej zmarł w 1737 roku, ona przeżyła go o lat prawie pięćdziesiąt i za panowania Brühla ona panowała nad Saksonią. Beczkę złota kosztował ją pałacyk, zwany Moszyńskich, który został niedawno zrzucony.

---

Takie były losy tej kobiety, która najsurowiej sędziąc, na tle czasu, w jakim żyła, wśród ludzi, z jakimi obcowała, niepodobna jej odmówić pięknego, szlachetnego, wznowiolego charakteru. Wśród powszechnego zepsucia, narażona na tysiące umysłnych pokus, wyzywana, aby się swej dostojności wyrzekła, Cosel wołała niewolę, męczarnie, niż wyrzeczenie się tego, co zdawało się jej honor zabezpieczać. W czasie najzłośliwszych plotek nikt nie śmiał i nie mógł nic przeciwko niej powiedzieć.

Miłość jej dla Augusta, który nigdy żadnej kobiety nie kochał, przetrwała lata i w chwili jego zgonu jeszcze z nową gwałtownością wróciła. W samych tych kabalistycznych obłędach biednej kobiety czuć umysł czynny, nie mogący wyżyć bez zajęcia i sięgający najwznióslejszych zagadnień, któreby niezrozumiała jej życie wytlumaczyć mogły.

Nie sądzimy, abyśmy w końcu potrzebowali za-

pewniać czytelników naszych, iż cała ta historja hrabiny Cosel w wszystkich zarysach, wypadkach, charakterach, jest jak najściślej prawdziwą. Taka ją nam podały mnogie pamiętniki epoki: Haxthausen, Pöllnitz, Loen i inni.

Wyobraźnia nie potrzebowała dodawać prawie nić do tak bogatego materiału, ale go tylko wypełnić. Jest to jedna strona epoki i panowania, które się i nam czuć dało, widziana z Saksonji i z profilu. Król August nie ma w niej pięknej roli, ale ta, jaką mu nadają dzieje, jest ściśle prawdziwą. Wielu szczegółów, pełnych charakteru, których by dzieje ścierpiły, powieść znieść nie mogła.

Dwa te panowania saskie, jak już za Stanisława Augusta zdrowsze umysły uznawały, oddziałyły na kraj nasz w najzgubniejszy sposób. Dwór saski popsuł obyczaje polskie: widzimy tu rodziny niegdyś najzacniejsze, ubiegające się o pietno sromotne Łask królewskich, Bielińskich, Denhoffów, Pociejów, Lubomirskich. Zbytek i potrzeba rozrywek płochych, niepomierne bankietowanie, z Augustem przychodzą do Polski, ale z saską dynastią nie giną. Wielcy mężczyźni lat dawnych ustępują słynnym intrygantom, miłość kraju zmienia się w prywatę wyzyskującą wszystko; frymark szczepi się wszędzie, marnotrawstwo kraj niszczy. Blask dworu i elegancja jego, na umysły słabe i zawsze do naśladowania skłonne, fascynacyjny wpływ wywierają. *Reg's ad exemplum* żyją wszyscy, niewidziane dawniej w rodzinach polskich zgorszenia, przechodzą niepostrzeżone, społeczność chwieje się w posadach. Smutny to widok tem bardziej, że tak napozór wesołą i świętą ma fizjognomię.

Nie mniejszymi ofiarami okupiła Saksonia świetności te dwóch panowań: jednego rozrzutność samowolną, drugiego nieudolność i opieszałość zdu-

miewającą. Naśladowca Ludwika XIV zadał cios śmiertelny własnemu krajowi. Sasi przypisują zwykle staraniom o koronę polską, wojnom dla utrzymania się przy niej toczonym, finansową swą ruinę i osłabienie. Przekonać się można jednak łatwo z побieżnych nawet rachunków, że nigdy korona, wojny, sejmy, polityczne targi nie kosztowały Augusta II tyle, co jego zabawy, fajerwerki, obozy, balet, opera, brylanty i pałace ulubienic.

Marnprawstwo było olbrzymie, nieprawdopodobne i wprzody jeszcze nim Brühl począł wysyłać Saksonią, Hoymy, Beichlingi, Fürstembergi wyciągnęli z niej dawną jej zamożność. Ani Sasi nam, ani my im, nic do zazdroszczenia nie mamy: oba kraje padły ofiarą fantazji Augusta Mocnego. Saksonia tylko rychlej obyczajowo dźwignąć się i pod wpływem otaczających ja Niemiec odrodzić mogła—nam na to dłuższego, dla wielu a wielu przyczyn, potrzeba było czasu.

Zamek w Stolpen pusty dziś, zamknięty, śliczna ruina milcząca, stoi, wspinając się wieżami do góry. Zachował się jeszcze dosyć cało i wieże świętego Jana, pokoje hrabiny Coseł, jej ogródek, wszystko to pokazuje grzeczny odźwierny, sprzedając małą książeczkę, służącą za przewodnika. Cicho tu i głucho. Oryginalną fizjognomię nadają zamkowi ogromne wieże słupów czarnego bazaltu, wyrastające z ziemi wszędzie. Do nich-to strzelał August II, niepomny, że tam wśród nich zamknięta siedzała kobieta, której zatruli życie. Na cmentarzu i w kościele u stóp góry próżno pytać o grób Coseł: nikt o nim nie wie.









